

ZALEWSKI



GRIZZLY

Oficynka

ZALEWSKI GRIZZLY



Sandrze

Obiecaliśmy sobie,
przysięgliśmy,
Że będziemy pamiętać,
by nie uciec, by się nie poddać.
Jak żołnierze zimową nocą, co
przysięgli,
Że bronić będą,
Nie uciekniemy, nie poddamy
się.

Bruce Springsteen *No Surrender*
(przeł. Marek Zalewski)

GREEN DOLL, KENTUCKY

Radiowóz wjechał na podwórze tonące w zieleni. Clinton Gerstaecker — szeryf miasta Green Doll — wysiadł na przystrzyżonym trawniku, zwracając wzrok ku werandzie, na której zwykle witała go Cynthia. Była dla niego kimś więcej niż żoną. Była wierną przyjaciółką i jedyną powierniczką przez cały okres ich małżeństwa. Mieli za sobą wieloletni staż, ale nadal — każdego dnia — cieszył się, wracając po służbie do domu. Miał do kogo wracać. Fakt, że nie mieli dzieci, był bez znaczenia. Cynthia wystarczała za całą rodzinę.

Szeryf spojrział w niebo. Zanosilo się na wczesną jesień. Koniec lata był ciepły, ale deszczowy. Ich wspólne obiady na werandzie miały małą szansę na kontynuację w tym roku. Szczególnie ważnym w karierze Clintona.

Zastępcą szeryfa został latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego. W osiemdziesiątym pierwszym był już szeryfem. Miał wtedy zaledwie dwadzieścia pięć lat. Upłynęło sporo czasu. Pełne dwadzieścia sześć lat. Od kilku tygodni po mieście krążyła pogłoska, że bierze się pod uwagę kandydaturę Gerstaeckera na urząd szeryfa okręgowego. Clintonowi było to obojętne. Był zadowolony z tego, co miał. W mieście panował ład i spokój. Wymierne owoce jego pracy. Sądził, że wszystko, co najgorsze, ma już za sobą. Śmierć ojca — Elijaha Gerstaeckera, legendarnego szeryfa Rastford, jesienią osiemdziesiątego pierwszego, śmierć brata, Rodneya — następcy ojca w ich rodzinnym mieście przez kolejnych dziesięć lat. Rodney zginął rok temu wraz z byłą żoną w jej mieszkaniu. Mordercy nie schwytano. Mniej więcej w tym samym czasie przyszła pora na porachunki z doktorem Metcalfem Durringiem — przypadkowym zabójcą ojca. Tamta sprawa kosztowała Clintona masę nerwów.

Durring zabił ich ojca, strzelając po pijaku do tarczy ustawionej w swoim ogródku — przy parkanie oddzielającym posesję od jezdni. Zlekceważył wszelkie środki ostrożności. Szeryf Elijah Gerstaecker przypłacił to życiem. Wysiadając z radiowozu, znalazł się na drodze zabłąkanej kuli. Pocisk z trzydziestki ósemki rozerwał mu krtań. Było to wkrótce po tym, jak Clinton przeniósł się z Rastford do Green Doll. Ich najmłodszy brat, Milton, od roku mieszkał w Alabamie, gdzie również załapał się jako zastępca szeryfa. Starszy o rok Rodney przejął w międzyczasie obowiązki ojca w Rastford. Durring wykręcił się sianem. Miał układy. Dostał najniższy możliwy wyrok.

Cztery lata. Wyszedł warunkowo po osiemnastu miesiącach. Ale porzuciła go żona. Po pewnym czasie przeniósł się do Green Doll i zamieszkał ze swoją nową towarzyszką życia — Vanessą Holmes, kwalifikowaną pielęgniarką i dwukrotną rozwódką. Prowadzili wspólnie praktykę dentystyczną. Rodney i Milton pogodzili się z wyrokiem sądu. Clinton — nie. Nie spuszczał Durringa z oczu od momentu pojawienia się lekarza w mieście. W końcu los się do niego uśmiechnął. Durring powrócił do nałogu i do swojej strzeleckiej pasji. Szeryf nakrył go na strzelaniu do psów w czerwcu zeszłego roku. To, co wtedy zrobił, było czystą prowokacją. Byli tylko we dwóch, na odludziu za miastem. Wskutek jego „interwencji” lekarz przeleżał kilka tygodni w szpitalu, zanim mógł stanąć przed sądem, oskarżony o znęcanie się nad zwierzętami i czynną napaść z bronią na funkcjonariusza policji. Tak zeznał Clinton. Nie miał skrupułów. Zapłacił draniowi za śmierć ojca. Durring nie doczekał ogłoszenia wyroku. Drugiego dnia rozprawy, podczas przerwy powalił go udar mózgu. Umarł, zanim dowieziono go do szpitala. Dopiero wtedy Clinton Gerstaecker doznał prawdziwej ulgi. Wyrównał rachunki. Sprawiedliwości stało się zadość. Przeżył ciężko tragiczną śmierć brata, ale jakoś się pozbierał. Sądził, że teraz naprawdę wszystkie problemy ma z głowy. Mylił się. Było tak aż do tego sierpniowego dnia, kiedy zatrzymał dodge’a na własnym podwórku.

Prawdę mówiąc, przychylny wiatr zmienił kierunek tydzień wcześniej. Tamtego dnia, przed południem Clinton został wezwany do ratusza. Burmistrz chciał z nim rozmawiać osobiście. Był pierwszy wtorek września.

— Napijesz się czegoś, Clint? — Burmistrz wskazał mu fotel.

— Dzięki, Lesley. Cynthia mi zabrania. Moczę później łóżko.

— Ty stary byku!

Obaj ryknęli śmiechem. Clinton nie śmiał się szczerze. Zastanawiał się, co takiego ma mu do powiedzenia burmistrz. Wezwał go tak nagle. Czyżby coś złego? A może przeciwnie? Gerstaecker wyciągnął wygodnie nogi i spojrzał spod przymkniętych powiek na Lesleya Cronkida.

— Co jest, Les? Znowu twój dalmatyńczyk dał nogę z domu? Poprzednim razem złapano go z suką Mallersa. Pół mili za granicą stanu. Musiałem przekroczyć moje uprawnienia.

— Dzięki za pamięć. Tym razem u mojego Nero wszystko w porządku. Chodzi o ciebie, stary.

— Zamieniam się w słuch.

— Hrabstwo Butler potrzebuje nowego szeryfa. Tom Farragot miał rozległy zawał. Dzwonili z siedziby okręgu. Sondáže przeprowadzone wśród wyborców są jednoznaczne. Chcą ciebie.

— Czy ja wiem? — Gerstaecker ukrył wzruszenie. — Do Morgantown kawał drogi. — Jaja sobie robisz? Raptem dwadzieścia dwie mile. Nawet nie musisz się przeprowadzać. Chyba że chcesz.

— Nie chcę. Mój dom jest tutaj.

— Miło to słyszeć. Ale nie widzę przeszkód. Mieszkaj tutaj do śmierci. Masz w Green Doll wielu przyjaciół. Mam przyjemność także się do nich zaliczać. Nikt też nie będzie takim szeryfem jak ty. Ale nie chcę stawać na drodze twojej kariery. Nie mam prawa.

— Szanuję cię, Les. To miasto nigdy już nie będzie miało takiego burmistrza jak ty. Naprawdę tak myślę.

— Wiem. Więc jak? Decydujesz się?

— Muszę zdecydować od razu?

— Nie. Ale to pilne. Wystarczy ci tydzień?

— W zupełności. Wiesz, zrobimy tak: pojadę do nich w poniedziałek, porozmawiam i rozpoznam sprawę na miejscu.

— Czemu nie wcześniej? Nie olewa się takiej propozycji. Oni cię szanują, Clint. Nie zmarnuj tego.

— Bądź spokojny. Nie zamierzam. Nie mogę wcześniej. Mam na miejscu dwie sprawy. Obydwie niezbyt ważne, ale pilne. Obiecałem załatwić je w tym tygodniu.

— Jasne! Obiecałeś! Cały Clinton! Chyba właśnie za to ludzie cię szanują. Niech będzie. Umówię cię na poniedziałek. Gdyby wyjazd zajął ci więcej niż jeden dzień, nie ma problemu.

— Dzięki, Les. — Szeryf podniósł się z fotela. Wyciągnął do burmistrza potężną dłoń. — Dzięki za wszystko, co dla mnie robisz.

Clinton Gerstaecker odwrócił się i spokojnym krokiem wyszedł z gabinetu. Dopiero na ulicy założył kapelusz i wszedł do radiowozu, stojącego przed wejściem do ratusza. Nasunął na nos ciemne okulary i na wolnych obrotach ruszył, włączając się w — spory o tej porze — ruch uliczny.

Jechał powoli, obserwując jezdnię i chodniki. Jak zazwyczaj. Dzisiejsza propozycja nie zmieniała niczego. Nadal był szeryfem Green Doll. I miał służbę. W tej chwili tylko to było ważne. Propozycję awansu zamierzał zostawić na poobiednią rozmowę z Cynthią. Nigdy nie pozwalała mu rozmawiać o pracy w czasie posiłku. Była to jedna z jej zasad — a miała ich

sporo. Szanował je wszystkie, bo były dobre i przyjazne. Jak ona.

— Cynthio. — Siedzieli na werandzie przy kawie i szarlotce. — Chcę cię o coś zapytać.

— O co chodzi, mężusiu? Co wykombinowałeś tym razem?

— Nie ja. Wykombinowali to ludzie z Morgantown.

— Chodzi o twój awans?

— Do licha! Skąd o tym wiesz? Nie powtarzałem ci plotek na ten temat.

— Jasne. Nie lubisz mówić zbyt wiele. Jesteś jak wszyscy Gerstaeckerowie.

— Zostało nas tylko dwóch — westchnął. — Ja i Milton. Ale do rzeczy. Istotnie. Chodzi o urząd szeryfa okręgowego. Nie musimy się przeprowadzać. Po prostu będę częściej poza domem. Co ty na to?

— Widzę, że masz na to ochotę, Clint. Niech będzie. Należy ci się. Pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Naprawisz w końcu ławkę w ogrodzie. Od czasu, kiedy tak mocno na nią klapnąłeś, wymaga gruntownego remontu. Albo ją czymś wzmocnisz, albo omijaj ją z daleka. — Zachichotała.

Miała rację. Clinton usiadł na tej ławeczce tylko raz. Okazała się zbyt wątła. Szeryf był potężnym mężczyzną. Ustępował posturą jedynie Rodneyowi — nieżyjącemu bratu. Mierzył pełne sześć stóp i dwa cale i ważył dwieście dwadzieścia funtów z okładem. Dwieście dwadzieścia funtów samych mięśni. Nawet uncji tłuszczu. Mimo swoich pięćdziesięciu jeden lat. Cynthia była z tego dumna, ale ławeczka nie wytrzymała.

Uśmiechnął się do żony.

— Niech będzie, mała. Umowa stoi.

— Bardzo się cieszę. Muszę mieć miejsce, gdzie będę mogła usiąść i wypłakiwać oczy z tęsknoty.

Roześmieli się oboje.

— Pojadę do Morgantown w poniedziałek. — Gerstaecker spoważniał. — Muszę ocenić sytuację. Może wrócę wieczorem, może dopiero we wtorek. Wytrzymasz?

— Jeżeli zreperujesz ławeczkę.

Ich śmiech poniósł się ponad trawnikiem i odbił aksamitnym echem od drzew lasu.

Clinton wyjechał w poniedziałek o świcie. Cynthia wstała wcześniej i przygotowała mu solidne śniadanie. Była ożywiona i podniecona bardziej od niego. Zanim wsiadł do samochodu, zarzuciła mu ręce na szyję, wspięła się na palcach i pocałowała go najmocniej jak potrafiła.

Stała przed gankiem i patrzyła w malejące punkciki świateł dodge'a. Pomachała ręką, ale serce ścisnęło jej się od nagłego lęku. Jak gdyby jechał w nieznane. Jakby groziło mu niebezpieczeństwo. W pewnej chwili poczuła łzę kręcącą się w oku. Otrząsnęła się szybko. Po raz ostatni machnęła ręką i wróciła do domu.

Szeryfowi rzeczywiście zeszło nieco dłużej. Wrócił dopiero we wtorek po południu. Śpieszył się, żeby zdążyć na obiad. Poprzedniego wieczoru zadzwonił do Cynthii i obiecał, że postara się nie spóźnić.

— Jak sprawy? — usłyszał w słuchawce jej głos.

— Zgodziłem się. Będiesz teraz żoną szeryfa okręgu.

— Takiej osobie przygotowuję największy stek, na jaki mnie stać. Do zobaczenia, Clint.

— Do jutra, mała. Nie przepuszczę tego steku. Pogadamy po obiedzie. Śpij dobrze.

Kiedy wjeżdżał na podwórko, była pora obiadu. Zdążył. Niebo zaciągnęły szare chmury, ale na razie nie padało. Jeszcze raz spojrzął w kierunku werandy. Cynthii nie było. Pomyślał, że tym razem nakryła w salonie. Pewnie przygotowała naprawdę wystawny obiad. Uśmiechnął się do swoich myśli. Zatrzasnął drzwi radiowozu, zerknął ponad dachem auta w prawo i... przestał się uśmiechać. Pięć jardów dalej, tuż przy żywopłocie dostrzegł świeże ślady opon. Włosy zjeżyły mu się na głowie. Wszyscy, którzy ich odwiedzali, wiedzieli, że u Gerstaeckerów parkuje się tuż pod domem.

— Cynthia — szepnął. — Cynthia! Rzucił się w kierunku schodów. Przebył je jednym skokiem. Zadygotały deski werandy. Z nakrytego obrusem stołu runęły wysokie szklanki i dzban z cytrynadą. Przez szeroko otwarte drzwi szeryf wpadł do salonu.

— Cynthia! Na miłość boską! Cynthia! — Zabrakło mu tchu. Krzyk zamienił się w szept, a łzy — nieznany gość — pojawiły się w kącikach szarych oczu.

Leżała pod ścianą, w pobliżu drzwi do sypialni. Nienaturalnie zwinięta i

poskręcana. Miała na sobie fartuszek, który uwielbiał. Ten błękitny w złociste słoneczka. Zacisnął szczęki do bólu. Nie dane mu było spojrzeć choćby w jej oczy. Nie miała twarzy. Ten, który strzelał, zamienił jej głowę w szkarłatny kalafior. Cała ściana za nią była obryzgana krwią i fragmentami mózgu. Podłoga wokół zwłok tonęła w brunatnej mazi.

— Cynthia... Małenka... — Obco brzmiący szept. Wyschnięte wargi. Szmer wiatru za oknem. Głuche kroki ciężkich butów na deskach podłogi.

Przyklęknął przy skurczonym kształcie. Delikatnie wsunął ramiona pod jej ciało. Wiedział, że bierze ją na ręce po raz ostatni. Podniósł się bez trudu. Podszedł do kanapy i złożył na niej swoją jedyną miłość. Świat dookoła zapadł się w nicość. Istniała tylko ona. To, co jeszcze dwa dni temu było jego żoną. Nie spuszczać z niej wzroku, sięgnął za siebie i krótkim ruchem zerwał białą serwetę ze stolika. Przykrył szczątki jej głowy i delikatnie splótł jej dłonie na piersiach. Tylko tyle mógł dla niej zrobić. Uklęknął przy łożu śmierci, ale na próżno szukał w pamięci słów modlitwy. Pochylił się, całując zimne, zakrwawione ręce. Drobne palce i pierścionek, który podarował jej w dniu zaręczyn. Nigdy go nie zdejmowała. Złożył czoło na jej dłoniach, szepcząc dziwne, obce własnej naturze słowa, których nie zdążył powiedzieć jej, kiedy żyła. Wreszcie zamilkł, ale nadal trwał w bezruchu. Minęły trzy kwadranse, zanim się podniósł. Położył na chwilę swoją wielką dłoń na jej piersi i wstał. Jego oczy były już suche, a twarz przypominała maskę.

Podszedł do miejsca, w którym zginęła. Przykucnął i gołą dłonią rozgarnął resztki jej głowy, które tworzyły teraz koszmarną mieszankę kości i kawałków ciała. Poruszył palcami, błędząc w krwawych szczątkach. Kiedy cofnął rękę, trzymał na dłoni trzy pociski. Przyjrzał się im i odłożył na bok. Wstał i wyszedł na werandę. Zerknął na stół, na talerze zalane cytrynadą. Musiała przygotować nakrycia wcześniej. Kilka godzin temu. Może dwie, może trzy. Zwłoki były już zimne, choć nie do końca sztywne. Wyjął z kieszeni papierosy i zapalił. Oparł się o poręcz werandy i spoglądał w kierunku odległych śladów opon. Zamierzał je za chwilę obejrzeć, ale najpierw chciał uporządkować myśli.

Palili w skupieniu, a kiedy skończył, podszedł do stołu i zgasił niedopałek w popielniczce, którą zawsze dla niego stawiała. Odwrócił się i spokojnym krokiem zszedł z ganku. Minął radiowóz i zbliżył się do miejsca, gdzie zaparkował morderca. Ślady były wyraźne, ale nie potrafił ich zidentyfikować na poczekaniu. Zauważył inną ciekawą rzecz — sporą plamę oleju silnikowego na trawie. Jeszcze raz przyjrzał się głębokim koleinom.

Kierowca wycofał się po własnych śladach. Zawrócił zapewne na twardym terenie za bramą. Musiał stać przodem w kierunku domu. Potwierdziła to kałuża oleju. Gerstaecker baczniej przyjrzał się murawie. Pomiędzy domem a miejscem, gdzie zaparkował morderca, można było dostrzec ślady butów. Wgłębienia wysokich obcasów i ostre noski podeszwy. Kowbojskie obuwie, solidnie podkute. Pochylił się i spojrzał uważniej. Ślady okrężały koleiny i urywały się po drugiej stronie.

Było was dwóch? Kierowca czekał za kółkiem? Oczy Gerstaeckera zaświeciły zimnym blaskiem. Przekroczył koleiny. Spozstrzegł coś ciekawego. Dwa kroki dalej, pod samym żywoplotem. Przykucnął. Tradycyjna płócienna chusteczka do nosa. Zasmarkana i sztywna. A tuż przy niej — zmięty niebieski papierek. Rozwinął go ostrożnie. Bilet lokalnej sieci autobusowej. Z Montany. Clinton przeczytał nazwę miejscowości i datę na stemplu. Sprzed dwóch dni.

Przyjechaliście tu specjalnie? Spory kawałek. To było takie ważne? Kto wam zapłacił? Chodziło o mnie?

Schował bilet do kieszeni bluzy. Jeszcze raz rozejrzał się dokoła, ale nie zobaczył niczego więcej. Podszedł do radiowozu i połączył się z biurem.

— Gerstaecker. To ty, Mick? Daj mi Barneya.

— Cześć, szefie! — rozległ się po chwili głos zastępcy. — Już wróciłeś?

— Wróciłem. Posłuchaj Barney. Jestem w domu. Przyjedź zaraz. Tylko wezwij najpierw koronera, ambulans i zadzwoń do Morgantown po ekipę dochodzeniową.

— Jezu! Co jest, szefie?

— Ktoś zamordował Cynthię. Zrób, co powiedziałem.

— Chryste! Clinton!

Gerstaecker odwiesił mikrofon. Wrócił na ganek, ponownie oparł się o balustradę i zapalił kolejnego papierosa. Zaciągał się głęboko, patrząc na las, pobliski trawnik i żwirową alejką z małą ławeczką, którą naprawił sumiennie jeszcze przed wyjazdem.

Zanim skończył palić, usłyszał w oddali zbliżające się wycie policyjnej syreny. Podszedł do stołu i zgasił kolejny niedopałek w popielnicy, jak gdyby to była najważniejsza sprawa do zrobienia. W tym momencie na podwórze wpadł z impetem wóz Barneya Simesa, a z oddali dobiegł dźwięk sygnału nadjeżdżającego ambulansu.

Barney przyjechał z kierowcą. Zanim zgasł silnik radiowozu, był już w

połowie drogi na werandę.

— Gdzie to się stało, Clint? — Twarz Barneya była blada niczym płótno.

— Jest w salonie. Sam zobacz. Ja już nie chcę tam wchodzić. Simes wbiegł do środka. Wyszedł po minucie. Po jego policzkach płynęły łzy, wielkie jak groch.

— Boże drogi! Clinton! Co zrobił jej ten skurwysyn?! Szeryf widział, jak blada twarz jego zastępcy czerwienieje gwałtownie. Postąpił krok naprzód i przygarnął Simesa krótkim, mocnym ruchem do piersi.

— Spokojnie, Barney. Jej już nie ma. A ty masz trochę roboty. Opanuj się, stary.

— Jasne, Clint. Jasne. — Simes otarł przedramieniem łzy. — Tylko wiesz...Cynthia...Ona była chodzącą dobrocią. Co za skurwysyn!

— Było dwóch skurwysynów. Mówiłem, uspokój się. Tam są ślady opon ich wozu. Pokażę ci.

W tej chwili pod dom zajechał ambulans. Clinton podał rękę doktorowi Armistedowi.

— Jest wewnątrz, doktorze. Proszę robić swoje.

— Oczywiście. Przyjmij wyrazy współczucia, Clinton.

— Dziękuję. Rozumiesz, Martin, że nie będę w tym uczestniczył.

— Zajmę się wszystkim jak należy. Możesz być pewien.

— Jestem. Chodźmy Barney. Pokażę ci te ślady.

Przeszli parę kroków w stronę żywopłotu. Zatrzymali się przy koleinach.

— Gubił olej. — Szeryf wskazał na ciemną plamę. — Spory rozstaw kół. To robota dla ekipy. Kiedy tutaj dojadą? — Wkrótce. Ale ja wiem, co to za wóz.

— Żartujesz. Jakim cudem?

— To furgonetka starego Troya. Została skradziona rano spod szpitala. Odwiedzał żonę. Kiedy wyszedł, grata nie było. Została tylko plama oleju na parkingu. Upomniałem go. Wóz już się znalazł. Porzucony pół mili za miastem. To stary ford pick-up. Olej nadal z niego cieknie. A skąd wiesz, że bandziorów było dwóch?

Szeryf podzielił się z Barneyem swoimi spostrzeżeniami. Nie wspomniał tylko o bilecie.

— Podkute kowbojskie buty, mówisz... — Simes potarł podbródek. — Co za traf! Widziałem dzisiaj takie. Dwóch gości kupowało burgery w tym samym barze co ja. Obaj nietutejsi. Jeden rudy jak wiewiórka, drugi brunet, lekko szpakowaty, z przyciętym wąsikiem. To on chodził w tych butach.

Zwróciłem na nie uwagę, bo strasznie stukwały. Nosił się jak Meksykanin, ale był biały. Miał jasną cerę. Ten rudy wyglądał przy nim niczym Metys. Wzięli burgery na wynos. Widziałem, jak wsiadali do czerwonego buicka skylarka. Czerwony kabriolet z czarnym podnoszonym dachem z dziewięćdziesiątego siódmego, może ósmego, roku. Pojechali w stronę południowej dzielnicy.

— Czyli w stronę szpitala?

— Jezu! Masz rację. Jasna cholera!

— Który wsiadał za kółko?

— Moment! Chwileczkę... Tak! Ten rudy. Zanim wsiadł, podał burgery temu drugiemu. Boże! Miałem tych skurwysynów na wyciągnięcie ręki!

— Takie rzeczy dość często się zdarzają. Nie tobie jednemu, Barney. Przynajmniej już coś wiemy. Ale to nie moja sprawa. Ja nie poprowadzę śledztwa. Sam rozumiesz.

— Jasne. Rozumiem. To oczywiste. Dzięki za pomoc. Pierwszy krok jest najważniejszy. — Simes otarł spocone czoło.

— Powiedz mi jeszcze, w jakim byli wieku. Tak na oko. — Rudy był młodszy. Mógł mieć około czterdziestki. Ten Meks nieco starszy, ale niewiele. Nie przyjrzałem im się dokładnie.

— Nie szkodzi. Nie sędzę, żebyśmy ich jeszcze spotkali.

Ze względu na okoliczności pogrzeb Cynthii Gerstaecker wyznaczono dopiero na piątek. Zwłoki miał zbadać jeszcze patolog. Ekipa z Morgantown, współpracując z miejscową policją, ustaliła, że ofiara zginęła na skutek pięciu postrzałów w głowę. Pociski pochodziły z pistoletu kaliber 38. Napadu dokonano, posługując się kradzionym wozem, a zbrodnia nie miała podłoża rabunkowego. W kartotekach policji stanowej nie znaleziono nikogo, kto odpowiadałby rysopisowi podanemu przez Simesa. Clinton Gerstaecker dowiedział się oficjalnie wszystkiego, o czym wiedział już pierwszego dnia. Większość czasu dzielącego go od pogrzebu przesiedział samotnie na werandzie. Jego obowiązki przejął chwilowo Barney. W czwartek z samego rana na podwórze wjechał samochód Milтона. Brat przyjechał sam.

— Emilia jest chora, Clinton. Nie mogła przyjechać. — Milton Gerstaecker, szeryf Eltonville, objął brata i mocno uściśnął. Obydwaj wiedzieli, że to nieprawda, ale przecież o to im chodziło. Rozumieli się na odległość. Mieli sporo spraw do obgadania i potrzebna im była intymność. Clinton kiwnął głową.

— Rozumiem. Pozdrów ją ode mnie. Dzięki, że przyjechałeś. Czuję się

paskudnie. Chodź do domu. Zrobię ci coś do jedzenia. Przejechałeś ładny kawałek drogi.

— Zjadłem po drodze, ale chętnie napiję się kawy i czegoś mocniejszego, jeśli nie sprawię kłopotu.

— Coś ty! Od wczoraj nie rozstaję się ze szklaneczką. Chodźmy. Na dworze jeszcze chłodno. Usiądziemy i pogadamy. Jak brat z bratem. Zostaliśmy już tylko my.

— Mam nadzieję, że tak zostanie, prawda, Clinton?

— Jasne, jasne... Pogawędzimy przy kawie. — Szeryf poprowadził młodszego brata do domu. Gorąca kawa stała w maszynie. Clinton podszedł do barku i nalał dwie solidne szklanki szkockiej. Postawił drinki na stoliku, nalał kawy i usiadł naprzeciw brata. Obaj — jak na komendę — wyciągnęli z kieszeni papierosy i zapalili. Zapach błękitnego dymu mieszał się z aromatem kawy. Spojrzeli sobie w oczy ponad stołem.

— Jak to się stało? — Milton łyknął sporą porcję szkockiej.

— Zwyczajnie. Byłem poza domem. Dwa dni przesiedziałem w Morgantown. Mam zostać szeryfem hrabstwa.

— Tata byłby dumny.

— Zapewne. Wróciłem w południe. Tak się umówiliśmy. Miała czekać z obiadem. Nie czekała. Drań rozwalił jej całą głowę. Pięć kul z trzydziestki ósemki. Wiesz, co to znaczy?

— Rzeczywiście, dziwne.

— Ja już wiem. Na początku myślałem, że przyjechali po mnie. Ale tak nie było. Oni przyjechali po nią. Przybyli z daleka, a jednak dobrze wiedzieli, że wyjechałem. Skurwysyny wpakowali jej w głowę pięć kul. Chcieli, żebym bardziej cierpiał. Odebrali mi wszystko, co miałem najlepszego.

— Skąd wiesz, że przybyli z daleka?

— Przez nieuwagę morderców. Któryś z nich zgubił na trawniku chusteczkę i bilet autobusowy.

— Policja to sprawdza?

— Nie. Zatrzymałem ten bilet.

— Skąd pochodzi?

— Z Montany.

— A konkretnie?

— Nieważne.

— Nie chcesz, żebym wiedział? Postanowiłeś załatwić to sam? Wiesz, że mógłbym ci pomóc.

— Naturalnie. Ty i twój wpływowy przyjaciel. Słyszałem, że masz takiego. Podobno to szczególny człowiek i do tego bardzo bogaty.

— O co ci chodzi? — O nic. Wiesz, kto rozpieprzył Rodneya?

— Nie wiem nic więcej niż ty.

— Tak myślałem. — Clinton spojrział w głąb ogrodu. — Mniejsza o szczegóły. Nic z tego, Milton. Nie znam twojego przyjaciela i nie chcę go poznać. To moja osobista sprawa. Ja swoje sprawy załatwiam sam. Rozumiesz?

— Tak. A co z funkcją szeryfa okręgu?

— To także moja sprawa. — Clinton uśmiechnął się melancholijnie. Milton ponownie łyknął whisky. Pokiwał głową.

— A więc tak chcesz to załatwić. Współczuję ci. Zamieniasz się w kamień, bracie.

— To takie dziwne?

— Nie. Ja także nazywam się Gerstaecker. Mamy podobne charaktery. Rozumiem cię, Clinton. Ale obiecaj mi jedno.

— Mianowicie?

— Jeżeli będziesz w opałach... wiesz o czym myślę... zadzwoń do mnie natychmiast. Znasz oba moje numery. Zostawię ci jeszcze jeden. Nie pozwól, żebym został sam. Obiecujesz?

— Jasne. — Clinton kiwnął głową.

— Przestań powtarzać „jasne”. Nigdy nie wiem, co ci chodzi wtedy po głowie. Obiecujesz?

— Obiecuję. Ty także wiele dla mnie znaczysz. Zwłaszcza teraz. Jesteś dobrym bratem. Zawsze byłeś.

— Krew z krwi. Pamiętasz dewizę taty?

— Nigdy o niej nie zapomniałem. Żaden z nas. Także Rodney. Brakuje mi go.

— Ja również często o nim myślę. Gdyby tutaj był, te męty mogłyby już pisać testament.

— Spokojnie. Ja nie dam im nawet takiej szansy.

— Jeżeli ich znajdziesz.

— Znajdę. — Clinton Gerstaecker wychylił szklankę do dna. — Jeszcze po jednym? — Czemu nie? — Milton przyglądał się bratu, napełniającemu szklanki. Miał na języku jedno ważne pytanie, ale powstrzymał się, gdy zauważył, że Clinton omija ten temat. Pytanie było proste: kto stał za tym morderstwem? Nawet on wiedział, że musi być to ktoś tutejszy. Szeryf

takiego sporego miasta siłą rzeczy zazwyczaj popadał w konflikt z kimś wpływowym. Pośród lokalnych elit biznesowych zawsze trafiał się ktoś, kto miał władzę i pieniądze, niekoniecznie uczciwie zarobione. A Clinton — jak każdy z Gerstaeckerów — nie brał łapówek. Do tego był najbardziej bezwzględny z braci. Musiał puścić kogoś z torbami. Może nawet kilku, bo inaczej wiedziałby już teraz. A wyglądało na to, że nie wie. Że odnalezienie morderców jest jedyną drogą, jaką mógł dotrzeć do mocodawcy.

Milton sięgnął po kolejnego drinka.

— Powodzenia, bracie. Cokolwiek zamierzasz, jestem po twojej stronie.

— Dzięki. Nigdy w to nie wątpiłem.

Pogrzeb Cynthii odbył się w piątek. Przed południem na cmentarzu zgromadził się spory tłum mieszkańców Green Doll. Były władze miasta — w komplecie, wszyscy miejscowi notable, przedstawiciel władz hrabstwa oraz szeryfowie kilku sąsiednich miejscowości.

Lesley Cronkid wygłosił krótką, wzruszającą mowę. Po nim parę słów powiedział przedstawiciel opieki społecznej, którą Cynthia wspomagała skromnymi funduszami i społeczną pracą. Dłuższą mowę wygłosił pastor Grier. W ciepłych słowach przypomniał zalety zmarłej — jej dobroć i pogodę ducha oraz serdeczność wobec każdego potrzebującego pomocy. Ogromna większość obecnych znała ją osobiście. Wiedzieli, że w słowach duchownego nie ma grama przesady. A teraz Cynthia nie żyła. Pośród tłumu, w wielu miejscach rozlegał się szloch.

Clinton Gerstaecker, mając za plecami brata, stał na skraju wykopu, do którego opuszczono trumnę. Zgodnie z miejscowym zwyczajem, kiedy zabrzmiała pożegnalna pieśń, pierwszy rzucił na dębowe wieko małą czerwoną różyczkę. Po nim zaczęli podchodzić inni. Przemarsz żałobników trwał długo, a kiedy się zakończył, w dole nie pozostało wiele miejsca na sypanie ziemi. W ten sposób miasto Green Doll żegnało Cynthię Gerstaecker w podzięce za jej dobroć i wielkie serce.

Milton wyjechał wieczorem. Kiedy obejmował brata, zastanawiał się, czy będzie jeszcze kiedyś okazja po temu. Przez krótki moment jego serce ścisnęła nagła trwoga. Odsunął się i jeszcze raz spojrzął na olbrzymią postać Clintona.

— Do zobaczenia, stary. Powodzenia! Pamiętaj o obietnicy. Będę czekał.

— Spokojnie. Odezwę się. Pozdrów swoją Milly. Bywaj! Biorąc łagodny

zakręt, Milton rzucił przez szybę samochodu ostatnie spojrzenie na ciemną, samotną sylwetkę stojącą na werandzie.

Szeryf Gerstaecker wszedł do ratusza w poniedziałek o ósmej rano. Na Lesleya Cronkida natknął się w holu.

— Znajdziesz chwilę, Les?

— Witaj, Clint! Żaden problem. Zapraszam do mnie na kawę. Szeryf rozejrzał się po gabinecie burmistrza, zanim sięgnął po filiżankę. Był tutaj niezliczoną ilość razy i zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze siądzie w tym fotelu.

— Trudna sytuacja, stary. — Cronkid łyknął gorącej kawy. — W Morgantown czekają, a ty pewnie chciałbyś trochę urlopu.

— Niezupełnie, Les. Przyszedłem podziękować ci za wszystko i przeprosić za zawód, jaki muszę ci sprawić. Składam rezygnację. Mam dosyć pracy w policji. Zamierzam wyjechać i zacząć życie od nowa.

Burmistrz odstawił filiżankę, rozlewając część kawy na spodek.

— Nie mówisz poważnie! Jesteś załamany, to naturalne. Potrzebujesz czasu. Nie ma sprawy. Jeśli tamtym się śpieszy, niech zatrudni kogoś innego. Tutaj masz zawsze pracę i tyle urlopu, ile potrzebujesz. Każdy szeryf hrabstwa zatwierdzi twoje *status quo*. Wyjedź, jeśli chcesz, ale odpocznij i wróć. Green Doll to twój dom. O co ci chodzi?

— Już powiedziałem. Nie zmienię decyzji, Les. Zostanę do końca miesiąca. Muszę zrealizować polisę Cynthii i sprzedać naszą nieruchomość. Nie wiem jeszcze, gdzie się osiedlę, ale będę potrzebował gotówki na start. Będę pracował do końca września. Wprowadzę Simesa we wszystkie sprawy. Sporo umie. Myślę, że go zaakceptują. Zwłaszcza jeżeli mnie poprzysz. Będzie dobrym szeryfem.

— Jezu! Nie wiem, co odpowiedzieć. Ty mówisz serio...

— Jak najbardziej. Nie mam zwyczaju kpić z przyjaciół. Nie utrudniaj mi, Les. I bez tego czuję się paskudnie. Moja decyzja jest nieodwołalna. Dokładnie ją przemyślałem.

— Dobrze. — Burmistrz podniósł głowę. — Przyjąłem do wiadomości. Nie będę robił ci kłopotów. Skoro tak postanowiłeś, nie pomoże żaden argument. Zbyt dobrze cię znam. Mam do ciebie żal, a mimo to będzie mi ciebie brakowało. Nie przedłużajmy tej rozmowy. Wybacz, mam spotkanie. — Lesley Cronkid wstał.

Szeryf także podniósł się z fotela.

— Coś ci powiem, burmistrzu. Poczuleś się urażony, ale nie chciałem cię zranić. Nie zapominaj, że oddałem temu miastu więcej, niż zamierzałem. Nie żegnam się. Z pewnością zobaczymy się przed moim wyjazdem. Dziękuję za życzliwość. Nigdy jej nie zapomnę. — Odwrócił się i wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Cronkid opadł na fotel.

— A niech to wszyscy diabli! — ryknął. Walnął pięścią w blat biurka, rozlewając resztę kawy.

Nieco inaczej potoczyły się relacje między szeryfem i jego zastępcą. Przez dwa tygodnie Gerstaecker wprowadzał Simesa we wszystkie sprawy leżące w gestii szeryfa. Nie było z tym większych kłopotów. Trzy dni przed wyjazdem Clintona Barney był gotów do objęcia stanowiska. Następnego dnia miał otrzymać nominację na piśmie.

Gerstaeckerowi nie udało się załatwić wszystkich spraw. Zrealizował polisę, ale na kupno domu nie znalazł się nikt chętny. Musiał się z tym pogodzić. Na szczęście miał trochę własnych oszczędności. Tego dnia, kiedy zakończył przekazywanie obowiązków swojemu zastępcy, zaprosił Barneya do siebie na pożegnalną szklaneczkę.

— O której? — zapytał krótko Simes.

— Przed wieczorem. Pasuje ci szósta?

— Będę.

Za pięć szósta przed werandę szeryfa zajechał radiowóz. Wraz z Barneyem przyjechał Mick Folger. Szeryf uśmiechnął się cierpko na ich widok.

— Chodźcie, chłopaki. Ciebie również witam, Mick.

— On nie może. Dołączy później. — Simes stanął przed werandą. — Wyjeżdżasz swoim rzęchem, Clint?

— Nie mam innego. Służbowy dzisiaj zdałem. Ale mój prywatny dodge nie jest jeszcze w złym stanie.

— Akurat. Kiedy robiłeś mu przegląd? Sto lat temu?

— O co chodzi? Nie bardzo rozumiem.

— Dawaj kluczyki. Mick zabierze go na godzinę do naszego garażu. Chłopcy chcą do niego zajrzeć. Szeryf Green Doll nie ma prawa utknąć gdzieś w drodze w rozkraczonym wozie.

— To dziecinada, Barney. Daj spokój.

— Dawaj kluczyki! Inaczej będziesz pił sam. Gerstaecker roześmiał się

mimo woli. Wyjął z kieszeni klucze.

— Wóz stoi za domem. Łap, Mick! — Rzucił kluczyki Folgerowi.

— Czy teraz napijesz się ze mną, ty uparty mule?

— Z przyjemnością, szefie. Patrzyli przez chwilę za wyjeżdżającym Mickiem, po czym weszli do domu. — Jest dość ciepło. Zabierzemy flachę na werandę. Co ty na to, Barney?

— Chętnie. Lubię balować na dworze.

— Cynthia i ja wykorzystywaliśmy każdą pogodę. Weź dzbanek z kawą i kubki. Ja wyniosę „danie główne”.

Po chwili siedzieli przy stoliku, na którym szeryf postawił oprócz szklaneczek i butelki szklaną popielnicę. Od niedawna musiał robić to sam. Napełnił szklaneczki.

— Za twój awans, Barney!

— Za powodzenie w poszukiwaniach, Clint! Ręka szeryfa zawisała w powietrzu.

— O czym mówisz?

— O niczym. Po prostu życzę ci powodzenia. Mam nadzieję, że osiągniesz swój cel. Mówię z serca i tylko tobie. Tak trudno to załapać?

— Dzięki! Nawet jeżeli się mylisz. Liczą się intencje. Za to warto wypić.

— Stalowe oczy Gerstaeckera spojrzały w twarz zastępcy. Simes nie był w stanie niczego z nich wyczytać. Wypili do dna. Odstawili puste szklanki.

— Już wiem. — Barney uśmiechnął się sztucznie. — Nie powiesz mi niczego. Cały ty. Ale ja nie jestem tutaj po to, żeby cię przesłuchiwać.

— Przestań. Uderzyło ci do głowy?

— Ani trochę. Będziesz musiał się lepiej postarać. Nie ufasz nikomu, prawda?

— Tak. Nie ufam. Boli cię to?

— Trochę. Mniej, niż myślisz. Kiedy w dwa tysiące piątym dałem ciała przy tej cholernej akcji na nielegalną gorzelnię, uszło mi to na sucho. Mogli mnie udupić. Ale ktoś, nie wiem kto, popieprzył wszystkie akta. Był burdel jak cholera. Szeryf zebrał joby. — Simes podstawiał szklaneczkę.

— Może łykniemy za tego sukinsyna, który tak zagmatwał sprawę, że nikt nie mógł się w niczym połapać? — Nie doceniałem cię, Barney. Wypijmy, skoro nalegasz.

— Nalegam. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek wypiję z kimś takim jak ty. Pokręciło cię, ale ja się nie dziwię. Przeciwnie. Gdybym potrafił, zrobiłbym to samo co ty... Niech Bóg kieruje twoimi krokami. Wiem, że nie

bywiesz w kościele, ale myślę, że On cię wspomże. Nie gniewasz się, że tak mówię?

— Jestem wkurzony jak diabli. Tylko kolejka whiskacza może coś na to poradzić.

— To na co czekasz? Polej.

— Właśnie o tym myślałem. Ale zmniejszmy dawki. Niedługo wróci Mick.

— Trochę mu zejdzie. Ale masz rację. Zmniejszmy dawki. Przynajmniej o połowę.

— Też tak myślę.

Dochodziła północ, kiedy na plac wtoczył się dodge Clintona. Zanim wjechał, szeryf podniósł się od stołu. Nie poznał odgłosu własnego auta. Dopiero gdy w świetle pomarańczowych lamp zobaczył szarą maskę samochodu — usiadł. Spojrzał na Barneya. Mick Folger wyłaził właśnie z kabiny.

— Coście zrobili, Barney?

— My? Nic. — Simes miał mocniejszą głowę, niż to się kiedykolwiek wydawało szeryfowi. Patrzył przytomnym, lekko kpiącym wzrokiem.

— Nie poznajesz swojego wozu, Clint? Połóż się. Może ci przejdzie.

— Nie słyszałeś mojego pytania? — Miażdżąca moc stalowych oczu, nawet teraz, w takiej chwili. Simes odsunął szklankę.

— To twój wóz, Clint.

— Wiem. Ale silnik pracuje inaczej. Co zrobiliście? Wiem, że w naszym okręgu używamy dodge'ów, ale mój charger brzmi jak nigdy dotąd.

— Co zrobiliście, Mick? — Simes odwrócił się w stronę Folgera. — Wszystko. — Mick zdjął kapelusz. — Tak jak miało być. Nowe zawieszenie. Lekkie wzmocnienia komory. Wymiana tarcz i piast. Kompletnie smarowanie, wymiana płynów, sprawdzenie szczelności układów...

— Chłodnica i przewody?

— Też. No i ten... silnik. Mieliśmy jeden kłopot. Z tablicą rozdzielczą. George doradził, żeby wstawić oryginalną. Bo coś może się popieprzyć. Stwierdził, że nikt nie będzie „trzepał” szefa na szosie.

— Miał rację. — Simes roześmiał się cicho. — Chciałbym widzieć takiego, który nadeśnie szefowi na odcisk.

Clinton słuchał tej wymiany zdań w milczeniu. Zaczynał kojarzyć.

— Hej! Mick! — zawołał nagle. — Po co wzmacnialiście komorę? Silnik

pracuje inaczej. Słyszę to wyraźnie. Wymieniliście coś?

Mick Folger wzruszył ramionami.

— Tylko to, co było do wymiany. Już mówiłem.

— A silnik?

— Barney! — Folger spojrzał prosząco na Simesa. — Mówiłeś, że trochę sobie chlapniemy. Coś mi się widzi, że zamiast tego mogę oberwać po mordzie.

— Możesz konkretniej? To nie mój silnik, prawda? — Gerstaecker nie dawał za wygraną.

— To silnik dodge'a. Taki, na jakich pracują chłopaki z Highway Patrol. Z tych lepszych. Trochę podrasowany. Rozumiesz.

— Chcesz powiedzieć, że ma przeszło czterysta koni?

— Mniej więcej. Ma twój numer seryjny.

— Cholera! Barney! To pieprzone przestępstwo. Skąd go macie?

— Oficjalnie został przeznaczony do mojego wozu. Pojeżdżę na twoim. Tobie wystarczał.

— Nie dostaje się takiego silnika ot tak, na życzenie.

— Nie.

— I?

— Ktoś się o to postarał. Chyba mnie lubią, Clint. — Jasne. Nie mogłem się doprosić przez ćwierć wieku, a ty dostałeś od ręki. Nie powiesz mi kto. Mam rację?

— Nie powiem. Nieważne. Widzę, że nie rozumiesz, dlaczego nie możesz sprzedać domu. Nie rozumiesz, co znaczy nadzieja, choć sam kierujesz kroki jej śladem.

— Przestań. Gadasz jak poeta. Jesteś szeryfem, Barney!

— Wierzę, że do czasu.

— Wy cholerne sukinsyny! Będzie mi was brakować. Naprawdę. Chodź do nas Mick. Kawał nocy przed nami. Nie będę już o nic pytał.

RESTBURG, MONTANA

Elmer Sunside docisnął pedał gazu. Robiło się mroczno, a on miał przed sobą jeszcze kilkanaście mil drogi. Wiatr przybrał na sile. Zamienił się w wichurę. Niósł z sobą siekące fale deszczu. Gdyby Sunside przewidział taką pogodę, odłożyłby wyjazd do Forsyth na później. Sprawa kontraktu partii bydła nie była pilna. Teraz kłął niczym zwykły pastuch. Nie lubił jeździć w czasie deszczu. Nie w jego wieku. Z ulgą spostrzegł tablice Restburga. Przejechał przez miasto, kierując się na południe. Odetchnął z ulgą, kiedy znalazł się na znajomej, zwirowej drodze. Pięć mil dalej zaczynały się granice jego rancho. Mimo przybierającej na sile nawałnicy, rozluźnił się. Zaczął nawet pogwizdywać jakąś melodię. Jechał przez pustkowie, ale czuł się tutaj jak w domu. Klepnął dłonią kierownicę starego forda pick-upa. Auto miało już swoje lata i praktycznie kwalifikowało się na złom, ale Elmer był do niego przywiązany. Stać go było na najnowszy model, lecz nawet o tym nie myślał. W swoim wozie czuł się wyjątkowo. Jak gdyby ubywało mu lat. Zapominał, że do sześćdziesiątki zostały mu niecałe trzy miesiące. Nadal pogwizdując, dodał gazu. Przed nim zamajaczył pierwszy z dwóch zakrętów. Za nimi czekały trzy mile prostej drogi i szeroki zjazd w prawo, prowadzący do rancho Seven Pines. Nazwał je tak od siedmiu starych sosen, pomiędzy którymi wzniesiono okazały dom, jego prawdziwą dumę. Początkowo sosen było osiem, ale Elmer uznał, że *seven* brzmi lepiej niż *eight*. Kazał wyciąć ósme drzewo. Teraz wszystko było jak należy.

Nadal pogwizdując, wszedł w pierwszy zakręt. Skrzynią lekko zarzuciło. Nie zrobiło to na nim wrażenia. Zawsze zarzucało na tym zakręcie. Uśmiechnął się na myśl, że Tara stawia już pewnie na ogień któreś z tych swoich przepysznych irlandzkich dań „z jednego gara”. Nigdy nie żałował ślubu z Irlandką. Była cudowną dziewczyną, chociaż skończyła właśnie pięćdziesiąt pięć lat. Ich jedyny syn, Aidan, urodził się późno — niedawno obchodził dwudzieste siódme urodziny. Ukończył college i wrócił na farmę. Twierdził, że tutaj czuje się najlepiej, a Elmer słuchał tych słów z prawdziwą przyjemnością.

Drugi zakręt był ostrzejszy. Po wejściu w łuk Sunside dodał gazu, żeby łatwiej wyprowadzić maszynę na prostą. Robił to w tym miejscu z powodzeniem setki razy. Aż do tego dnia.

Jakiś brunatny kształt mignął w świetle reflektorów przed samochodem.

W strugach ulewy Elmer nie zdążył rozpoznać zwierzęcia. Pick-up właśnie wychodził z zakrętu.

Sunside zakręcił w prawo kierownicą, rozpaczliwie wciskając pedał hamulca. Tył wozu zaczął nachodzić w lewo. Przez chwilę Sunside obawiał się, że maszyna pójdzie bokiem i przekoziółkuje. Nacisnął gaz, odwijając kierownicą w lewo. Pick-up zaczął prostować tor. Wtedy to się stało.

Potężne uderzenie prawego koła w twardą przeszkodę. Elmer poleciał do przodu, boleśnie uderzając piersią w kierownicę. Wóz uniósł się i opadł z hukiem. Głowa Elmera trzepnęła w dach kabiny. Na szczęście nie rozstawał się z kapeluszem. W oczach zatańczyły mu gwiazdy. Tylne koło forda walnęło bokiem w przeszkodę. Wóz zarył w miejscu, stając ukosem na poboczu. Silnik zgasł. Słysząc było jedynie dudnienie deszczu o blaszany dach. Sunside jęknął z bólu. Westchnął głęboko, po czym zaklął. Wiedział, co się stało. W tym miejscu — na poboczu — niecałe trzy stopy od krawędzi jezdni spoczywał od dawien dawna płaski granitowy głaz o kanciastych, nieregularnych krawędziach. Miał najwyżej stopę wysokości i dwie szerokości. Nikomu nie przeszkadzał. Aż do tego dnia.

Klnąc siarczyście, Elmer wysiadł z wozu. Pochylił się i wydobył ze schowka potężną latarkę. Ulewa nie słabła, ale na szczęście nie było zimno. Farmer włączył latarkę, obchodząc maskę kabiny. Zatrzymał się przy prawym kole. Zaklął ponownie, ale jednocześnie poczuł ulgę. Kapeć. Dzięki Bogu — kapeć. Pogięta felga. Drobiazg. Zawieszenie wytrzymało.

Wrócił do kabiny. Spod siedzenia wydobył lewar z długą rękojeścią. Przeniósł go na drugą stronę i postawił przy samochodzie. Przeszedł do tyłu i odczepił mocowanie zapasowego koła. Przeturlał je na miejsce. Było w doskonałym stanie. Pomimo bólu głowy i klatki piersiowej Elmer znowu zaczął pogwizdywać. Wiedział, że mogło skończyć się znacznie gorzej. Miał przysłowiowe „szczęście w nieszczęściu”. Czule poklepał solidną maskę forda. Jeszcze raz wrócił do kabiny — po czteroramienny klucz do kół. Położył na trawie włączoną latarkę, poluzował nakrętki na szpilkach i sięgnął po lewar. Musiał położyć się na brzuchu. Wsunął lewar głęboko, podstawiając stalową stopkę pod potężny wahacz pick-upa. Umieścił dźwignię w otworze i zaczął żmudną czynność podnoszenia. Rękojeść była długa, dzięki czemu nie musiał forsować ręki. Zawieszenie podniosło się w górę. Spojrzał na koło. Jeszcze trochę. OK, powinno wystarczyć.

Podniósł się z ziemi. Przykucnął. Odkręcił poluzowane nakrętki i ułożył je w zasięgu ręki. Był pewien, że teraz „ma już z górki”. Powinno pójść

łatwo. Zdjąć kapeć, założyć zapas, dokręcić, opuścić lewar. Czysta formalność.

Dwoma rękami uchwycił uszkodzoną oponę. Pociągnął. Bez rezultatu. Naprężył się i szarpnął. Nic. Coś się zaklinowało. Pewnie któraś ze szpil. Elmer zebrał się w sobie. Jeszcze raz mocno uchwycił koło. Wysunął prawą nogę i obcasem kowbojskiego buta twardo zaparł się w ziemię, po czym znów szarpnął z całych sił. Runął do tyłu, razem z uwolnionym kołem. Jednym ruchem zepchnął z siebie ciężar. W tym momencie noga, którą wsparł się o ziemię, pojechała dwa cale do przodu, uderzając w lewar. Na swoje nieszczęście Sunside nie podstawił go dokładnie — lewar podpierał zaledwie krawędź wahacza. Rozległ się metaliczny zgrzyt, a zaraz potem huk, kiedy pozbawione podpory zawieszenie opadło w dół, wprost na goleń farmera, zatraskując go pomiędzy przewróconym podnośnikiem a stalowym ramieniem wahacza. Nieludzki ryk bólu zagłuszył dudnienie ulewy i zawrozczenie wiatru.

Elmer opadł na wznak. Przez chwilę czuł na twarzy siekące krople deszczu, po czym wszystko odpłynęło, pogrążając go w pełnej bólu czerni.

Bolesne uderzenie w policzek. Jedno, drugie, trzecie... Strugi deszczu zalewające oczy.

— Hej! Jest pan tam? Halo! Żyjesz, do cholery? Rażące światło latarki, bijące prosto w twarz. Zamrugał powiekami.

— Jezu! Wypluł z ust deszczówkę. Blask latarki oddalił się od jego twarzy. Zatańczył w czeluści nadkola i zgasł. Sunside spojrział przytomniej. Ciemna sylwetka mężczyzny pochylała się nad jego głową.

— Noga... — stęknął Elmer. — Nie czuję nogi.

— Tym lepiej. — Niski spokojny głos. — Zdrętwiała. Nie wygląda dobrze. Czy nic poza tym...?

— Nie. Tylko noga. — Elmer potrząsnął głową. — Potrzebuję pomocy. Ma pan podnośnik? Jeśli nie, trzeba zadzwonić.

— Po co? Jeżeli to tylko noga, zawiozę pana do Restburga. To chyba niedaleko? — Dwie mile. Niech pan da podnośnik. Inaczej nie wyciągnę nogi.

— Podnośnik? A niby pod co miałbym go podstawić. Mam podnośnik do osobówki. Da pan radę cofnąć nogę? Będzie szczyptę bolało.

— Nie szkodzi. Jeżeli pan „szczyptę” podważy ten wahacz.

— Twardziel, co? — Usłyszał w mroku cichy śmiech. — Dobra. Niech

się pan przygotowuje.

Mężczyzna stanął z prawej strony Sunside'a i pochylił się w rozkroku. Dwie potężne dłonie ujęły zderzak.

— Gotów? — padło krótkie pytanie.

— Tak. Gotów... — zachrypiał, wspierając się na łokciach.

— Jedziemy. Niech pan policzy do trzech i cofnie całe ciało. Już!

— Jeden, dwa, trzy — szepnął Elmer. Zapał się łokciami i rzucił w tył. Zdrętwiałą nogą targnęła fala takiego bólu, że mimowolnie zawył.

Padając w bezpiecznym miejscu, miał jeszcze w oczach niewiarygodny widok wielkiej ciemnej postaci, unoszącej przód pick-upa na wysokość trzech stóp. Potem obraz odpłynął. Z bólu zakręciło mu się w głowie.

Kiedy ponownie odzyskał przytomność, leżał w niewielkiej izolatce restburskiego szpitala. Przy łóżku siedzieli Tara i Aidan.

— Otworzył oczy — usłyszał szept żony. Zerknął na nogę. Nie była na wyciągu. Odetchnął z ulgą. „Nic poważnego”, pomyślał.

— Jak się macie? — Podniósł rękę. Dopiero teraz dostrzegł przewód kroplówki. — Coś nie tak? — Uśmiechnął się. — Przecież żyję.

— Masz pękniętą kość, tato. — Aidan wstał i pochylił się nad łóżkiem. — Nic poważnego. Rozcięta skóra, trochę krwawiłeś. Na szczęście niezbyt długo. Tak powiedział doktor Rothberg. Zadzwoił do nas, kiedy tylko przywieźli cię na oddział. Chciałem powiedzieć: na izbę przyjęć.

Drzwi do izolatki otwały się z lekkim skrzypieniem. Wszedł młody lekarz. — Halo, Elmer! Ponownie wśród żywych? — Uśmiechnął się szeroko, podając Sunside'owi rękę. — Nie przejmuj się. Nic poważnego. Choć mogło skończyć się kiepsko. Lepiej wybij sobie z głowy nocne włączęgi po naszych pustkowiach. Facet, który cię przywiózł, był nietutejszy. Myślałem, że walnęliście w siebie po ciemku, ale zaprzeczył. Twierdził, że próbowałeś użyć własnej nogi zamiast lewarka przy zmianie koła.

— Wóz jest na farmie, tato — wtrącił Aidan.

— Ludzie szeryfa go odstawili — dodała Tara Sunside. — Cieszę się, że skończyło się tylko na tym, Elmer.

— Gdzie on jest?

— Kto? Szeryf?

— Jaki szeryf?! Pytam o tego gościa!

— Spokojnie, stary. — Rothberg zerknął na resztkę kroplówki i przykręcił zawór. — Miał się zatrzymać w hotelu. Jest tutaj przejazdem. Tak

mówił. Chce odwiedzić starych znajomych.

— Kogo?

— Nie wiem. Nie powiedział. Jego rzecz. Może chodzi o jakąś sprawę sercową. Faceci niechętnie zwierniają się ze swoich uczuć. A ten wygląda na wyjątkowego mruka.

— Długo będę musiał u was zostać?

— Góra dwa dni. Krótka obserwacja. Wiem, że nie możesz żyć bez swoich najbliższych.

— I swoich krów — dodała Tara. Roześmieli się wszyscy. Przez krótką chwilę, chociaż sytuacja nie była wesoła, Elmer Sunside poczuł się najszcześliwszym z ludzi. Popatrzył w oczy swoich bliskich, po czym poddał się słodkiej senności. Zasnął, zanim żona i syn zdążyli opuścić izolatkę.

Kiedy otworzył oczy, dochodziło południe. Spojrzał na nogę w gipsowym kokonie, leżącą na pościeli. Powoli wracała mu świadomość. Czuł lekki szum w głowie. Podejrzewał, że to uboczny skutek środków nasennych. Zazwyczaj budził się o świcie. W sumie był rad, że nie obudził się wcześniej. Najchętniej przespałby resztę pobytu w szpitalu, żeby móc obudzić się w domu. W Seven Pines.

Rothberg odwiedził go po obiedzie.

— Przespałeś obchód, stary. Pielęgniarki bez przeszkód mogły obejrzeć sobie twojego Jasia i zmienić ci pieluchy.

— Jest dobrze? Tak tylko pytam, doktorku. — Sunside zmierzył lekarza badawczym wzrokiem. — Jutro wychodzę. Obiecałeś.

— Nie ma mowy o „wyjściu”. Odwieziemy cię. Minie trochę czasu, zanim sobie pochodzisz.

— Nigdy nie spoważniejesz?

— Muszę się najpierw ożenić. Na razie jest mi wesoło. Potrzebujesz czegoś?

— Tak. Mojego zarządcy. To pilne.

— Mówisz poważnie? Chcesz rozmawiać z Monthym?

— Koniecznie. Zadzwonisz, Morris?

— Dla ciebie wszystko. Poleż sobie spokojnie. Zaraz to załatwię.

Monthy Sverinn wszedł do izolatki kwadrans po drugiej. Był wysokim, postawnym mężczyzną, o ciemnych oczach i jeszcze ciemniejszych włosach. Pomimo swoich czterdziestu ośmiu lat trzymał się krzepko i poruszał

zwinnie, niczym młodzieniec.

— Cześć, kowboju! — Sunside uniósł rękę.

— Witaj, nieznajomy! — Zarządca pochylił się nad łóżkiem. Podali sobie dłonie.

— Siadaj. — Elmer wskazał krzesło. — Musimy pogadać.

— Czemu nie? — Sverinn przysunął krzesło do łóżka. — Nawijaj, szefie. Co cię boli, poza tym kulasem?

— Zaraz powiem. W domu wszystko gra?

— Jak najbardziej. Tara trochę pochlipała, ale doszła już do siebie. Kazała zapytać, co zjesz jutro na obiad? Masz specjalne życzenie? — Coś piezzonego. Od szpitalnego żarcia robi mi się niedobrze. Dzięki Bogu, że nie muszę leżeć tutaj dłużej.

— Miałeś szczęście.

— Nie tylko. Wezwałem cię właśnie w tej sprawie. Wiesz pewnie, że przywiózł mnie tutaj jeden facet. Gdyby nie on, mógłbym marnie skończyć.

— Słyszałem. Jakiś obcy.

— Właśnie. Obcy. Ten gość zatrzymał się podobno w hotelu. Chcę z nim porozmawiać. Zaproś go w moim imieniu na rancho. Jeżeli to dla niego nie kłopot, najlepiej jutro po południu. Może o piątej? Mógłby zostać na kolacji. Chciałbym mu osobiście podziękować.

— Rozumiem. Jak się nazywa?

— Nie wiem. To nieistotne. Nie będziesz miał problemów z rozpoznaniem go.

— A co, jest łysy?

— Nie. Szczerze mówiąc, nie widziałem jego twarzy. Było ciemno. Do tego lało jak z cebra. Ale zapamiętałem jedno: był potężny.

— Potężny? Jak bardzo?

— Masz chyba sześć stóp wzrostu, nie?

— Coś koło tego.

— Wyglądał mi na wyższego od ciebie. Był mocno zbudowany. Naprawdę wielki facet. Niezwykle silny. Nie spotkałem dotąd nikogo takiego.

— A Rusty Dorff? Nie pamiętasz, jak położył tego byczka na czerwcowym rodeo?

— Pamiętam. Nie przypominaj mi. Nie lubię Dorffów.

— Nikt z Seven Pines ich nie lubi. Uważają się za lepszych od nas.

— Nie dziw się. Są bogaci, najbogatsi w okolicy. Ale to nie ma nic do

rzeczy. Znajdź tego faceta i zaproś go. Najgrzeczniej jak potrafisz, OK?

— Jasne. Coś jeszcze? — Nie. Tylko pamiętaj: zależy mi na tym. Idź już. Jestem śpiący. To te cholerne leki.

— Trzymaj się, Elmer. — Sverinn wstał i odstawił krzesło. Wyszedł z pokoju równie cicho, jak wszedł.

W Restburgu był tylko jeden hotel. Niewielkie miasto — Restburg liczył niecałe dziesięć tysięcy mieszkańców — nie wymagało większej bazy hotelowej. Rzesze turystów odwiedzających miejscowość w sezonie obsługiwała spora sieć prywatnych kwater.

Sverinn postawił samochód na parkingu Gold Stone i wszedł do recepcji. Nicole Manner uśmiechnęła się na jego widok. Odwzajemnił uśmiech. Dla nikogo nie było tajemnicą, że Nicole podkochuje się w przystojnym zarządcy z Seven Pines. Monthy nadal był „do wzięcia” i potrafił zawrócić w głowie niejednej panie pragnącej „prawdziwego mężczyzny”.

— Cześć, Nicole. — Dotknął róna kapelusza.

— Jak się masz, Monthy? Co u ciebie?

— Dziękuję, świetnie. — Oparł dłónie na ladzie. — Szukam gościa, który się u was zatrzymał. Możesz mi pomóc?

— Jasne! Ostatnio mamy słaby ruch. Chodzi ci o pana Johnsa?

— Szczerze mówiąc, nie znam jego nazwiska. To taki bardzo duży facet. Szef chciałby się z nim widzieć.

— Tak, pan Clinton Johns. Rzeczywiście, jest „duży”, ale zbyt ponury jak na mój gust. Zamieszkał pod szóstką. Na parterze, drugie drzwi po prawej.

— Jest teraz w pokoju?

— Jest. Niedawno wrócił z miasta.

— Mogłabyś? — Sverinn wskazał na telefon.

— Oczywiście. — Podniosła słuchawkę. — Panie Johns, pan Sverinn do pana. Przyjmie go pan? Dziękuję. — Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się do Sverinna. — Możesz wejść, Monthy. Zapukał do drzwi oznaczonych mosięzną szóstką.

— Otwarte! — dobiegł z pokoju donośny głos. Sverinn przekręcił gałkę i wszedł do środka.

Facet siedział przy stoliku pod oknem, bokiem do telewizora. Był ciemnym blondynem i w istocie prezentował się imponująco. Na widok gościa wstał. Spojrzeli sobie w oczy. Po raz pierwszy w życiu zarządca musiał unieść nieco wzrok. „Stary miał rację”, pomyślał. Podszedł do

gospodarza i wyciągnął rękę.

— Monthy Sverinn — przedstawił się. — Zarządca Elmera Sunside'a z Seven Pines. Pomógł mu pan wczoraj na drodze.

— Ach! Istotnie. — Nieznajomy podał dłoń Monthy'emu. — Jak on się czuje?

— Dobrze, panie...

— Przepraszam. Johns. Clinton Johns.

— Miło mi. Szef ma się dobrze. Jutro opuści szpital. Niegroźne pęknięcie kości, bez powikłań.

— Cieszę się. Pański szef to twardy facet. Znam się na ludziach.

— Nie przeczę. Poleciał mi zaprosić pana na rancho. Jutro po południu. Chciałby podziękować panu osobiście.

— Nie wiem, czy powinienem. Jestem w tych stronach na krótko. Nie zwracajcie sobie mną głowy.

— Cenimy skromność, panie Johns, ale mój szef to wyjątkowy człowiek. Rzetelny i prawy. Zależy mu na spotkaniu z panem. Czy robi to pan dla niego?

— Zgoda. — Prawie niedostrzegalny uśmiech. — Niech będzie. O której mam wpaść?

— Odpowiada panu piąta?

— Owszem. Najwidoczniej czeka mnie kolacja. Zgadłem?

— Nie da się ukryć. — Zarządca się uśmiechnął. — Szybko pan kojarzy.

— Zdarza mi się. Więc do jutra, panie Sverinn. — W szarych oczach zamigotały ciepłe iskierki. — Cieszę się, że pana poznałem. Skoro pański szef jest takim wyjątkowym człowiekiem, pan również musi być nietuzinkowym gościem. Prawdę mówiąc, wygląda pan na takiego.

— Bardzo pan miły. Wzajemnie. Powiem panu, którądy dojechać.

— To zbyteczne. Mijałem wasz wjazd tamtej nocy. Trafie. Jadąc na rancho, Monthy Sverinn rozmyślał o niecodziennym przybyszu. Facet potrafił być miły, ale zarządcy wydawało się, że pod maską uprzejmości drzemie coś więcej. Nie potrafił jednak sprecyzować własnych wrażeń.

Szary dodge skręcił z drogi w szeroki wjazd prowadzący do ranca. Porządnie utwardzony, polny trakt prowadził pomiędzy białymi liniami ogrodzeń. Clinton rzucił okiem w prawo. Na wielkim pastwisku zobaczył stado buhajów rasy beefalo, krzyżówki bydła domowego i bizonów. Byki, osiągające masę trzech i pół tysiąca funtów, pały się spokojnie, nie

zwracając uwagi na przejeżdżający pojazd. Po lewej można było oglądać czerwono-białe herefordy. Stado liczyło zapewne kilka tysięcy sztuk. Zwierzęta pasły się jak okiem sięgnąć, do linii horyzontu. Nieco dalej majaczyły zarysy sosnowego lasu, a gdzieś poza nimi — sinofioletowe kontury gór.

„Elmer Sunside nie zalicza się do ubogich farmerów”, pomyślał Clinton. Spojrzał przed siebie. W oddali zobaczył kilka wielkich drzew. Pomiedzy nimi wznosił się dwukondygnacyjny budynek. Nieco dalej dostrzegł liczne zabudowania gospodarcze. Tworzyły rozległą grupę, poprzetykaną kępami rozłożystej zieleni.

Zatrzymał wóz przed werandą. Wysiadł, mrużąc oczy. Żłociste promienie słońca nie straciły jeszcze swojej mocy. U podnóża schodów stały dwie osoby. Niewysoka, zadbana kobieta i młody mężczyzna. Syn, ocenił Clinton. Podobieństwo było uderzające. Poszedł do oczekujących.

— Dzień dobry. Nazywam się Johns.

— Witam pana. — Kobieta wyciągnęła rękę. — Jestem Tara Sunside. To nasz syn, Aidan. Czekamy na pana. — Dziękuję. Nie jestem nikim ważnym. — Uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Nie dla nas, panie Johns — odezwał się Aidan Sunside. — Dzięki panu ojciec żyje.

— Przesada. Nie mówmy o tym. Gdzie jest nasz poszkodowany? Słyszałem, że ma się dobrze.

— Czeka na pana w salonie. — Tara Sunside skrzywiła się niemiłosiernie. — Grymasi i zrzędzi od rana. Dostał wygodny wózek, ale już ma go dosyć. Chciałby sobie pobiegać. Typowy mężczyzna. Proszę, zaprowadzę pana.

Weszli na werandę, kierując się do drzwi. Trzydzieści jardów dalej, pod ścianą warsztatu, Monthy Sverinn przerwał rozmowę, którą toczył z Joe Beaverem, mechanikiem indiańskiego pochodzenia. W milczeniu przyglądali się przybyszowi.

Kiedy gość zniknął w drzwiach, Joe spojrzał na zarządcę.

— Miałeś rację, szefie. Jest niezwykle. Wielki i bardzo zwinny. Widziałeś jak się porusza? Ten człowiek jest niczym grizzly. Słowo daję, on nie pasuje do białych. Powinien urodzić się czerwonym wojownikiem.

— Najlepiej w twoim plemienu. Miałbyś kumpla.

— Ja nie żartuję. Jest bardzo silny.

— Silniejszy od Rusty’ego Dorffa?

— Nie to miałem na myśli. Ten człowiek posiada inną siłę. Nie zrozumiesz, szefie. Wy, biali, tego nie rozumiecie. On jest jak niedźwiedź. Nie chciałbym mu wejść w drogę. Czuję to nawet na odległość. Czuję i wiem.

— A wiesz, co się stanie, jeśli do wieczora nie naprawisz sieczkarni?

— Tak. Będzie po mnie.

— No, widzisz. Bierz się do roboty.

Elmer Sunside drgnął mimowolnie na widok gościa. Niecierpliwiał się przez cały ranek. Ze zdarzeń feralnego wieczora pamiętał niewiele. Fragmenty i poszczególne obrazy. Dramat deszczowej nocy, zwierzę przed maską wozu, zgrzyt odkręcanych nakrętek, ciemną, zwalistą postać, cichy śmiech niosący ulgę, dłonie zaciskające się na krawędzi zderzaka. Dopiero teraz mógł przyjrzeć się swojemu wybawcy.

Wysoki blondyn. Rozrośnięty w barach niczym wiekowy dąb. Szare oczy i jakiś, dziwnie niewyraźny, uśmiech. Głos, który zapamiętał — niski i spokojny.

— Jak się pan miewa? Czy jest już „szczyptę” lepiej?

Pomimo całego napięcia, Elmer Sunside parsknął śmiechem. Tara i Aidan spojrzeli na siebie zdziwieni. Nie mieli pojęcia, skąd ten nagły przypyływ wesołości.

— Czuję się dużo lepiej, panie Johns. — Farmer uścisnął dłoń gościa. — Wygląda na to, że zawdzięczam to panu.

— Drobiazg. Nie zrobiłem niczego nadzwyczajnego. Ktoś inny pomógłby panu tak czy inaczej.

— Jasne. Ale trafiło na pana. Mam nadzieję, że zje pan z nami kolację.

— Po to tu przyjechałem. Nie jestem tak bezinteresowny, jak to się panu wydaje. Podobno pani Sunside świetnie gotuje.

— Kto panu naopowiadał bajek? — Tara Sunside lekko się zarumieniła.

— Wasz zarządca, pan Sverinn. Chyba mówił prawdę. Nieźle wyrósł na pani kuchni.

— Pan także musiał mieć niezłą kucharkę.

— Miałem, proszę pani. Miałem.

Uwadze Sunside'a nie umknął cień, który przemknął przez twarz gościa.

— Zjemy w rodzinnym gronie, panie Johns. Nasza trójka, pan i Monthy. Traktujemy go jak członka rodziny. Co pan na to?

— Będzie mi miło. To sympatyczny człowiek. Przynajmniej na pierwszy

rzut oka.

— Jest taki. Ma mnóstwo zalet, z których nie zdaje sobie sprawy. Podobnie jak pan. W jakim jest pan wieku? — Niebawem skończę pięćdziesiąt jeden.

— Nie wygląda pan na tyle. Możemy mówić sobie po imieniu?

— Czemu nie? Dobry pomysł.

Kolacja pojawiła się na stole, nim upłynął kwadrans. W międzyczasie nadszedł Sverinn.

— Dacie mi coś na wynos? — zapytał, stojąc w drzwiach. — Mam masę roboty.

— Akurat! — Sunside skinął ręką. — Siadaj z nami. Podczas posiłku gawędzono o błahostkach. Aidan i Monthy obrzucali się docinkami. Było to ich ulubione zajęcie. Siedzieli przy stole, dopóki Sverinn nie zerknął na zegarek.

— Robi się późno. Muszę jeszcze sprawdzić to i owo. Dziękuję, Taro. Miło było cię spotkać, Clint.

— Aidan! — farmer zwrócił się do syna. — Pomóż Monthy’emu. Rzeczywiście zrobiło się późno.

— Ja również dziękuję. — Clinton podniósł się z krzesła.

— Nie tak prędko, Clint. Mam z tobą do pogadania. — Farmer spojrzął na żonę. — Niech ktoś przyniesie dzbanek kawy do gabinetu, kochanie.

— Oczywiście. — Kobieta skinęła głową.

— Poprowadzisz mój pojazd? Wskażę ci drogę. — Sunside uśmiechnął się do gościa.

— Jasne. Chyba nie jesteś zbyt ciężki?

— Jestem w sam raz, stary. W sam raz.

— Palisz? — Farmer dolał odrobinę mleka do kawy.

— Owszem.

— To jesteś we właściwym miejscu. W moim gabinecie można palić do woli. Na biurku stoi popielniczka. Postaw ją tutaj, z łaski swojej. Ja palę najchętniej cygara, a ty?

— Papierosy. Chcesz rozmawiać o paleniu? — Chcę rozmawiać o tobie.

— Nie rozumiem. Po co?

— Jeszcze nie wiem. Może ty mi powiesz. Możesz mi zaufać. Mam wrażenie, że wcale nie jesteś tutaj przejazdem. Zgadłem?

— Możliwe. To bez znaczenia.

— Przeciwnie. Jeżeli masz tu coś do załatwienia, chętnie ci pomogę. Pomyślałem o tym, bo gdybyś wpadł do rodziny, nie siedziałbyś w hotelu. Może szukasz pracy?

— A co, masz wolny etat?

— Bez problemu. Powiesz mi, co cię sprowadza? Zapadła krępująca cisza. Wreszcie Clinton wyciągnął papierosy i zapalił. Ponad błękitnym dymem Elmer Sunside dostrzegł parę świdrujących oczu. W tym momencie zrozumiał, że jego rozmówca nie jest takim wesołym facetem, na jakiego wyglądał przy kolacji. Miał jakiś problem, lecz najwyraźniej nie chciał o tym mówić. Elmer przełknął ślinę.

— Jesteś zbiegiem? Ścigają cię? — zapytał ostrożnie.

— To aż tak widoczne? — w głosie Clintona zabrzmiała nuta zmęczenia. — Masz rację, w pewnym sensie jestem zbiegiem. Uciekam przed złymi wspomnieniami. Rzeczywiście rozważyłem możliwość osiedlenia się tutaj. Nie mam pracy i twoja oferta wydaje się atrakcyjna. Nie wiem tylko, do czego mógłbym się przydać na rancho.

Elmer poczuł przypływ satysfakcji. Cieszył się, że może pomóc człowiekowi, który na to zasługuje.

— Czym zajmowałeś się do tej pory? — zapytał. — Gdzie pracowałeś?

— W firmie zajmującej się oczyszczaniem miasta. Kierowałem grupą...

— Kierowałeś zespołem? Całkiem niezłe doświadczenie. Znajdziemy coś odpowiedniego. Jutro wymeldujesz się z hotelu. Zamieszkas na rancho. Jeżeli odpowiada ci moja propozycja. — Jest w porządku. Mówiąc szczerze, uczę się szybko. Sądzę, że z czasem zarobię na swoje utrzymanie.

— Jestem tego pewien. Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę. Myślę, że niedługo polubisz Seven Pines. Zatrudniam dobrych ludzi. W większości solidnych i uczciwych. Może poza „bandą z corralu”. To grupa kowbojów zajmujących się końmi. Sami się tak nazwali. Są wśród nich świetni ujeżdźacze. Mam spore stado półdzikich mieszańców. Prawdziwe mustangi. Pracują przy nich Indianie i Metysi. I kilku miejscowych twardzieli. Nieokrzesana hałastra, ale w swoim fachu nie mają sobie równych. Reszta jest naprawdę w porządku. Wkrótce ich poznasz. Na pewno cię zaakceptują.

— Mam taką nadzieję.

— Spokojnie. Ze wszystkimi problemami zwracaj się do Monthly'ego. Będzie twoim bezpośrednim przełożonym. Wydam mu polecenia. Zacznie po obiedzie. Mamy ładną stołówkę i dobre jedzenie. Pracownicy, którzy nie

mają rodzin, zajmują pokoje w sąsiednim baraku. Każdy ma niewielki, ale wygodny segment. Dalej wybudowałem małe osiedle domków. Dla rodzin. Część ludzi dojeżdża z miasta. Szybko zorientujesz się w sytuacji. Jeździsz konno?

— Nie najlepiej. Siedziałem w siodle kilka razy w życiu. Dawno temu.

— Trudno. Nauczysz się. Każdy pracownik w Seven Pines musi jeździć konno. Będziesz ćwiczył codziennie. Mistrzem nie zostaniesz, jak sądzę, ale to nie jest konieczne. Po przyjeździe zgłosisz się do Monthy'ego. On wyznaczy ci pokój, zaopatrzy w niezbędne rzeczy i wprowadzi w obowiązki. OK?

— Nie ma sprawy. Przyjadę po śniadaniu.

— Znakomicie. Powodzenia, Clint.

— Obiady o pierwszej i o drugiej po południu. W zależności od zmiany. Śniadania o piątej rano. Kolacja we własnym zakresie. Wieczorami bywa sporo roboty. Pokój ci odpowiada? — Sverinn klepnął Clintona po plecach.

— Bardzo przyzwoity. Dzięki za ciuchy. Bałem się, że możecie mieć kłopot z rozmiarem.

— Nie pochlebiaj sobie. Pracują u nas różni ludzie. Jest nawet kilku wyższych od ciebie, choć może nie tak rozrośniętych. A teraz posłuchaj. Każdego wieczoru będziesz robił ze mną obchód rancha. Konno. Szef położył na to nacisk. Wybierzemy ci silną, ale łagodną klacz. Na początek dostaniesz meksykańskie siodło. Łatwiej się na nim utrzymasz. Sądzę, że niebawem nie będzie ci potrzebne. Dostaniesz broń. Potrafisz się nią posługiwać?

— Potrafię. Często ćwiczyłem na strzelnicy.

— Na strzelnicy? No, no... Daruj, ale będę chciał sprawdzić twoją celność. Chodźmy. Wybierzesz sobie karabin i rewolwer.

— Wiesz, Monthy? Od godziny nawijasz o szczegółach, a ja nie mam pojęcia, co będę robił.

Sverinn przystanął. Sięgnął po papierosy, zapalił i potarł dłonią podbródek.

— Sądziłem, że stary ci powiedział.

— Powiedział, że podlegam tobie i że to ty pouczysz mnie o moich obowiązkach. Miał z tobą porozmawiać.

— Rozmawiał. OK, powiem krótko. Będziesz pracował przy koniach. Przejmiesz obowiązki przełożonego kowbojów. Szef nie jest zadowolony z

Dugga Shepada. To bardzo dobry pracownik, ale za bardzo rozpuścił to bractwo. Elmer liczy, że ty dasz sobie radę z tymi...

— Z „bandą z corralu”?

— O! Coś jednak wiesz. Właśnie, z „bandą z corralu”.

— A ty sobie nie poradziłeś?

— Mój drogi, nie mam czasu na takie pierdoły. Haruję od świtu do zmroku. Muszę mieć kilku ludzi, na których mogę liczyć. To takie dziwne?

— Przeciwnie. Bardzo logiczne. Postaram się spełnić twoje oczekiwania.

— Liczę na to. Stary powiedział, że kierowałeś ludźmi. To bardzo dobrze. Masz doświadczenie. Acha, przy okazji: staramy się rozwiązywać problemy bez zbędnej przemocy.

— To rozsądne. Czemu mi o tym mówisz? Wyglądam na niezrównoważonego?

— Przeciwnie. Ale już pierwszego dnia zrobiłeś na niektórych wrażenie kogoś niebezpiecznego.

— To dla mnie nowość. Może to dlatego, że jestem taki misiowaty.

— Ja pierdołę! Niezłe! Misiowaty! Dziewczyna tak do ciebie mówiła?

— Nie mam dziewczyny, stary. I nigdy nie miałem. Wydasz mi tę broń?

— Jasne. Po obiedzie pojedziemy do corralu. Poznasz swoich ludzi i Duggana Shepada. Fajny gość, tylko trochę opryskliwy.

— Super. Nie mogę się doczekać.

Clinton poznał „swoich ludzi” wcześniej, niż to zaplanował zarządca. Kilka minut po pierwszej wszedł do stołówki. Przy trzech długich stołach, na drewnianych ławach siedziało już kilkunastu mężczyzn. Raczyli się pieczeni i ziemniakami, rozstawionymi na stole w białych salaterkach. Pochłonięci jedzeniem i rozmową, nie zwrócili uwagi na jego wejście. Podszedł do stolika z talerzami i sztućcami, wziął zastawę i zajął miejsce na skraju pierwszego stołu. Nałożył sobie na talerz porcję pieczeni. Dopiero teraz kilka głów zwróciło się w jego kierunku. Gwar rozmów nieco przycichł.

— Nowy? — siedzący najbliżej kowboj zapytał bez większego zainteresowania.

Clinton skinął głową.

— Clinton Johns — przedstawił się. — Zaczynam od dzisiaj. — Aha. — Młody kowboj obrzucił go życzliwym spojrzeniem.

— Ja jestem Jull Sparks. Możesz mówić do mnie Sparky. Jak wszyscy. Będziesz robił przy bydle?

— Nie. Przy koniach.

— O! Dali cię do corralu? Pewnie będziesz pomagać Duggowi. Jesteś piątym białym w tej bandzie. Rozmawiałeś z Duggiem?

— Jeszcze go nie widziałem. Rozmawiałem z zarządcą. Mam zacząć po obiedzie.

— No to jedz. Do wieczora zgłodniejesz. — Kowboj odwrócił głowę i pochylił się nad talerzem. Pozostali również powrócili do jedzenia i własnych pogawędek.

Clinton nakładał sobie właśnie kolejny płat pieczeni, kiedy do stołówki wszedł wysoki facet w czarnym kapeluszu, spod którego aż na kark spływały długie ciemne włosy. Towarzyszyło mu pięciu indiańskich kowbojów. Podkute buty zastukały po drewnianej podłodze.

— Twój koledzy — Sparks mruknął znad talerza. — Ten wysoki to Dugg.

Clinton obrzucił przybyłych ciekawym spojrzeniem. Kościste, niewysokie postacie, kroczące na pałakowatych nogach tuż za tyczkowatym facetem. Zupełnie jak w filmach.

Zajęli wolne miejsca po przeciwnej stronie stołu. Zaleciało końskim potem i odorem tanich papierosów. Patrzył, jak nakładają na swoje talerze ogromne ilości pieczeni. Uśmiechnął się mimo woli. Wyglądali na takich, którzy przymierają głodem. Pochylił się nad talerzem. Nie zwrócili na niego uwagi. Jeden z Indian odezwał się do Sheparda, kalecząc angielski:

— Po co ta zbiórka poza obiad, Dugg?

— A bo ja wiem? — Shepard odłożył kapelusz na ławę. — Monthly chce z nami gadać. Tyle mi powiedział.

— Może chodzi o ta pieprzona bójka w zeszłym tygodniu. Wytłumacz mu, że ci frajerzy od Dorffa nas się doczepili. Nie mogliśmy się wycofać. Byliśmy na oczach wszystkich. Powiesz mu? Co, Dugg? — Jasne. Spokojnie, Bill. Pierdolić Dorffa i jego bandę. Kupa wsiowych chamów.

— Masz rację. Głupie glutę. Dałem im popalić. I Swann też im nawytykał.

— Nawytykał, Bill. Ty do śmierci nie nauczysz się mówić jak człowiek.

— Jak biały człowiek, Dugg. Po swojemu potrafię.

— Wiem. Japa ci się nie zamyka. Co za burak powiedział, że jesteście małomówni?

— Pan Sunside.

— Jasne. Przy nim zgrywacie się na owieczki. Powinien was bliżej

poznać.

— Lepiej nie, Dugg. Tak jest dobrze. Ty mówisz, my słuchamy.

— Akurat. Przestań pieprzyć. Nie rozmawiasz z Monthym. Aw ogóle daj mi spokojnie zjeść. Nie jesteś głodny?

— Twoja racja, Dugg. Ja zawsze głodny.

— No to wpierdalaj i wynośmy się do roboty. Kto ujeżdża tego pieprzonego ogiera?

— Tim. Jest lepszy od konia. To człowiek Crow. Oni są najlepsi. Są jak Dakota. Wiesz?

— Jasne. Wiem. Przy stole zapadło milczenie. Słysząc było jedynie pobrzękiwanie sztućców i mlaskanie jedzących. Clinton przełknął ostatni kęs pieczeni. Wstał i zaniósł talerz na drewnianą ladę, na której spoczywało już kilka odniesionych naczyń. Założył kapelusz i wyszedł na dwór. Uśmiechnął się pod nosem. Ani Duggan Shepard, ani jego ludzie nie zrobili na nim większego wrażenia. Byli twardzi i prości, a to rokowało całkiem nieźle. Czuł, że poradzi sobie z nimi bez większego problemu.

— Spójrz na tę zbieraninę. — Sverinn trącił łokciem Clintona, wskazując na grupę kowbojów zgromadzoną przy bramie ogrodzenia.

— To twoi podopieczni. Ten wysoki... — Wiem. Dugg Shepard. Widziałem go w stołówce.

— O! Rozmawialiście?

— Nie było okazji. Minęli otwartą bramę i skierowali się w stronę gromadki czekającej przy ogrodzeniu. Clinton naliczył dwudziestu pastuchów, oprócz Sheparda. Pomędzy nimi było zaledwie trzech białych i paru Metysów. Resztę stanowili Indianie.

— Cześć, Monthy! — Duggan Shepard podszedł, przydeptyjąc po drodze papierosa. — Co się dzieje?

— Chciałem ci przedstawić nowego kolegę. Tobie i innym. To Clinton Johns. — Sverinn wskazał na Clintona.

— I o to tyle rabanu? Cześć koleżko. — Shepard podał dłoń Gerstaeckerowi. — Gdzie twój koń? Hej, Monthy! Nie daliście mu konia?

— Powoli, Dugg. Słabo jeździ. Nauczę go przez tydzień. Masz moje słowo.

— Jaja sobie robisz? Dajesz mi pastucha, który nie potrafi jeździć konno? Co jest grane? Do tego jeszcze to całe zebranie.

— Zebranie jest na miejscu. Po to, żeby każdy pieprzony pastuch poznał

nowego szefa. Nie wyłączając ciebie, Dugg.

— Co powiedziałeś? Szefa? A co ze mną? Zamiotłeś mnie do narożnika? To twój kumpel? Elmer wie, co robisz?

Monthy Sverinn postąpił krok do przodu. Stał się pierś w pierś z Shepardem.

— Zdajesz sobie sprawę z tego, co wyrabiasz? Gadasz do mnie w ten sposób przy ludziach? Odbiło ci, stary mule?

— Chciałem się tylko dogadać. Nie mogę zrozumieć...

— Czego? Decyzji Elmera?

— Dokładnie. Nie wiem, jaki to ma sens. Ale skoro tak ma być...

— Zaczynasz łąpać. Nie martw się, szef pozostawi ci twoje pobory. Jeżeli nie będziesz mącił...

Zarządca obrócił się do Clintona. — Zostawiam cię, Clint. Porozmawiaj z nimi na dobry początek. Pamiętaj, o czym ci mówiłem. Żadnej niepotrzebnej siły. I pamiętaj — przybliżył wargi do ucha Clintona — że musiałem to powiedzieć. Takie mam obowiązki. Rozumiesz?

— Doskonale. Mógłbyś kazać przyprowadzić tego cholernego konia? Poćwiczę przed wieczorną przejażdżką.

— Myślałem, że nigdy o to nie poprosisz. — Sverinn klepnął Clintona po ramieniu. — Będziesz go miał za kwadrans. Przyprowadzi go mój człowiek. Zostanie z tobą jakiś czas. To zaufany przyjaciel. Na pewno go polubisz.

— Już go lubię. Dzięki.

Gerstaecker patrzył przez dłuższą chwilę za odchodzącym zarządcą. Wreszcie otrząsnął się z zamyślenia i odwrócił w stronę ludzi. Przyglądali mu się. Spojrzał w ciemne oczy Indian i Metysów. Zachowali pełen oczekiwania spokój. Trzej biali skupili się wokół Dugga Sheparda. Palili papierosy i szeptali między sobą, rzucając w jego stronę krótkie, nieprzychylnie spojrzenia. Uśmiechnął się pod nosem.

Podszedł do grupy Indian. Niewysoki, chudy poganiacz zadarł głowę. Spojrzeli sobie w oczy. Clinton wyciągnął rękę.

— Jak się nazywasz, chłopcze?

— Phil Sandusky.

— Miło cię poznać, Phill. A ty? — Clinton zwrócił się do kolejnego w rzędzie.

— Roy Landlord. — Rosły Metys uścisnął wyciągniętą rękę.

— Witaj, Roy. Miło mi.

Szedł powoli, witając się z każdym kowbojem. Zakończył prezentację

przy ostatnim Indianinie. Spojrzał na białych i uśmiechnął się nieznacznie. Zbliżył się do szepczącej grupki. Wyciągnął rękę do wysokiego blondyna, stojącego obok Shepada.

— Jak się nazywasz, przyjacielu?

— Gibbon. — Blondyn nie podał Gerstaeckerowi ręki. — Rozumiem. — Clinton kiwnął głową. Nie zamierzał dopuścić do konfrontacji. — To wszystko. Wracajcie do pracy. Duggan! Czy oni mają co robić? — Nawet nie spojrzał na pozostałych białych.

Shepard postąpił dwa kroki naprzód. W gromadce zapadła cisza.

— Wszyscy znają swoje obowiązki. To dobrzy ludzie, szefie. Na słowo „szefie” położył ironiczny nacisk. Stanęli twarzą w twarz. Clinton spojrzał w oczy Shepada.

— Nie musisz tak do mnie mówić, Dugg. Nie prosiłem o posadę. Pohamuj język. Tak będzie lepiej dla wszystkich. Postaram się również poznać swoje obowiązki. Nie próbuj mi utrudniać. Zrozumiałeś? Nie warto.

Trzej biali spojrzeli po sobie i jak na komendę zrobili krok naprzód. Clinton zerknął na nich ponad ramieniem Dugga. Nie odezwał się nawet słowem. Zapadło pełne napięcia milczenie. Shepard powstrzymał ludzi nieznacznym ruchem ręki.

— Dugg? — zapytał rosy blondyn.

— Dugg nie ma tu nic do gadania. — Clinton sięgnął po papierosy. — Słyszeliście, co powiedziałem. Do roboty!

— Idźcie — mruknął Shepard. Ruszyli się z miejsca.

— Ty zostaniesz. — Clinton spojrzał na blondyna. — Mam dla ciebie robotę.

— Dugg? — ponownie zapytał kowboj. Clinton roześmiał się głośno.

— Ależ ty jesteś durny! Nic do ciebie nie dotarło? Nie szkodzi. Zaraz sobie pogadamy.

Popatrzył w ślad za ludźmi idącymi do koni. Kiedy ucichł tętent kopyt, zwrócił się do Shepada.

— Posłuchaj, koleżko. Kiedy tutaj wchodziłem, zauważyłem, że okucia bramy bierze rdza. Macie tutaj magazyn narzędzi i materiałów?

— Aha. — Duggan uśmiechnął się ironicznie.

— Dobrze. Niech Gibbon pobierze farbę, pędzel i stalową szczotkę. Oczyszczy rdzę i pomaluje. Zameldujesz mi, kiedy skończy. — Jasne. — Shepard wyszczerzył zęby. Zniżył głos. — Zamierzasz mnie upokorzyć?

— Nie. Wydałem ci polecenie. To wszystko. Weźmiesz się do roboty?

— Posłuchaj, dupku. Jestem prostym człowiekiem. Szanuję moich ludzi, choć widzę, że nie wszystkim się to podoba. Staram się panować nad nerwami, ale to stało się zbyt nagle, a ty chyba sobie trochę pogrywasz. Spuść trochę z tonu i jakoś się dogadamy. Pamiętaj: bójki na rancho są zabronione. Ale nic nikomu do tego, co robimy w mieście. Nie będziesz chyba cały czas siedział w robocie.

— Przeciwnie. Zamierzam możliwie często wpadać do miasta. Jest miłe.

— To odpuść sobie, dobrze ci radzę. Rozumiesz?

— Rozumiem. Mam nadzieję, że ty również zmienisz zdanie.

— Zobaczę. Na razie niczego nie obiecuję.

— Shepard. Są tylko dwa wyjścia z tej sytuacji. Albo uznasz decyzję Elmera, albo będziesz starał się odebrać mi autorytet. Nie pozwolę na to.

— To ty masz autorytet?

— Nie zmuszaj mnie, żebym cię o tym przekonał. Ironiczny uśmiech przemknął po twarzy Duggana.

— Słyszałeś, Simmy? Zrób, co powiedział szef. Jadę do ludzi. Kowboj niechętnie ruszył w stronę zabudowań, a Shepard wskoczył na konia i pogalopował w kierunku stada pasącego się na horyzoncie. Nie zaszczycił Clintona nawet spojrzeniem.

Gerstaecker i Sverinn jechali noga za nogą wzdłuż północnego ogrodzenia corralu. Prowadzili luźną rozmowę.

— Jeździsz lepiej, niż myślałem, Clint. Kowboj z ciebie żaden, ale na początek zupełnie nieźle. Jak minął dzień?

— W porządku. — Słyszałem co innego. Nie obraź się, stary, ale dałeś ciała. Na całego. Straciłeś autorytet już na wstępie.

— Liczyłeś na coś innego, prawda?

— Mówiąc szczerze, tak.

— Tamten laszek na wzgórzu należy jeszcze do Seven Pines?

— Co? Ach, ten pagórek? Tak, należy. Nie chcesz rozmawiać o tamtym?

— Wiesz, Monthy, myślę, że niepotrzebnie się przejmujesz. Na wszystko przyjdzie czas. Ten Shepard wygląda mi na gościa z charakterem. O co właściwie chodzi z tym rozluźnieniem dyscypliny?

— Za dużo piją. Dugg pozwala im pić. Mieliśmy kilka wypadków, w tym dwa śmiertelne.

— Teraz rozumiem. Na co Elmerowi te konie? I po co tylu pastuchów?

— Hodujemy najlepsze konie do pokazów rodeo! Wiesz, o czym mówię?

— Wiem.

— Potrzebna jest ochrona przed dzikimi zwierzętami. Ktoś musi także ujeżdżać, pilnować stanu ogrodzenia i tak dalej.

— Wspomniałeś o dzikiej zwierzynie.

— Widzisz te lasy na zachodzie? Część należy do Cyrusa Dorffa, brata naszego szeryfa. Cyrus jest najgrubszą rybą w okolicy. Prowadzi produkcję drzewną. Południowa połać lasu jest dzika. Czasami odwiedzają nas nieproszeni goście. Widziałeś grizzly?

— W parku narodowym.

— Nasz stan to największe skupisko tego gatunku. Przebywają głównie w górach, ale zdarzają się także tutaj.

— OK, rozumiem. Spokojna głowa, Monthy. Ogarzę problem szybciej, niż myślisz. A tak przy okazji, ilu masz informatorów w grupie?

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Bardzo szybko dowiadujesz się o wszystkim. Mam rację? — Dwóch w każdym sektorze. To zrozumiałe, nie dziw się. Taką mam pracę.

— Jasne. To rozsądne. Wiesz, czemu nie dołożyłem Shepardowi? Żeby zachować morale. Taka konfrontacja niczemu nie służy. Poza tym bójki na rancho są zakazane. Ale załatwię sprawę jeszcze dzisiaj.

— Co kombinujesz?

— Zobaczysz.

— Kiedy?

— Później. Dotarli do pierwszych drzew. Zeskoczyli z koni. Clinton stęknął i zaczął rozcierać wewnętrzne strony ud.

— Boli? — wyszczerzył się Sverinn.

— A jak myślisz? — Gerstaecker usiadł na trawie i wyciągnął papierosa. Spojrzał na zarządcę.

— Pozwolisz, że chwilę odpocznę?

— Niech będzie. Krótki popas. Na papierosa. Mogłeś powiedzieć wcześniej.

— Nie chciałem. Mieliśmy przecież jeździć. Codziennie. Pomyślałem, że przy okazji obejrzę ten lasek. Jest dość daleko od zabudowań.

— I?

— Mam prośbę. Ja trochę sobie posiedzę. Mógłbyś przysłać mi Sheparda? Powiedz mu, że jest mi potrzebny. Zrobisz mi tę przysługę?

— Czy to jest to, o czym myślałem?

— Tak. Bądź spokojny. Nie stanie się nic złego. Obiecuję.

— Skoro tak mówisz... — Zarządca podszedł do konia. Wskoczył na siodło i odwrócił się w stronę Clintona. — Mówiłeś, że skąd pochodzisz?

— Nie mówiłem nic na ten temat. Nie podpuszczaj mnie.

— Ale pracowałeś w firmie oczyszczania miasta?

— W pewnym sensie, Monthly. Nie nalegaj. Pogadamy dłużej, kiedy poznamy się lepiej.

— Niech ci będzie. Elmer miał rację. Jesteś cholernie nieufny. — Zawsze taki byłem. Od urodzenia.

— Dobra. Twoja sprawa. Posiedź sobie, a ja przyślę ci Dugga. Clinton dłuższy czas spoglądał za oddalającym się jeźdźcem.

Zaciągnął się głęboko i skierował wzrok na niebo. Słońce zbliżało się ku granatowej linii horyzontu. Ostatnie szkarłatne promienie barwiły jeszcze siny nieboskłon, ale stawały się coraz ciemniejsze, niemal fioletowe. Wzdłuż linii drzew powiał pierwszy podmuch wieczornego wiatru. Robiło się coraz chłodniej. Głośniejsze zaszleściły gałęzie kilku samotnych klonów.

Clinton westchnął. Obcasem wgniół w ziemię niedopałek papierosa.

Shepard przyjechał po kilkunastu minutach. Zatrzymał konia przy wierzchowcu Gerstaeckera. Był spięty i czujny. Clinton zauważył to od razu. Wstał z ziemi i otrzepał spodnie z piasku.

— Pozwól tutaj, koleżko. — Skinął na kowboja. — Musimy omówić kilka pilnych spraw.

Shepard zeskoczył z wierzchowca. Podszedł do Gerstaeckera lekko kołyszącym się krokiem. Stanęli naprzeciw siebie. Clinton poczuł na twarzy silniejszy podmuch wiatru. Podniósł głowę i spojrzał w czujne oczy Sheparda.

— Taa... — mruknął. — Więc jestem dla ciebie dupkiem, koleżko?

— O co chodzi? — Dłonie kowboja zacisnęły się w pięści. — Chcesz się bić? Po to mnie wezwałeś? Nie ma sprawy. Spróbuj. Zanim schwycisz pierwszego byka za rogi, nauczysz się szanować ludzi. Nikt cię tutaj nie lubi.

— Może tak, może nie. — Gerstaecker splunął na ziemię. — Na razie nie zamierzam chwytać żadnego byka za rogi. Mam zamiar pogadać z tobą.

Shepard sprężył się w sobie. Nie bał się, mimo iż przeciwnik był potężny. Wiedział, że masa ciała nie stanowi o sile. On sam, jak większość kowbojów, był szczupły, żyłasty, a jednak bardzo silny. Jedynym gościem, który lepiej powalał byczki na pokazach rodeo, był Rusty Dorff. Ale Rusty był miejscową legendą. Nawet Duggan musiał to przyznać, chociaż nienawidził

drania. Obrzucił Clintona uważnym spojrzeniem. Czacha! Należało walnąć faceta w czachę. Korpus miał zbyt potężny. Duggan poczuł uderzenie adrenaliny. Był gotów.

— Ty zaczniesz, koleżko? — zapytał drwiąco i niemal w tej samej chwili wypuścił ostry cios na szczękę Gerstaeckera. Włożył w to uderzenie całą siłę, mierząc dokładnie w ten „wielki, durny łeb”.

Zanim cios doszedł celu, stała się rzecz niezwykła. „Wielki, durny łeb” gdzieś zniknął, jak gdyby zapadł się pod ziemię. W następnej sekundzie Duggan poczuł straszliwy ból w prawym boku, tuż poniżej pachy. Jak gdyby jakaś nieludzka siła rozrywała jego korpus na dwie połowy. Potworny cios rzucił go w trawę. Chciał zaczerpnąć powietrza, ale zabrakło mu tchu. Podniósł się na łokciach i ryknął z bólu. Poczuł, że drętwieje mu prawe ramię. Kolejna próba powstania — kolejne uderzenie upiornego bólu.

— Jezu! — Z trudem wciągnął powietrze do płuc. Szarpnęło nim ponownie. Nie potrafił opanować jęku. Z trudem przewrócił się na lewy bok. Załzawionymi oczami dostrzegł niewyraźny kontur butów. Zatrzymały się trzy stopy od jego twarzy.

— Spójrz na mnie, Dugg — usłyszał niski, spokojny głos nad sobą. Przekręcił głowę i spojrzał na przeciwnika. Facet przykucnął. Twarda dłoń chwyciła Sheparda za włosy i uniosła jego głowę do góry. Ponowne uderzenie bólu zatkało mu oddech w piersiach. Zobaczył tuż przed sobą twarz. Zimną, obojętną — kamienną. Spojrzał w parę szarych, przymkniętych oczu i zadrżał. Po raz pierwszy od wielu lat poczuł ciarki przechodzące po skórze. Przygniatający, obezwładniający strach. Ten facet pochodził z innego świata. Nie potrafił jeździć konno ani pracować przy bydle, ale potrafił niszczyć ludzi. W jednej chwili Duggan Shepard zrozumiał, że może nie dożyć zachodu słońca. Gość był niczym ucieleśnienie śmierci. W tym momencie Dugg zdał sobie sprawę, że nigdy dotąd nie spotkał kogoś równie niebezpiecznego. Opanował się z wysiłkiem. — Zabijesz mnie? — zapytał, siląc się na spokojny ton. W odpowiedzi usłyszał cichy śmiech.

— Po co? Przecież pracujemy razem, nie?

— Niby tak, ale...

— Prosisz o jeszcze, Dugg?

— Niezupełnie! Tylko przez chwilę pomyślałem, że ty...

— Że jestem mordercą? Nie, nie jestem. Musiałem cię tylko trochę wyprostować. Zrozumiałeś, kto tutaj jest szefem?

— To takie ważne? OK, jesteś twardszy, niż myślałem.

— To znakomicie. Teraz pomogę ci wstać. Musisz uważać. Masz pewnie złamane dwa, trzy żebra. Dasz radę wrócić konno?

— Dam... Trochę mi lepiej. — Duggan z trudem zapalił papierosa. Zaciągnął się i rozkasłał boleśnie.

— Odpuść sobie na razie palenie. Za kilka dni poczujesz się lepiej.

— Jasne. — Shepard powoli podniósł się z ziemi i na trzęsących się nogach podszedł do konia. Odwrócił się i spojrzał na Clintona.

— Czemu?

— Co, czemu?

— Dlaczego tutaj? Dlaczego nie wtedy?

— Nie chciałem cię upodlić. Nie robi się takich rzeczy na oczach ludzi. Jeszcze nie zrozumiałeś? Właśnie połamałeś żebra, bo twój koń się potknął, a ty spadłeś i walnąłeś bokiem o kamień. O tamten, wystający z trawy. Widzisz?

— Widzę. Chyba źle cię oceniłem i paskudnie potraktowałem. Trudno, stało się. Każdy może się pomylić. Jesteś w porządku. Możemy gadać jak ludzie?

— Myślę, że tak. Chyba że odezwie się w tobie urażona ambicja.

— Mam w dupie ambicję. Tylko mi przykro. Daję z siebie tyle, ile mogę, i co z tego?

— Chyba rozumiem. Naprawdę. Teraz jedź już. Potrzebujesz opatrunku. Ja jeszcze tutaj posiedzę. Po co mają nas widzieć razem?

— Racja. — Shepard wyciągnął rękę. Podali sobie dłonie. Clinton usiadł na trawie, rozkoszując się dymem papierosa i chłodem wieczoru. Zamyślonym wzrokiem patrzył za odjeżdżającym kowbojem. Nie wiedział, w jaki sposób potoczą się ich losy, ale był pewien, że zrobił dobry początek. W drodze do osiągnięcia celu potrzebował życzliwych, oddanych ludzi. Miał pewność, że były szef pastuchów stanie się jednym z tych, na których będzie można polegać.

Clinton Gerstaecker siedział pod drzewem jeszcze kilkanaście minut. Wreszcie podniósł się, wsiadł na wierzchowca i ruszył w stronę ledwo widocznych zabudowań.

Następnego ranka wstał bardzo wcześnie — przed czwartą. Przez całą noc męczyły go koszmary. Obudził się z uczuciem ulgi, że ta cholerna noc jest już za nim. Wziął prysznic, ubrał się i wyszedł na dwór, kierując się w

stronę stołówki. W połowie drogi natknął się na kowboja. Od razu rozpoznał gościa, któremu kazał malować okucia bramy. Facet zastąpił mu drogę i zdejmując kapelusz, przedstawił się.

— Jestem Simmy Gibbon, szefie — powiedział, wyciągając rękę. — Przepraszam za tamto. Będę osobiście opiekował się pańską klaczą.

— To niekonieczne. — Clinton uściśnął wyciągniętą dłoń. — Dam sobie radę.

— Takie dostałem polecenie.

— Od kogo?

— Od Dugga.

— Skoro tak, niech będzie. Nie sprawi ci to kłopotu?

— Żadnego.

— No cóż, dzięki! Miło to słyszeć. Na razie, Simmy! Spotkamy się przy koniach.

— Jasne. Księżniczka będzie czekała w boksie.

— Księżniczka?

— No, klacz. Takie ma imię. Jest wyjątkowo łagodna. Aha! Jeszcze jedno. — Kowboj zatrzymał się na chwilę. — Dugg to mój brat, szefie. Przyrodni. — Tak? Monthy mi nie powiedział.

— On o tym nie wie. Nikt nie wie. Nie mieszkałem tutaj. Dugg ściągnął mnie z Oregonu, kiedy umarła nasza matka. Nie chcieliśmy, żeby ludzie gadali.

— Więc czemu mi o tym mówisz?

— Dugg tego chciał. Powiedział, że pan zrozumie.

— Zrozumiałem. Przekaż mu to. I mów do mnie po imieniu. Tak chyba będzie prościej.

— Jasne, Clint! — Gibbon się wyszczerzył. — Się wie. — Ruszył w stronę stajni.

„Dobry Boże”, pomyślał Clinton, wchodząc do stołówki. „Zostałem pieprzonym szefem pieprzonej zgrai kowbojów”. Przyłapał się na tym, że choć przybył w te strony w zupełnie innym celu, ta myśl nie należała do przykrych. Przeciwnie — od bardzo dawna nie czuł się tak dobrze jak dzisiaj.

Restburg. Dziesięć tysięcy mieszkańców. Dwa tysiące rodzinnych gospodarstw. Miasteczko jakich wiele, a jednak na swój sposób — szczególne. Domy rozlokowane na sporej przestrzeni w kształcie symetrycznego ośmioboku, z centralnym punktem w postaci placu do igrzysk

rodeo. Nie ma tu ulic ani alej. Są jedynie drogi — Roads. Wszystkie wyłożone kamienną kostką, z wyjątkiem głównej — Praire Road, wiodącej ze wschodu na zachód i zmierzającej z obydwu kierunków do placu pokazów — wielkiego, starego Show Place Country. Ziemia na Praire Road, zryta kopytami koni i byków, ma za zadanie upamiętniać historię stanu. Dookoła, jeden przy drugim, cisną się saloony i kafeterie.

Restburg to miasto turystów i hodowców bydła. Na jego peryferiach usadowiło się osiem sporych ranch, w tym dwa giganty — Forest Point Cyrusa Dorffa i Seven Pines Elmera Sunside'a.

Wszystkie informacje o mieście Clinton Gerstaecker uzyskał od Dugga Sheparda. Starał się dowiedzieć jak najwięcej o miejscu, ku któremu przywiódł go niebieski bilet lokalnej linii autobusowej, i może dlatego przeoczył informację mogącą zakończyć jego poszukiwania już na wstępie.

Duggan Shepard powiedział:

— Miasto ma kształt ośmioboku. Ulice zbiegają się w kierunku placu. Wiesz, to coś jak gdyby wielki tort, z dużą truskawką pośrodku. Poprzedni burmistrz tak to urządził. Ale nie był w porządku. Wypieprzyli go. Może i lepiej, atmosfera się oczyściła. Przedtem było masę paskudnych wydarzeń. Niby grało, a jednak nie bardzo. Teraz mamy spokój.

— A dalej? Poza placem?

— Dalej są same knajpy. Najlepsi kowboje przesiadują w Older Spring. Ja także tam chodzę. Jest jeszcze Arrow Sweet. Reszta to tancbudy dla turystów. Tak naprawdę ciekawie jest tylko w Older Spring. I oczywiście na „placu prawdy”. Tak nazywamy ten cholerny Show Place Country. Zabierzesz się ze mną w piątek?

— Chętnie. Mam wrażenie, że przez ostatni tydzień dupa przyrosła mi do siodła.

— Dobry początek. Tak to się zaczyna, stary. Jeszcze się trochę pomęczysz, ale wyjdzie ci to na dobre. Sam zobaczysz.

— Mam nadzieję. Nie drętwięję już ze strachu na widok konia. To i tak nieźle.

— Jasne. Idzie ci całkiem dobrze. Nie przejmuj się, nie masz czym.

— Mam, Dugg.

— Chcesz o tym pogadać? Możesz na mnie liczyć.

— Kurwa, wiem! Ale jeszcze nie pora na osobiste rozmowy.

— Nie musisz tak się pienić. Chciałem tylko pomóc. Chodzisz ponury niczym gradowa chmura. Wszyscy to widzą. Tak sobie myślę, że masz jakieś

kłopoty i że to nie chodzi o pieprzoną jazdę na koniu. Ale niech będzie, jak chcesz. Nie nalegam.

— Dzięki. Wiem, że jesteś cool. Tak mówicie?

— Oj, Clint! Zaczynaj gadać po ludzku. Żadne, kurwa, cool. Jestem po prostu twoim kumplem. Nie wystarczy? — W zupełności.

— To OK. W piątek jedziemy się zabawić. Zobaczysz Rusty’ego Dorffa. Prawdziwy olbrzym, choć po tym, co przeżyłem, nie jestem pewien, czy nadal jest najsilniejszym facetem w okolicy.

— Nie próbuj tego sprawdzać. Nie warto.

— Nie zamierzam. Mimo że miałbym ochotę zobaczyć chociaż raz w życiu, jak Rusty dostaje wpierdol.

— Mam nadzieję, że nie próbujesz mnie podpuszczać?

— Gdzieżbym śmiał, szefie.

— Ty stary lisie! Zamiast trzaskać dziobem, rozlej tę resztkę whisky.

Duggan Shepard miał rację. Clinton, pochłonięty codzienną pracą, nie miał czasu na realizowanie swojego planu. A przecież nie przybył tutaj ujeżdżać koni. Z każdym dniem robił się coraz bardziej chmurny i bardziej posępny. Przebywał tutaj zaledwie od kilku dni, ale wydawało mu się, że tkwi w tej dziurze wiecznie. Gdyby nie jego stalowa natura, pieprznąłby to wszystko już teraz. Ale nie był taki jak Rodney. Nie był podobny do ojca. Nawet do Milтона, choć ten także był niezły, jeśli chodziło o skrytość. Clinton dźwigał samotnie swój upiorny bagaż, czekając, aż ktoś lub coś wskaże mu drogę. Czas pokazał, że nie mylił się w swoich ocenach. Clinton Gerstaecker niezmiernie rzadko się mylił. Nie pomylił się także tym razem.

— Żartuje pan? — Kasjerka za szybą niewielkiego boksu wysunęła na zewnątrz okienka niebieski bilet. — To rzeczywiście bilet naszej linii, ale nie wystawiamy biletów imiennych. Żadnych miejscówek, jak w Greyhound. Nie mam pojęcia, kto kupił ten bilet.

— A rysopisy? Niczego pani nie mówią?

— Coraz lepiej! Powiem panu coś. Jedynego Meksykanina widziałem jakieś dziesięć lat temu. Jeśli chodzi o rudzielców, ma pan prawdziwego pecha. Prawie połowa mieszkańców Restburga jest ruda. Nawet moja była zmienniczka Shannon Sullivan jest ruda. Także jej brat, Brian. Miły panie, to miasto założyli Irlandczycy. Niech pan zapyta Shannon. Zwolniła się miesiąc temu. Pracuje teraz w Older Spring. Podobno zarabia dużo więcej,

przynajmniej tak mówi. Może to ona wypisywała ten bilet. Na pewno nie ja. Powodzenia! — dorzuciła, widząc zawiedziony wyraz jego twarzy.

Przed zapadnięciem zmierzchu znowu pokropił deszcz. Niewielka mżawka, ale lodowato zimna. Clinton zatrzymał dodge'a przy skrzyżowaniu Madison Road i Prairie Road. Po drugiej stronie gruntowej alei widniał wielki, tonący w mroku budynek. Jedyne błękitne światło neonu informowało, że to lokal dla prawdziwych mężczyzn.

Older Spring — Clinton spojrział na wyraźne litery szyldu, słysząc aż tutaj odgłos głośnej muzyki country i gwar, którego nie przytłumił nawet deszcz. Zatrzasnął drzwi auta, podniósł kołnierz i przebiegł przez Prairie Road, która zaczynała powoli nasiąkać wodą. Z ulgą wskoczył na granitowe płyty chodnika po drugiej stronie. Muzyka mocniej uderzyła w uszy. Ruszył chodnikiem z różowego piaskowca prowadzącym do wejścia. Wielkie gałęzie ogrodowych sosen zwieszały się tuż nad głową. Pomiedzy drzewami posadzono kępy dereni i tamaryszków. Tworzyły gęsty parawan. Nie był w stanie ocenić, jak wygląda teren poza nimi. Do szerokich, drewnianych schodów pozostało mu zaledwie kilkanaście kroków, kiedy spomiędzy zarośli po prawej stronie chodnika dobiegł zduszony jęk. Clinton przystanął. Jęk powtórzył się głośniej. Słowa zabrzmiały wyraźniej.

— Dajcie spokój! Zgnieciecie mnie. Po kolei! Co robisz, draniu? Dupa ci nie wystarczy? Jezu! Żeby moja Doris to widziała, przetrąciłaby wam gnaty.

— A tobie, cioto, urwałyby jaja. Po kiego chuja je nosisz? Bierz go, bo tak ci wpierdolę, że będziesz pluł uszami. No już, otwieraj koparę. Jasna cholera! Ale jedzie ci z pyska! Powiniennem założyć gumkę. Zajebiecie spokojne miasto... Clinton ruszył w kierunku schodów. To nie była jego sprawa. Nic ważnego. Zwykła rzecz. Skrzywił się mimo woli na samą myśl, co by zrobił, gdyby coś takiego trafiło się w Green Doll. Szeryf w tym pierdolonym Restburgu musiał mieć ważniejsze rzeczy na głowie.

Wszedł na szeroką werandę. Grube deski sekwoi zadudniły pod jego butami. Stał w drzwiach i zaklął z podziwu. Były to typowe, wahadłowe drzwi z epoki Old Westu. Ponad rzeźbionymi płycinami skrzydeł mógł ogarnąć wzrokiem niemal całe wnętrze. Prawie, lecz nie do końca, lokal był bowiem ogromny. Rozległa sala była otoczona dwoma rzędami stolików, a mimo to na środku było dość miejsca dla wszystkich, którzy chcieli potańczyć w rytmie muzyki ludowej kapeli, wycinającej skoczne kawałki na rześście oświetlonym podium. Po prawej stronie sceny znajdował się

ogromny, stylowy bar. Przebijał wszystko, co Clinton kiedykolwiek widział w filmach. Obsługiwały cztery osoby: barman i trzy barmanki w białych stetsonach i zamszowych kamizelkach z mosiężnymi guzikami.

Pod wysokim drewnianym pułapem unosiła się błękitnoszara ławica papierosowego dymu, niczym chmura smogu nad Mexico City. Teraz, u schyłku lata, spóźnieni turyści zjechali do Restburga, żeby zaliczyć koniec sezonu. Parkiet tętnił i żył własnym życiem. Gerstaecker nie usiłował nawet policzyć tańczących. Rozejrzał się po sali.

Była podzielona na dwa sektory. Dwa kolory obić i akcesoriów. Czerwony i błękitny. Większy, niebieski, sektor zajmował trzy czwarte sali. Okupowali go turyści — rozkrzyczana gromada, błyskająca światłem fotograficznych lamp, robiąca najwięcej hałasu i zamieszania. Tę część sali zdobiły wielokolorowe balony.

Sektor czerwony obłożony był przez miejscowych vipów i ich gości, lecz nie tylko. Od pozostałych sektorów dzieliła go spora przerwa. Stanowił strefę kowbojów. Najlepszych spośród wybranych. W myśl miejscowej tradycji. „Nie siadaj w strefie błękitnej” — przypomniał sobie słowa Dugga. Spojrzał na pierwszy z brzegu stół z niebieskim nakryciem. Zdjął kapelusz i usiadł na wolnym krześle. Ryknęła ogłuszająca muzyka. Z trudnością potrafił skupić myśli i dopiero za kolejnym razem dosłyszał głos kelnerki.

— Co pan zamawia? Podniósł głowę i zadrżał. To musiała być ona — Shannon Sullivan. Nosila kusą zieloną sukienkę i biały fartuszek z niebieskim szlaczkiem, a włosy miała rude niczym płomień. Bujne i doskonale pasujące do jej bladej twarzy. Nie była już nastolatką, ale niejednen z obecnych obrzucał ją zamyślonym wzrokiem. Tej deszczowej nocy, pośrodku zadymionego, gwarne go lokalu Clinton Gerstaecker poczuł szybkie bicie serca. Uczucie, o którym niemal zapomniał.

— Zjem coś z waszego menu, panienko. — Szare oczy zaciągnęły się stalową poświatą. — Co pani proponuje?

— Pierwszy raz? — Uśmiechnęła się szeroko. Miała wyjątkowo równe, białe zęby. — Proponuję stek i furę frytek. Mamy najlepsze frytki na świecie.

— Skoro pani tak twierdzi... Może jeszcze piwo.

— Jasne! Co wart stek z frytkami bez porządnego piwa. Jakie podać?

— A które pani poleca?

— Carlsberg. Z Europy, ale niezłe. Rzadko spotykam klienta, który prosi o radę. Jest pan miły.

— Pani również. A do tego bardzo atrakcyjna.

— Dziękuję. Nie każdy mi to mówi. Większość turystów nie zwraca uwagi na obsługę. Chyba że nie są zadowoleni.

— Ja jestem.

— Jeszcze niczego pan nie spróbował.

— A co? Gotuje pani sama?

— Jest pan zabawny. Proszę zaczekać, uwinę się błyskawicznie. Obiecuję. „Błyskawicznie” okazało się pojęciem względnym. Gerstaecker zapalił papierosa. Zerknął na stoły po przeciwnej stronie przejścia. Na wprost niego policjant ze złotą gwiazdą na rękawie pochłaniał wielki, krwisty stek. Stolik dalej barczysty kowboj otoczony trzema chichoczącymi panienkami opowiadał sprośne dowcipy. Clinton odwrócił się z niesmakiem. Nie miał pojęcia, że patrzy na Rusty’ego Dorffa, syna i jedynego dziedzica Cyrusa, właściciela największej posiadłości w hrabstwie. Ale nawet gdyby wiedział, w niczym nie zmieniłoby to wydarzeń, które nastąpiły po chwili.

Do stolika Dorffa podjechał barowy wózek z szampanem. Popychająca go kelnerka miała lekko rozbiegane oczy i niewesoły, przyklejony uśmiech. Odetchnęła z ulgą, słysząc: „Spadaj, mała!”.

— Hej, cipki! — zaryczał Dorff. — Która pierwsza załapie się na piankę, dostanie więcej. Uwaga! Raz, dwa, trzy! — Rusty odkręcił drucik. Przytrzymał korek palcem i potrząsnął butelką. — Juuuz!

— zawył.

Fontanna pianistej cieczy trysnęła na skąpo odziane partnerki Dorffa, uderzyła strumieniem w plecy rudowłosej kelnerki, stawiającej talerze przed Gerstaeckerem, po czym załała gasnącym strumieniem górę frytek otaczających stek Clintona.

— Kurwa! — Gerstaecker cofnął się wraz z krzesłem, ocierając mokrą twarz. — Co to ma znaczyć?

— Cii... — szepnęła kelnerka, otrzepując serwetką krople szampana z fartucha. — Spokojnie, proszę pana.

Zanim Clinton zdążył cokolwiek odpowiedzieć, policjant przy sąsiednim stoliku odstawił piwo, spojrzął w jego stronę i wycedził:

— Ma pan jakiś problem? Bardzo głośno i nietaktownie pan sobie poczyna. Uspokoisz się kolego czy mam się tobą zająć?

— Myślałem, że pilnuje pan porządku — w głosie Clintona zabrzmiała aksamitna nuta.

— Pilnuję. Dlatego zwracam panu uwagę. Czegoś pan nie rozumie? — Przeciwnie. Rozumiem świetnie. Ten durny palant może tutaj więcej niż inni,

prawda?

— Chuj ci do tego! — zawołał od sąsiedniego stolika rozrośnięty „durny palant”.

— Spokojnie, Rusty! — Policjant machnął ręką. Ponownie zwrócił się do Clintona: — To jak będzie? Uspokoisz się, kolego?

W tej chwili od sąsiedniego stolika, okupowanego przez pięciu kowbojów, poderwał się szczupły blondyn i ryknął, przekrzykując hałas:

— Hej, Dorff! Znowu ci odbiło? Rozlałeś sikacza! Napij się piwa, jełopie!

Wysoka szklanka, napełniona piwem, poszybowała w powietrzu. Wylądowała na blacie Dorffa, pękając z hukiem i rozbryzgując dokoła fontannę brunatnej cieczy. Gerstaecker poznał faceta od razu. Jull Sparks. Jego pierwszy rozmówca ze stołówki. Zobaczył, jak policjant zrywa się na równe nogi. W następnej chwili ciemna postać przysłoniła mu widok.

— Zmiataj, Clint. — Twarz Dugga była poważna i skupiona. — Natychmiast!

— Dugg...

— Wiem. Możesz to załatwić sam, ale za kwadrans wylądujesz w pudle i będziesz musiał odpowiadać na niewygodne pytania. Shannon! Zabierz go stąd i wyprowadź tylnym wyjściem. Pospiesz się, do cholery!

— Jasne, Dugg. Proszę pana... — miała cichy, jedwabisty głos.

— Niech pan idzie za mną. Stek zje pan innym razem.

Clinton podniósł się z krzesła. Spojrzał na Duggana.

— Dugg!

— Co?

— A ty?

— O mnie się nie martw. Takie rozróby miejscowym uchodzą bezkarnie. Radni traktują to jako promocję miasta. Ale trzymaj się z daleka od ludzi szeryfa. Możesz napytać sobie biedy. No, jazda! Nie ma was tutaj!

Podążając za rudowłosą kelnerką, Clinton obejrzał się na chwilę. W samą porę, żeby zobaczyć Dugga Sheparda, który podskoczył do stolika Dorffa i podkutym obcasem buta kopnął w górę blat, wywalając całą zastawę prosto na twarze piszczących pańienek. W powietrzu zamigotała złota gwiazda na uniesionym rękawie, Rusty Dorff runął do przodu, a jego cielsko splotło się z kościstą sylwetką Duggana. Kapela znów zaczęła ogłuszająco grać.

Wypadli na niewielki taras.

— Tutaj jest pan bezpieczny. — Kelnerka podniosła głowę. — Pan z Seven Pines?

— Co? Tak. Dziękuję. Jest pani bardzo miła. Miła i w ogóle.

— Co znaczy to pańskie „w ogóle”? — Zielone, świdrujące oczy.

— Podobam się panu?

— Tak. Szczerze mówiąc, tak. Którędy do bramy?

— Ścieżką w lewo. Nazywam się Shannon Sullivan. Mieszkam na Down Road, pod siódmką.

Omiał nie parsknął śmiechem.

— Zapamiętam — szepnął, zaglądając jej w oczy. Sytuacja rozkręcała się jak na życzenie, a on ani na chwilę nie zapominał o swoich problemach. Miała ładną, jasną cerę i wielkie, zielone oczy. Naprawdę mogła się podobać.

— Do zobaczenia! — Wyciągnął rękę. Ponownie poczuł przyspieszone bicie serca, czując delikatny uścisk jej dłoni. Pochylił się i pocałował ją w policzek. Był to świadomy gest z jego strony. Mimo to zadrżał. Nie cofnęła się, nie szarpnęła. Przymknęła oczy i uniosła twarz.

— Nie teraz, Shannon — usłyszała niski szept. Zaszeleściły rozsuwane zarośla.

Patrzyła w ślad za nim, czując, jak omdlewają jej kolana. Chyba pierwszy raz w życiu. — Na razie, Clint — szepnęła, przypominając sobie jego imię, wymienione przez Dugga. „Boże! Oby to nie był sen”, pomyślała, wracając do lokalu, który rozbrzmiewał muzyką przeplataną odgłosami bójki.

— Hej, Clint! — głos zarządcy przerwał chwilę spokoju, którą usiłował wygospodarować sobie Gerstaecker. Był wczesny ranek. Ponad bezkresnym morzem traw unosiła się ławica mlecznej mgły. Clinton stał oparty o ogrodzenie corralu. Nie zamierzał iść na śniadanie. Nie miał apetytu. Obejrzał się za siebie.

— Co słyhać, Monthy? — rzucił zdawkowe powitanie. Nie miał chęci na rozmowę.

— To ty mi powiedz, co słyhać. — Sverinn oparł się o belkę ogrodzenia tuż obok. — Połowa twoich ludzi ma poobijane gęby. Elmer odebrał paskudny telefon od szeryfa. Co, do cholery, narozrabialiście? Nie potrzebujemy kłopotów!

— Nie poznaję cię, Monthy. O co chodzi? Powiesz mi wprost?

— Sprowokowaliście wczoraj bójkę. Tak twierdzi zastępca szeryfa. Sprawy zaszły za daleko. Mamy straty w ludziach. To jest rancho, Clint.

Potrzebujemy tych ludzi.

— Rozumiem. Możesz przestać krzyczeć?

— A co mam robić? Do moich obowiązków należy zapobieganie takim konfliktom. Elmer zmył mi głowę. Jest wkurzony na was wszystkich. Także na ciebie. Miałeś nie mieszać się w lokalne spory.

— Nie mieszam się do niczego, co nie dotyczy mnie. Z nikim nie zadzierałem. Nikogo nie prowokowałem.

— Mam inne informacje.

— Może niezbyt dokładne. To czysty absurd. Byłem w lokalu i zamówiłem obiad...

— Wiem. I co z tego? Nie potrafisz trzymać języka na wodzy?

— Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi, Monthy.

— Owszem, ale staraj się trzymać zasad. — Co, według ciebie, mam robić? Lizać dupę Dorffom?

— Schodzić im z drogi. Elmer życzy sobie poprawnych stosunków z nimi.

— Przyjąłem do wiadomości.

— To dobrze. Nie rozumiesz, jak potężny jest klan Dorffów. Cyrus jest największym potentatem w hrabstwie, a Amos, jego brat, uchodzi za najlepszego szeryfa w okręgu.

— A syn Cyrusa, Rusty, jest największym gównem na waszej centralnej alei.

— Myśl sobie, co chcesz, ale unikaj zwady.

— Dokładnie tak zrobiłem. Nie wierzysz mi?

— Wierzę. Rzecz w tym, żeby Elmer uwierzył. Jest cholernie wrażliwy na opinię. Zwłaszcza gdy dzwonią z biura szeryfa. Na razie wszyscy macie przechłapano, dopóki mu nie przejdzie.

— Dzięki za przestrozę. Powiem ci coś na pocieszenie. Długo tutaj nie zabawię. Nie dłużej, niż muszę.

Oparł się o potężny drąg ogrodzenia, słuchając odgłosu oddalających się kroków. Westchnął. Mógł w każdej chwili opuścić rancho. Ale nie po to tu przybył. Teraz, bardziej niż dotychczas, wiedział, że jest na właściwym tropie. Nie zamierzał z tego rezygnować. Nie w tej chwili. Pomyślał o randce, która mogła go czekać. Shannon Sullivan była bardzo atrakcyjną kobietą. Nawet teraz, kiedy utracił Cynthię, jedyne przyjaciela i jedyną miłość swojego życia, serce Clintona zabiło szybciej na widok tej — na pozór — niepozornej kelnerki. Oprócz niewinnego zauroczenia, ciągnęło go do niej

coś jeszcze. Coś, co podpowiadała mu intuicja Gerstaeckerów. Nie potrafił tego sprecyzować, lecz nie zamierzał odpuścić tropu.

Usłyszał hałas z lewej strony. Splunął na trawę i podniósł wzrok. Nadchodził Duggan, a tuż za nim jego brat Simmy. Prowadzili karego ogiera. Zatrzymali się przy ogrodzeniu.

Twarz Duggana wyglądała upiornie. Obrzękła, sina maska. Szparki zamiast oczu. Simmy nie wyglądał lepiej. Gerstaecker potrząsnął głową. Budził się z koszmaru wspomnień, niczym z długiego letargu. Poczł intensywną woń końskiego potu, do której zdążył się już przyzwyczać.

— Nieźle — mruknął, odwracając wzrok w kierunku pastwiska. — Jakim cudem żyjesz, Dugg? Ty też masz chyba dosyć, Simm. To wszystko o mnie?

— Coś ty! — Duggan Shepard oparł się o belkę. — Cały czas bawimy się w ten sposób. Tym razem poszło trochę ostrzej. Elmer zabierze mi premię. Mam to jak w banku.

— Niekoniecznie. Pogadam z nim.

— Myślisz, że będzie chciał z tobą rozmawiać? Oby. Nie jest taki miły, za jakiego go uważasz. Słucha Monthly'ego i swoich donosicieli. Nie podskakuje Dorffom, bo obecny układ w zupełności mu odpowiada. A ta cała popierdolona sytuacja trwa już zbyt długo. Amos Dorff, nasz szeryf, to facet z zasadami. Ma w dupie wszystkie te układy i układziki. Ale tylko on. Jego zastępcy, jednego poznałeś, to banda dupowłazów. Podlizują się tym z Forest Point, żeby Cyrus pochwalił ich wysiłki przed bratem. Kupa gówna. Mówię ci, Clint, nie ma co z tym łajnem walczyć. Elmer siedzi cicho jak trusia. Pasuje mu pozycja numer dwa. Pozostali w ogóle się nie liczą. Nie warto się tym interesować.

— Dasz radę utrzymać się w siodle?

— Chyba żartujesz! Może nie dogodziłbym w tym stanie żadnej dziwce, ale siedzenie w siodle to moja druga natura. — Shepard poklepał karego po szyi. Uśmiechnął się do Clintona spuchniętymi wargami. — W sobotę będzie w mieście impreza dla turystów. Nic nadzwyczajnego. Pokazy chwytania na lasso. Nasi są w tym najlepsi. Od Dorffów może wystartować tylko Glenn Woods, ich zarządca. Jest niezły, ale przy nas nie ma szans. Pojedziesz z nami?

— Jasne. Czemu nie?

— Ekstra! Zabawimy się we własnym gronie. Clinton patrzył z niedowierzaniem na Duggana, który wskoczył na konia, jak gdyby minutę wcześniej nie wyglądał na kompletnego inwalidę.

— Hej, Dugg! — krzyknął za odjeżdżającym. — Chcesz jechać moim samochodem?

Duggan zatrzymał wierzchowca. Na tle jaśniejącego nieba jego sylwetka i kształt czarnego kapelusza stanowiły żywy symbol tej krainy traw.

— Chyba żartujesz! — Roześmiał się i rozkasłał zarazem. — Wszyscy pojedziemy konno. Tylko mi nie mów, że tego nie lubisz.

— Śmiech Sheparda wplótł się w tętent kopyt konia, poderwanego do galopu.

— Jasna dupa! — zaklął Clinton. — Niech będzie! Pies to drapał!

— Trzymaj się, Clint! — wołanie pomknęło szerokim echem po srebrnej od rosy trawie pastwiska.

— Tata jest zajęty. Nie może z tobą rozmawiać. — Aidan opuścił głowę. — Może później.

— Dzięki. To nic ważnego. Pogadam z Monthym.

— Świetny pomysł! — Młody Sunside podniósł wzrok. — Monthy przekaże wszystko ojcu.

— Nie wątpię, chłopcze. — Clinton splunął strużką gorzkiej śliny, wygrzebał z paczki ostatniego papierosa, zapalił i odwrócił się na pięcie.

— Clint! Panie Johns! — usłyszał za sobą ciche wołanie. Obejrzał się i spojrzał w bladą, poważną twarz młodego mężczyzny. — Przykro mi, Clint. Naprawdę. Ojcu dość szybko mijają takie humory. Za kilka dni wszystko wróci do normy.

Gerstaecker skinął w milczeniu głową. Nasunął kapelusz na czoło i podszedł do wierzchowca. Bez problemu wskoczył na siodło i skierował klacz w stronę pastwiska. Ani on, ani ten dzieciak nie mieli pojęcia, że następnym razem spotkają się w szaleńczej walce o życie. Sobotni ranek nie zapowiadał niczego, co dzień wcześniej przewidywał Duggan. Sytuacja nabrzmiewała powoli. Zaczęło się w piątek po południu od zamieszania przy stadach. Bydło było wyjątkowo niespokojne. Podrażnione. Gromadziło się w małe, ruchliwe grupy.

— Będzie kłopot — zawyrokował Dugg. Właśnie przed chwilą Monthy przysłał posłańca z poleceniem przesunięcia niemal połowy ekipy z corralu do sekcji krów.

— Muszą mieć spore problemy. — Shepard zerknął na Clintona. — Wiesz, co to znaczy?

— Może mi podpowiesz?

— Jasne. Będzie zajebista burza. Taka, co to raz na sto lat. Żeby nam tylko nie popieprzyła zawodów. Głowy nie dam. Kiedy bydło zachowuje się jak obłąkane, nie ma żadnej gwarancji.

Burza nie nadeszła — jeszcze nie tej nocy.

Świt. Różowa, dziwnie jaskrawa zorza. Złotawe, rozległe pasma obłoków, niczym abstrakcyjne maźnięcia na nieboskłonie. Najmniejszego podmuchu.

— Panujesz nad sytuacją, Monthy?

— Jak zwykle, panie Sunside.

— Nie lubię, kiedy tak mówisz. Robisz to zazwyczaj w kryzysowych sytuacjach.

— Sytuacja jest poważna. Zadbam, żeby nie przyniosła strat.

— Do cholery! Właśnie dzisiaj! Mamy dość ludzi?

— Tak, nie ma problemu. Musimy tylko wszystko zabezpieczyć. Myślę, że mamy dosyć czasu. Może w ogóle rozejdzie się po kościach.

— Oby. Nasi jadą na te pieprzone zawody?

— Tak. To tylko kilku ludzi. Bez znaczenia w tej sytuacji.

— Podobno puściłeś Johnsa?

— Tak. Myślę, że to dobre posunięcie. Niech poczuje smak naszej ziemi. Tutaj i tak niewiele by pomógł.

— OK. Działaj. Świt. W martwym powietrzu z kępy smukłych wiązków opadają pojedyncze pożółkłe liście. Szeleszczą, wirując w ostatniej wędrówce swojego istnienia. Grzmot kopyt. Nieprzyjemny zapach wysuszonej, butwiejącej od korzeni trawy.

— Monthy! Nie jest dobrze! Bydło biega jak szalone! Będzie cholerna burza!

— Spierdalaj, Beaver! — Na srebrnej tarczy zegarka wskazówki pokazywały szóstą. Powietrzem targa ryk wielkich wysięgników, zaciągających ogromne brezentowe płachty na stogi siana.

Skrzypienie naciąganych lin, odgłos młotów wbijających pale, sapanie zdyszanych piersi.

— Kurwa, John! Naciągnij to cholerstwo! A niech cię! Pieprznałeś mnie w nogę! Ty durny tępaku!

Kopyta wybijają rytm na brunatnej ziemi. Szeleści miazdżona trawa.

— Szefie! W zagrodzie buhajów beefalo są uszkodzone drągi!

— To na co, do jasnej cholery, czekasz?! Mam ci pomóc, durniu?!

Przeciągły krzyk myszołowa. Ni to skrzek, ni to wołanie. Coraz jaskrawiej świeci wschodzące słońce.

— Monthy! Będzie się działo! Od świtu ani kropli rosy. Widzisz to niebo? Dokładnie jak w lipcu pięć lat temu.

— Pamiętam. Wal do Horetta! Niech bardzo uważa na krowy! Pomogą wam ludzie Johnsa. Zapierdalaj, Jemmy! To nie zabawa!

Świt. Wielka tarcza słońca wędruje coraz wyżej. Donośne parskanie koni i niemilkący tupot kopyt. Gorączkowa krzątanina. Łoskot młotów wbijających pale. Krzyżujące się krzyki. Gwar i hałas. Wszystko zawieszona w przestrzeni bezkresnej natury. Najmniejszego podmuchu. Trawy, roztrącane kopytami koni i racicami bydła, trzeszczą niczym łamany chrust. Świt, kwadrans po szóstej.

Wyruszyli do miasta zwartą gromadką. Oprócz Clintona i Duggana jechali też Simmy Gibbon, Phil Sandusky, Roy Landlord i dwóch pasterzy herefordów. Po panice poprzedniego dnia i dzisiejszym przebudzeniu nastroje były dość sztywne.

— Oby coś z tego było. — Shepard splunął w trawę, sięgając po papierosa.

— Co masz na myśli? — Gerstaecker ścisnął kolanami boki kasztanowej klaczy. — Co się dzieje? Na rancho ruch jak cholera, a my jedziemy się zabawić. To normalne?

— Jak najbardziej. — Duggan zapalił i wyszczerzył się do Clintona. — U nas każdy ma swoje zadanie. Tych paru chłopaków ma wygrać zawody, bez względu na burzę. Reszta zapierdala. Tak zawsze było i jest nadal. Nazywamy to tradycją. Wiesz, o czym mówię?

— Jasne! Tam, skąd pochodzę, także mamy swoje tradycje. Nie takie fajne jak wasze, ale są dla nas ważne.

— Więc rozumiesz.

— Pewnie. To wszystko ma sens. U nas i u was. Zapytam cię o coś, Dugg...

— Pytaj. Jazda zajmie nam co najmniej godzinę. Jest czas, żeby pogadać.

— Nie na taką rozmowę zapewne liczyłeś. To właściwie drobiazg. Chciałem zapytać, czy po przyjeździe do miasta mogę się na trochę urwać. Dacie sobie radę? Mam sprawę.

— Sądziś, że się tego nie domyślam? A niby dlaczego nalegałem, żebyś

wybrał się z nami? Nie wiem, czy Monthy uwierzył w moje brednie. O co chodzi? Dziewczyna?

— Tak.

— Shannon?

— Tak.

— Ty sukinkocie! Masz fart. Zrobimy tak. Po przyjeździe zaopiekujemy się kłaczą. Możesz się urwać, tylko wpadnij na konkurs. Chłopakom przyda się doping. Potem trochę się zabawimy. Możesz znowu się urwać. Wracamy przed zmierzchem. O ile nie popieprzy wszystkiego burza. Pasuje ci? — Dugg, jesteś wielki.

— Tłumaczyłem ci to od samego początku. — Parsknęli zgodnym śmiechem.

— Wiesz, jak na ciebie wołają nasi indiańscy kowboje? — Duggan zerknął na Clintona.

— Nie rozumiem.

— Jak cię nazywają na farmie.

— Ach! Jakiś pseudonim, ksywka?

— Uhm.

— Jak? Dupek z Południa?

— Niezłe. — Shepard kiwnął głową. — Zapamiętam. Ale wiesz, oni nazywają cię inaczej. Mówią o tobie Grizzly.

— Taki niedźwiedź? — Clinton zakrztusił się dymem. — Skąd się to wzięło? Nie widzę żadnego związku.

— Nie wiem. Któryś z nich zauważył podobieństwo. I nie patrz tak na mnie. To nie ja. Mimo że bardziej niż inni powinienem się zgodzić z takim przydomkiem.

— Dzięki. Bardzo mi pomogłeś. A już uważałem, że nikt mnie tutaj nie lubi.

— A powinni cię lubić?

— Ty, sukinkocie!

— Ty dupku z Południa. — Ponownie wybuchnęli głośnym śmiechem.

Delikatnie wysunął rękę spod nagich pleców Shannon. Poruszyła się i otworzyła swoje wielkie zielone oczy. Uśmiechnęła się i przytuliła głowę do jego potężnej piersi.

— Wybacz, Clint — szepnęła. — Musiałam się zdrzemnąć. To pora mojego snu. Pracuję do późna, wiesz.

— Nie musisz się tłumaczyć. Było cudownie. — Skrzywił się nieznacznie i sięgnął po papierosy. Rzeczywiście było niezłe, ale czuł pewien niesmak. Postępował z rozmysłem. Dla osiągnięcia celu byłby gotów przespać się nawet z Rustym Dorffem. Tymczasem ta dziewczyna oddała mu się bez reszty. Najwyraźniej zaczynało kiełkować w niej uczucie. Tego nie chciał. Chciał informacji i zastanawiał się, jak rozegrać tę partię, żeby niczego nie zmarnować, nie spłoszyć.

— Pójdę już. — Usiadł na łóżku i zaczął się ubierać.

— Nie musisz. — Położyła mu ciepłą dłoń na ramieniu. Uśmiechnął się szczerze.

— Przecież zobaczymy się wieczorem. Zajdę do Older Spring zaraz po tej imprezie na placu. Wiem, że będziesz zajęta, ale jednak się zobaczymy. I może wreszcie zjem stek z najlepszymi frytkami pod słońcem. Bez szampana. — Roześmieli się oboje.

Rozejrzał się po sypialni.

— Mieszkasz sama? W takim dużym domu?

— Mieszkam z Brianem. To mój przyrodni brat, ale on rzadko bywa w domu. Bez przerwy wyjeżdża ze swoim kołosem. Kiedy żył tata, Brian był najlepszym z braci. Wiesz, jest świetnym kierowcą. Jeździł ciężarówką u Cyrusa Dorffa. To wtedy poznał tego typka. Tamten był szefem ochrony, ale po pewnym czasie Dorff go wyrzucił. Były jakieś kłopoty.

Gwałtowne uderzenie tętna. Clinton mocniej zaciągnął się dymem. Nie zwróciła na to uwagi.

— Wkrótce po śmierci taty Brian wyjechał. Nie było go blisko rok. Kiedy wrócił, był jakiś inny. Znikła jego serdeczność. Bez przerwy gdzieś się szlajał z tym swoim kumplem. Ten gość jest naprawdę paskudny. Był u nas tylko dwa razy, ale jestem pewna, że nadal utrzymują kontakt.

— Skąd ta pewność?

— Bo Brian w jego towarzystwie stawał się skryty i patrzył spode łba. Nadal tak patrzy, kiedy wpada na krótko do domu. Boję się, że ten mieszaniec wciągnął go w jakieś parszywe interesy. Brian ma pieniądze. Sporo. A przecież nie pracuje. Próbowałam go zapytać, ale mnie ochrzanił. Boże! Po co ja ci mówię o tym wszystkim? To nie są twoje sprawy. Chyba dlatego, że czuję się tak, jakbym znała cię od dawna.

— Ja odczuwam podobnie. To nic złego. Czasami człowiek musi zrzucić z siebie ciężar. Chętnie cię słucham, Shannon. Powiedziałaś „mieszaniec”?

— Tak. Nazywa się Franco Kelly. Brian mówi o nim Frank. To pół

Irlandczyk, pół Włoch. Do tego nosi się jak meksykański macho. Paskudny typ. Źle patrzy mu z oczu.

— Jesteś dobrą siostrą. Nie każda dziewczyna martwi się tak o przyrodniego brata.

— A ty? — Zajrzała mu w oczy. — Nie martwisz się o bliskich?

— Nie mam o kogo. — Wzruszył ramionami. Mimo że czuł prawdziwy zamęt w głowie, jego uwadze nie uszedł lekki rumieniec, który pokrył jej policzki. Powrócił do swoich myśli. Czyżby trafił za pierwszym razem? Zamierzał przecież tylko wypytać ją delikatnie o bilet. Teraz wszystko wskazywało na to, że nie musi już tego robić. Rudy kierowca i meksykański typ stali się niemal uchwytni. W każdym razie wiedział już, kogo szukać.

— Podejrzewasz, że ten sukinkot mógł wciągnąć twojego brata w ciemne interesy? Może narkotyki?

Spojrzała na niego uważniej.

— Naprawdę nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić, Clint. Jesteś fajnym gościem i chyba coś do ciebie czuję, ale znamy się krótko. Chyba niepotrzebnie zawracałam ci głowę własnymi kłopotami.

— Nie mam nic przeciwko temu. Już ci mówiłem. Wiesz, Shannon, polubiłem cię od pierwszego wejrzenia, od pierwszej chwili. Bądź spokojna. Nie trzaskam dziobem na prawo i lewo bez potrzeby. Poza tym chyba czuję do ciebie coś więcej niż zwykłą sympatię. Jestem samotny, Shannon. Ciężko jest żyć samotnie.

— Wiem o tym lepiej, niż myślisz. Jakoś nigdy nie miałam szczęścia do mężczyzn. Jesteś pierwszym gościem od długiego czasu, który coś we mnie poruszył. Pochylił się i pocałował ją w usta.

— Ze mną jest tak samo. — Sięgnął po koszulę. — Na mnie pora.

— Uśmiechnął się i mrugnął. — Zobaczymy się przy talerzu frytek.

— Jasne. Tylko uważaj na tego Steinera.

— Na kogo?

— Na Luttona Steinera. To ten zastępca szeryfa, który miał chęć cię udupić. Wsadziłby za kratki każdego z Seven Pines, byle przypodobać się swojemu szefowi. Amos Dorff...

— Wiem. Jest bratem Cyrusa. Fajny układ.

— Amos nie jest zły. Ma świadomość tej dwuznacznej sytuacji, ale o nią nie zabiega. Tak mówią ludzie. To dobry, twardy szeryf. Wcale nie przepada za wazeliniarzami, ale do tego durnego Luttona jeszcze to nie dotarło.

— Nie lubisz Steinera.

— To zwykły cham. Parę razy próbował się do mnie przystawiać. Grubiańsko i po prostacku.

— Rozumiem...

W tej chwili przez otwarte okno dobiegł z oddali odgłos chaotycznej strzelaniny.

— Zaczęli zawody. Leć, bo ominie cię impreza.

— Na to wygląda. — Sięgnął po kapelusz. — Nic wielkiego. Przyjechałem tylko kibicować. Nie jestem kowbojem.

— Wiem. Nie mówisz jak kowboj i nie wyglądasz na kowboja. Jest w tobie coś innego... — Zawahała się przez chwilę. — Może to coś najbardziej przypadło mi do gustu. Mniejsza o to! — Machnęła ręką. — Zasuвай! I nie zapomnij o Older Spring.

Patrzył na nią przez chwilę zamyślonym wzrokiem. Powoli założył kapelusz.

— Ja nigdy niczego nie zapominam, Shannon. Wyszedł, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. Przez chwilę stała pośrodku pokoju, patrząc na drzwi, które zamknął za sobą. Położyła dłoń na piersiach, czując mocne bicie serca. Westchnęła i poszła do łazienki. Gerstaecker szedł spacerkiem w stronę Show Place Country. Nie spieszył się. Zawody w rzucaniu lassem nie interesowały go w najmniejszym stopniu. Wszystko wskazywało na to, że krótki pobyt w Restburgu zmierzał do końca. Po głowie krążyły mu gorączkowe myśli. Wiedział już, kogo szuka, ale nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Liczył, że wyciągnie coś więcej od Shannon. Wszedł do małego baru na rogu Praire Road, zamówił podwójną szkocką i kupił paczkę papierosów. Opróżnił szklaneczkę jednym haustem. Poczł miłe ciepło rozptywające się po całym ciele. Po kilku minutach wyszedł na ulicę, ocierając pot z czoła. Powietrze było tak parne i gęste, że niemal namacalne. Wielu turystów zmierzających na plac również ocierało spocone twarze. Podążali w pośpiechu, mijając Clintona. Nie zwracał na nich uwagi. Po raz kolejny zaciągnął się głęboko.

„Powiedziałaś mi wszystko, Shannon? Wątpię. Ale jeszcze powiesz. Może nawet dzisiaj, jeśli nie przeszkodzi burza”.

Zerknął w prawo i skręcił w stronę pobliskiego skweru. Usiadł na jednej z drewnianych ławeczek stojących wzdłuż zwirowej alei i zatopił się w rozmyślniach. Od strony „placu prawdy” dobiegał gwar cizby ludzkiej, głośne okrzyki, brawa i rzenie koni. Łowił je jednym uchem. Zastanawiał się nad rozegraniem zaczętej partii, starając się stłumić wzburzenie, które nie

opuszczało go od czasu rozmowy z dziewczyną. Wszystkie bolesne wspomnienia powróciły z całą mocą, opanowując jego umysł. Niewidzącym wzrokiem błędził po odległym chodniku. Siedział tak przeszło godzinę — oderwany od rzeczywistości. Nie zauważył nawet Shannon, idącej spieszenie w stronę Older Spring. Widział przed sobą oczy swojej Cynthii i jej drobne ciało poszarpane kulami.

Minęła kolejna godzina, kiedy od strony placu dobiegły strzały i gwar hucznych wiwatów. Gdzieś w pobliżu rozległy się dźwięki zagrane przez bluegrassową kapelę. Clinton podniósł się z ławki. Wyglądało na to, że impreza dobiegała końca. Spojrzał w niebo. Krwistoczerwona tarcza słoneczna opadała coraz niżej. Szybkim krokiem ruszył na miejsce zawodów.

Zdażył na dekorację zwycięzców. Zgodnie z prognozami Shepada dwa pierwsze miejsca zdobyli ludzie z Seven Pines. Pierwsze — Phil Sandusky, drugie — Simmy Gibbon. Trzecim został Glenn Woods, zarządca Dorffa.

Clinton rozejrzał się dokoła. Kilkadziesiąt jardów dalej po lewej dostrzegł wysoką sylwetkę Duggana. Przy nim stali ludzie z rancho. Clinton zaczął przepychać się w ich kierunku. Kiedy dotarł na miejsce, ociekał potem. Shepard uśmiechnął się na jego widok.

— Ładnie kibicowałeś, nie ma co! Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że rzucanie lassem nie jest największym marzeniem twojego życia — zakpił dobrodusznie. — Nasi górą — dodał. — Spójrz na Rusty’ego Dorffa i jego dupków. Stoją tam, na wprost, przy ogrodzeniu. Rusty jest wkurwiony, jakby ten turniej był najważniejszą rzeczą pod słońcem. Teraz zrobi to co zwykle. Pójdzie ze swoją bandą do Older Spring i zaleje się w trupa. My chyba wrócimy na rancho. Powietrze jest tak gęste, że whisky nie przeszłaby mi przez gardło.

— Ja zostanę, Dugg.

— Co? Chyba żartujesz.

— Nie. Mam randkę.

— Drugą tego samego dnia? Musiała nieźle zawrócić ci w głowie.

— Dawno nie byłem z kobietą.

— OK. Niech będzie. Nie tłumacz się. Po drugiej stronie placu są stajnie. Phil będzie na ciebie czekał. Przypilnuje twojej kłaczki. Wróćcie razem.

— Dugg, to może być późno.

— Domyślam się. Powiem Philowi. On cię bardzo lubi. Nie wiem za co.

— Ani ja. — No to wiemy tyle samo. Na co czekasz? Zmiataj! Jutro możemy mieć pełne ręce roboty. Na pewno będą szkody. — Duggan klepnął Clintona po ramieniu. — Powodzenia. Unikaj Dorffa. Nie zachodź do Older Spring.

— Spokojnie. Mamy randkę u niej w domu — skłamał Gerstaecker.

— To w porządku. Bywaj! Powiadomię Phila. Clinton ruszył w stronę skweru, a Shepard przywołał Sandusky'ego.

— Słuchaj, Phil, Johns zostaje w mieście. Przypilnujesz koni i wrócicie razem. Kupię ci zaraz coś do żarcia i parę piw. To może potrwać kilka godzin.

— Nie ma sprawy, Dugg. — Oczy Indianina pozostały nieprzeniknione. — Zaczekam. Czy mam zrobić coś jeszcze?

— Nie ma potrzeby. Schodź z oczu Dorffom. Najlepiej trzymaj się blisko koni. Zaraz przyniosę ci prowiant.

Shepard miał rację. Rusty Dorff kipiał nieskrywaną wściekłością. Reszcie jego ekipy także nie dopisywały humory.

— Wpadniemy do Older Spring, Rusty? — Rick Moon, rosły, niewiele ustępujący posturą Dorffowi kowboj, wyszczerzył zęby w złym uśmiechu. — Warto by się czegoś napić przed powrotem. Prawda, Glenn? — spojrzał na zarządcę.

— Czemu nie? — Woods rozprostował ramiona. — Co ty na to, Rusty?

— Jasne. Kto pilnuje koni?

— Fred Racini.

— Fred? Mowy nie ma! — Dorff skinął na jednego z trzech stojących obok kowbojów. — Ty, Bennet! Zastąp go. Wrócimy niedługo.

W Older Spring szumiało niczym w gigantycznym ulu. Kompania z Forest Point z trudem przepchała się do zarezerwowanego stolika w ich sektorze. Rusty podniósł rękę i pozdrowił siedzących nieopodal dwóch policjantów. — Hej, Lutton! Za rok pójdzie lepiej! — ryknął, przekrzykując hałas.

— Jasne. — Lutton Steiner kiwnął głową. Przy stoliku pojawił się kelner.

— Tequila dla wszystkich! — zamówił Dorff.

— To nie najlepszy pomysł, Rust. — Glenn Woods skrzywił się niechętnie. — Za duży upał. Może zamówimy piwo?

— Akurat! Te szczyzny? Tequila! — powtórzył Dorff. Kelner skinął

głową i oddalił się w stronę bufetu.

Wypili pierwszą kolejkę. Rusty rozejrzał się po sali i beknął donośnie.

— Nikogo z bandy Sunside'a — w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie.
— Spieprzyli do domu. — Skinął na kelnera. — Przynieś całą butelkę.
Ruszaj się, chłopcze! Nie zamierzam siedzieć tu do północy.

Obsługująca w sektorze niebieskim Shannon kilka razy spojrzała w ich kierunku. Coraz częściej niespokojnie zerkała na drzwi. Modliła się, żeby Clinton nie pojawił się właśnie teraz. Czerwona, obrzmiała twarz Dorffa i kwaśne miny jego ludzi nie wróżyły niczego dobrego.

Martwiła się niepotrzebnie. Clinton siedział na ławeczce, na skraju trawnika otaczającego lokal. Ukryty w cieniu rozłożystych wiązów, palił papierosy, obserwując pobliską Praire Road. Nie zamierzał wchodzić. Widział Dorffa i jego świtę. Widział stojący przy chodniku radiowóz i nie miał wątpliwości, kto nim przyjechał. Postanowił odczekać.

Godzinę przed północą Dorff i spółka wyszli z lokalu. Rozmawiali głośno. Gerstaecker słyszał ich bez trudności.

— Wracamy do koni. — Dorff zapalił papierosa. — Mam nadzieję, że nasze wierzchowce nie podłapały czegoś paskudnego od chabet Sunside'a. Jedna stajnia to za mało na takie imprezy. Dobrze, że ci z Seven Pines mają boksy na drugim końcu korytarza. — Kowboje zarechotali. Clinton drgnął. Pomyślał o Sanduskym, pilnującym koni. Zaklął w duchu. Zrozumiał, że może nie zdążyć spróbować „najlepszych frytek na świecie”. Older Spring zamykano za niecałe dwie godziny, a on nie mógł tam teraz wejść. Philowi groziło niebezpieczeństwo. Musiał wracać na plac.

Właśnie podnosił się z ławki, kiedy zobaczył dwóch policjantów wychodzących z lokalu. Wiedział, że jednym z nich jest Lutton, który najwidoczniej uznał za punkt honoru nieustanną opiekę nad synem Cyrusa Dorffa.

Wsiedli do samochodu. Zamruczał silnik. Auto ruszyło powoli w ślad za hałaśliwą kompanią. W oczach Gerstaeckera zamigotały złe błyski. Zacisnął usta i wstał z ławki. Wyszedł na ulicę i podążył za oddalającymi się światłami radiowozu.

Phil Sandusky siedział w boksie, ukryty za drzwiami, nasłuchując chrapania dolatującego z przeciwnej strony korytarza. Pastuch Dorffa postanowił najwyraźniej uciąć sobie małą drzemkę. Czas płynął powoli. W stajni panował trudny do zniesienia upał i ostra woń amoniaku. Po pewnym

czasie Sandusky miał dosyć. Postanowił wyjść na dwór, na wybieg. Poza nim i gościem od Dorffa w pobliżu nie było nikogo. Lampy w korytarzu świeciły przytłumioną poświatą.

Indianin podniósł się delikatnie i natychmiast usiadł z powrotem. Usłyszał gwar zbliżających się głosów. Oparł się o drzwi boks w tej samej chwili, gdy kompania z Forest Point wkroczyła do środka.

Dwieście jardów dalej, przy ogrodzeniu, zatrzymał się radiowóz. Kierowca zgasił światła i wyłączył silnik.

— Co dalej, Lutton? — zwrócił się do Steinera.

— Nic. Zaczekamy, dopóki nie odjadą. To porządne chłopaki, Fred. Należy im się ochrona.

— Skoro tak twierdzisz...

Gerstaecker ominął radiowóz szerokim łukiem. Skierował się w stronę stajni — szedł szybko wzdłuż przeciwległej strony ogrodzenia. Noc była bezksiężycowa, ale paliły się dwie wielkie latarnie na skraju wybiegu. Minał je w bezpiecznej odległości. Przedostał się przez ogrodzenie na tyłach stajni i ruszył dalej, równoległe do ściany budynku. Dotarł do frontowego narożnika. Tutaj przystanął, nadstawiając uszu.

Phil Sandusky skurczył się pod drzwiami boks. Najchętniej zapadłby się pod ziemię. Głosy przybyłych znał doskonale. Dorff, ten śmierdzący skunks Moon, Glenn Woods i jeszcze jeden, którego nie znał. Budzili niefortunnego strażnika, nie żałując kpín i przekleństw. Bennet York próbował się odgryzać, ale bez większego rezultatu.

— Przecież wszystko gra, Rusty. Trochę się zdrzemnąłem, ale tylko na jedno oko. Wszyscy już wyjechali.

W tej chwili klacz Clintona głośno parsknęła. Phill zamarł. Odgłosy na końcu korytarza ucichły.

— Co to, do cholery?! — Phil usłyszał mruknięcie Dorffa. — To może konik polny, ty durniu?! Zobaczmy, komu jeszcze nie spieszy się do domu.

Zatupotały podkute buty. Sandusky zebrał się w sobie i wstał. Poklepał klacz po zadzie. „Już po mnie”, pomyślał.

Pięciu mężczyzn zatrzymało się przy boksie.

— Proszę, proszę! Kogóż tu widzimy?! — Dorff obrzucił Indianina wrogim spojrzeniem. — Toż to ta karykatura, która odebrała ci zwycięstwo, Glenn. Zafajdany Sandusky. Chodź no do nas, Phil. Pogadamy. — Rusty

zerknął na konie. — Na kogo czekasz?

— Na kolegę. Jest w mieście.

— Kolegę? To ty masz jakichś kolegów? — Dorff uniósł brwi. Poczzerwieniał na twarzy. — Pytam po raz ostatni. Na kogo czekasz? Na Dugga?

— Dugg i reszta wyjechali. — Phil niechętnie wyszedł z boksu.

— Czekam na Clinta Johnsa. — Clinta? Co to za frajer?

— To taki duży gość. Jest u nas od niedawna.

— Czekaj! Kojarzę! Miałem okazję go spotkać. Spierdolił z Older Spring, żeby ratować swoją tłustą dupę. Lutton miał na niego oko. Pamiętasz? — Rusty zwrócił się do Moona. Ten kiwnął głową.

W tej chwili Phil Sandusky próbował minąć ich desperackim skokiem. Nie zdążył. Moon podciął mu nogi. Indianin runął na ziemię, zasłaniając głowę rękami. Wiedział, że będą kopać. Zawsze kopali. Lubili tę zabawę.

Biały człowiek lubi poniżać przeciwnika. Tak było zawsze i nic nie zmieniło tego stanu rzeczy.

Zabawiali się z nim dłuższą chwilę. Nie stracił przytomności. Ręce trzymał kurczowo splecione wokół głowy. Jeden z kopniaków złamał mu żebro. Poczul ostry ból i oddech umknął z jego piersi. Usłyszał wściekły krzyk Dorffa:

— Nie, ty dupku! Nie! Chcesz go zabić? Zachowaj siły na kogoś większego! Wkrótce pewnie nadejdzie. Zaczekamy.

Phil słyszał ten jazgot jak gdyby przez mgłę. Ostrożnie doczołgał się pod przeciwległe, puste boksy. Nie zwrócili na niego uwagi. Poszli korytarzem do wyjścia. Stanęli w progu i zapalili papierosy, obserwując poświatę latarni.

Ten, na którego czekali, był znacznie bliżej, niż sądzili. Tym razem nie zamierzał unikać kłopotów.

— Spójrz, Lutton! — Policjant za kierownicą zaparkowanego radiowozu wskazał na oświetlony wybieg. — Tam idzie jakiś facet. Widzisz go?

Steiner wyteńczył wzrok.

— Widzę. Trochę za daleko, żeby stwierdzić, kto to. Może ktoś z obstawy Rustego? Spory gość.

— Nie. To nikt od Dorffów. Widzisz? Rusty i reszta nie stoją już w drzwiach. Wyszli na plac i ustawili się w półkole. Zanosi się na małą bójkę, nie sądzisz? — Chyba masz rację. Zgarniemy typa zaraz po tym, jak Rusty mu dołoży. Hej! Chwila! Już wiem, co to za dupek! Jest rzeczywiście duży.

Zwiął mi niedawno sprzed nosa w Older Spring. Dzisiaj nie będzie miał tyle szczęścia. Wysiadamy, Fred! Chcę być w pobliżu, kiedy to się stanie. Rusty'ego mogą ponieść emocje. Nie potrzebujemy trupa. Tylko bez pośpiechu. Rusty'emu należy się trochę zabawy. Zaczekamy jeszcze chwilę.

Clinton Gerstaecker wyszedł na oświetlony wybieg, gdzie czekał na niego „komitet powitalny”. Pod obcasami zachrząściły grudki spieczonej ziemi. Obejrzał się za siebie.

Uśpiony radiowóz majaczył na tle zarośli. Clinton zacisnął wargi. Próbował splunąć, ale w gardle miał więcej pyłu niż śliny.

Stali tuż przed nim, blokując wejście do stajni. Pochylił głowę i ruszył w stronę wrót, kierując się pomiędzy Dorffa a Moona.

— Przepraszam — mruknął, czując ich bezpośrednią bliskość.

— Nie tak szybko, dupku! — Rusty podniósł rękę i chwycił Clintona za koszulę na piersi. — Mamy kilka spraw do obgadania.

Phil Sandusky zbliżył się do wejścia. Przy każdym oddechu czuł przejmujące klucie w boku. Kilka razy musiał oprzeć się ręką o krawędzie boksów. Wreszcie dotarł do wielkich wierzei. Przed sobą usłyszał głośny śmiech. Ostrożnie wychylił głowę na zewnątrz.

To, co nastąpiło chwilę później, miało moc i prędkość prawdziwej burzy. Sandusky poczuł, że po raz pierwszy w życiu zapiera mu dech w piersiach, choć takich scen obejrzał niemało. Podmuch emocji był tak silny, że uderzał fizyczną mocą.

W powietrzu błysnęła złota bransoleta zegarka na nadgarstku Clintona. Odgłos ciosu rozszedł się w martwym powietrzu suchym trzaskiem. Rusty Dorff już tego nie usłyszał. Padając na ziemię, był nieprzytomny. Kolejne uderzenie, zadane na odlew wierzchem pięści, trafiło Moona w skroń. Nogi kowboja ugięły się niczym kończyny gumowej kukły, z której gwałtownie zeszło powietrze. Zdażył krzyknąć „Jezu!” i powędrował w ślad za Dorffem. Śmierć zawitała do Restburga, chociaż nikt jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy. Może poza Philem Sanduskym.

Indianin syknął z bólu. Szeroko otwartymi ustami łapał powietrze. Na widok walących się ciał westchnął.

— Grizzly! — szepnął rozbitymi wargami, chłonąc brutalną scenę rozgrywającą się przed jego oczami.

Podkuty but Raciniego trafił Clintona w szyję. Fred omal sam nie przewrócił się od impetu, chociaż wysokie kopnięcia stanowiły jego specjalność. Spróbował odzyskać równowagę. Otworzył szerzej oczy. Tuż przed sobą ujrzał nadlatującą pięść. Czknął, wypluwając krew i odłamki siekaczy. Wstrząs zakołysał jego czaszką. Zawirowało światło latarni, tonące w nieprzeniknionej czerni, kiedy padał na ciała Rusty'ego i Moona.

Glenn Woods zdążył wydobyć broń.

— Nie ruszaj się! — krzyknął nienaturalnie wysokim głosem. Ostatnią rzeczą, którą zobaczył, była para zimnych, złowrogich oczu. Potworny cios trafił go w środek piersi i rzucił na ścianę budynku niczym szmacianą lalkę. Trzasnęły pękające deski.

— Grizzly... — powtórzył szeptem Sandusky.

Dwaj pozostali uczestnicy blokady rzucili się do panicznej ucieczki.

— Jezu! Lutton! Widzisz to co ja? — Policjant trzymał kurczowo kierownicę i patrzył oszołomionym wzrokiem ponad opuszczoną szybą. Steiner otworzył gwałtownie drzwi. Wyskoczył z auta.

— Ruszaj się, Fred! Ten skurwiel ich pozabija! Weź karabin! — krzyknął, przeskakując ogrodzenie. Ruszyli ciężkim biegiem poprzez zryty kopytami plac w stronę wybiegu przed stajnią. Clinton Gerstaecker rozejrzał się półprzytomnym wzrokiem. Morderczy szal zaczął z niego opadać, równie szybko jak się pojawił. Opuścił ręce. W drzwiach stajni zobaczył twarz Sandusky'ego.

— Nic ci nie jest, Phil? — zapytał.

— Wszystko w porządku. Trochę mnie skopali. Nic poważnego.

— Stój! Policja! — rozległo się za plecami Clintona.

— Wracaj do koni, Phil — głos Gerstaeckera brzmiał spokojnie i Indianin natychmiast cofnął się do wnętrza. Clinton odwrócił się powoli.

Stali kilka kroków od niego. Policjant o bladej twarzy, trzymający w trzęsących się rękach karabin, i Steiner — Clinton poznał go od razu. Uśmiechnął się zimno, nie spuszczać wzroku z Luttona.

— Witam, szeryfie. Spóźniliście się z pomocą. Musiałem sam sobie poradzić. — Rozłożył szeroko ręce.

— Kpisz sobie ze mnie, skurwysynu? — Steiner ruszył do przodu. — Trzymaj go na muszce! — rzucił za siebie. Zatrzymał się dwa kroki przed Clintonem.

— Odwróć się! Ręce na plecy! — Sięgnął po kajdanki. Clinton otarł

przedramieniem pot z czoła. Wydawało się, że gorące powietrze zgęstniało jeszcze bardziej. Poczłł powracające uczucie gniewu.

— Czemu to robisz? — zwrócił się do Steinera. — Jesteś policjantem. Złożyłeś przysięęę. Zamiast stać na straży prawa, stoisz na straży szubrawców i szumowin. Robisz to dla własnej korzyści. W dodatku dajesz zły przykład podwładnemu. — Clinton zerknął na Boltona. Lufa winchestera podrygiwała w roztrzęsionych dłoniach policjanta.

— Wyciągnij ręce! — Lutton podniósł kajdanki. — Będiesz mógł wygadać się w biurze szeryfa. Mamy wygodne, jednoosobowe cele. Spodoba ci się u nas. — Wyszczrzył się złośliwie.

Nagle czknał, jak gdyby zakrztusił się kością. Twarda dłoń zacisnęła się na jego szyi, odbierając mu głos i oddech. Zdążył jeszcze zobaczyć kilka cali od swojej twarzy zimne, szare oczy i usłyszeć głośny szept: — Jesteś gnidą, Steiner, ale od dziś cienko będziesz śpiewał. Poczłł miazdzący uścisk między nogami. Byłby ryknął z bólu, ale dłoń Gerstaeckera nie puszczała jego krtani.

Ciałem Steinera zatrzęsły gwałtowne spazmy. Wyprężył się konwulsyjnie. Spomiędzy rozwartych warg wypłynęła strużka śliny. Gałki oczne niemal wyszły mu z orbit. Serce walnęło kilka razy jak szalone. Z bezwładnych rąk wysunęły się kajdanki i upadły na piasek. Lutton Steiner zemdlał, ale nadal tkwił przy piersi Gerstaeckera, podtrzymywany uściskiem mocarnej dłoni. Głowa opadła mu na piersi.

Ponad jego bezwładnym ramieniem dwoje szarych oczu spojrzało na Freda Boltona.

Policjant krzyknął mimo woli. To, co wydarzyło się do tej pory, było dla niego wystarczająco brutalne. Pracował u Amosa Dorffa dopiero od kilku miesięcy. Tej nocy poczłł coś, czego jeszcze nie zaznał na służbie.

Poprzez parne powietrze wieczoru przedarł się zimny podmuch bezpośredniego zagrożenia. Coś na kształt tchnienia śmierci.

— Zabezpiecz broń, synu — usłyszał spokojny głos. — Natychmiast. Drugi raz nie powtórę. Chyba że życie ci zbrzydło. Pojedziemy na posterunek. Nie próbuj używać siły ani rznąć bohatera. Bohaterowie giną. Nie radzę ci tego sprawdzać.

Fred stał, zdezorientowany. Musiał przetrwać to, co usłyszał. Wreszcie zabezpieczył karabin.

— Dobrze — odezwał się lekko drżącym głosem.

— Nie masz wyjścia — zaśmiał się olbrzym. — Możesz odłożyć broń na miejsce. Ja zaniosę do radiowozu tego śmierzdla. — Bez trudu przerzucił

sobie nieprzytomnego Steinera przez ramię.

— Hej, Phil! — krzyknął w stronę stajni. — Wróć za dwie, trzy godziny! Jeżeli nie, zabierz konie i wracaj na rancho! Powiedz Monthy'emu, jak było! — Odwrócił się, nie czekając na odpowiedź i ruszył do radiowozu. Rzucił Steinera na tylną kanapę, obszedł auto i usiadł obok Boltona.

— Jedziemy, kolego. Zawiadam szeryfa.

— Już to zrobiłem. — Fred zerknął na pasażera. — To mój obowiązek — dodał.

— Jasne, rozumiem. Ruszaj. Kierowca jeszcze raz spojrzął na Clintona.

— To nie żart?

— Jedź już! — Gerstaecker omal nie parsknął śmiechem, pomimo niewesołej sytuacji.

Radiowóz zatrzymał się na placyku przed oświetlonym budynkiem posterunku. Bolton wyłączył silnik i gwałtownie otworzył drzwi. Brakowało mu powietrza.

— Idziemy? — zapytał. — Szeryf już przyjechał. — Wskazał na jeden z dwóch stojących przed wejściem radiowozów.

— Jasne. — Clinton skinął głową. — Prowadź. Weszli po schodach.

— Tędy. — Bolton otworzył drzwi.

W pomieszczeniu czekało trzech policjantów. Dwaj stali przy oknie po prawej stronie. Gerstaecker spojrzął na nich bez większego zainteresowania. Skierował wzrok w głąb sali, gdzie przy szerokim biurku siedział tęgi, siwy mężczyzna.

Szeryf Amos Dorff należał do ludzi, z których emanowała wewnętrzna siła. Miał ją wypisaną na twarzy. Clinton wyczuł to od pierwszej chwili. Krocząc za Boltonem, zbliżył się do biurka. Przystanęli. Gerstaecker słuchał raportu składanego przez policjanta. Szeryf milczał, nie spuszczając wzroku z aresztowanego. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Fred Bolton pominął kilka szczegółów. Clinton nie miał o to pretensji. Wersja funkcjonariusza brzmiała niedorzecznie. Nic nie trzymało się kupy. — Wystarczy, Fred. — Dorff spojrzął na policjanta i skrzywił się ostentacyjnie. — Napisz raport, może lepiej ci pójdzie. Twoje biurko jest wolne.

— Siadaj! — rzucił w stronę Clintona. Gerstaecker usiadł na krześle stojącym przed biurkiem. Dwaj policjanci przy drzwiach przerwali rozmowę. Obserwowali bieg wydarzeń. Dorff skinął na nich ręką.

— Przynieście tutaj Luttona. Mam nadzieję, że dojdzie do siebie. Tak będzie lepiej dla wszystkich obecnych. — Spojrzał w twarz aresztanta. — Nielicho narozrabiałeś. — Zabębnił palcami po gładkim blacie. — Pracujesz w Seven Pines?

— Tak. Od niedawna.

— Wiem. Inaczej znałbym twoją facjatę. Jak się nazywasz?

— Johns. Clinton Johns.

— Ach! Ten gość, który pomógł na szosie Elmerowi. Słyszałem. I co? Uważasz, że teraz możesz robić wszystko? Jesteś taki ważny? Napadasz na ludzi? Atakujesz policjanta? Nieźle, jak na początek. — Dorff zwrócił się do Boltona: — Zabrałeś mu broń, Fred?

— Nie miał broni, szefie.

— Ooo! — Szeryf uniósł brwi. — To coś nowego. Dość dziwne w tych stronach.

Clinton zachował milczenie. Przymknął powieki.

— Kto sprowokował bójkę? — szeryf zwrócił się do aresztanta.

— Czy mój funkcjonariusz dokładnie przedstawił tok wydarzeń, czy może chciałbyś coś dodać?

— Owszem. Ofiary mojej rzekomej napaści skopały przedtem jednego z naszych ludzi. Jest w stajni. Można to sprawdzić.

— Zaatakowałeś policjanta na służbie.

— Nie, szeryfie. To on zaatakował mnie. I nie zachował się jak policjant. Jego wyczyny miały wszelkie znamiona korupcji. Jesteś szeryfem, wiesz, co mam na myśli.

— Pozwalasz sobie na bardzo poufałą formę, przyjacielu. — Nawzajem, szeryfie. Dorff poczerwieniał na twarzy.

— Fred! — warknął w stronę Boltona. — Gdzie są dokumenty tego gościa?

— Ja... — zająknął się Bolton.

— Dobra! — Szeryf machnął ręką. — Obszukaj faceta! Natychmiast! Chcę mieć na biurku zawartość jego kieszeni.

Bolton podszedł do Gerstaeckera. Z górnej kieszeni jego bluzy wyjął portfel i położył go na blacie. Klepnął Clintona po bokach. Rozchylił bluzę i z kabury pod pachą wydobył czterdziestkę piątkę. Oczy szeryfa błysnęły.

— Nosimy ukrytą broń? — zapytał słodkim głosem. — Mamy pozwolenie na noszenie ukrytej broni?

Zanim Clinton zdołał odpowiedzieć, do biura wszedł jeden z policjantów.

Jego twarz była czerwona jak burak.

— Wezwaliśmy ambulans, szefie. Z Luttonem jest kiepsko. Ten skurwysyn — wskazał na aresztanta — zmiążdżył mu jaja. Steiner jest półprzytomny. Tarza się z bólu i wrzeszczy. Parrent jest przy nim.

— W porządku. — Dorff głośniejsz zabębnił palcami. — Takie z ciebie ziółko? Nosisz ukrytą broń, kaleczysz ludzi. Cóż, widywałem już takich jak ty. Wiem, jak sobie z nimi radzić. Chyba popełniłeś błąd, przybywając w te strony, Clintonie Johns. A może nie Johns?

— Szeryf sięgnął po portfel.

— Kilka osób powiedziało mi, że jesteś dobrym szeryfem — odezwał się spokojnie Clinton. — Czyżby się mylili? Czyżby szeryf Restburga miał w dupie prawo. Nie słyszysz czy nie chcesz słuchać? To ja byłem przedmiotem napaści. Miałem prawo do obrony koniecznej. Wiesz o tym doskonale, szeryfie. Wiesz, że twój zastępca to wazeliniarz i człowiek bez zasad. Dostał to, na co zasłużył. Powinien był stanąć w mojej obronie, ale ruszył dupę z radiowozu dopiero wtedy, gdy ten bydlak Rusty zarył mordą w piasek. Prosiłem Steinera, żeby dał mi spokój. Doskonale widział, jak się sprawy miały. Zapytaj swojego funkcjonariusza, szeryfie. Może w końcu zdecyduje się powiedzieć prawdę?

— Nie muszę. Wiem, co o tym myśleć — mruknął Dorff. W jego głosie zabrzmiała nuta irytacji.

Bez pośpiechu otworzył portfel Clintona. Wydobył z niego trochę gotówki i dokumenty. Rzucił na nie okiem. Podniósł wzrok i spojrzął na aresztanta. Jeszcze raz przejrzał dokumenty, po czym odłożył je delikatnie na bok. Ponownie spojrzął na twarz Clintona. Tym razem jego wzrok był zamyślony, jakby nieobecny.

— Fred — odezwał się nienaturalnie spokojnym głosem. — Idź z Johnem na dwór. Zajmijcie się Luttonem. Niech nikt mi teraz nie przeszkadza. Rozumiecie?

Obaj policjanci skinęli głowami, ruszając do wyjścia. Przez moment słychać było odgłos oddalających się kroków. Po chwili wszystko ucichło. Jedynie spoza okiennej siatki dobiegał szmer przyciszonej rozmowy.

Szeryf i Clinton zostali sami.

Dwaj mężczyźni przyglądali się sobie w zupełnej ciszy. Przerwał ją Dorff.

— Szeryf Clinton Gerstaecker z Kentucky. Syn Eliaha?

— Tak. Ojciec nie żyje.

— Wiem. Wiele lat temu miałem okazję go poznać. Na zjeździe w Atlantic City. Był żywą legendą. Należał do dziesiątki najlepszych w kraju. Słyszałem później, że jego trzech synowie również zostali szeryfami.

— Rodney nie żyje. Był najstarszym z nas. Zastrzelono go.

— Przykro mi to słyszeć. Ty jesteś Clinton. Byłeś szeryfem Green Doll. Zrezygnowałeś? Ja dobijam do siedemdziesiątki i nadal pracuję.

— Zrezygnowałem. Musiałem.

— Podpadłeś? Chcieli cię zwolnić?

— Przeciwnie. Chcieli, żebym został szeryfem okręgu. Odmówiłem. Musiałem wyjechać. — Tutaj, na Północ?

— Tak.

— Clintonie Gerstaecker. Nic nie dzieje się bez powodu. Chciałbym poznać ten powód. Nie sądzę, żebyś przyjechał do rodziny. Mam rację?

— Jediną rodziną, jaka mi została, jest mój brat Milton i jego żona. Milton jest szeryfem Eltonville w Alabamie.

— A ty? Jesteś samotny? Nie założyłeś rodziny?

— Miałem żonę. Nie żyje.

— To smutne. Choroba?

— Nie wiem, czemu to takie interesujące. — Szare oczy pociemniały. — Nie, to nie choroba. Morderstwo. Zastrzelono ją w przededniu mojej niedosłej nominacji na szeryfa okręgu.

Dorff otworzył szerzej oczy.

— Boże! Okropne! Współczuję. Ujęto sprawcę?

— Jak dotąd nie. To było zabójstwo na zlecenie.

— Skąd ta pewność? Są jakieś poszlaki?

— Być może.

— Chyba zaczynam rozumieć. — Dorff przymknął powieki. — Niech zgadnę. Śledztwo utknęło, a prowadzący nie wiedzą nawet tego co ty, prawda?

— Możliwe. Zapadła krótka, kłopotliwa cisza. Szeryf spojrzął raz jeszcze na potężnego mężczyznę. Westchnął i skrzywił się z niesmakiem.

— Szukasz go na własną rękę? Przecież jesteś policjantem.

— Byłem.

— Aha, tak to widzisz. Niech będzie. Czy on mieszka tutaj, w moim mieście?

— Myślę, że nie. Już nie.

— Dobrze. Nie przeciągajmy tej rozmowy — w głosie Dorffa zabrzmiała nuta niechęci. — Długo zamierzasz u nas zabawić?

— Jeszcze kilka dni, może krócej. — OK. Do rzeczy. Wypuszczę cię. Domyślam się, jak musiała wyglądać dzisiejsza nieszczęsna historia. — Szeryf uśmiechnął się złośliwie. — Żałuję, że nie widziałem jak ten buc, Rusty, zarył w glebę. Mój zastępca, Lutton, popisał się wyjątkową głupotą, ale nie jest taki zły, jak ci się wydaje. Mam nadzieję, że się wyliże.

— Na pewno.

— To w porządku. Do czasu twojego wyjazdu nikt nie będzie cię niepokoił. Gwarantuję, chociaż nie podoba mi się to, co robisz. Mam nadzieję, że znikniesz na zawsze z mojego okręgu. Tak będzie lepiej dla wszystkich. Radzę jeszcze raz zastanowić się nad sytuacją, chociaż obawiam się, że nie posłuchasz mojej rady. Mimo wszystko współczuję, szeryfie Gerstaecker. Chciałbym wierzyć, że nie zrobisz niczego głupiego, jeśli uda ci się go przyskrzynić. Zajmie się nim prawo. Nie muszę chyba tego tłumaczyć, prawda?

— Jasne. Jeżeli go kiedykolwiek dorwę, na pewno przekażę go policji. — Clinton zaczął zbierać z biurka swoje rzeczy.

„Akurat”, pomyślał Dorff. Wiedział, czym to się skończy. Zbyt długo był policjantem. Zachował jednak swoje wnioski dla siebie. Wolał się nie zastanawiać, co zrobiłby on sam, gdyby ktoś rozwalił jego Suzanne.

Gerstaecker schował broń do kabury. Skinął szeryfowi głową. Nie chciał ryzykować podania ręki. Nałożył kapelusz i wolnym krokiem opuścił posterunek.

Policjanci zgromadzeni przy radiowozie poderwali się na jego widok.

— W porządku, chłopcy! — usłyszał za sobą głos szeryfa. — Ten człowiek jest wolny.

Kiedy ciemna sylwetka Clintona wtopiła się w mrok, Dorff podszedł do radiowozu. Uchylił tylne drzwi. Steiner odzyskał przytomność, ale wodził dokoła oszalałym wzrokiem i głośno rzęził.

— Spokojnie, Lutton. Zaraz przyjedzie ambulans. Trochę jeszcze poboli, ale wyjdiesz z tego. — Szeryf skrzywił się z niesmakiem, czując ostrą woń moczu i wymiocin. — Ciesz się, że żyjesz. Miałeś szczęście. — Szczęście? — zachrypiął z wysiłkiem Steiner. — Co pan, do cholery, gada, szefie?

— Nieważne. Powiem ci coś, Lutton. Jeszcze raz wytniesz taki numer, to nie tylko wywalę cię na zbity pysk, ale dopilnuję, żebyś trafił za kratki. Teraz pocierp sobie w spokoju. Zasłużyłeś. — Szeryf z rozmachem zatrzasnął

drzwi. — Gdzie, do diabła, ten cholerny ambulans? — warknął do policjantów. — Gdyby to była rana postrzałowa, Lutton dawno by się wykrwawił.

Jak gdyby w odpowiedzi, z oddali dobiegł dźwięk syreny nadjeżdżającej karetki.

— Phil!

— Jestem, szefie.

— Jak się czujesz?

— Mogło być gorzej. Tylko żebro, nic więcej.

— Jedź na rancho. Niech doktor Evans cię opatrzy.

— Zaczekam, szefie.

— Wykluczone. Już po wszystkim. Zostaw moją Księżniczkę. Wróć później.

— Co mam powiedzieć Duggowi?

— Że nic mi nie grozi. Muszę jeszcze z kimś pogadać. Powiedz mu, że wszystko w porządku. Kto pozbiarał tych skurwieli?

— Sami się pozbiarali. Trochę to trwało. Siedziałem w krzakach za ogrodzeniem.

— Słusznie. Gdybyś nawinał im się przed oczy, byłoby kiepsko.

— Dlatego się schowałem. Wolałbyś nie słyszeć, szefie, co o tobie mówili.

— Przeciwnie. — Clinton wyszczerzył zęby. — Chętnie bym posłuchał.

— Mam powtórzyć?

— Coś ty! Żartowałem. Wracaj do domu. Na pewno dasz sobie radę? — Jasne. To nie pierwsze złamane żebro w moim życiu. Taką mam pracę. Pęknięte żebro czy inny gnat to u nas normalka.

— Normalka, mówisz? OK. Pamiętaj, Phil, powiedz Dugganowi, że wszystko gra. Rozmawiałem z szeryfem. Powtórz mu. Nie chcę, żeby się martwił.

— Tak zrobię. Wiesz co, szefie?

— Co takiego?

— Wielki Duch obdarzył pana siłą szarego niedźwiedzia. Będę opowiadał o tym, co widziałem, moim synom.

— Masz synów, Phil?

— Dwóch. Piętnaście i dwanaście lat. Też mają dobrą rękę do koni.

— Jestem pewien, stary. Po ojcu. Bywaj! Spiesz się na spotkanie.

Noc. Duszne, parne powietrze. Najmniejszego tchnienia wiatru. Skóra pod ubraniem oblewa się potem. Śmierdzi przepocona bluza.

Daleki, głęboki pomruk przetacza się ponad niewidocznym horyzontem.

Gdzieś w oddali, na południowym nieboskłonie nocne niebo rozświetla sina poświata odległych błyskawic. Kolejne grzmiące echo przetacza się nad okolicą. Niebywały upał — zjawisko niespotykane w tych stronach o tej porze roku.

Shannon podeszła do drzwi. Delikatne pukanie sprawiło, że poczuła lekki dreszcz. Nie zdążyła się jeszcze położyć. Co więcej, nie czuła, zwykłego o tej porze, zmęczenia. Czekala, żeby ktoś zapukał do tych cholernych drzwi. Właśnie ten ktoś. Przekręcając gałkę, nie miała wątpliwości, kogo zobaczy. Nie pomyliła się, lecz mimo to, uchyliwszy drzwi, cofnęła się o dwa kroki.

Clinton nie wyglądał najlepiej. Całe jego ubranie pokrywał grubą warstwą kurzu, tworząc w miejscach zetknięcia z potem ciemną, sztywną skorupę. Gerstaecker wyglądał niczym dzieciak, którego dreszcz zaskoczył podczas zabawy w piasku. Zobaczyła bladą twarz, sklezione potem włosy i ciemną powłokę zakrzepłej krwi poniżej ucha. Spojrzała w szare oczy, które teraz pociemniały w nienaturalny sposób.

— Mogę wejść?

Skinęła głową. Czuła ostrą, piekącą suchość w ustach i krtani. Może była to wina tego nieznośnego upału, a może nie.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi. Stanęli naprzeciw siebie. W pierwszym odruchu chciała wtulić się w jego ramiona, ale jakaś część jej podświadomości powstrzymała ją przed tym krokiem. Jeszcze raz obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Poczula mimowolny dreszcz na widok jego potężnej piersi, wyłaniającej się spod rozpiętej koszuli.

Shannon Sullivan była prostą dziewczyną. W swoim erotycznym życiu kierowała się częściej intuicją niż rozumem. Nie była ograniczona. Była na miarę czasu i miejsca, w którym wypadło jej żyć. Jeszcze raz spojrzała w te szare — teraz ciemnoszare — oczy. Na karku, u podstawy szyi, poczuła ukłucie nerwów. Nie były to tak zwane ciarki. Raczej coś, co umiejscowiło się głębiej. Nie potrafiła tego określić. Nawet nie usiłowała. Potrząsnęła ramionami. Dreszcz ustąpił. Pozostało coś, do czego nie chciała się przyznać. Strach. Nie jakaś lekka nuta lęku. Strach. Poczucie grozy. Shannon nie była w stanie zdefiniować tego zjawiska. Sama nie w pełni je rozumiała.

Patrzyła na mężczyznę, który podbił z marszu jej serce. Zauroczył ją, jak nikt dotąd, budząc w niej uczucia namiętności i nadziei. W tej chwili wydało się jej, że jest kimś innym. Jak gdyby porzucił zewnętrzną maskę, której do tej pory używał.

— Siadaj, Clint — szepnęła. Jej własne słowa przełamały wewnętrzną blokadę. Uśmiechnęła się i zrobiła to, co bała się zrobić na początku. Postąpiła krok naprzód i przytuliła się do jego piersi. Poczowała na plecach mocny uścisk potężnych dłoni. Westchnęła z ulgą.

— Napijesz się? — zapytała. Nic innego nie przyszło jej do głowy.

— Chętnie. Masz szkocką?

— Mam. Całkiem niezłą. Sama też się chyba napiję. — Zalejemy pałę, Shannon?

— Ty wariacie! — Dotychczasowa sztywność prysła. — Przychodzisz poobijany, jakbyś ujeżdżał tęgiego byka, i chcesz tak po prostu zalać sobie pałę? Do tego ze mną?

— A z kim, jeśli nie z tobą? — Uśmiechnął się szeroko. Jego oczy wyglądały w tej chwili normalnie. Pomyślała, że może wszystkie lęki i uczucie zagrożenia były jedynie następstwem tej paskudnej wrześnieowej nocy.

Podeszła do barku i naląła dwie solidne porcje szkockiej. Postawiła szklanki na stoliku i usiadła naprzeciw Clintona. Już po pierwszym łyku poczuła się o niebo lepiej.

— Jak tam zawody? — zapytała, starając się nie patrzeć na stróżkę zakrzepłej krwi.

— Nie wiesz? Nie byłaś w pracy?

— Byłam. Jasne! Pomyślałam tylko... — umilkła, zakłopotana.

— O czym? — Spokojny, może zbyt spokojny głos.

— OK. Pomyślałam, że ty też brałeś udział w jakichś zawodach. Mam rację?

— Masz. Już po wszystkim. Wygląda na to, że wygrałem.

— Gratuluję!

— Dziękuję. — Lekki grymas bladej twarzy nie uszedł jej uwagi.

— Clint! Czy naprawdę wszystko jest w porządku? Pociągnął solidny łyk trunku i spojrzął jej prosto w oczy.

— Nie jest — odparł spokojnie. — I nigdy nie było, Shannon. To znaczy nie było już wtedy, kiedy tu przyjechałem.

— Czy twój wygląd ma z tym coś wspólnego? — Znowu poczuła

mrowienie na karku.

— Mój wygląd? Och, nie! — Uśmiechnął się niedostrzegalnie. Mrowienie na karku przybrało na sile. Kiedy sięgała po szklanę, jej ręka lekko drżała.

— Czy ma to coś wspólnego z moim bratem? Czy chodzi o Briana? — Jej policzki poczerwieniały. — W pewnym sensie. — Umilkł zakłopotany. Naraz uniósł głowę, pochylił się nad stołem i spojrzał jej prosto w oczy. — Potrzebuję twojej pomocy, Shannon. — Nie odrywał od niej wzroku.

— To dlatego okazałeś mi zainteresowanie? — Poczowała, że wzbiera w niej gniew.

Potrząsnął przecząco głową.

— Nie, nie dlatego — skłamał. — Kiedy się poznaliśmy, nie miałem pojęcia, że jesteście rodzeństwem. Zresztą Brian niezbyt mnie interesuje. Chodzi mi o jego koleśka, o tego macho, Franka.

Odsunęła się od stolika. Rumieńce na jej twarzy nabrały krwistego koloru.

— Czego u nas szukasz, Clint? — zapytała obcym, chrypiącym głosem. — Masz coś do nich? Zamierzasz skrzywdzić mojego brata?

— Jezu! Opanuj się. — Podniósł dłoń. — Przeciwnie. Kiedy się z nimi spotkam, uwolnię Briana od złego towarzystwa. Zdawało mi się, że tego właśnie chciałaś.

Przyglądała mu się chłodnym, uważnym wzrokiem. Zaciśnęła usta. Zrozumiał, że powiedział za dużo. Zaklął w duchu. Musiał jakoś z tego wybrnąć.

— Wiesz — ponownie spojrzał w jej zielone oczy — Frank jest gorszy, niż myślałaś. Ciągnie twojego brata w prawdziwe bagno. Gorsze niż prochy, dużo gorsze.

— Nie wiem, o czym mówisz... — Jej wzrok nadal pozostawał czujny. Wiedział, że czuje się oszukana, że popełnił błąd. Ale klamka zapadła. Nie zamierzał się cofać.

— Ależ wiesz. — Zniżył głos. — Wiesz doskonale. Albo przynajmniej się domyślasz. Te kontrakty, o których wspomniałaś...

— Nie wspominałam o żadnych kontraktach. Możemy porozmawiać kiedy indziej? Jestem zmęczona.

— Nieprawda. — Szare oczy zamieniły się w dwie lodowate szczeliny. — Jesteś przerażona. Widzę to wyraźnie. Niepotrzebnie — skłamał ponownie. — Brianowi nic nie grozi. Mam sprawę do bladego Franka. —

Skąd wiesz, że jest blady? Nie powiedziałam ci o tym. Wiesz, ta rozmowa zaczyna mnie męczyć. Byłam naiwna. Myślałam, że między nami może się coś zawiązać.

— Ja nadal tak myślę.

— Przestań kłamać! Kłamiesz przez cały czas. Jak wszyscy faceci, których znałam przed tobą.

— Ty także kłamiesz, Shannon. Chcesz chronić brata. Mogę zapalić? — Sięgnął po popielniczkę.

— Nie pal! Jest zbyt duszno, a mnie brakuje powietrza.

— Jasne. Przepraszam.

— Nie przepraszaj! Zostaw mnie w spokoju. Jesteś z FBI?

— Jestem z Południa i przybyłem tutaj prywatnie. Nie zaprzeczam, szukam Franka i Briana. Mam z nimi niezłatwioną sprawę.

— Chyba rozumiem. Oszukali cię przy dostawie?

— Przeciwnie. Dostarczyli towaru w nadmiarze i nie wzięli ode mnie ani centa.

— Wiesz co, Clint? Odpieprz się! Idź do diabła, zanim wezwę szeryfa.

— Nie musisz. Wyjdę, ale najpierw powiem ci prawdę, której tak bardzo się domagasz. Tego chciałaś, nie?

Skinęła głową i mimowolnie przełknęła ślinę. Poczła nagle, że wypita whisky podchodzi jej do gardła. Intuicyjnie wyczuła, że istotnie usłyszy prawdę. Prawdę, której bała się usłyszeć i o której starała się nie myśleć.

— Mów — szepnęła chrapliwie. W ustach zaschło jej zupełnie. Poczła strużki potu spływające po piersiach i plecach. Clinton odchylił się do tyłu.

— OK, moja droga, ale uprzedzam, moja prawda jest przeznaczona tylko dla twoich uszu. Powierzam ją kobiecie, na którą zwróciłem uwagę. Pierwszy raz od długiego czasu. Jeżeli podzielisz się tą prawdą z kimkolwiek, mogę mieć kłopoty. Ja zazwyczaj radzę sobie z kłopotami. To moja specjalność. — Coraz lepiej. Grozisz mi?

— Uprzedzam cię. To wielka różnica.

— Nie boję się ciebie — skłamała. — Jaka jest ta twoja historia? Na dużo cię nacięli?

— Na bardzo dużo. Na wszystko, co miałem.

— Mogę porozmawiać z Brianem. Może dałoby się to odkręcić? — jej ton nieco złagodniał.

— To niemożliwe, Shannon. Na początku sierpnia dwaj mężczyźni odwiedzili mój dom. Nie przyjechali do mnie. Wiedzieli, że musiałem

wyjechać. Przyjechali do mojej żony. Do kobiety, z którą przeżyłem większość życia. Nie mam dzieci. Cynthia była wszystkim, co miałem. Zamordowali ją. Taki mieli kontrakt — na ostatnie słowo Clinton położył nacisk. — Przyjechali stąd, z Restburga. Rudy kierowca i blady płatny morderca, noszący się po meksykańsku. Łapiesz, Shannon? Moja żona była dobra i serdeczna. Nigdy w życiu nikogo nie skrzywdziła. Ten macho wpakował jej w głowę pięć kul. Żeby przypadkiem nie przeżyła. Tak wyglądają kontrakty twojego brata. Siedział w samochodzie. Nie strzelał, ale cóż to zmienia?

— Przepraszam! — przerwała, wstając gwałtownie. — Muszę do łazienki.

Przez pewien czas słuchał odgłosów torsji dobiegających spoza oszklonych drzwi. Kiedy wreszcie wyszła, miała czerwone, załzawione oczy i twarz bladą niczym kreda. Poruszała się ostrożnie, jak gdyby bała się rozsypać. Usiadła w fotelu i opuściła głowę. Położyła dłonie na orzechowym blacie. Patrzył na jej drżące palce. Po dłuższej chwili podniosła wzrok. Nie potrafił określić wyrazu jej podpuchniętych oczu.

— Masz naprawdę na imię Clint? — zapytała głuchym głosem. Skinął potwierdzająco głową. Zmęczonym ruchem otarła kącik oka.

— Dobrze. Niech będzie, co ma być. Czuję, że powiedziałeś prawdę. Brian wziął udział w morderstwie. Prawdopodobnie nie po raz pierwszy. Powiadomiłeś policję? — Prowadzą śledztwo, ale nie wiedzą, gdzie szukać sprawców, choć mają ich rysopisy pamięciowe.

— Jak w takim razie udało się tobie?... Z kieszeni na piersi wydobyl niebieski bilet. Położył go na stole.

— Zgubili to na miejscu zbrodni.

— Rozumiem. — Zerknęła na kartonik. — Czemu nie przekazałeś tego policji? Nie musisz odpowiadać. — Uśmiechnęła się smutno. — Znam odpowiedź. Jesteś, jak to mówią, *desperado*. Zamierzasz załatwić to sam. Mam rację?

Nie odpowiedział. Spojrzała na jego bladą twarz i zlepione potem włosy. W jej oczach zakręciły się łzy. „Boże!”, westchnęła w duchu.

„Za co mnie karzesz. Spotkałam wreszcie mężczyznę, o jakim marzyłam, a on okazuje się zabójcą, dążącym uparcie do celu. A tym cholernym celem jest Brian — także morderca. Czy ten świat oszalał?”

— Czego ode mnie oczekujesz? — Podniosła głowę. — I co oferujesz w zamian?

— Potrzebuję wskazówki. — Zapalił papierosa, nie pytając o zgodę. — Muszę do nich dotrzeć. Jeżeli mi pomożesz... — zawahał się przez chwilę — oszczędzę twojego brata.

Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu. Odezwała się, kiedy kończył papierosa.

— Nie wiem, gdzie mieszka ten pieprzony Kelly. Ma rodzinę gdzieś w Arizonie czy w Nowym Meksyku. Stamtąd pochodzi. Ale z Brianem spotykał się gdzieś bliżej. Może w Idaho albo Wyomingu? Nie wiem dokładnie. Mieszka na kocią łapę z jakąś Metyską. To wszystko, co wiem, ale mogę wskazać kogoś, kto może wiedzieć więcej. Faceta, który zna wszystkie miejscowe ploteczki, choć mieszka na rancho.

— U Dorffa?

— Nie. — Uśmiechnęła się melancholijnie. — W Seven Pines. Widujesz go pewnie codziennie.

— Kto? — Oszczędzisz Briana? Brzydzę się nim, ale to mój brat. Więc jak?

— Obiecałem. Nazwisko tego człowieka, Shannon.

— Joe Beaver. Stary indiański mechanik. Ma w mieście bardzo liczną rodzinę. Jest żywą encyklopedią ciekawostek Restburga.

Clinton westchnął. Jezu! Miał gościa pod ręką codziennie. Wstał z fotela.

— Porozmawiam z nim. Dziękuję. Chyba już pójdę.

— Idź. Chcę się położyć.

— Jasne. Do zobaczenia, Shannon.

— Żegnam. Nie sądzę, żebym chciała cię jeszcze kiedykolwiek zobaczyć. Współczuję ci, ale cię nie rozumiem i nie chcę rozumieć. Mam nadzieję, że dotrzymasz słowa.

Położył dłoń na klamce, otwierając drzwi. Siedziała przy stoliku. Po raz ostatni spojrzął w zielone, błyszczące od łez oczy. Kiwnął głową i wyszedł w gęsty mrok, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Przez dłuższy czas siedziała nieruchomo. Patrzyła w mrok za szybami i czuła się podle, jak nigdy dotąd. Upłynął kwadrans, nim poruszyła się w fotelu. Sięgnęła pod blat po paczkę papierosów. Zaciągnęła się łapczywie i dopiła resztkę whisky. Jej policzki poczerwieniały. Czuła dziwne swędzenie na skórze. Potrząsnęła głową. Otarła spoconą twarz rękawem aksamitnej bluzki — tej, którą zakładała na wyjątkowe okazje. Powoli wstała z fotela. Pochyliła się nad stolikiem i wdusiła niedopałek do popielniczki.

Podeszła do małej komody, na której stał telefon. Podniosła słuchawkę i

wystukała numer. Dłuższą chwilę czekała na połączenie. W końcu usłyszała znajomy głos.

— Halo!

— Cześć, Brian. To ja.

— Shannon? Co się stało? Coś złego?

— Chyba tak. Przyjechał tutaj pewien człowiek. Szuka ciebie i Franka.

— No i? Coś nadzwyczajnego? Może to klient? — Nie, Brian. To nie klient. Chociaż chce wam zapłacić.

— Możesz mówić po ludzku? Jak się nazywa?

— Clinton Johns. Przybył z Południa. Twierdzi, że zabiliście jego żonę.

— Aha... — Głos z drugiej strony słuchawki zamilkł na chwilę.

— Takie buty! Co mu powiedziałaś?

— Niewiele. Niewiele wiem. Skierowałam go do Beavera.

— Do kogo? Oszalałaś?! To tak, jakbyś dała mu nasz adres! Ogłupiałaś, Shannon?

— Może. Nieważne. Chciałam cię tylko uprzedzić. Może lepiej by było, gdybyś rozstał się z Frankiem. Jedź do Kanady albo do Meksyku.

— Rozum ci odjęło?

— Nie, braciszku. Tylko wiesz, on wygląda na twardego faceta.

— Kurwa! — rozległo się po drugiej stronie linii. — Wiem, jak wygląda.

A ty jesteś głupia jak but. Musiałaś dać mu namiar na Beavera?

— Musiałam.

— Bił cię?

— Nie. Nie musiał.

— Nie rozumiem.

— Wiem, Brian. Nigdy nie rozumiałaś. Posłuchaj... — Mocniej ujęła słuchawkę. — Zjeżdżaj stamtąd, gdziekolwiek jesteś. Jak najdalej. Inaczej będzie po tobie.

— Jasna cholera! Pieprzyć to wszystko! — usłyszała podniesiony głos brata i trzask odkładanej słuchawki. Wróciła do stolika. Opadła na fotel. Czuła się tak, jak gdyby zeszło z niej powietrze. Drżała na całym ciele, aż po koniuszki palców. Wolnym, na wpół sennym ruchem sięgnęła po butelkę. Nalała sobie pełną szklankę bursztynowego trunku. Pociągnęła kilka drobnych łyków. Jeszcze nigdy szkocka whisky nie smakowała jej jak w tej chwili.

Zapaliła kolejnego papierosa i pograżyła się w myślach. Nie analizowała swojego postępowania. Nie obchodził ją los Beavera, choć rozumiała, że

gość może mieć kłopoty. Nie myślała nawet o Brianie. Myślała o sobie i swoim zafajdanym życiu. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek pojawi się ktoś pokroju Clintona, kto zostanie z nią na dłużej. Poczwała łyzy, mimowolnie napływające do jej oczu.

Joe Beaver nie mieszkał z resztą indiańskich pracowników w barakach osiedla dla personelu. Zajmował dwupokojowe mieszkanie na tyłach warsztatu. Od czasu śmierci żony — niemal od trzech lat — zamieszkiwał w nim jedynie z szesnastoletnią córką. W pokoju Candy znajdowała się obszerna wnęka kuchenna. Pokój Beavera przylegał do korytarzyka łączącego mieszkanie z warsztatem. Idąc do pracy, musiał przebyć pięć jardów, zejść po dwóch betonowych stopniach — i to wszystko.

Tego ranka, kiedy wszyscy nadal czekali na burzę, która nie nadeszła, Joe obudził się jak zwykle, o piątej. Otworzył oczy, spojrział w okno i pociągnął nozdrzami. Poczwał wspaniałą woń smażonego bekonu. Dawniej, będąc dzieckiem, nie wiedział nawet, co znaczy słowo „bekon”. Dziś było inaczej. Miał stałą pracę. Czasy się zmieniały i nikt nie traktował Indian jak obywateli trzeciej kategorii. Tutaj, w Montanie, populacja Indian należała do najliczniejszych w Stanach. Liczyli się zaraz po białych. Trzecia i czwarta kategoria zostały zarezerwowane dla Murzynów i „żółtków”. Joe nie miał pojęcia, kto to jest „żółtek”. Nigdy żadnego nie widział. Słyszał o nich jedynie, podsłuchując w barach rozmowy weteranów z Wietnamu. Z rozmów tych wynikało, że „żółtki” zerżnęli Amerykanom dupę znacznie skuteczniej niż sto trzydzieści jeden lat temu niejaki Tashunka Witco, Szalony Koń, wojenny wódz Oglalów. Szalony Koń był wzorem dla Joego Beavera. Nie tylko dlatego, że rozpieprzył regularny oddział amerykańskiej kawalerii, ale także z przyczyn sentymentalnych. Wiele razy pobratymcy wytykali Joemu związek z białą kobietą. Wspominał wtedy Szalonego Konia, który po śmierci Czarnej Chusty, swojej ukochanej żony, kierowany namowami bliskich oraz oficerów z fortu, ożenił się powtórnie z Nellie, córką Joego Lorrabee, przedstawiciela agencji. Beaver potrafił cieszyć się tym, co ma. Dziękował Wielkiemu Duchowi, że nie został sam. Candy zastępowała mu zmarłą żonę. Dbała o wszystko. Łatała dziury w jego roboczym ubraniu, prała, prasowała i podlewała kwiaty, które pozostały po jej matce. Anetta Beaver kochała kwiaty. Poświęcała im wiele czasu. Rozmawiała z nimi, głaskała je, przekonując Joego, że kwiaty mają duszę. Miała indiańską naturę, chociaż nie była Indianką. Ich związek trwał wiele lat i Joe nigdy nie

pogodził się z jej śmiercią.

Umarła na raka trzustki w miejskim szpitalu, w Miles City. Przez cały czas miała doskonałą opiekę medyczną. Elmer Sunside o to zadbał, a Joe nigdy nie zapomniał jego dobroci. A jednak Anetta odeszła. Gdyby nie Candy, Joe nie podniósłby się po tej tragedii.

Tego ranka leżał, patrząc w okno. Nic nie stało się nocą, nic nie zapowiadało niczego złego. On jednak czuł, że coś się wydarzy. Posiadał tę magiczną zdolność przewidywania, daną niewielu ludziom.

Westchnął i poruszył palcami stóp. Woń smażonego bekonu pobudziła jego zmysły. Odgarnął pled i usiadł na łóżku. Bose stopy dotknęły ciepłych desek podłogi. Przełknął ślinę i sięgnął do kubeczka na nocnej szafce, w którym trzymał zapas tanich cygar. Zawsze zaczynał dzień od cygara. Niemal pieśzcotliwym ruchem wydobyl z kubeczka pierwsze z brzegu. Przesunął je między palcami. Zaszleściły liście suchego tytoniu. Joe sięgnął po zapalniczkę. Nigdy nie przycinał końcówki cygara. Odgryzał ją i wypluwał do szerokiej szklanej popielnicy. Zrobił to także tym razem. Poczul w ustach ostry smak tytoniowej śliny.

W tej chwili usłyszał pukanie do drzwi.

— Otwarte — mruknął głośno, krzywiąc się z niechęcią. Nie znosił wizyt w porze śniadania. Mógł, jak inni, jadać w stołówce i czasami to robił, ale zazwyczaj zjadał śniadanie z Candy. Były to ich wspólne chwile, swoisty rytuał, pozostały po lepszych czasach, gdy żyła Anetta. Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Beaver zobaczył Johnsa — gościa, którego ochrzcił przydomkiem „Grizzly”.

— Nie przeszkadzam? — Johns zajrzał do środka.

— Ani trochę — skłamał Beaver. — Proszę do środka, szefie. Clinton wszedł, zamykając za sobą drzwi.

— Nie zajmę ci wiele czasu, Joe. Chcę tylko chwilę porozmawiać. Pięć minut, OK?

— Jasne, czemu nie? Siadaj. — Indianin zapalił cygaro. Rzucił szybkie, ukradkowe spojrzenie na gościa. Jego uwadze nie uszedł ciemny, niedomyty skrzep za uchem Johnsa, zlepione potem włosy i dziwnie błyszczące oczy. Te ostatnie zaniepokoiły go najbardziej. Widywał tego człowieka codziennie od kilku tygodni i zdążył przyzwyczać się do sennego spojrzenia olbrzyma. Wiedział, że to tylko pozory, niemniej każdego dnia oczy Johnsa były takie same — jak gdyby martwe. Aż do dziś.

Dzisiaj lśniły dziwnym blaskiem. Migotały w nich niepokojące, ostre iskry. Beaver znalazł się na ludziach. Nie musiał główkować, żeby domyślić się, iż tej nocy coś nadzwyczajnego musiało spotkać Johnsa. Zwyczajem wszystkich swoich braci, zachował kamienny spokój.

Uprzejmym gestem wskazał Clintonowi fotel po przeciwnej stronie stolika. Musiał użyć całej siły woli, żeby nie okazać swoich uczuć.

Joe Beaver był jednym ze starszyny Arapaho w tym okręgu. Znał tajniki przyrody, a także sekrety ludzkiej osobowości. Nazywał to zjawisko „wejzeniem w głęb ducha”. Nie wiedział dokładnie, dlaczego nazwał Johnsa imieniem Grizzly. Nie wiedział do tej pory. Teraz zrozumiał.

Wraz z przybyszem wtargnęła do jego pokoiku aura zagrożenia i śmierci. Irracjonalna, a jednak prawdziwa ponad wszelką wątpliwość.

„Wielki Duchu! Obym potrafił to przetrzymać!” Pierdnął mimo woli.

— Przepraszam, szefie! — Nie ma za co. Nie chciałbyś słyszeć mojego „pierdu”. To prawdziwe tornado. — Johns się roześmiał, a Joe zawtórował mu sztywno. Opanował się jednak natychmiast.

— Coś nie gra, szefie? Mam jakąś robotę do wykonania? — Doskonale wiedział, że nie chodzi o żadne zlecenie. Nie zdziwiła go odpowiedź gościa.

— Przyszedłem prywatnie, Joe. Potrzebuję twojej pomocy. Niektórzy twierdzą, że wiele wiesz.

— O czym?

— O mieście, o ludziach.

— To prawda. — Oczy Indianina nawiązały kontakt z szarymi, roziskrzonymi oczami Johnsa. — Masz problem, szefie?

— Nawet spory.

— I ja mam ci pomóc?

— Jeżeli potrafisz.

— Więc mów. Moje uszy są otwarte. — Joe wydmuchnął siwy kłęb dymu z cygara.

— OK. — Johns wyciągnął papierosy. — Mogę? — zapytał.

— Jasne. Jesteś pierwszym, który zapytał. To miło z twojej strony. Clinton zapalił papierosa i wydmuchnął niewiarygodnie długą smugę dymu. Joe nigdy czegoś takiego nie widział.

— Masz niezłe płuca. — Uśmiechnął się sztucznie. Nadal był spięty.

— Nie narzekam. — Johns rozparł się w fotelu. — Szukam kogoś, Joe. Szukam dwóch ludzi. — Niemal wypluł to zdanie. — Oni są tutejsi. Jest szansa, że możesz ich znać. Podobno znasz wszystkich w tym grajdole.

— W czym?

— Nieważne. Posłuchaj. Znasz Shannon Sullivan? Indianin kiwnął głową w milczeniu.

— A jej brata, Briana? Ponowne milczące kiwnięcie. — A znasz niejakiego Franka Kelly’ego?

— Franca? — Cygaro rozżarzyło się gwałtownie. — Tego mieszańca?

— Tak, właśnie jego. Muszę się z nim spotkać, ale on podobno nie mieszka w Restburgu?

— Mieszka niezbyt daleko. — Joe poczuł gęsią skórę na nagich ramionach. — To twój przyjaciel, szefie?

— Powiedzmy, dobry znajomy.

— Ach tak?! — Cygaro ponownie zaświeciło żarem. Ciemne oczy błysnęły. — Twój „dobry znajomy” mieszkał u nas dość długo. Mój starszy brat, Swann, pracował razem z nim u Cyrusa Dorffa. Franco przyjechał tutaj z Bright w Wyomingu, ale jego rodzina mieszka w Arizonie. Chyba na wschód od Tucson. Nie wiem dokładnie, ale dobrze pamiętam nazwę tej miejscowości. Zawsze pamiętam nazwy. To podobno nieduża miejscowość. Coś jak nasz Restburg. Nazywa się West Apache.

— Na pewno?

— Na pewno. To nazwa, którą Indianin zawsze zapamięta. Pewnie tego nie rozumiesz, szefie.

— Lepiej, niż ci się wydaje. A ta miejscowość w Wyomingu? Stamtąd przyjechał, tak? Dobrze cię zrozumiałem?

Joe Beaver ponownie skinął głową.

— Czemu stamtąd? Czemu nie z West Apache? Ma tam kogoś?

— Ma przyjaciółkę, półkrwi Indiankę. Ale mieszka u swojej starszej siostry. Jej mąż jest jakąś szychą w tej miejscowości.

— Jaką?

— Nie wiem.

— Nazwisko?

— Nie wiem. Skąd ja mogę wiedzieć o takich rzeczach? — Joe rozłożył ręce. — Wiem tylko, że ich rancho nosi nazwę Lonstone. To kilka mil od samego Bright. To naprawdę wszystko, co wiem. Pomogłem ci, szefie? — Bardzo. Jestem twoim dłużnikiem. Tak swoją drogą, cholernie dużo wiesz o tym mieście, Joe.

— Och, myślę, że mnie przeceniasz, szefie. Mówisz miłe słowa. Po prostu interesuje mnie życie i świat, który mnie otacza.

— Ciekawe. Jesteś filozofem?
— Kim?
— Mniejsza z tym, Joe. Powiedziałeś mi więcej, niż oczekiwałem.
— Mogę powiedzieć jeszcze coś.
— Mów, słucham.
— Ten Franco to bardzo zły człowiek. Powiedziałeś, szefie, że on jest twoim „dobrym znajomym”...
— Owszem. Tak powiedziałem.
— Więc zapewne wiesz, że ten twój „dobry znajomy” ma na sumieniu sporo ludzi. Dobrze myślę?
— Może.
— Radzę na siebie uważać. Chociaż to „dobry znajomy”. Radzę niczego nie lekceważyć.
— Nigdy niczego nie lekceważę, Joe. Ale dzięki za radę. Indianin wykrzywił twarz w uśmiechu.
— Wiesz, szefie — kiwnął głową w stronę okna — pogoda wróciła do normy. Wszyscy myślą, że niepotrzebnie się martwili.
— Doprawdy?
— Tak. Ale nie mają racji. W ciągu najbliższej doby wiele się wydarzy. Wiele rzeczy ulegnie zmianie w Seven Pines. Będziesz ostrożny, szefie, prawda?
— Joe!
— Przepraszam, wiem. Zjesz z nami śniadanie?
— Dziękuję. — Clinton podniósł się z fotela. — Bardzo mi pomogłeś.
— Drobiazg. To miło, że mogę pomóc, szefie. Jesteś tego wart. Skąd taka opinia? — chciał zapytać Clinton, ale machnął tylko ręką. Jak na jeden raz, miał dosyć zgadywanek. Odwrócił się w progu. — Dzięki, Joe. Wybacz, że zakłóciłem ci spokój.
— Drobiazg — powtórzył Beaver. Kiedy drzwi zamknęły się za niezwykłym gościem, pociągnął nosem. Zapach bekonu sprawił, że nawet najbliższe godziny wydały mu się mniej ponure, niż miały być w istocie.

„NIE POZWÓL MI UPAŚĆ”

Dziękuję, mamo — Aidan Sunside odsunął talerz i otarł usta serwetą. Tara skinęła głową i uśmiechnęła się do syna. Nigdy nie zapomniała podziękować po skończonym posiłku. Był miły i potrafił się zachować. Oboje — ona i Elmer — byli z niego dumni.

— Tato — Aidan zwrócił się do ojca — jeżeli nie masz dla mnie niczego pilnego, chętnie pokręcę się po okolicy. Wygląda na to, że niepotrzebnie zrobiliśmy tyle zamieszania.

Elmer machnął ręką. On także uśmiechnął się do syna, chociaż przez cały czas zerkał w wielkie kuchenne okno.

— Durni czerwoni wróżbiarze! — warknął ze złością. — Nie mają pojęcia o pogodzie. Tyle niepotrzebnej pracy!

— Znają się na tym, tato. — Młody Sunside pokręcił głową. — Wszystko zapowiadało ostrą burzę. Po prostu przeszła bokiem. — Aidan wstał od stołu. Podszedł do drzwi i sięgnął po kapelusz wiszący na dębowym wieszaku. — Przejadę się kawałek konno. Na wszelki wypadek wezmę kurtkę. — Wyszczyrzył się do ojca, choć zdawał sobie sprawę, że ten go nie słucha. Miał rację. Elmer Sunside przeżywał wewnętrzną rozterkę. Ulga, którą poczuł rano, widząc pogodne niebo, walczyła z uczuciem irytacji. Przez poprzednią dobę trzymał na nogach wszystkich swych pracowników. Najwyraźniej niepotrzebnie. Z drugiej strony patrząc, wszystkie znaki na niebie i ziemi zapowiadały nawałnicę. Nie mógł tego ignorować. Tylko człowiek przezorny ma szansę w walce z naturą. Gdyby nie oszczędność, z której był znany, nie zastanawiałby się niepotrzebnie nad tym wszystkim.

Sięgnął po ostatnią grzankę. Poczuł przyływ pozytywnych myśli. W sumie wszystko dobrze się skończyło. Nie poniósł żadnych strat, poza nadliczbowymi godzinami dla ludzi. A niech tam! Byli tego warci. Zatrudniał dobrych pracowników. Cóż znaczy te kilkaset dolarów?

Poza tym jego kowboje po raz kolejny wygrali doroczny konkurs w posługiwaniu się lassem. Zajęli dwa pierwsze miejsca.

Sunside uśmiechnął się złośliwie, na myśl o minie Cyrusa Dorffa. Posmarował grzankę masłem i nalał sobie jeszcze jeden kubek kawy.

Rozparł się wygodnie i popijając gorący napój, ponownie spojrzął przez szybę na plac tonący w porannych promieniach słońca.

Aidan osiodłał Cherubina, swojego ulubionego wałacha. Cenił jego umiarkowany temperament i wytrzymałość na trudy. Tego dnia zamierzał objechać całe pastwisko mustangów, aż do odległej linii lasów.

Wsunął winchester do futerału przy siodle. Pomyślał, że może przypadkiem trafi na młodą sarnę, których w okolicy było mnóstwo. Przydałaby się mała odmiana w menu. Skórzaną kurtkę przerzucił przez łęk siodła.

— Dokąd się wybierasz, Aidan? — usłyszał za sobą znajomy głos. Odwrócił się bez pośpiechu. — Witaj, Phil! — Uścisnął dłoń Sandusky'ego. — Gratuluję wygranej! Masz niezłe limo. — Uśmiechnął się na widok podpuchniętego oka Indianina. — Clint dał ci wolne? — Aha. — Sandusky skrzywił twarz w grymasie przypominającym uśmiech. — Jestem trochę poobijany. Przez kilka dni posiedzę w stajni. Dokąd się wybierasz? — powtórzył pytanie.

— Mam chęć objechać corral. Przy okazji sprawdzę stan ogrodzenia.

— Niezła wycieczka. Nie zdążysz na obiad.

— Trudno. Może to i lepiej. Mam ochotę na odrobinę samotności.

— Rozumiem. Każdy czerwony to rozumie. Dobrze, że bierzesz kurtkę.

— Co? Ach! To tylko na wszelki wypadek. Burza przeszła bokiem.

— Nie byłbym tego pewien. Obserwuj niebo. Gdyby zaczęło się chmurzyć, wracaj natychmiast. Nie lekceważ mojej rady.

— Będę pamiętał, Phil. — Aidan uśmiechnął się i wskoczył na siodło. Ścisnął kolanami boki Cherubina i ruszył stępą, kierując się wzdłuż wewnętrznej strony ogrodzenia ku zachodowi. Mimo woli zerknął na niebo. Na tle jasnego błękitu płynęły leniwie niewielkie obłoki. Od czasu do czasu czuł na twarzy ciepłe podmuchy lekkiego wiatru.

Rozejrzał się wokoło. Potrzebował takiej samotnej przejażdżki. Kilka ostatnich dni kosztowało go sporo nerwów. Bolesnie przeżył niemiłą sytuację pomiędzy ojcem i Clintonem. Zdążył polubić Johnsa i nie podzielał opinii ojca w sprawie drobnego, jak by nie patrzeć, incydentu.

Kiedy szedł do stajni, zobaczył wóz Clintona stojący przed warsztatem Beavera. Johns grzebał się przy kołach. Chyba sprawdzał ciśnienie. Kiwnął Aidanowi ręką. Młody Sunside odwzajemnił gest, ale zrobiło mu się przykro. Może dlatego, że nie zgadzał się z ojcem, a nie miał odwagi podejść do Clintona i pogadać, tak jak robił to wcześniej. Równie nerwowo przeżył atmosferę przed burzą, która ominęła Seven Pines. Teraz postanowił odpocząć.

Jechał stępa. Nie spieszył się. Po pewnym czasie minął lasek na wzgórzu. Jakieś pięć mil dalej majaczyła sinozielona linia lasów, których północna część należała do Cyrusa Dorffa. Kiedy przebyło się dwie mile, ogrodzenie corralu skręcało łagodnym łukiem ku południowi. Pastwisko kończyło się niemal przy samym lesie — około pięciuset jardów od pierwszych drzew.

Aidan sięgnął po manierkę z wodą. Słońce wznosiło się coraz wyżej i przypiekało nieznośnie. Od pewnego czasu wiatr ucichł zupełnie. Aidan obejrzał się za siebie. Lasek pozostał jakieś dwie mile za nim. Z miejsca, w którym się znajdował, nie było widać budynków rancho. Trącił boki konia obcasami. Przejechał jeszcze około mili.

W pewnej chwili Cherubin parsknął donośnie i potrząsnął łbem.

— Spokojnie, stary! — Aidan poklepał wierzchowca po szyi. — Niedługo zawrócimy. Jeszcze kawałek. Może trafimy na młodą sarenkę. — Wyciągnął sztucer z kabury. — Jeżeli niczego nie upoluję, na obiad będę musiał zadowolić się koniną. Co ty na to? — Roześmiał się, rad z własnego dowcipu. Cherubin parsknął ponownie.

„Może czuje dziką zwierzynę?”, pomyślał młody Sunside. Mocniej ujął sztucer. Widział już wyraźnie zachodnią część ogrodzenia.

Nagle poczuł na twarzy gwałtowne uderzenie wiatru — silny, chłodny podmuch. Po nim nastąpiły kolejne. Usłyszał szum leśnych sosen.

Zerknął na niebo. Nie wyglądało już tak niewinnie jak godzinę temu. Pojedyncze, pierzaste obłoki zastąpiła ławica ciemnych chmur, płynących od zachodu. Wiatr wiał teraz mocniej, robił się coraz chłodniejszy — wręcz zimny. Aidan przypomniał sobie ostrzeżenie Philla. „Pora wracać”, pomyślał.

W tym samym momencie o rondo jego stetsona zadudniły ciężkie krople deszczu. Szybkim ruchem sięgnął po kurtkę i zarzucił ją na plecy. Zrobił to w samą porę — deszcz przybierał na sile w błyskawicznym tempie. Kiedy zawracał konia, rozpętała się prawdziwa ulewa. Zimny, siekący deszcz walił z sinych chmur, które zaciągnęły większą połąć nieba. Sunside ścisnął konia kolanami.

— Dalej, stary! — krzyknął. Jego głos utonął w szumie ulewy oraz w odgłosie gromów, które pojawiły się równie nagle i znienacka jak deszcz.

Cherubin ruszył galopem w stronę majaczącego na wschodzie lasu. Poprzez gęste strugi deszczu można było dostrzec jedynie odległy cień leśnego pagórka. Aidan obejrzał się za siebie.

Spoza lasu wychynęła gigantyczna bura chmura. Przypominała ruchomą

górze, sięgającą wyżyn niebios. Aidan widział już kiedyś coś takiego.

Na skrzydłach wyjącej wichury zbliżał się cumulonimbus — burzowa chmura, zwana przez Indian „posłańcem śmierci” lub „chmurą-zabójcą”. Złożona z kropel wody i kryształków lodu, niosła śmiertelne zagrożenie.

Powietrze zadrżało od huku piorunów.

„A jednak czerwoni mieli rację!”, pomyślał przerażony Aidan, popędzając wierzchowca.

Błyskawica następowała po błyskawicy w kilkunastosekundowych odstępach. Grom uderzał za gromem. Ziemia, zalewana potokami lodowatej wody, drżała raz za razem, niczym konająca w spazmach istota.

— Panie Johns! — Clinton odwrócił się, przerywając pakowanie rzeczy do bagażnika. Phil Sandusky stał tuż za nim, a twarz Indianina wyrażała głęboki niepokój.

— Co się stało, Phil?

— Aidan Sunside pojechał w stronę lasów na samotną wycieczkę. Nie jest dobrze, szefie. To bardzo daleko.

— O co chodzi? Mów jaśniej.

— Niech pan spojrzy na chmury. Nadchodzą z zachodu i na razie są daleko, ale niedługo dotrą do nas i będzie kiepsko. — Chcesz powiedzieć, że idzie ta cholerna burza, na którą czekaliśmy?

— Dokładnie, szefie. Młody pan Sunside może mieć kłopoty. Nie dostrzegłem nikogo na horyzoncie. Musiał odjechać dość daleko.

— Siodłaj moją klacz! Szybko! Rzucili się biegiem do stajni. Clinton pierwszy wpadł do boksu.

Sandusky z trudem za nim nadązał. Był zbyt poobijany. Siodłali konia, jak gdyby brali udział w konkursie sprawności.

— Którędy pojechał? — krzyknął Clinton, wskakując na siodło.

— Wzdłuż północnego ogrodzenia!

— Dawno?

— Dawno!

— Powiadomiłeś Duggana?

— Nie wiem, gdzie go złapać.

— Fakt. Zresztą ty ledwo żyjesz. Zostań tutaj. — Klacz wypadła ze stajni galopem, unosząc na grzbiecie jeźdźca, z trudem utrzymującego się w siodle.

Clinton Gerstaecker nie opanował jeszcze jazdy konnej w

wystarczającym stopniu. Jeździł względnie dobrze stępą lub kłusem, ale galop wierzchowca przerastał jego umiejętności. Gdyby nie wysokie łąki kowbojskiego siodła, dawno leżałby na ziemi. Lewą ręką kurczowo uchwycił rożek przedniego łąku, służący do mocowania lasa. Poczł się nieco pewniej. Po lewej stronie dostrzegł grupę kowbojów przeganiających tabun do mniejszego corralu. Rozpoznał sylwetki Duggana i Simmy'ego Gibbona, ale było mu wszystko jedno, czy ktokolwiek obserwuje jego „wyczyny”. Skupił uwagę na utrzymaniu pozycji w siodle.

Kiedy minął „pamiętny” lasek, poczuł na twarzy pierwsze uderzenie zimnego wiatru — nagle i porywiste. Kapelusz zsunął mu się na plecy. Clinton spojrział w stronę odległego lasu i jęknął.

Zachodnią część nieba zaciągnęły deszczowe chmury, a spoza linii drzew wychylnęło coś ogromnego — gigantyczna czarna chmura, wznosząca się w przestworza niczym złowroga, ponura wieża. Nigdy dotychczas nie widział czegoś podobnego.

Bure kłębowisko przecięła sina błyskawica. Potężny ryk gromu targnął powietrzem. W tej samej chwili lunął deszcz. Nie, nie deszcz — istna kaskada boleśnie tłukącej, lodowatej wody.

Gerstaecker powstrzymał konia. Nie był w stanie utrzymać dłużej tempa. Poza tym musiał się rozejrzeć. Wytężył wzrok.

W krótkich odstępach pomiędzy falami pędzonego wiatrem deszczu dostrzegł w oddali ciemny kształt jeźdźca. Kilka kolejnych zygzaków przecięło powietrze. Przez moment dookoła zrobiło się widno. Chwilę później ziemia zadygotała od ogłuszającej kanonady piorunów.

Jeździec był coraz bliżej. Clinton nie miał wątpliwości, że jest nim młody Sunside. Mocniej uchwycił wodze. Dalsza jazda nie miała sensu. Odetchnął z ulgą. Ciemna postać rosła w oczach. Jeździec nie oszczędzał konia.

Simmy Gibbon podjechał do brata. Stado kierowało się wprost ku otwartej bramie małego corralu. Sprawnie im poszło.

— Widziałeś, Dugg? — Simmy zagadnął Sheparda.

— Niby co?

— Clintona. Pogalopował na zachód, wzdłuż północnego ogrodzenia.

— Bzdura! Clint nie daje sobie rady z galopem. To musiał być ktoś inny. Jesteś pewien, że to był on?

— Absolutnie.

— Co się dzieje, do diabła?

— Skąd mam wiedzieć? Ale spójrz na zachód, Dugg. Niebo dziwnie nagle pociemniało. Nie podoba mi się to. Może nadejść burza, a Clint nie jeździ najlepiej.

— Zostań tutaj, Simmy, i dopilnuj wszystkiego. — Twarz Duggana zrobiła się poważna i skupiona. — Pojadę do stajni i sprawdzę, co jest grane. — Jasne. Pospiesz się. Czerwoni cały czas powtarzają, że będzie niezła pompa.

— Rób swoje! — Shepard zawrócił wierzchowca i pogalopował w stronę stajni.

Przed wejściem do budynku zastał Phila Sandusky'ego. Indianin palił papierosa i spoglądał ku zachodowi.

— Hej, Phil! Co się dzieje, do cholery?! Podobno Johns wybrał się na przejażdżkę. Puściłeś go w takiej sytuacji?

— Nie pytał mnie o zdanie, Dugg, tylko...

— Tylko co?! Gadaj jak człowiek!

— Ja tylko powiedziałem mu, że idzie burza i że Aidan wybrał się na przejażdżkę do lasu. Chciał coś upolować. Johns pognał za nim. Słabo trzyma się w siodle. Martwię się o niego, Dugg.

— A nie mogłeś, do jasnej cholery, zawiadomić o tym Monthy'ego?

— Niby jak? Monthy jest przy krowach. To daleko. Johns kazał mi siedzieć w stajni. Tutaj też mogę być potrzebny, nie?

— Jasna dupa! — zaklął Shepard. — Czy ten głupi Aidan nie wiedział, na co się zanoszą? Nie uprzedziłeś go?

— Tak po prawdzie, Dugg, kiedy Sunside wyjeżdżał, wcale się nie zanosił na burzę. Ale ostrzegłem go mimo wszystko. Obiecał, że zawróci, gdyby zaczęło się chmurzyć.

— W porządku. Aidan nie jest dzieckiem. Pewnie wróci razem z Clintonem. — Shepard zapalił papierosa i nie zsiadając z kulbaki, zaczął wpatrywać się w zachodni nieboskłon. Na myśl o Clintonie jadącym galopem mimowolnie się roześmiał. Śmiał się dłuższą chwilę, nie zwracając uwagi na zdziwioną twarz Philla.

Pioruny waliły regularnie co kilkanaście sekund. Aidan zapiął kurtkę pod szyją. Zrobiło mu się zimno. Do deszczu dołączył drobny grad.

Przestrzeń pomiędzy nim a Gerstaeckerem zmalała do około dwustu jardów i młody Sunside rozpoznał wreszcie barczystą postać Clintona. Podniósł rękę w geście pozdrowienia. Wtedy nadeszło najgorsze.

Kopyto Cherubina trafiło w zalaną deszczem norę pieska preriowego. Zwierzę runęło bokiem w środek płytkiego bajorka. Aidan w ostatniej chwili wyciągnął nogi ze strzemion. Upadł w mokrą trawę po przeciwnej stronie wierzchowca. Koń poderwał się z ziemi z głośnym chrapnięciem.

Oszołomiony Aidan potrząsnął głową. Jedną ręką wsparł się o glebę, drugą poprawił przytrzymywany rzemykiem kapelusz.

Nie zdążył niczego zauważyć, niczego poczuć.

Z gigantycznej chmury, poprzez fale deszczu i gradu, przedarł się kolejny oślepiający błysk.

Piorun o napięciu blisko miliarda woltów i temperaturze dwudziestu paru tysięcy stopni trafił Cherubina tuż za uchem. Wyładowanie trwało milionową część sekundy. Zbyt krótko, aby spalić ofiarę żywcem — wystarczająco, by uśmiercić zwierzę na miejscu.

Wałach przyjął na siebie główne uderzenie. Odgałęzienie pioruna trafiło Aidana w głowę i odrzuciło go o dobre dwa jardy. Na kilka chwil stracił przytomność. Teoretycznie powinien być martwy.

Uderzenie przeszło przez mózg i rdzeń kręgowy. Nie zatrzymało pracy serca, ale odebrało chłopakowi oddech i sparaliżowało kończyny. Przemoczona kurtka oraz, zwisający teraz w strzępach, kapelusz uratowały mu życie. Większość energii przyjęła woda, którą nasiąkło okrycie. Gwałtowne parowanie rozerwało również kurtkę, która — wzięwszy na siebie potencjał elektryczny — odsunęła prąd od ciała. Nastąpiło rzadko spotykane zjawisko „przeskoku”, które przyczyniło się do ocalenia Sunside’a.

Aidan poruszył głową — jedyną częścią ciała, która zachowała zdolność ruchu. Otworzył oczy i daremnie usiłował wciągnąć powietrze. Tuż nad sobą ujrzał ciemny kształt ludzkiej postaci. — Żyjesz? — poprzez szum deszczu i huk piorunów usłyszał słowa niczym odległy szept. Poruszył ponownie głową i zacharczał. Całe jego ciało zdrętwiało. Jedyną rzeczą, którą odczuwał, był potworny ból głowy.

Nie czuł ucisku potężnych dłoni w okolicy mostka. Naraz dłonie przeniosły się niżej. Gerstaecker zrozumiał, że jeżeli nie pomoże porażonemu nabrać powietrza, facet po prostu się udusi. Twarz Aidana przypominała siną maskę.

— Zassij, do cholery! — Clinton kilkakrotnie nacisnął mocno przeponeę ofiary. Świszczący oddech był niedosłyszalny, ale piersi Sunside’a uniosły

się w oddechu. Próbował coś powiedzieć. Gerstaecker dostrzegł ruch warg. Podniósł głowę Aidana. Palcami lewej dłoni namacał szeroką łysinę na potylicy — ślad po wypalonych włosach. Przybliżył ucho do ust leżącego.

— Zimno... — usłyszał szept. — Boże, jak zimno! Zamarznę! Clinton poderwał się z klęczek. Sunside żył. Nie można było wykluczyć wewnętrznych obrażeń, ale żył. Serce biło wyraźnie, pomimo nierównego tętna. Coś innego wzbudziło niepokój Gerstaeckera. Ciało Aidana było zimne niczym lód. Groziła mu hipotermia — wyziębienie powodujące śmierć. Potrzebował natychmiastowej pomocy medycznej.

Clinton sięgnął do kieszeni bluzy po komórkę. Wybrał numer Monthly'ego i przyłożył aparat do ucha. Poza jednostajnym szumem nie był w stanie niczego usłyszeć.

Jaskrawy błysk rozdarł powłokę granatowych chmur. Piorun uderzył bardzo blisko. Clinton omal nie ogłuchł od potwornego huku. Tuż obok rozległo się przeraźliwe rzenie. Podniósł głowę.

Ujrzał spłoszoną klacz, galopującą w popłochu w stronę, z której przyjechał. Zacisnął wargi. Jeszcze raz spojrzął na leżącego. Pochylił się ku twarzy Aidana.

— Czujesz coś?! — krzyknął. — Możesz poruszać nogami? — Zimno... — Chrapliwy oddech i półprzytomne, szklane oczy.

— Zimno!

— Kurwa! — ryknął Clinton. Wiedział, do czego prowadzi wyziębienie. Poderwał się na nogi. Zdjął z siebie kurtkę i z trudem naciągnął ją na bezwładny korpus Sunside'a. Starannie zapiął guziki. Jego własna koszula w jednej chwili przylgnęła do ciała, tworząc mokrą, lodowatą powłokę. Nie zwracał na to uwagi. Pochylił się, sięgając pod okrycie Sunside'a. Rozchylił poły obydwu kurtek i namacał pasek. Rozpiął go i ściągnął, krzywiąc się na widok skóry wypalanej w miejscu zetknięcia ciała z metalową klamrą. Połączył ręce porażonego w ten sposób, że każda dłoń spoczywała na łokciu przeciwnej ręki. Owinął przedramiona paskiem i zapiął klamrę. Ręce Aidana wyglądały tak, jak gdyby otaczał ramionami niewidzialną postać.

Gerstaecker podniósł z ziemi bezwładne ciało, po czym przełożył sobie przez głowę skrępowane ramiona. Tułów Aidana zwisał na jego piersiach, a bezwładna głowa spoczęła na ramieniu. Rozwarł zwisające nogi Sunside'a, każde udo otoczył przedramieniem, zginając ręce w łokciach, i zaczerpnął głęboko powietrza. Sunside spoczywał teraz na jego piersiach, mając bezwładnymi łydkami, niczym dziecko w objęciach ojca. Clinton przycisnął

jego uda do swoich bioder, jeszcze raz zaczerpnął powietrza i ruszył truchtem w powrotną drogę.

Nie miał pojęcia, czy uda mu się dotrzeć do domu. Sama myśl wydawała się niedorzeczna, chociaż Aidan ważył niewiele, zapewne jakieś sto dwadzieścia kilka funtów. W normalnych warunkach Gerstaecker mógłby nieść taki ciężar całe mile, ale warunki nie były normalne. Zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili może trafić w nich kolejny piorun, ale nie widział innego wyjścia. Ten chłopak nie mógł czekać — zapadał w hipotermię, a czas płynął nieubłaganie.

Biegł drobnym truchtem, starając się miarowo oddychać i uważać pod nogi. O upadek na podmokłym gruncie nie było trudno. Wolał o tym nie myśleć. Wbił wzrok przed siebie, mrużąc oczy pod kłującymi uderzeniami drobnego gradu. Biegł na wschód, starając się nie tracić z oczu pobliskiego ogrodzenia — tą samą drogą, którą tutaj przybył.

Mijały kolejne minuty. Przestał zdawać sobie sprawę z upływu czasu. Balast na piersiach zaczynał coraz bardziej ciążyć. Zacisnął mocniej przedramiona. Z coraz większym trudem chwycił oddech. Zdawało mu się, że biegnie całą wieczność, tymczasem zaledwie przed chwilą minął wschodni skraj leśnego pagórka. Kątem oka dostrzegł drzewa gnące się pod naporem ulewy i wichru. Biegł dalej, uważając, by nie zboczyć z drogi. Widoczność była bardzo ograniczona. Czuł potężne pulsowanie krwi w skroniach, coraz silniejsze i szybsze.

— Jezu! — Obcas prawego buta przejechał po bryłce namokniętej gliny. Nogę podrzuciło do przodu. Poczul, że pada na plecy. Runął z rozmachem na wznak.

Pociemniało mu w oczach. Leżał krótką chwilę, chwytając powietrze rozwartymi ustami. Poczul ruch głowy Aidana na swoim ramieniu. Podparł się ręką i dźwignął z ziemi wraz ze swoim „bagażem”. Uczynił to z największym trudem. Stał jeszcze moment, zbierając siły, po czym ponownie uniósł swoje brzemie i ruszył naprzód.

Mijały kolejne minuty, odmierzane przeraźliwą poświatą błyskawic i piekielnym hukiem piorunów. Grad przestał sypać, ale lodowaty deszcz walił nadal. Clinton prawie tego nie czuł. Pulsowanie w skroniach zamieniło się w walenie niewidocznych młotów. Powoli zaczynał ogarniać go lęk. Czuł, że może nie wytrzymać, a wtedy ten chłopak umrze. Być może umrą obydwoj.

Powstanie po upadku kosztowało go zbyt wiele wysiłku. Nie przestając wypatrywać drogi, jęknął:

— Boże! Nie pozwól mi upaść! Nie pozwól nam tutaj zdechnąć! Niech ta cholerna burza wreszcie się skończy!

Ale burza trwała, choć przemieszczała się bardzo szybko. Pioruny waliły coraz rzadziej, lecz lodowaty deszcz miał padać jeszcze kilka godzin. Clinton przestał podbiegać. Jego siła także miała swoje granice. Nie zaprzestał jednak szybkiego marszu. Czuł rozdzierający ból głowy. „Ciśnienie”, pomyślał obojętnie. Powoli tracił poczucie rzeczywistości. Wszystko stawało się coraz mniej ważne.

— Cynthia! — szepnął. Zatrzymał się mimowolnie. Pomyślał, że zaczyna majaczyć, że w każdej chwili może stracić przytomność.

Nagle kilkanaście jardów przed nim, spoza ściany deszczu wyłonił się jeździec. Kopyta czarnego ogiera zadudniły tuż obok.

— Dawaj go! — Clinton usłyszał krzyk Duggana. Z ulgą zdjął z szyi ramiona Sunside'a. Uniósł go w górę.

— Jest wyziębiony! — krzyknął z wysiłkiem. — Spiesz się, na Boga! Dwie silne dłonie w czarnych skórzanych rękawicach przejęły ciało Aidana i przerzuciły przez kulbakę.

— Uważaj na siebie! Przyślę pomoc! Trzymaj się w pobliżu ogrodzenia! — wołanie Sheparda przedarło się poprzez wycie wichury. Na ziemię u stóp Clintona sfrunął skórzany płaszcz. — Okryj się! — Duggan zawrócił ogiera na miejscu. Szatan pomknął naprzód, w ciągu paru chwil ginąc z pola widzenia.

Gerstaecker pochylił się, spokojnie podniósł płaszcz, założył go bez pośpiechu i zapinając guziki, ruszył przed siebie. Po raz pierwszy od początku tej szalonej eskapady odetchnął swobodnie. Tętno przestało pulsować jak szalone, zelżał też ból głowy. Żelazna natura Gerstaeckerów wzięła górę nad zmęczeniem. Przyszło mu do głowy, że mogło skończyć się znacznie gorzej. Gdyby nie bliskość ogrodzenia, Dugg nie trafiłby na nich przy takiej widoczności.

Po niedługim czasie dokładnie przed sobą dostrzegł sylwetki zbliżających się jeźdźców.

Simmy Gibbon i Budd Lance prowadzili jego klacz, która najwyraźniej nie miała problemu ze znalezieniem powrotnej drogi. Zatrzymali się tuż przed nim.

— W porządku, Clint! — Gibbon krzyknął, pochylając się w siodle. — Wskakuj! Wracamy do domu! — Przyciągnął lasso, na którym prowadził

Księżniczkę, i podał Clintonowi cugle. Gerstaecker z ulgą wgramolił się na kulbakę. Zawrócili na wschód. Clinton zauważył, że Simmy nie odczepił lasa przytwierdzonego do uzdy klaczy — poluzował je tylko, dając mu możliwość swobodnego kierowania koniem.

Jechali stępa, łeb w łeb, tylko Lance nieco z tyłu. Gerstaecker poczuł w sercu tchnienie ciepła. Mógł polegać na tych ludziach. Było to uczucie, o którym niemal już zapomniał, towarzyszące mu na co dzień, kiedy jeszcze był stróżem prawa w Green Doll.

Po kilku minutach ujrzał w dali światła rancho.

Wjechali na dziedziniec przy stajniach. Plac oświetlały sodowe lampy, umieszczone na wysokich słupach. W ich poświacie strugi deszczu wydawały się mniej rześiste. Powietrzem targał, oddalający się już, łoskot gromów, a od wschodniej strony dobiegał ryk bydła. Mimo to sytuacja nie wyglądała tragicznie.

Wprowadzili wierzchowce przez otwarte wrota stajni, tylko Lance pognał konia w kierunku zagród dla bydła. Czwórka indiańskich pastuchów, rozmawiających przy drzwiach, cofnęła się pod ścianę, robiąc im przejście. Na widok Clintona wszyscy — jak na komendę — zdjęli kapelusze. Ponownie coś drgnęło w jego sercu. Skrzywił twarz w uśmiechu. „Robię się sentymentalny”, pomyślał, oddając cugle Sandusky’emu.

— Gdzie Dugg? — zwrócił się do Simmy’ego.

— Pojechał do Monthy’ego. Monthy jest przy krowach. Mieli trochę zadymy, ale już wszystko w porządku.

— Co z Aidanem?

— Żyje. Zabrał go ambulans. Państwo Sunside pojechali do szpitala. Miał chłop szczęście, chociaż był strasznie wyziębiony. Zdążył. Zdążyłeś, Clint. Dugg prosił, żebym ci to powiedział.

— Aha... — Gerstaecker uśmiechnął się nieznacznie. — W takim razie w porządku. Dokąd pojechał Lance? — Powiadomić Dugga i Monthy’ego.

— Rozumiem. Masz papierosy, Simm? Moje poszły się kapać.

— Mam. Proszę.

Gerstaecker z rozkoszą zaciągnął się dymem. Uśmiechnął się do Gibbona.

— A ty co? Masz wolne?

— Mam ci towarzyszyć.

— Po co? Nic mi nie jest. Dugg ci kazał?

— Nie. Pan Sunside. Kiedy zabierali Aidana do ambulansu. Ktoś mu doniósł, że zamierzasz się wyprowadzić. Spytał Dugga, czy to prawda?

— I co?

— I nic. Ani Dugg, ani ja nic o tym nie wiemy. Elmer kazał dzwonić do szpitala, gdyby coś z tobą było nie tak albo gdybyś chciał wyjechać bez pożegnania.

— Skąd ten pomysł? — Clinton przymknął powieki.

— Dugg też tak zapytał. Pan Sunside odpowiedział, że to nie nasza sprawa. W razie czego kazał mi dzwonić.

— Aha — ponownie mruknął Gerstaecker. Emocje ostatnich wydarzeń zdążyły już z niego wyparować. Cieszył się, że młody Sunside przeżył, ale nie zamierzał rezygnować ze swoich planów. Jego wóz, gotowy do drogi, stał przed garażem Beavera. Musiał tylko spakować osobiste rzeczy — nic więcej.

Pod same wrota stajni podjechał ford pick-up. Na błękitnych drzwiach szoferki widniał duży zielony napis — Seven Pines. Boczna szyba zjechała w dół.

— Siadaj, szefie! — We wnętrzu kabiny zamajaczyła twarz mechanika. — Podjedziemy pod twoją kwaterę! Musisz się osuszyć i przebrać!

— Jesteś moją niańką, Beaver? — zaśmiał się Clinton.

— Jedź, Clint. — Gibbon klepnął go po plecach. — Musiałeś nielecho zmarznąć. — Fakt. Dzięki za pomoc, Simm. Przekaż Duggowi...

— Sam z nim pogadasz. Chyba że Elmer miał rację... — Gibbon rzucił na Clintona krótkie spojrzenie. Westchnął, pochylił się do ucha Gerstaeckera i szepnął: — Chcesz jechać w taką pogodę?

— Na razie potrzebuję trochę ciepła i suchej odzieży — wymijająco odparł Clinton. Wsiadł do szoferki pick-upa. — Bywaj, Simm!

— Kiwnął ręką Gibbonowi.

Zajechali pod parterową szeregówkę. Gerstaecker zajmował drugi segment z brzegu. Indianin zatrzymał wóz. Clinton wyciągnął rękę.

— Do widzenia, Joe. Bardzo mi pomogłeś. Mam nadzieję, że nie wspomniałeś nikomu o naszej porannej rozmowie?

— Nikomu, szefie.

— Dobrze. I niech tak zostanie, rozumiesz?

— Jasne. Nie było żadnej rozmowy. Coś ci powiem, szefie. Szkoda, że wyjeżdżasz.

— Muszę.
— Wiem. Kroczysz własną ścieżką. Niech Wielki Duch ci sprzyja!
— Dzięki. Gdzie kluczyki od mojego wozu?
— Zostawiłem w środku.
— OK. Pozdrów Dugga i resztę chłopców.
— Pozdrowię. Życzę szczęścia. Będzie ci potrzebne, szefie. Uważaj na siebie.
— Bądź spokojny, zamierzam. Może kiedyś wrócę.
— Nie wrócisz. Głowy bym nie dał, ale nie sądzę.
— Nigdy nie wiadomo. Cześć, stary! Pozdrów córkę. — Gerstaecker wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwi. Wszedł do mieszkania.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił, było pozbycie się mokrej odzieży. Następnie wskoczył do kabiny i puścił gorący natrysk. Kiedy wyszedł, czuł się jak nowo narodzony. Odczuwał głód, ale nie zamierzał tracić czasu. Znali już jego plany, lecz miał nadzieję, że Beaver nie powiedział im więcej, niż musiał. Nie zamierzał rozmawiać z Elmerem ani z Monthym, a nawet z Duggiem. Nie miał im nic do powiedzenia. Było mu trochę żal rozstania z Dugganem i „bandą z corralu”. Porządni goście. Cóż, rozstał się już z wieloma porządnymi facetami. Rozstał się z osobą, z którą zamierzał dożyć spokojnej starości. Przychodzili i odchodzili — samo życie.

Ubrał się w suchą czystą odzież. Resztę osobistych rzeczy wrzucił do skórzanej torby podróźnej. Świeżą paczkę papierosów wsadził do górnej kieszeni bluzy. Jednego zapalił. Podniósł ze stolika popielniczkę, podszedł do okna i spojrzał poprzez zalane deszczem szyby.

Nawałnica trwała, choć wyraźnie traciła na impecie. Uznał to za dobry znak. Stał przy oknie, rozkoszując się ciepłem oraz smakiem papierosa. Przygotował wszystko. Mapy, dokładniejsze od turystycznych, drzemały w schowku dodge'a, bak był pełen, zawartość bagażnika — skompletowana. Mógł wyruszać w każdej chwili.

Spojrzał na skórzany płaszcz Dugga, wiszący na wieszaku. Krople spływającej wody utworzyły na podłodze pod nim dwie spore kałuże wody. Clinton uśmiechnął się cierpko. Te kałuże oraz przemoczone ciuchy, które rzucił do brodzika w natrysku, miały być ostatnim śladem jego pobytu. Przez jedno mgnienie pojawiły się w jego wyobraźni zielone, błyszczące oczy.

Zdusił niedopałek w popielniczce i odstawił ją na stolik. Podszedł do łóżka, wziął torbę i rozejrzał się po pokoju. Z niechęcią spojrzał na płaszcz, ale do samochodu miał kawałek drogi. Narzucił skórzane okrycie, zgasił

światło i wyszedł na zewnątrz.

Kilkaset jardów, dzielące bungalow od warsztatu, przebył biegiem. Dodge stał w podcieniu, przy drzwiach garażu. Clinton otworzył tylne drzwi i rzucił torbę na siedzenie. Zdjął płaszcz i położył pod samą ścianą budynku. Wskoczył za kierownicę. Prawą ręką namacał kluczyki. Zapiął pas i włożył klucz do stacyjki.

Przekręcił. Zamruczał potężny silnik, a jednocześnie z radia popłynęły słodkie tony muzyki country — świata, który opuszczał. Ruszył z miejsca, nabierając rozpędu. Minął główny plac, dom Sunside'ów i wjechał w aleję prowadzącą do szosy. Po kilku chwilach poprzez strugi deszczu zobaczył ogrodzenia bydłych wybiegów. Z prawej strony, tuż za płotem, kłębiła się niespokojna, czerwono-biała masa zwierząt. Dostrzegł kilku jeźdźców, ale nie był w stanie nikogo rozpoznać. Deszcz ponownie przybrał na sile.

Po kilku minutach dodge wytoczył się na szosę i skręcił w prawo, wprost na południe. Clinton odetchnął z ulgą. Obyło się bez pożegnań i ceremonii, których nie lubił. Wybiegł myślami do celu swojej podróży — małej miejscowości o nazwie Bright w stanie Wyoming. Miał nadzieję, że los się do niego uśmiechnie i spotka rudego sukinsyna, Briana, oraz jego kumpla, Franka — mordercę Cynthii. Nie wyobrażał sobie, co czeka na niego u kresu drogi, w cichym, otoczonym lasami miasteczku Bright — miejscu, w którym śmierć przybrała postać, z jaką nie zetknął się nigdy dotąd. Nie miało to większego znaczenia. Gdyby wiedział, i tak nie zawróciłby z drogi. Jechał ostrożnie, wpatrzony w gęstą ścianę deszczu, oświetloną reflektorami wozu.

KRÓLEWSKIE DANIE

Mamusia była pyszna. Pomimo dojrzałego wieku jej mięso zachowało kruchość i subtelny smak. Bowl wytarł talerz skórką żytniego chleba. Oblizął zatłuszczone wargi i beknął z satysfakcją.

On, Jethro i Nolan zarznęli mamę dwa miesiące temu — w lipcu, na jej pięćdziesiąte drugie urodziny. Porcjowane mięso, lekko przesypane grubą solą, leżakowało w dębowej beczce na poddaszu. Soli było w sam raz — Nolan miał oko do tych spraw. Bowl z uznaniem pomyślał o starszym bracie. Nawet teraz, pod koniec września, smakowało wybornie.

Uśmiechnął się, wiedząc, że on sam także ma w tym swój udział. To jego tajemnicą było doprawianie „koziego” mięsa. Tymianek! Nawet tata na to nie wpadł. Tymianek doskonale komponował się z lekko słodkim smakiem „koźliny”.

Bowl uśmiechnął się w duchu. Jak każdy z członków rodziny rzadko uśmiechał się otwarcie, zachowując zazwyczaj ponurą twarz — taką mieli naturę, a on nie był wyjątkiem. Wolał uśmiechać się wewnątrz — sam do siebie.

Na szerokim, płaskim talerzu pozostał biały kawałek kości kręgosłupa. Bowl beknął ponownie. Biodrówka była naprawdę wysmienita. Nie musiał dodawać cebuli. Mama smakowała lepiej niż te dwa durne bliźniaki Cecily. Ależ ta kurwa wyła, kiedy je wyłapywali! Zamknęła mordę dopiero wtedy, kiedy tata ją zerznął.

Bowl odsunął talerz. Zamyślił się głęboko, sięgając pamięcią wstecz.

Nigdy nie lubił siostry. Była narwana i oporna. Często myślał z lubością o chwili, kiedy tata wskaże na nią palcem. To nie mogło być tak zaraz. Musiała najpierw rodzić. Potrzebowali „koźląt”. Były soczyste i delikatne. Nigdy nikt się po nich nie rozchorował. Sonia i Berta — żony Nolana i Jethro — rodziły regularnie, co roku. Cecily była nieprzewidywalna. Czasami nie „zaskakiwała” przez dwa lata, innym razem miała bliźnięta — parę po parze. Bowl miał nadzieję, że ona także przestanie sprawiać im zawód. Kiedy nawalała, tata chodził ponury, niczym gradowa chmura. Nie odzywał się do nikogo. Nic dziwnego. Przecież to on utrzymywał ich małą farmę. Jako jedyny członek rodziny miał pracę. Pracował

w ubojni drobiu, w Rebellstone, dość daleko od ich miasteczka. Cóż? Musieli z czegoś żyć. W Bright nikt nie dałby tacie tak dobrze płatnej pracy. Synowie doceniali poświęcenie ojca. Na farmie nie hodowali kur, jedynie trzodę chlewną. Zajmował się tym Herb — najmłodszy z braci. On także uwielbiał „kozio mięso”, ale tata trzymał go na razie z daleka od spraw związanych z ubojem.

Herb miał skończyć w październiku siedemnaście lat. Był dobrze zbudowany i wyglądał na więcej, ale daleko mu było do trzech starszych braci. Tata nigdy nie pozwalał mu nawet zajrzeć do ubojni. Wychowywał go na reproduktora.

Bowl cmoknął z uznaniem. Herb regularnie zapładniał siostrę i dwie szwagierki, a od czasu, kiedy zwabili na farmę Lilly Bedford — także ją. Była dzika, gorsza od Cecily, ale on potrafił sobie poradzić z każdą. Urodziła już w pierwszym roku pobytu, a teraz — po dwóch latach — znowu chodziła z brzuchem. Bowl przełknął resztkę smakowitej śliny i grubą dłonią strącił z talerza kawałek kości. Upadła w gęstą, wilgotną trawę.

Dodge zahamował ostro, pomimo lejącego deszczu. Clinton minął już Ashland. Miał dosyć tego gówna i pieprzonej wrześnieowej pogody. Na Południu takie rzeczy nie zdarzały się często.

W ostatniej chwili dostrzegł tablicę informacyjną. Skręcił w lewo, na dwieście sześćdziesiątkę jedynek, prowadzącą do Broadus. Nie musiał patrzeć na mapę. Pamiętał, że za tym miastem powinien zjechać na pięćdziesiątkę dziewiątkę, wiodącą do Gillette w stanie Wyoming.

Minął Broadus. Bez trudu dostrzegł przydrożne oznakowanie kierujące na szosę numer 59. Deszcz wyraźnie stracił na sile i choć zrobiło się ciemno, widział lepiej niż do tej pory.

Jechał w zupełnych ciemnościach, zatopiony w rozmyślaniach, słuchając jednym uchem tej samej muzyki country. W niezmiernej dali po lewej stronie minął słynną Wieżę Diabła. Nie miał o tym zielonego pojęcia. Myślał o swoim życiu i o Cynthii. Pamiętał jej śmierć — ciało z pięcioma dziurami w czaszce — i przeżywał raz jeszcze tamto cierpienie. Zaboląły przyschnięte rany. Pragnął, żeby ten koszmar wreszcie się skończył. Zanim ból odbierze mu rozum. Wszystkie nadzieje wiązał z Bright. Nie miał pewności, lecz głęboko wierzył, że spotka na tym zadupiu tych, których szukał. Czuł, że jest coraz bliżej swojego ponurego celu — ostatniej rzeczy, jaka pozostała mu do

zrobienia. Zacisnął ręce na kierownicy. Deszcz uderzył ponownie o szyby auta.

Mila za milą Clinton Gerstaecker zbliżał się do cichego, leżącego pośród lasów Bright — do królestwa szatańskich mordów, rządzonego przez mroczną, zimną i bezlitosną śmierć.

Powoli upływały godziny deszczowej nocy. Zaczynał odczuwać coraz większe zmęczenie oraz dokuczliwą senność. Nic dziwnego. W ciągu dwóch ostatnich dób przespał zaledwie kilka godzin. Stanowczo za mało, wzięwszy pod uwagę przebyty wysiłek fizyczny i psychiczny. Zwłaszcza ten ostatni odebrał mu siły. Potrzebował snu. Porządnego snu, nie kilku godzin w samochodzie, gdzieś na poboczu. Pamiętał, że za Gillette powinien przeciąć międzystanową dziewięćdziesiątkę. Jadąc nadal pięćdziesiątką dziewiątką w kierunku Douglas, miałyby do przejechania zaledwie kilkanaście mil.

Ale Clinton nie był pewien, czy chce zawitać do Bright nocą, w dodatku zmęczony jak diabli. Postanowił przespać resztę nocy w Gillette.

Zapalił kolejnego papierosa, żeby odegnać senność, i dodał gazu.

Luther Petrie założył własną rodzinę w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim. Było to wkrótce po tym, jak oboje jego rodzice wylądowali w psychiatryku, bez nadziei na wyjście.

Nora Sungrave, którą poznał w gimnazjum, była w sam raz. Skończyła właśnie osiemnaście lat. Nie była ładna i brakowało jej bystrości. Zawrócił jej w głowie bez kłopotu. Zamieszkała na jego małej farmie, trzy mile od Bright i dziesięć od Rebellstone. Ślub wzięli w styczniu, a już jesienią powiła mu pierwszego syna, Nolana. Rodziła raz po raz. Następny pojawił się Jethro, po nim Cecily, Bowl i — po czternastoletniej przerwie — Herbert.

Cała posiadłość rodziny Petrie obejmowała zaledwie czterdzieści akrów ziemi. Sadzili ziemniaki, trochę kukurydzy na paszę dla świń, a także sporo warzyw, głównie na własne potrzeby. Nie przymierali głodem. Luther miał smykałkę do hodowli. Część mięsa sprzedawali w Bright. Nie brakowało im także drobiu. Petrie, sobie wiadomym sposobem, potrafił przemycić z pracy sporą ilość drobiowych tuszek. Dzieci rosły jak na drożdżach. Trzej synowie i córka skończyli szkołę elementarną w Rebellstone. Herberta Luther nie posłał do szkoły, ignorując swój rodzicielski obowiązek.

W międzyczasie wiele zmieniło się w rodzinie Petrie. Zmiana

nastąpiła na przełomie roku dziewięćdziesiątego piątego i szóstego — w dniu, kiedy po raz pierwszy Luther przywiózł z miasta „kozie” mięso.

Może wszystko zaczęło się nieco wcześniej. Bowl przypomniał sobie Święto Dziękczynienia w listopadzie dziewięćdziesiątego piątego. Nigdy nie zapomniał tamtego dnia. Skończył wtedy dziewiętnaście lat i uważał się za dorosłego. W istocie wszystkie dzieci państwa Petrie dojrzewały szybciej od swoich rówieśników z Bright. Dwudziestodwuletni Nolan i o rok młodszy Jethro pomagali rodzicom w prowadzeniu gospodarstwa. Obydwaj byli wyjątkowo wyrośnięci i silni.

Bowl wydłubał językiem kawałek mięsa tkwiący między zębami. Uśmiechnął się z ulgą i pogрузzył w miłych wspomnieniach.

Podążył myślami do tamtego roku, kiedy tata zmienił obyczaje. Całe życie rodziny nabrało innego wymiaru. Przez głowę Bowla przemykały obrazy zdarzeń, które hołubił w duszy jako najpiękniejszą pamiątkę. To, kim stali się jego bracia i on, zawdzięczali tacie. Już wtedy był dla nich kimś na podobieństwo Boga. Potrzebowali go, a on potrzebował ich. W dziewięćdziesiątym piątym zdali sobie z tego sprawę w całej pełni. Bowl westchnął na wspomnienie tamtej jesieni.

Od kilku miesięcy Luther chodził dziwnie zamyślony. Coś musiało mu doskwierać, bowiem stał się milczący i bardziej ponury niż zazwyczaj. Najbardziej odczuły to młodziutkie żony Nolana i Jethro. Teść przyglądał się im z niepokojącym, zagadkowym uśmiechem. Nie przeszkadzało to ich mężom. Byli przywiązani do ojca niczym wierne psy. To samo dotyczyło Bowla. Podobnie jak dla starszych braci, ojciec był dla niego wyrocznią we wszystkich sprawach.

Synowie Luthera Petrie z trudem ukończyli szkołę, wykorzystując wszystkie możliwości swego intelektu. Nie mieli najmniejszych szans na dalszą edukację, nawet gdyby ich ojciec był zamożnym ranczerem.

Gerstaecker szarpnął kierownicą. W poświacie reflektorów dostrzegł płowy kształt sarny, przebiegającej przed maską. Zatrzymał wóz w ostatniej

chwili. Krew uderzyła mu do głowy pulsującą falą. Zmęczenie coraz bardziej dawało o sobie znać. Pociemniało mu w oczach. Zjechał na pobocze i zgasił silnik. Musiał odpocząć choć przez chwilę, mimo że od Gillette dzielił go najwyżej kwadrans jazdy. Otworzył drzwi i pełną piersią wciągnął wilgotny powiew nocy. Sięgnął do kieszeni po papierosy i zapalniczkę. Zaciągnął się głęboko, spoglądając w granatowe niebo.

— Kurwa! — zaklął, kiedy pojedyncza spóźniona kropla spadła dokładnie na żarzący się ognek. Wyciągnął z paczki kolejnego papierosa i powrócił do swoich myśli. Rozważał wszystko, co usłyszał od Shannon i od Beavera. Emocje powoli opadały.

Clinton Gerstaecker stawał się na powrót sobą — twardym, logicznie myślącym człowiekiem. Równie zawziętym jak dawniej, czujnym i niebezpiecznym.

Rzucił niedopałek na mokrą szosę. Zatrzasnął drzwiczki i włączył silnik. Ryk dodge'a, drącego trawę pobocza, rozniósł się potężnym echem po pustej okolicy.

Wieczorem w Dniu Dziękczynienia usiedli przy stole w największej izbie. Bowl pamiętał rodzinny ceremoniał od dziecka. Wszystko przebiegało jak zwykle. Nora z córką nakryły stół białym obrusem. Sonia i Berta pomagały wnosić potrawy — pieczone ziemniaki, miseczki z żurawiną, jaja, sałatki, ciasto z dyni i takie tam duperele. Na koniec Nora wtoczyła podręczny wózek, na którym, w naczyniu ze srebrną pokrywą, spoczywał wielki pieczony indyk. Bowl przyniósł z kredensu zestaw do porcjowania i z szacunkiem położył płaskie pudełko przed ojcem. Wszyscy zajęli swoje miejsca. Nadeszła pora na dziękczynienia.

Luther Petrie powstał. Miał na sobie swój jedyny garnitur — wyglądał w nim dostojnie i poważnie. Zapadła pełna oczekiwania cisza.

Petrie powiódł wzrokiem po obecnych. Pochylili głowy, składając splecione dłonie na stole. Odchrząknął i odezwał się swoim niskim, donośnym głosem:

— Moi drodzy. Jesteśmy rodziną. Rodzina to wielka rzecz, najważniejsza w życiu. Dlatego dziękuję Panu, że uczynił mnie głową tej rodziny i dał mi posłusznych, kochających synów. Dał mi posłuszną żonę i córkę oraz powiększył nasze grono o Bertę i

Sonię. Niech będą dzięki Stwórcy za jego dobroć i hojność. Zanim złożycie własne podziękowania, chcę wam o czymś powiedzieć. To bardzo ważne, więc słuchajcie uważnie. Dostrzegłem światło Pana. Poznałem bliżej człowieka, który kieruje gminą wiernych w naszym miasteczku. Mam na myśli pastora Ironsa. Spotkaliśmy się we wrześniu, przy odstawie trzody. To wielki człowiek. Poświęcił mi swój czas, mimo że rzadko bywamy w kościele. Wiele mi wyjaśnił i wskazał drogę prowadzącą do zbawienia. Uzmysłował mi, co znaczy wola Pana i jak powinna wyglądać bogobojna rodzina. Nadeszła pora, żebym podzielił się z wami moją wiarą i moimi odczuciami. Musimy zmienić siebie i zmienić nasz świat, jeżeli chcemy dostąpić zbawienia. Musimy wrócić do tradycji — do naszych korzeni. Rolą mężczyzny jest opieka nad rodziną. Rolą kobiety jest rodzić mu dzieci i pomagać w każdym niedostatku czy złej przygodzie. Zadaniem każdej bogobojnej rodziny jest praca i wzajemne wsparcie. Pastor Irons to bardzo mądry i świętobliwy człowiek. Jak wspomniałem, nie przesiadujemy w kościele, ale jego nauki możemy wcielać w czyn tutaj i teraz. Oczekuję od was wsparcia, posłuszeństwa i szacunku. Od dzisiaj będę wymagał tych rzeczy z całą stanowczością. Mam nadzieję, że wszyscy mnie zrozumieci. Jeżeli nie, tym gorzej dla tych, którzy odważą się sprzeciwić mojej woli. Od dziś ona będzie tutaj prawem boskim i ludzkim. Amen.

— Luther! Co to ma znaczyć? — Nora Petrie spojrzała wystraszoną wzrokiem na męża.

— Nic takiego. Może tylko to, że nie radzę ci odzywać się do mnie kiedykolwiek w ten sposób. Inaczej spotka cię kara. Jeżeli nic do ciebie nie dociera, siedź cicho i nie bałamuć dzieci. Zrozumiałaś?

— Tak, Luther. Zrozumiałam. — Nora opuściła głowę, zaciskając splecione palce.

Po tamtym Świącie Dziękczynienia, rzeczywiście wiele zmieniło się w życiu rodziny Petrie. Nora próbowała zachować dotychczasową pozycję, ale skończyło się na serii gruntownego łojenia skóry. Luther nigdy wcześniej nie bił żony — teraz tłukł ją niemal codziennie. Po dwóch tygodniach skapitulowała. Tata

potrafił postawić na swoim — Bowl pomyślał o ojcu z szacunkiem. Wszyscy mężczyźni Petrie byli twardzi — nawet ten szczył, Herb. Ale daleko im było do ojca.

Od tamtego dnia minęły przeszło dwa miesiące. Minęła Gwiazdka i Nowy Rok. Przyszedł wyjątkowo łagodny styczeń dziewięćdziesiątego szóstego. Nora Petrie poznała już swoje prawa i miejsce w rodzinie, podobnie jak Sonia i Berta. Luther wziął się za nie po swojemu. Mając całkowicie oddanych synów, mógł robić wszystko, na co miał ochotę. A ochoty mu nie brakowało. Bowl dobrze pamiętał, że kiedy zaczęło się to całe dupczenie, on sam cieszył się, iż nie ma żony. Herbert miał zaledwie sześć lat, więc pierwszych „aktów bierzmowania” dokonał Luther.

Bowl wspomniał deszczowy dzień, kiedy usłyszał krzyki Sonii dobiegające z szopy. Skończył już dwadzieścia lat i doskonale rozumiał, co się dzieje. Sonia darła się jak opętana, zwłaszcza na początku. Później umilkła. Bowl jeszcze dzisiaj czuł dreszczyk emocji na wspomnienie tamtego popołudnia. Nigdy nie poruszył tego tematu z braćmi. Udawał, że nie ma o czym gadać. Oni zachowywali się podobnie. Możliwe, że miał w tym swój udział samogon, który Luther zaczął przywozić do domu. Poił nim synów i to — zdaniem Bowla — było naprawdę w porządku. Po pewnym czasie on, Nolan i Jethro nauczyli się zaczynać każdy dzień od szklanki mocnego bimbru. Tata twierdził, że także po to Bóg dał ludziom kukurydzę. Nikt z nich nie zamierzał zaprzeczać.

Po Sonii przyszła kolej na Bertę. Była twardsza od szwagierki. Nie krzyczała, ale desperacko walczyła. Luther pobił ją tak, że chodziła sina przez kilka tygodni. Bowl z braćmi rechotali na widok jej niezdarnych ruchów, popijając „krew Pana”, jak nazwał samogon Luther. Tata uczynił ich bardziej szczęśliwymi i bardziej wzniosłymi — Bowl dobrze pamiętał jego natchnione słowa.

Sonia, a wkrótce po niej Berta urodziły chłopców. Synowie Petrie nie rozumieli, dlaczego ojciec jest tak bardzo niezadowolony z tych narodzin. Dlaczego przeklina i czemu jest zawiedziony. Nie rozumieli słów: „Potrzebujemy młodych dziewczuch”. W tamtym czasie nic jeszcze dla nich nie znaczyły. Nie chcieli zawracać sobie głowy problemami taty. Wystarczała im krew Pana i „koźlina”.

Poznali jej smak w styczniu dziewięćdziesiątego szóstego, zanim jeszcze Sonia i Berta powiły chłopców.

Tamtej wiosny Luther postawił synów przy budowie kamiennej piwnicy. Wybrał dobre miejsce, kilkadziesiąt jardów od domu. Sami wykopali wielki dół. Miał piętnaście jardów na pięć i głębokość sześciu stóp. Naharowali się wszyscy trzej. Tata pomagał im po powrocie z pracy. Kiedy skończyli, kamienne ściany wystawały z ziemi na dwie stopy. Pod kierunkiem ojca pokryli piwnicę drewnianym stropem z belek, zasmołowali i przysypali ziemią. Wyglądała niczym kopiec na ziemniaki. W kilku miejscach Luther własnoręcznie wykonał kanały wentylacyjne. Ich niewielkie wyloty kończyły się równo z ziemią i były zabezpieczone wmurowanymi kratkami ze stalowych prętów. Posadzka, podobnie jak ściany, zrobiona była z granitowej kostki. Budulec przywiozło kilka wynajętych wywrotek.

Ku zdumieniu synów Luther kazał im na kamiennej posadzce położyć solidną podłogę z grubych desek. Podobnie postąpili ze ścianami, kładąc na drewnianych kratownicach sosnową boazerię. Izolowanym przewodem doprowadzili z domu prąd. Całość zabezpieczyły metalowe drzwi, do których schodziło się po granitowych stopniach.

— Co to, do cholery, będzie? — mruknął Nolan, kiedy siedzieli we trzech na trawie, podziwiając swoje dzieło. — Piwnica czy pieprzony hotel dla ubogich?

Był bliski prawdy. Przekonali się o tym niebawem.

Koźlina nie od razu im zasmakowała. Była zbyt słodka — wręcz mdła. Po pierwszej degustacji doszli do wniosku, że potrzebuje sporo przypraw.

— Macie rację. — Luther uśmiechnął się kwaśno do synów. — Spróbujcie coś z tym zrobić. Będziemy jedli to częściej. Bardzo zdrowe, pożywne mięso! — zarechotał. — Ma mnóstwo pożytecznych składników. Dodaje siły, sami się przekonacie. W przyszłym miesiącu przywiozę znowu. Znalazłem niedrogiego dostawcę.

Tak było tylko na początku. Nie mieli pojęcia, ku czemu zmierza ojciec. Nie wiedzieli, po co im kozie mięso, skoro hodują

świnie.

Nim minął rok zrozumieli intencje taty. Pojęli ich doskonałość i czystość. Zrozumieli, że wszystko, co robił, robił dla ich dobra. Luther Petrie potrafił rozmawiać ze swoimi synami. Potrafił przekonać ich do swoich wizji i zasad. Miał naprawdę oddanych synów, na których mógł polegać. Był z nich dumny, niemal tak samo jak z siebie. Nolan i Bowl dokładali starań, żeby koźlina smakowała jak należy. Zwłaszcza po tym, jak ojciec powiedział im, co i dlaczego jedzą.

Byli w szopie, tylko w czterech. Luther popatrzył na tępe twarze synów i powiedział bez żadnych wstępów:

— Tak, jak jest, będzie nadal. Jemy ludzkie ciało. Nie żadną pieprzoną „koźlinę”. To określenie dla kobiet w tym domu. Nie dla was. Dawniej tego nie wiedziałem, ale teraz mogę wam powiedzieć, że jedząc mięso ludzkich stworzeń, spożywamy dar Pana.

Zapanowała długa, martwa cisza. Przerwał ją śmiech Nolana, nieco sztuczny, jak gdyby wymuszony. Po nim zarechotał Jethro, a chwilę później Bowl.

Odczuli ulgę. Do tej pory nie rozumieli, dlaczego ojciec karmi ich kozim mięsem. Teraz wszystko stało się jasne. Ciało i krew Pana! Czyż mogło być coś lepszego? Alleluja!

Mogło być coś lepszego. Luther Petrie pomyślał o tym wcześniej. Mogli zaoszczędzić rodzinie kłopotów i kosztów związanych z darami Pana.

Petrie spojrzął na synów. Nie zawiedli jego nadziei. Postanowił uchylić rąbka tajemnicy.

— Dosyć! — przerwał ich chóralny śmiech. Zamilkli, czekając na to, co jeszcze powie. Zastanawiał się przez chwilę. Potarł wielką dłonią zarośnięty podbródek. — Myślę... to na razie tylko plany... że w przyszłości możemy obejść się bez dostawców. To cholernie ryzykowne zajęcie i jestem nim naprawdę zmęczony. Mogę na was liczyć, chłopcy?

— Jasne, tato! — Jethro uderzył się kułakiem w szeroką pierś. — Zawsze!

— Dobrze — uciął krótko Luther. — Przekonam się we

właściwym czasie.

Petrie nie do końca ufał swoim wielkim dzieciom. Nie doceniał mocy dziedziczności. W pewnym sensie miał rację.

Zdarzyło się to dzień po tym, jak ogłosił im słowo Pana.

Bowl wszedł do chlewni. W tym tygodniu przypadała jego kolej na czyszczenie kojców.

Wkroczył do ciemnego, wąskiego korytarzyka. Zanim przeszedł do pełnego smrodu i brzęczenia much pomieszczenia, zatrzymał się, słysząc tuż za załomem betonowej ściany podniesione głosy. Rozpoznał głos Nolana i ojca, który przed godziną wrócił z pracy. Bowl przysunął się do betonowego obrzeża i ostrożnie wysunął głowę.

Stali naprzeciw siebie, dwa kroki od przejścia. Szerokie bary brata, odziane w kraciatą flanelę, kołysały się dwie stopy przed nim. Spoza nich wyzierała nalana krwią twarz ojca. Bowl przymknął powieki. Nie był pewien, czy rozwarte szeroko oczy taty nie dostrzegą jego obecności. Poczul nieprzyjemne mrowienie w jądrach. „Dobry Jezu!”, zabelkotało w jego mózgu. Usłyszał chrapliwy głos Nolana:

— Tego chcesz, ojcze? Zabić je wszystkie? Bowl zadygotał. Działo się coś, czego nie potrafił pojąć. Nolan krzyczał na tatę. Ten sam Nolan, który niedawno śmiał się z tego gówna, które ojciec wpuścił w trzewia jego Sonii.

— Nie ty będziesz mnie uczył ani podrywał mój autorytet — słowa Luthera zabrzmiały spokojnie, lecz dziwnie złowieszczo. Bowl poczuł, że dygoczą mu kolana. Potem dostrzegł nagły ruch.

Rzucili się na siebie niczym dzikie bestie. Zawirowała słoma, tworząc paskudną, śmierdzącą chmurę. Cios następował po ciosie. Szkarłatne smugi krwi opryskały pobielone ściany wzorzystym, przeraźliwie jaskrawym wzorem. W pomieszczeniu czuć było namacalną atmosferę nienawiści i jakiejś niewytłumaczalnej żądz. Bowl próbował się cofnąć. Nie zdążył. Łoskot ciosu opadającego na szczękę Nolana wyprzedził o ułamek sekundy potworny ból, który powalił Bowla na betonową posadzkę. Uderzenie odrzuconej głowy brata trafiło go w usta, rozcinając wargi i język. Runął na plecy, niczym szmaciana lalka, a wielkie ciało Nolana przygniotło

go swoim ciężarem. Stracił na chwilę przytomność. Kiedy otworzył oczy, zobaczył dramatyczną scenę. Wielki korpus brata klęczał, zgięty w kabłąk u stóp ojca. Do uszu Bowla dobiegł szloch:

— Wybacz mi, tato! Boże, wybacz mi! Luther pochylił się i położył wielką dłoń na głowie syna.

— Zdaje się, że pobłądziłeś. Wiem, że już tego nie zrobisz. Daruję ci. Po raz pierwszy i ostatni. Zrozumiałeś?

— Tak! Boże, tak!

— Dobrze. Uspokój się. Musisz mi zaufać. Tylko ja jeden wiem, co jest słuszne i służy zbawieniu. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem, tato!

— To przestań się mazać. Dajesz zły przykład bratu! Spojrzenie ciemnych, dziwnie błyszczących oczu skierowało się na Bowla. Poruszył się gwałtownie, usiłując wstać. Z trudem wypluł krew gromadzącą się w ustach.

— Spokojnie, chłopcze — usłyszał. — To nie twoja wina. Podnieś się i rób swoje. Twój brat zrozumiał swój grzech. Wszyscy będziecie zbawieni.

Każdy mężczyzna rodziny Petrie pragnął być bliżej Pana. Mogli to uczynić poprzez picie krwi Pana i spożywanie „koźliny” — substytutu ciała Pańskiego. Droga do raju stała otworem. Kroczyli nią — ufni w mądrość ojca i pełni entuzjazmu. Nawet Nolan, pomimo chwili słabości, a może właśnie dzięki niej.

W miarę upływu czasu życie na ich małej farmie przybierało coraz dziwniejszą formę. Polubili ten nowy stan rzeczy. Odziedziczyli po ojcu i dziadkach „dobre” geny. Koszmar, który powoli, lecz nieubłaganie rozwijał się na farmie, przyprawiał każdego z nich o ekstazę. Nigdy wcześniej nie czuli się tak doskonale. Nie rozumieli parafilii zżerającej mózg Luthera — jego sadyzmu i dzikiego pożądania. Nie dostrzegli choroby toczącej umysły ich wszystkich niczym rak.

Niedługo po wybudowaniu osobliwej piwnicy przekonali się, do czego ma służyć.

Latem dziewięćdziesiątego szóstego Luther Petrie odkrył wreszcie karty.

Bowl pierdnął głośno i sięgnął po papierosa. Z czułością pomyślał o ojcu. To on, Luther Petrie, zapewnił mężczyznom miejsce należne im w rodzinie. Nie zawsze rozumieli jego słowa, ale wiedzieli, że przemawia do nich w imieniu Stwórcy.

Tuż na początku czerwca dziewięćdziesiątego szóstego zrozumieli, czemu miał służyć ich trud przy budowie „gospodarskiej piwnicy”, jak określali ten osobliwy budynek. Wszystko to miało stanowić drogę ku ich zbawieniu i lepszemu życiu doczesnemu. Miało służyć im — mężczyznom Petrie, choć z gadki ojca Bowl i starsi bracia wywnioskowali z niejakim trudem, iż nie są jedynymi „wybrańcami Pana” w tym okręgu. Pochlebiało im uznanie ojca i jego dobroć, skierowana jedynie na nich. Kobiety nie mogły na nią liczyć. To głównie przez wzgląd na nie Luther nakazał synom nazywać ludzkie mięso „koźliną”. Nie potrzebował zbędnej paniki. Tyle potrafił zrozumieć nawet Jethro.

„Krew i ciało Pana” zmieniły ich życie i otworzyły nowe horyzonty przed umysłami gotowymi do wstąpienia w szeregi Pańskich sług. Tak powiedział ojciec, a on przecież wiedział wszystko najlepiej.

Mordy i sadystyczne uczynki, które nastąpiły po jego kazaniach, przypominały najokrutniejsze sceny biblijne. Tak sądził Bowl, który jako jedyny z braci przeczytał fragmenty Pisma Świętego.

W istocie cała osobliwa sytuacja na małej farmie Petrie stanowiła teatr rzezi i tortur na niespotykaną skalę. Wyczyny Garry’ego Ridgwaya „Piekarza”, zabójcy z Green River, który w dwa tysiące trzecim roku przyznał się do zamordowania czterdziestu ośmiu kobiet (choć znaleziono znacznie więcej ofiar), a także sprawy jemu podobnych, były niczym w porównaniu z dziełem mężczyzn Petrie. Żaden z nich nie miał o tym zielonego pojęcia. Działali zgodnie z naukami Pana, przekazywanymi im ustami ojca. Tornado śmierci szalało w górzystym zakątku Wyomingu.

Upiorne zbrodnie stały się dla synów Luthera Petrie codziennością życia. Wszystko było jak dawniej, tylko przybyło im zajęć. Rekompensata okazała się jednak godziwa ponad wszelką

miarę.

Bowl oblizał mięsiste wargi grubym językiem. Spojrzał na tani zegarek, który ostatnio często „strajkował”. Dochodziła dziesiąta przed południem. Niemal dwie długie godziny musiał czekać na kolejną porcję codziennego przydziału wysokoenergetycznej krwi Pana.

— A niech to jasna dupa! — zaklął ze złością. Ojciec zostawiał im codziennie dwie racje alkoholu. Pierwszą wypijali z rana, drugą mogli się raczyć dopiero w południe. Choć Luther wracał do domu znacznie później, przestrzegali jego nakazów. Pomimo że było im coraz trudniej. Zwłaszcza w ostatnich czasach.

Jesień dwa tysiące siódmego zapowiadała się marnie. Od kilku tygodni nic się nie działo. Nie było żadnego uboju ani żadnej — choćby małej — imprezki. Zarówno jego, jak i braci doprowadzało to do szału.

Nie łaknęli mordy. Pragnęli smaku „koźliny” i krwi Pana. Od pewnego czasu każdy z nich był kompletnie uzależniony od alkoholu, choć żaden nie miał o tym pojęcia.

Bimber, który przynosił do domu Luther, nie był zwykłym alkoholem. Wysokoprocentowe paskudztwo zawierało domieszkę importowanych grzybków — na wzór niektórych meksykańskich napitków.

Bowl zagryzł wargi. Czuł wzbierające rozdrażnienie. Dawniej nadchodziło powoli, ostatnio uderzało znienacka i mocno.

Nogą, odzianą w gruby skórzany but, kopnął drewniany zydel po prawej i wstał. Splunął gęstą śliną na wysuszone deski blatu i ruszył w stronę ziemnej budowli. Przystanął przed jedną z wentylacyjnych kratek.

Z wnętrza ziemianki dochodził szmer głosów i płacz dziecka. — Hej! — zawołał. — Jesteś tam, Cecily? Wiedział, że jest. Tylko ona podchodziła do kratek. Tym razem także dostrzegł ruch za prętami. Pochylił się i spojrzał w szarozielone oczy siostry.

— Zostań tam, gdzie jesteś, mała — zachrypiał, rozpinając rozporek. — Mam dla ciebie coś miłego.

Wzniósł oczy ku niebu i nie sprawdzając, czy Cecily nadal tkwi na swoim miejscu, opróżnił pęcherz. Odetchnął z ulgą. Źle znosił ciśnienie nagromadzonego moczu. Przyprawiało go o ból głowy.

Dwieście jardów za tablicą z napisem „Gillette” Clinton dostrzegł po prawej stronie szosy czerwony neon motelu. „Sunset Hotel”, przeczytał.

Trudno było znaleźć bardziej pretensjonalną nazwę. W tej chwili nie miało to jednak dla niego znaczenia. Potrzebował odpoczynku — i to było najważniejsze. Zatrzymał wóz na parkingu, wysiadł i wszedł do parterowego budynku.

W recepcji zastał młodego, źle ogolonego człowieka. Gerstaecker rozejrzał się dookoła. Hol był czysty i zadbane. Pod pułapem powieszono kilka koszy z jaskrawoczerwonymi kwiatami. Słychać było delikatny szum klimatyzacji. Odetchnął z ulgą. Prawdopodobnie trafił pod właściwy dach.

Wynajął jeden z domków, stojących dwoma rzędami za głównym budynkiem. Wnętrze nie pozostawiało niczego do życzenia. Było schludne, podobnie jak hol i recepcja.

Rzucił torbę na łóżko. Czuł się naprawdę kiepsko. Mimo to postanowił wziąć prysznic i zjeść kolację w hotelowej restauracji. Pod strumieniem gorącej wody spędził długie, przyjemne chwile. Kąpiel zakończył zimnym tuszem. Poczuł się o wiele lepiej. Przebrał się w świeże rzeczy. Na szczęście pomyślał o wszystkim wcześniej. Poczuł dojmujące uczucie głodu. Od rana nie miał niczego w ustach. Teraz, kiedy odświeżył ciało, żołądek dał znać o swoich potrzebach. Clinton wstawił torbę do szafy. Pochylił się i wydobyl świeżą paczkę papierosów. Zrobił to z czystego przyzwyczajenia. W tej chwili nie chciało mu się palić.

Nie miał pojęcia, że za kwadrans będzie palił jednego za drugim. Zamknął szafę. Obojętnie spojrzął na milczący telewizor i otworzył drzwi.

Świeże nocne powietrze niosło intensywną woń ziół i dość wyraźny zapach dziko rosnącej lawendy.

W hotelowej restauracji było niemal pusto. Z głośników, umieszczonych nad barem dobiegała spokojna muzyka. Jakies stare przeboje Deana Martina. Czysty relaks.

Usiadł przy stoliku pod ścianą, jak najdalej od głośnego towarzystwa okupującego ostatni stół w środkowym rzędzie. Po kilku chwilach pojawiła się młodziutka kelnerka.

Zamówił stek, frytki i miejscową specjalność — sałatkę ze szparagami. Poprosił o chłodne piwo i czekając na posiłek, raczył się małymi łykami bursztynowego płynu. Machinalnie sięgnął po papierosa i zaciągnął się ostrym dymem, obserwując przeciwległą ścianę, na której domorosły malarz utrwalił obraz dziwacznej, brunatnej góry, którą Clinton mijał po drodze, ale której nie dostrzegł z racji gęstniejących ciemności.

Poczuł nadciągającą senność. Zrobiło mu się ciepło i błogo. Nie na długo. Zanim kelnerka zdążyła przynieść kolację, stało się coś niespodzianego i przykrego zarazem.

— *El Pendejo!* — usłyszał wibrujący, kobiecy krzyk od stolika z mieszanym towarzystwem. Podniósł wzrok.

Pomiędzy dwoma zarośniętymi blondynami zobaczył czarnowłosą dziewczynę. Mogła mieć nie więcej niż dwadzieścia kilka lat. Jej cera oraz rysy wskazywały na rdzennie meksykańskie pochodzenie. Ubrana w tanią, kolorową bluzkę i sprane dzinsy, stała za blatem stolika i trzymając w trzęsącej się ręce szklankę, wypluwała z siebie potok meksykańskich przekleństw. Wielki złoty pierścionek, umieszczony nietypowo na jej kościstym palcu wskazującym, dygotał jak szalony, dzwoniąc o szkło szklanki. Brunatny, kościsty palec, mierzył wprost w Clintona.

— *Morderco!* Kacie moich braci! Zabójco naszych chłopców. Ty kutasie!
— powtórzyła łamaną angielszczyzną meksykańskie przekleństwo, którym zaczęła występ.

Poczuł mimowolny dreszcz na skórze. Ostry, nieprzyjemny głos Meksykanki przeszedł w wycie.

— *Morderca!* Cholerny bandzior! Tylu chłopców! Musiałeś ich zabić, draniu? Za co? Matko z Gwadelupy! Za co, ty cholerny, biały diable?!

Jeden z mężczyzn towarzyszących Meksykance pociągnął ją za ramię i uderzył wierzchem dłoni w wykrzywioną twarz. Drugi wpatrywał się w Clintona, świdrując go ostrym wzrokiem szarych oczu. Gerstaecker zaciągnął się głęboko. Zaklął w duchu. Tylko tego brakowało. Zamierzał tutaj odpocząć, a zamiast tego zanosilo się na jakąś pieprzoną awanturę.

„Czy to się nigdy nie skończy?“, pomyślał. Spojrzał na kelnerkę, stojącą przy barze, na barmana, który szybkim krokiem zmierzał w stronę stolika podpitych gości, i sięgnął po szklankę z resztką piwa. W tej samej chwili czyjaś dłoń lekko dotknęła jego ramienia.

— Wybaczy pan, szanowny panie. — Niski, nosowy głos miał lekko chropowate brzmienie. — Zna ją pan?

Na końcu chlewni, za kojcami świń, znajdował się spory boks wyłożony białymi płytkami, z okratowaną studzienką odpływową oraz z dużym kranem, na który nakręcono gruby gumowy wąż. Tutaj mieściła się ich ubojnia i tutaj pod koniec lata dziewięćdziesiątego szóstego zarżnęli pierwszą ludzką ofiarę —

pierwszą „własną kozę”. Była sobota — dzień świniobicia.

Kiedy Bowl wszedł do ubojni, zastał w niej Nolana, który zwykle głużył świnie metalowym łomem, oraz Jethro.

W narożniku pomieszczenia pochrząkiwał spory wieprzek, przypędzony przez Jethro, który radził sobie z tym najlepiej z braci. Obydwaj wyszczerzyli się na jego widok.

— Napij się, Bowl! — Nolan wskazał na opróżnioną w dwóch trzecich butelkę, stojącą na podwieszanej wysoko drewnianej półce, służącej do składania narzędzi — kompletu noży do uboju, skórowania i porcjowania.

— Pełna kwarta? — Zdziwiony Bowl zerknął na butelkę.

— Jakaś wyjątkowa okazja?

— Trafieś w dziesiątkę! — roześmiał się Jethro. — Tata uznał, że przed dzisiejszą robotą powinniśmy się napić solidnie. Częstuj się, tylko uważaj, mocna jak cholera. Tata powiedział, że skróci nam czas czekania. Niedługo do nas dołączy.

Bowl przechylił butelkę. Przymknął powieki i kilkoma pociągnięciami opróżnił zielone szkło. Przez dłuższą chwilę nie mógł złapać oddechu. Poczerwieniał na twarzy i zamachał rękami. Bracia ryknęli śmiechem.

— Krzepka, co? — zapytał Nolan. Bowl kiwnął głową. Czuł prawdziwy płomień rozchodzący się po trzewiach. Po chwili poczuł się lepiej, a po kolejnej minucie — wręcz bosko.

— Cudo! — sapnął. — Najlepsza krew Pana, jaką piłem. Tym razem ryknęli śmiechem wszyscy trzej. Nie przestali jeszcze rechotać, kiedy uchyliły się stalowe drzwi ubojni i wszedł Luther, dźwigający na ramieniu jutowy, wierzgający worek, z którego dobiegały nieartykułowane dźwięki. Zamknął za sobą drzwi i rzucił wór na posadzkę. Odetchnął z ulgą.

— Dobra, chłopcy! Do rzeczy. Nie będę już przywoził porcjowanej „koźliny” tak często jak do tej pory. Za drogo kosztuje i stwarza niepotrzebne ryzyko. Pora, żebyśmy sami zajęli się tymi sprawami.

Spojrzał na opróżnioną flaszkę i uśmiechnął się pod nosem.

— Widzę, że już się pokrzepiliście, więc bierzmy się do roboty. Najpierw „koza”, potem wieprzek. Nolan! Wypuście ją z

wora. Niech sobie trochę pobiega. — Zaśmiał się zimno. Bowlowi na dźwięk tego śmiechu mróz przebiegł po plecach.

Nie mogła mieć więcej niż piętnaście, szesnaście lat. Jej piersi nie były jeszcze w pełni rozwinięte. Miała piękne, kruczoczarne włosy i śnieżnobiałą cerę.

Kiedy wydobyli ją z worka, Bowl zrozumiał, dlaczego nie wrzeszczała. Cała dolna część jej twarzy była zaklejona kilkoma warstwami izolacyjnej taśmy. Rozpaczliwie chwytła oddech szeroko rozwartymi nozdrzami. Chude ramiona miała przytwierdzone do tułowia taką samą, szarą taśmą przylepną. Wolne pozostawały jedynie nogi — nieco zbyt szczupłe, ale zgrabne. Poderwała się z posadzki i bełkocząc coś spod knebla, przypadła do Jethro, który stał najbliżej. W jej obłąkanych z trwogi oczach kręciły się wielkie łzy. Bowl widział je doskonale, chociaż stał najdalej. Desperacko szukała pomocy, ale kopnięcie okutego buta w sam środek płaskiego brzucha odrzuciło ją pod ścianę. Podniosła się niemal natychmiast, ale nie próbowała już szukać drogi ratunku. Spod taśmy opasującej jej twarz dobiegł przeciągły skowyt. Osunęła się na kolana, próbując zakryć swą pleć. Oparta plecami o zimną, ceramiczną ścianę, dygotała spazmatycznie, obserwując obłąkanym wzrokiem piekielną scenę i wyczuwając swą bliską śmierć.

Nazywała się Berta Shule i przyszła na świat jeszcze w Europie. Kiedy rodzice podjęli decyzję o emigracji, nie była zachwycona. W momencie zetknięcia się ze swoją nową ojczyzną miała zaledwie sześć lat. Wkrótce okazało się, że nie jest tutaj tak źle, jak myślała. Bardzo szybko opanowała język. O wiele szybciej niż jej meksykańskie rówieśniczki z tej samej klasy.

Mieszkali na Wschodnim Wybrzeżu, ale Berta dość wcześnie zaczęła marzyć o Kalifornii. Oglądała w kablówce wszystkie filmy na temat tego „stanu ze snów”. W trzeciej klasie gimnazjum podjęła decyzję. Spakowała niewielki plecak, zabrała wszystkie oszczędności i porzuciła dom oraz rodziców, którym zostawiła kartkę z lakonicznym napisem: „Jadę na Zachód. Odezwę się. Kocham Was”. Sądziła, że to wystarczy. Targała nią burza hormonów. Jechała na Zachodnie Wybrzeże, do Los Angeles, gdzie

zamierzała zrobić karierę, a jeśli nie, poznać choćby jednego z tych pięknych, opalonych chłopców. Pojechała autobusem linii Greyhound. Dojechała zaledwie do Rapid City w Dakocie, gdzie stwierdziła, że dalsza podróż autobusem pochłonie większość jej oszczędności. Nie mogła sobie na to pozwolić. Postanowiła spróbować szczęścia i jechać stopem. Z czwórką młodych ludzi zdążających do Seattle przejechała do Gillette w Wyomingu. Tam, przy zjeździe z autostrady, starszy pan zabrał ją do swojej starej furgonetki. W ten sposób Luther Petrie złowił świeżą „koźlinę”. W ten sposób kończyło się jej młode życie.

— Bierzcie się za wieprzka! — głos Luthera był dziwnie głęboki i nie tak chrapliwy jak zazwyczaj. — Nolan! Ruszysz wreszcie swoje tłuste dupsko?

— Jasne, tato! Biorę się do roboty. — Najstarszy z braci Petrie podszedł do ściany i podniósł spory stalowy łom.

Wieprz usiadł pod ścianą po przeciwnej stronie ludzkiej ofiary. Pochrząkiwał cicho i wypróżnił się na moment przed uderzeniem stalowego łomu.

To, co nastąpiło potem, Bowl nazwał w myślach „krwawą łaźnią”.

Nolan nie trafił precyzyjnie za pierwszym razem. Wieprz uskoczył, a wielki łom spadł na jego wygięty kark. Powietrzem targnął przeraźliwy kwik zwierzęcia, ugodzonego poniżej głowy. Uderzenie było mocne — Nolan miał ciężką rękę. Trafił zwierzę za uszami i omal nie przełamał świni karku.

Rozpoczęła się — groteskowa, zdaniem Bowla — pogoń. Poprzez świński ryk śmierci usłyszał pisk dziewczyny oraz niski, spokojny śmiech ojca. Spojrzał w jego stronę.

Luther Petrie stał w półmroku drzwi. Ręce trzymał w kieszeniach roboczych spodni, a jego wielkie ciało dygotało. Spomiędzy sinych warg grubym, białym strumieniem spływała gęsta ślina.

Pogoń za świnią nie trwała długo. Nolan dopadł wieprza przy drugim okrążeniu. Podniósł łom. Trzasnęła czaszka i zwierzę zważyło się niemal pod same nogi dziewczyny. Jethro podbiegł z długim połyskliwym nożem. Chwycił prawą nogę świni i dźgnął

dwukrotnie.

Pierwsze strumienie ciemnej, gorącej krwi opryskały biel ścian i nagie ciało przerażonej ofiary.

— Już, już! — Bowl usłyszał zza pleców sapanie ojca. Nie obejrzał się. Nie chciał tego oglądać.

Wszystko, co nastąpiło potem, wryło się w jego pamięć jako niezapomniane przeżycie.

Zanim jeszcze wieprz przestał wierzgać, rozpryskując po ścianach i posadzce krwawy deszcz, Luther wskazał zwiniętą w dygocący kłębek dziewczynę.

— Weźmy się za nią — zachrypiał. Jethro i Bowl podbiegli do nagiej postaci. Chwycili ją pod ramiona i postawili na nogi. Bowl czuł drżenie jej ciała. Wezbrały w nim emocje. Pomyślał, że niebawem zatopi zęby w jej młodym, soczystym mięsie.

— Chce ją który wziąć? — dudniący głos Luthera odbił się echem od zakrwawionych ścian. Nie chcieli. Chcieli patrzeć, jak kona.

— Przytrzymajcie ją! — Nolan sięgnął po zakrwawiony nóż. Chwycili mocniej szczupłe ramiona i przycisnęli nadgarstki do ściany. Bowl czuł pod palcami gwałtowne bicie jej tętna. Chwilę później Nolan przejechał nożem po jej krtani.

Bowl przymknął oczy, chroniąc je przed purpurową fontanną.

Umierała powoli, szarpiąc się i rzucając w ich uścisku. W miarę upływu czasu jej dygotanie stawało się coraz słabsze, a chrapliwy świst z rozciętej szyi przerodził się w jakiś niesamowity gulgot.

Powoli opuścili ją na posadzkę. Westchnęła ostatni raz i znieruchomiała u ich stóp. Berta Shule nie żyła. To było piękne. Bowl uśmiechnął się w duchu.

— Dobrze — usłyszał spokojny głos ojca. — Jethro! Bierz się do pracy. Wypatrosz te ścierwa i umyj ubojnię. Bowl! Ty zajmiesz się porcjowaniem i natrzesz mięso. Jutro przyjadą po wieprzka. Powieście go w chłodni. „Kozłinę” do beczki na strychu. Bowl, postaraj się synu. To nasz pierwszy ubój. Nie schrzań sprawy. Kupiłem zioła. Postaraj się, chłopcze.

— Jasne, tato. Postaram się.

Postarał się. Ojciec i bracia byli zachwyceni. Żebra z rusztu wyszły najlepiej. Tamten pierwszy wieczór przy własnoręcznie ubitej „koźlinie” był niezapomnianym wydarzeniem. Nic nie dawało się porównać ze smakiem tego młodego mięsa. No, może tylko nieliczne chwile, kiedy pałaszowali dzieciaki z „własnej hodowli”. Ale to nie zdarzało się codziennie.

Kobiety, z wyjątkiem matki, przeprowadzili do ziemnej kwatery dopiero w połowie dziewięćdziesiątego ósmego. Było sporo zamieszania, ale zarówno Bowl, jak i bracia mieli przy tym sporo zabawy. Trochę nimi rzucało, jak zwykle po dodatkowej racji krwi Pana, ale uporali się nawet z Cecily, choć drapała, gryzła i darła jak opętana.

Tata był zadowolony. Mieli teraz własną trzodę. Przywoził nadal pojedyncze sztuki (głównie młodziutkie dziewczęta), ale robił to tylko przy specjalnych okazjach.

Nora Petrie straciła głos. Przestała się odzywać do kogokolwiek. Nie protestowała przeciwko ich praktykom. Była już tak skatowana, że nie wiadomo jakim cudem trzymała się kupy. Płynęły miesiące i lata. Ich życie stało się kolorowym korowodem epizodów. Było niczym bajka. Nie mieli sił ani chęci, by z tego zrezygnować.

Kiedy Herb skończył dwanaście lat, ojciec wyjaśnił mu, jaka będzie jego rola. Stało się to pod koniec dwa tysiące drugiego. Luther nie miał z nim żadnych problemów. Chłopak aż palił się do roboty. Mieli frajdę, obserwując, jak używa sobie na szwagierkach i siostrze — zwłaszcza na niej. Herb był jurny jak cholera — ojciec dokonał dobrego wyboru. Teraz kończył siedemnaście lat. Był w szczytowej formie, ale ani Bowl, ani żaden z pozostałych mężczyzn Petrie nie wiedział, że chłopak już niewiele sobie podupczy.

Bowl zapiął rozporek. Po raz kolejny beknął głęboko. Leniwym krokiem wrócił do stołu. Usiadł na ławie, wydobył pomietą paczkę chesterfieldów i zapalił. Potrzebował porządnego dymka. Rozmyślał o dniu, w którym pozbyli się matki.

Sprawy przybierały paskudny obrót już od dłuższego czasu.

Wszystkie kobiety Petrie, wraz z dziećmi, zamieszkiwały ponury, podziemny bunkier. Wszystkie oprócz Nory. Co prawda żona Luthera od dawna przestała odzywać się do męża oraz synów, ale Petrie potrzebował jej do zaspakajania potrzeb rodziny i własnych. Wychodziła ze swojej sypialni jedynie po to, żeby przygotować posiłki. Nie rozmawiała nawet z Nolanem, swym ukochanym pierworodnym.

Bowl zaciągnął się podłym dymem. Matka mogła żyć o wiele dłużej, gdyby nie ta kurwa Cecily. Zamierzali nawet kupić mamie coś fajnego na jej pięćdziesiąte drugie urodziny. Ojciec nie miał nic przeciwko temu, ale dwa dni wcześniej Cecily dostała szau. Stała od rana pod jedną z wentylacyjnych krat i wyła niczym wilczyca.

Właśnie wtedy — zupełnie niedawno, w lipcu tego roku — doszło do ostatniej kłótni pomiędzy Lutherem i Norą.

Jethro i Bowl rąbali gałęzie ściętej śliwy, kiedy ich uszu dobiegł harmider dochodzący z domu.

— Jesteś zbrojcem i mordercą! — usłyszeli podniesiony głos matki.

— Zamknij pysk! — Niski, gardłowy bas ojca. — Mam już tego dosyć!

Bowl pamiętał ciarki, które przebiegły mu po spoconym grzbiecie. Instynktownie wyczuł, że tym razem nie skończy się na pyskówce czy zwykłym biciu. Miał rację.

Clinton Gerstaecker powoli odwrócił głowę. Odetchnął z ulgą. Mężczyzna stojący za jego krzesłem był schludnym, dość oficjalnie odzianym gościem, wysokim na nie więcej niż pięć stóp i trzy cale. Ubrany w doskonale skrojony smoking, wyglądał groteskowo jak na chwilę, w której się pojawił. Clinton przygryzł wargę.

— Zna ją pan? — mężczyzna powtórzył pytanie.

— Nie, nie znam. Pierwszy raz w życiu jestem w tej okolicy. Chciałem zjeść kolację. Będiesz mnie nadal poklepywał jak swojego muła, przyjacielu? Nie? To opuść rączkę. Z kim mam przyjemność?

— Przepraszam. Jestem szefem zmiany. — Chuda dłoń cofnęła się w połowie gestu. — Nie chciałem pana urazić.

— Naprawdę? — Zimny, beznamiętny wzrok. — Czemu więc zawdzięczam tę pieprzoną scenę? Nie zapłaciłem rachunku?

— Przeprosiłem pana. Oni są miejscowi. Często dają sobie do wiwatu, ale rozumie pan, że musimy przyjmować gości. Nie śmiałybym pana niepokoić, tylko to trochę dziwne. Maria często wykrzykuje niestworzone rzeczy, ale nigdy nie było tak jak dzisiaj. Cóż, proszę mi wybaczyć. Zaraz zrobię porządek. — Przylizana, rzadka czupryna pochyliła się w poddańczym geście.

— Proszę mnie więcej nie niepokoić — warknął Clinton. Był absolutnie pewien, że coś takiego nigdy dotąd nie wydarzyło się w tym miejscu.

„Kurwa!”, zaklął w myślach. „Co jest grane? Jakiś popaprawy sen?” Podświadomie uszczyptał się w policzek, patrząc jak szef zmiany wraz z barmanem wymiata towarzystwo z cholernego stolika. Westchnął z ulgą, kiedy opróżniono lokal.

Sięgnął po kolejnego papierosa. Podeszła kelnerka i podała kolację z jakimś dziwnym, zalęknionym wzrokiem.

— Spokojnie. — Uśmiechnął się do niej. — Nie wiem, co pani sobie myśli, ale to na pewno nie ja.

Odwzajemniła uśmiech, stawiając przed nim talerze.

— Mam nadzieję. Wygląda pan na porządnego gościa, tylko...

— Tylko co?

— Maria nigdy się tak nie zachowywała. Wiemy, że pije i ćpa, ale to nie nasza sprawa. Jej faceci płacą za wszystko. Nigdy dotąd nie zachowywała się wrogo wobec kogokolwiek. Dopiero dzisiaj.

— Może wzięła większą działkę?

— Na to wygląda, proszę pana. — Roześmiała się nerwowo. — Życzę smacznego! — Uśmiechnęła się jeszcze raz i odeszła na zaplecze.

Przeżuwał kolację, jak gdyby to była gąbka namoczona w proszku do prania. Apetyt ulotnił się bezpowrotnie. Mimo to zjadł wszystko. Wiedział, że potrzebuje energii przed dalszą drogą. Kiedy skończył, wstał i poszedł do swojego domku, nie zwracając na nic uwagi.

Krótki prysznic, chłodna, czysta pościel — zasnął niemal natychmiast.

Nora uniosła powieki. Poprzez firany wpadały do pokoju pierwsze promienie słońca. Różowa zorza kładła się ciepłą poświatą na białych ścianach sypialni.

Podniosła się i usiadła na łóżku. Duże tremo na przeciwległej

ścianie odbijało jej bladą, zmęczoną twarz.

„Więc to dzisiaj”, pomyślała. Wiedziała o tym od chwili, w której otworzyła oczy. Czuła to każdą cząstką ciała. Spojrzała na ciemną butelkę, stojącą na stoliku. Popijała z niej przez kilka ostatnich lat, zgodnie z zaleceniami męża. Gorzka, lepka ciecz przynosiła ulgę i wprawiała ją w stan zobojętnienia. Widocznie tak miało być.

Wyciągnęła rękę. Połykała miksturę dłużej niż zwykle. Kiedy skończyła, butelka była niemal pusta. Poczuła znane mrowienie i lekki zawrót głowy. Zachwiała się, omal nie padając na posłanie. Podparła się ręką i uśmiechnęła do twarzy w lustrze.

— Już pora — szepnęła. Podniosła się z wysiłkiem i przeszła kilka kroków. Opadła na fotelik przed lustrem — ten, który dostała wiele lat temu od matki jako jedyne wiano. Wiedziała, że siada na nim po raz ostatni. To był jej dzień. Tak postanowiła. Milczała zbyt długo. Od kilku dni myśli o tym nie dawały jej spokoju. Była prostą kobietą — uległą i ciepłą, ale koszmar, który ją otaczał, stał się czymś nie do wytrzymania, i nic nie pomogły żarliwe, wieczorne modlitwy. Miała już tego dość — dość takiego życia i takiej rodziny.

Spojrzała na swoje bujne, siwiejące włosy, które nadal sięgały jej niemal do bioder, i nie spiesząc się, powoli zaczęła zaplatać je w gruby warkocz. Robiła to każdego dnia, ale nigdy nie sprawiło jej to tyle radości co dziś. Otworzyła szufladę i wydobyła starą czarną kredkę, której nie używała od lat. Przybliżyła twarz do lustra i delikatnie podkreśliła łuki brwiowe. Po raz kolejny uśmiechnęła się do siebie. Wszystko było jak należy.

Poczuła silniejszy niż zwykle zawrót głowy. Wrzuciła kredkę do szufladki i odsunęła fotelik. Wstała ostrożnie i powoli podeszła do szafy. Zdjęła z wieszaka swoją ulubioną sukienkę — tę w wielkie czerwone hibiskusy. Zdjęła nocną koszulę i narzuciła suknię na gołe ciało. Westchnęła, czując aksamitny dotyk opadającego materiału. Sięgnęła po buty, ale rozmyśliła się, kładąc dłoń na starych beżowych czółenkach, które zakładała jedynie w niedziele.

„Po co?”, pomyślała. „Po co?”

Zatrzasnęła szafę i usiadła na krawędzi łóżka. Zerknęła na

rozrzuconą pościel, ale nie chciało jej się niczego poprawiać. Teraz nie miało to już znaczenia — nie dla niej. Splotła dłonie na kolanach i wyprostowała plecy. Pomyślała o mężu. Była pewna, że zrobi to sam. Przypomniła sobie jego twarz kryjącą chęć mordu — tylko takie oblicze Luthera utkwiło w jej pamięci, choć przecież dawniej było inaczej. Przygryzła wargę. Mocniej zaszumiało jej w głowie. To był jej dzień. Dzisiaj zamierzała położyć temu kres.

Od dwóch dni słyszała wycie Cecily dochodzące od strony „szatańskiego kopca”, jak nazywała w myślach ziemną budowlę, którą jej własni synowie wzniesli na cześć upiora śmierci. Byli ciemni i rozpici, ale wszystkiemu winien był on — Luther Petrie, za którego wyszła na swoją mękę i zgubę.

Teraz, w ostatnim dniu życia, modliła się, żeby grom Stwórcy uderzył w to potworne miejsce, będące kiedyś jej domem.

Była sobota. Jak zwykle tuż przed szóstą usłyszała znajome dudnienie zbliżających się kroków. Ucichły pod drzwiami jej sypialni. Skupiła wzrok na gałce, która przekreśliła się bezgłośnie. Mocniej zacisnęła palce.

Przyszedł. Wiedziała, czego chciał. Śniadania, a także tego, co brał sobie, nie zwracając uwagi, czy ona ma na to ochotę. Nigdy dotąd nie walczyła z nikim, tym bardziej z nim, ale dziś miało być inaczej. Tak postanowiła.

Drzwi otworzyły się na oścież. Poczowała żołądek podjeżdżający jej do gardła, lecz nie zamierzała się cofać. Już nie.

Luther Petrie wszedł do sypialni żony. Zatrzasnął za sobą drzwi i dopiero teraz przystanął, patrząc zaskoczony na swoją kobietę, siedzącą na łóżku w jaskrawej sukni i przebierającą nerwowo palcami bosych stóp po drewnianej podłodze. Jego brwi uniosły się w wyrazie zdumienia, by po chwili ściągnąć się, tworząc groźną, ponurą zmarszczkę nad grubym, mięsistym nosem.

— Co, do cholery? — mruknął półgłosem. — Oszalałaś? Noro! — warknął. — Nie wiem, co kombinujesz, ale pora ruszyć dupsko. Śniadanie ma być za godzinę. Co, do jasnej cholery, z siebie zrobiłaś? Masz ochotę na bara-bara? Od kiedy?

— Na nic nie mam ochoty, ty łajdaku — usłyszała swój własny, drżący głos. — Skończyło się — dodała. — Sami sobie

gotujcie. Jesteście bandą morderców, a ty przypominasz wściekłego psa. Masz mnie za sukę? Zapomnij. Nigdy więcej, draniu.

— Co powiedziałaś? — Wyszczrzył zęby w okrutnym uśmiechu. — Śmiesz mówić do mnie w ten sposób? — Powoli odpiął szeroki pas i wyciągnął go ze szlufek wytartych dżinsów. Nie zwróciła na to uwagi. Podniosła głowę i spojrzała prosto w jego zaczerwienione, podpuchnięte oczy. Leniwym ruchem sięgnęła po butelkę z reszką mikstury.

— Tym samym poisz chłopców? Tym namieszałeś im w głowach? Kto ci to dał? Twój wielebny? Czym mu płacisz? Kto jeszcze należy do waszej zgrai morderców? Nie! Nie waż się mnie bić! — podniosła głos, widząc, że zamierza się do ciosu. — Możesz mnie zabić, ale tłuc już nie będziesz.

Opuścił rękę i przyglądając się jej dziwnym wzrokiem, odparł:

— Zrobię dokładnie to, czego oczekujesz.

— A proszę! — Przestała panować nad sobą. — Radzę ci draniu, żebyś się pośpieszył. Autobus do Rebellstone odchodzi za dwie godziny. Zamierzam nim pojechać. Mam sporo do powiedzenia w pewnym miejscu. Na twój temat! — niemal wypluła ostatnie słowa. Oczy Luthera zamieniły się w dwie szparki. Cmoknął głośno językiem.

— Wiesz, co powiedziałaś, suko?

— Wiem, bandyto. Rób swoje albo pozwól mi odejść. Tak czy siak, zapłacisz jeszcze za krew, którą przelałeś. Jesteś zboczeńcem i mordercą! — krzyknęła w napadzie wściekłości, spluwając gęstą śliną na jego rozstawione nogi.

— Zamknij pysk! Mam tego dosyć! — jego głos zabrzmiał bardziej gardłowo niż zwykle. Pochylił się i szarpnął jej drżące ramię.

— Idziemy — szepnął jakimś śliskim, lubieżnym szeptem.

— Nie licz na swojego pupila — dodał. — Nolan pojechał do miasta. Może to i lepiej! — Luther parsknął chrapliwym śmiechem. — Nie będzie problemów.

— Zostaw! Sama pójdę! — Wyrwała ramię z jego dłoni. Idąc w stronę drzwi, po raz ostatni zerknęła w lustro.

Bowl zaciągnął się tak głęboko, że łzy stanęły mu w oczach. Tamtego dnia ubój odbył się bez ich udziału. Tata załatwił to sam. Oczywiście nie wszystko. Kilka scen utkwiło w pamięci Bowla i Jethro (Nolana ojciec wysłał do miasta na jakieś pieprzone zakupy).

— Jakoś tak w lipcu, chyba pod koniec — wymamrotał Bowl. Mimo najszczęśliwszych chęci, nie potrafił sobie przypomnieć daty urodzin matki. — Pieprzyć to! — mruknął, spluwając brązową śliną na zarośnięty trawnik.

Pamiętał matkę, idącą krok przed ojcem w stronę chlewni. Jasne promienie słońce przenikały poprzez jej zwiewną, kolorową suknię. W tamtej chwili ani on, ani Jethro nie zdawali sobie sprawy, że mamy już nie ma — że widzą świeżą „koźlinę”, prowadzoną na rzeź.

Kiedy ojciec przywołał ich do chlewni, poczuli znajomy, podniecający zapach — woń krwi i świeżo wypatroszonych wnętrzności.

Nagie ciało matki leżało rozbebeszone na środku ubojni. Nie miało głowy. Z leżącego pod ścianą worka wystawał długi ciemnosiwý warkocz. Cała reszta tonęła w brunatnych plamach gęstej, krzepnącej krwi.

Peklował ją starannie. Sądził, że właśnie tego by chciała. Wielokrotnie dobierał przyprawy, ale było warto. Mięso zachowało posmak świeżutkiej potrawy. Także z różną wyszło kruche i aromatyczne. Luther pochwalił syna.

— Masz talent, Bowl. Masz prawdziwy talent.

Takie było epitafium Nory Petrie — niezbyt rozgarniętej dziewczyny, która wyszła za mąż w nadziei lepszego życia, a chociaż winna była grzechu przyzwolenia na zbrodnie, jednak do końca swoich dni pozostała czysta w swoim prostym sercu.

Bowl rozkoszował się papierosem po zjedzeniu dobrze wypieczonego kawałka „mamusi”. Nie wiedział, że klątwa, którą rzuciła na początku swej śmiertelnej drogi, miała lada chwila ziścić się w tym odludziu, gnieździe rzezi i gwałtów – w domu mężczyzn Petrie.

Ale Nory nie było. Nie doczekała dnia sądu i kary. W trawie walał się

ostatni — ogryziony przez Bowla — kawałek jej kręgosłupa.

Wóz lekko wszedł w kolejny zakręt. Clinton przyglądał się mijanym formacjom skalnym, płonącym brunatną czerwienią w blasku porannego słońca. Do celu pozostało mu zaledwie parę mil.

Auto przemknęło tunelem dzikiej zieleni, porastającej brzegi parowu, który opadał w dół, kreśląc zygzakowaty szlak po obu stronach szosy. Dodge'em lekko szarpnęło. Samochód wyskoczył na prostą, wiodącą środkiem świerkowego lasu.

— Jest! — szepnął Gerstaecker na widok tablicy z wyraźnym napisem „BRIGHT”. Niemal natychmiast po lewej i po prawej pojawiły się drewniane i druciane ogrodzenia.

„Przedmieścia”, pomyślał, uśmiechając się z przekąsem.

— Ale zadupie! — sapnął, sięgając do schowka po przeciwsłoneczne okulary.

Dave Morgan przeciągnął leniwie muskularne ramiona. Stojąc na wprost kuchennego okna, mógł podziwiać niezwykły róż, który pierwszego jesiennego poranka pokrył pastelową poświatą krawędzie owocowych drzew w sadzie, oddzielającym budynek od drogi. Sierżant Morgan — szeryf miasteczka Bright — nie był obojętny na uroki natury, choć wyżej cenił sobie zupełnie inny rodzaj przeżyć. Jednak przez blisko trzynaście lat, jakie minęły od chwili, gdy został oddelegowany z Rebellstone na stanowisko szeryfa do tej zapomnianej przez Boga i ludzi miejsciny, poznał smak obcowania z przyrodą. Nie zaniechał swoich dotychczasowych upodobań. Co więcej, tutaj mógł nareszcie „rozwinąć skrzydła swojej wyobraźni”. Na tym odludziu napotkał bratnią duszę — wielebnego Ironsa, który miał podobne ideały i upodobania, stwarzające tak wiele możliwości. Szeryf był wniebowzięty. Znalazł nareszcie miejsce swojego przeznaczenia. Dzika, bujna przyroda nadawała jego poczynaniom głębszy sens. Trafił w to urokliwe pustkowie i nic nie było w stanie naruszyć jego wewnętrznej równowagi. Nic, aż do tego magicznego poranka.

Za plecami usłyszał klapnięcia laczków swojej kobiety. Sophia wygramoliła się z wyrka, żeby zaparzyć dzbanek mocnej, czarnej kawy, od której zwykle zaczynali każdy dzień.

— Jak się masz, Dave? — usłyszał jej niski głos.

— Dzięki, kruszynko! Jest ekstra — mruknął, nie odwracając wzroku od

szyby płonącej zorzą poranka.

„Oby tak dalej”, pomyślał. Nie miał pojęcia, że nie będzie żadnego „dalej”, że nadciąga kres sielanki, którą z takim uporem i trudem stworzył dla siebie i innych.

Nie przestając obserwować kolorów świtu, słuchał, jak Sophia krząta się przy maszynie do kawy. Odgłos nalewanej wody, bulgotanie wrzątku, aromat unoszący się dokoła.

„Życie jest piękne”, pomyślał. „Cholernie piękne”.

W tej samej chwili przez siatkę rozpiętą na framudze uchylonego okna dobiegł jego uszu szum nadjeżdżającego pojazdu. Bez trudu rozpoznał odgłos silnika.

— Dodge — wyszeptał. — Czyżby to był on? Odwrócił się w stronę żony. — Idź na górę, Sophio. Natychmiast! I żadnych hałasów! Możemy mieć gościa. Pamiętasz telefon od Franka? Niewykluczone, że to ten facet. Ruszaj się, kobieto!

Clinton minął już kilkanaście posesji, zanim spotkał pierwszego mieszkańca Bright. Starszy człowiek w słomkowym kapeluszu i brudnym kombinezonie człapał wzdłuż żywopłotu. Przystanął, widząc nadjeżdżający pojazd. Gerstaecker zatrzymał przy nim samochód. Wyłączył silnik i opuścił szybę.

— Dzień dobry! — Uśmiechnął się do staruszka. — Pan tutejszy?

— Chyba tak. — Starzec skrzywił się kwaśno. — A jaki miałbym być? O co chodzi?

— Szukam rancho Lonstone. Wie pan, jak tam dojechać?

— Masz pan fajki? — Zamiast odpowiedzi, miejscowy zbliżył się do drzwi wozu.

— Jasne. — Clinton wyszczerzył się, częstując starego papierosem.

— Mogę dwa? Zostawiłem swoje w domu. — Mężczyzna pochylił się, łapczywie sięgając po papierosy. Powiało tanim alkoholem.

— To jak będzie z tym Lonstone? — Gerstaecker zaczynał się niecierpliwić.

— Racja. Już mówię. Skręcisz pan w pierwszą w prawo, potem cały czas prosto. Dojedziesz pan do końca Bright. Dwie mile za tablicą trzeba skręcić w pełną drogę po lewej. Stoi tam stara uschnięta sosna. No i jeszcze sześć mil tą drogą. Wjedziesz pan prosto na podwórko Morganów.

— Czyje?

— Morganów. Szukasz pan rancho Lonstone? Tak żeś pan mówił.

— Zgadza się.

— To o co chodzi? Lonstone należy do Dave'a Morgana, naszego szeryfa.

Z ogromnym trudem Clinton ukrył wrażenie, jakie zrobiła na nim ta wiadomość. — Tak! — Uśmiechnął się, udając radość. — Ja właśnie do Dave'a.

— No to jedź pan tak, jak mówiłem. — Starszy człowiek wyprostował się, poprawił na głowie kapelusz i ruszył dalej, nie oglądając się za siebie.

Clinton siedział jeszcze przez chwilę, nie włączając zapłonu. Zamyślił się głęboko. Sprawy komplikowały się coraz bardziej. Dopiero przed chwilą dowiedział się, jaką to „szychą” (takiego określenia użył Beaver) jest w tym mieście szwagier Franka Kelly'ego.

„Będzie, co ma być”. Gerstaecker uruchomił silnik. Do tej pory miał cholernie dużo szczęścia. Choćby ten staruszek. Dopiero teraz Clinton poznał nazwisko rodziny, której szukał. Fakt, że był to miejscowy szeryf, nie rokował najlepiej, lecz świadomość faktu była na wagę złota.

Dodge toczył się po pochyłości jeszcze trzysta jardów, po czym skręcił w prawą przecnicę i pomknął pustą ulicą.

Po kilku minutach zobaczył samotną sosnę oraz szeroki skręt w lewo. To musiało być tutaj. Skręcił w pełną, lecz doskonale utrzymaną drogę. Chwilę później zatrzymał wóz, wysiadł i załatwił pod przydrożnym krzakiem problem z pełnym pęcherzem. „Nerwy”, pomyślał. Zawsze w ten sposób reagował na skutek napięcia. Zaciągnął zamek dzinsów i sięgnął po papierosa, rozglądając się po okolicy.

Miejsce było niczym z bajki. Różowe promienie słonecznej zorzy sprawiały, że cały krajobraz jawił się niby nierzeczywisty, baśniowy pejzaż. Clinton Gerstaecker zaciągnął się głęboko. Wydmuchnął długą smugę szarego dymu i splunął na trawę pokrytą rosą. W tej chwili marzył tylko o mocnej, czarnej kawie. Podszedł do wozu, otworzył szeroko drzwi i usiadł bokiem na fotelu, opierając o ziemię obcasy kowbojskich butów. Wsparł łokieć na muskularnym udzie, podparł pięścią podbródek i zamyślił się ponownie.

W miarę jak kończył się papieros, twarz Clintona tężała, przybierając spokojny, chłodny wyraz. Musiał rozegrać swoją grę delikatnie. Musiał podołać nieprzewidzianym trudnościom, ale nie zamierzał się cofać. Przypomniawszy sobie Luttona Steinera. — Ilu jeszcze skurwysynów nosi

odznakę? — mruknął, rzucając na moką glebę niedopałek. Wciągnął nogi i zatrzasnął drzwi. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Potężny silnik zamruczał niskim tonem. Dodge ruszył powoli brudną, ziemną aleją, mijając kępy jesionów i wiązów. Nieco dalej po obu stronach perliły się różową poświatą iglaste wierzchołki świerkowych lasów.

Kroki Sophii umilkły na schodach. Trzasnęły zamykane drzwi. Dave Morgan odetchnął. Naraz odwrócił się, niczym ukąszony przez żmiję. Rzucił krótkie spojrzenie na wieszak przy drzwiach. Odetchnął ponownie, głębiej i swobodniej. Dopiero teraz przypomniał sobie, że jeszcze wczoraj dał żonie do przeprania swój mundur. Ponownie spojrzął w okno. W tej właśnie chwili zza jałowców porastających obrzeża dojazdowej drogi wyłoniła się szara maska dodge'a. Dave drgnął mimo woli. Rozpoznał pod zderzakiem wozu rejestrację Kentucky.

— Jesteś — szepnął, sięgając po papierosy leżące na kuchennym stole. Był dobrym policjantem. Wiedział, że czeka go spotkanie z groźnym przeciwnikiem, ale miał świadomość własnej przewagi.

Wiedział wiele o tym facecie — tamten błądził po omacku. Na szczęście ta durna suka, Shannon, nie powiedziała mu wszystkiego. Przynajmniej tak twierdziła. Gość szukał na oślep i nie miał pojęcia, z kim przyjdzie mu rozmawiać.

Dave rozluźnił napięte ramiona. Zerknął w stronę schodów. W głębi domu panowała grobowa cisza. Uśmiechnął się na myśl o planie, który ułożył sobie w głowie na taką jak ta okoliczność.

Odwrócił się od okna i podszedł do maszynki z kawą. Sięgnął do szafki po kubek i z lubością pociągnął nosem, nalewając brudny, parujący płyn. Po chwili usłyszał oczekiwane pukanie. Łyknął gorącej kawy, odsunął kubek i podszedł do siatki zabezpieczającej drzwi. Dębowe skrzydła zakładali na stalowe zawiasy futryny dopiero jesienią. Za siatką dostrzegł cień męskiej postaci. Dave nie należał do ułomków, ale musiał przyznać w duchu, że przybysz jest także sporym gościem. Nie był zdziwiony. Frank opisał faceta w miarę dokładnie.

Nie otworzył drzwi. Przez siatkę spojrzął w twarz intruza. Szara, ziemista cera gościa świadczyła o zmęczeniu, wręcz o wyczerpaniu. Dave uśmiechnął się w duchu. Zawsze udawało mu się właściwie ocenić przeciwnika. Chyba dlatego ci z Rebellstone powierzyli mu tę funkcję.

— Słucham pana. Mogę w czymś pomóc? — Nadal nie otwierał drzwi.

— Szukam pani Morgan. — Przybysz zdjął kapelusz. Dave z prawdziwą przyjemnością przyglądał się pozlepianym w mokre kosmyki włosom na czole faceta.

„Spiesz ci się, sukinkocie”, pomyślał, otwierając wreszcie drzwi.

— Proszę. — Wykonał zdawkowy ruch ręką. — Może szybciej — dodał. — Muchy są cholernie upierdliwe o tej porze roku. Właśnie zaczęła się jesień.

Usunął się na bok, wpuszczając gościa do środka. Trzasnęła lekko rama, przyciągnięta sprężyną.

— Proszę — powtórzył Morgan, wskazując w głąb przestronnej, chłodnej kuchni, w której unosił się cudowny zapach świeżo parzonej kawy.

Przybysz minął go w ciasnym przejściu. Nieledwie otarli się o siebie. Dave Morgan poczuł wyraźny zapach potu.

„Boisz się”, pomyślał. „Boisz się, sukinsynu. I bardzo słusznie. Niedługo zaczniesz się bać jak nigdy w życiu”.

— Kawy? — rzucił krótkie pytanie. Był absolutnie pewien, że intruz daruje sobie te wszystkie pierdoły. Pomylił się.

— Chętnie, jeżeli nie sprawiam kłopotu — usłyszał cichą odpowiedź.

— Żadnego — skłamał, nalewając gorący płyn do glinianego kubka. Nie zamierzał robić sobie ceregieli z gościem, którego przeznaczyli na odstrzał. — Cukier? — chrząknął. — Dzięki. — Przybysz położył swój czarny kapelusz na stole.

— Lubię gorzką i mocną.

„Żona zawsze taką parzy”, chciał powiedzieć Morgan. W ostatniej chwili przygryzł wargi. Omal się nie sypnął. Postawił przed facetem kubek parującej cieczy i zajął miejsce po przeciwległej stronie stołu. Sięgnął po camele, nie częstując gościa.

— Szuka pan pani Morgan? — zagadnął, wypuszczając obłok szarego dymu. — Dobrze pan trafił. Nie wiem tylko, czy chodzi panu o starszą, czy młodszą panią Morgan?

„Pogimnastykuj się, sukinkocie”, pomyślał.

— Chodzi mi o pańską żonę. — Przybysz sięgnął do kieszeni prze poczonej bluzy i wydobyl pomietą paczkę papierosów.

— Z tym może być kłopot. — Dave skrzywił się sztucznie. — Ja nie mam żony, drogi panie. Nie wiem, jak się do pana zwracać — dodał z lekką nutą irytacji. — Nie przedstawił się pan do tej pory.

— Przepraszam. Nazywam się Clinton Johns. — Gerstaecker uniósł ciało

z krzesła.

— Nie! Niech pan siedzi. — Dave machnął ręką. — Wygląda pan na zmęczonego.

— Jestem zmęczony, panie Morgan. Jak diabli. — Clinton zaciągnął się dymem. — Wskazano mi pańską posiadłość. Miałem przekazać wiadomość pani Morgan z rancho Lonstone. Sądziłem, że trafiłem dobrze, ale słyszę, że nie jest pan żonaty. Ktoś wprowadził mnie w błąd.

— Nie powiedziałem, że nie jestem żonaty. — Morgan bawił się doskonale. — Powiedziałem, że nie mam żony. Sophia odeszła blisko trzy miesiące temu. — Skrzywił się z niesmakiem. — Znalazła sobie lepszego. Nie mamy jeszcze rozwodu. Mniejsza z tym. — Spojrzał w spocone oblicze przybysza. — Daruje pan, ale to nie pańska sprawa.

— Nie moja. Przepraszam. — Gość otarł wierzchem dłoni pot z czoła. — Jak wspomniałem, mam wiadomość dla pańskiej żony. Gdzie mógłbym ją znaleźć? Mieszka w pobliżu? — Owszem. — Morgan omal nie parsknął śmiechem. — Przygruchała sobie jednego z synów Luthera Petrie. Mają małą farmę kilka mil na zachód. Powiem panu, jak jechać.

— Będę zobowiązany. — Clinton podniósł się z krzesła. „Jakim cudem zostałeś policjantem, durniu?“, pomyślał, wyciągając dłoń. — Dzięki za kawę. — Uśmiechnął się do gospodarza. — Może pan wskazać mi najkrótszą drogę? Lecę z nóg. Chciałbym mieć to już za sobą.

„Jeszcze trochę, przyjacielu”. Dave omal nie powiedział tego na głos. Poczuł znaną rozkosz wędrującą po trzewiach. Porąbany fanatyk, Petrie, i jego popieprzona rodzinka czekali na tę wizytę. Udzielił Lutherowi dokładnych wskazówek. Zastrany szeryf z Kentucky nie miał u nich żadnych szans.

— Wróci pan do szosy. Pół mili dalej jest kolejna odnoga w lewo. Połą drogą przejedzie pan kilka mil na zachód. Nie musi się pan martwić. Farma Petrie jest jedyna w tamtej okolicy. Zresztą pozna ją pan bez trudu. Leży niemal przy samej drodze. Petrie ogrodził ją wysokim płotem z desek, jakby siedział na górze złota. W gruncie rzeczy to gołodupcy. Moja „była” jest durna jak but. Powodzenia, panie Johns! — Morgan klepnął gościa po plecach, otwierając drzwi.

— Szybko! Owady! — dodał. Roześmieli się obaj.

Jeszcze przez chwilę Dave obserwował czerwone światła dodge'a, niknące w ostatnich oparach mgły. Wreszcie oderwał się od drzwi, podszedł do ściany i sięgnął po słuchawkę wiszącego telefonu.

— Czego? — usłyszał niski, zaspany głos.

— Uważaj, Luther. Gość już tu jest. Jedzie do was.

— Dobra. — Do Morgana doszedł suchy odgłos odkładanej słuchawki.

Uśmiechnął się z ulgą i podchodząc do maszynki z kawą, krzyknął w stronę pięterka: — Sophia! Możesz już zejść!

Farma wyglądała dokładnie tak, jak ją opisał Morgan. Gerstaecker dostrzegł z daleka wysoki drewniany płot, który synowie Luthera pociągnęli kilkoma warstwami spalonego oleju samochodowego. Wyglądał ponuro, zwłaszcza na tym odludziu.

Zahamował i zgasił silnik. Dodge stanął na skraju gęstwiny otaczającej posiadłość. Gerstaecker jeszcze raz przyjrzał się ogrodzeniu i bramie. Gdzieś nad jego głową zaskrzeczała sójka. Wzdrygnął się mimo woli. Sytuacja przestała mu się podobać. Po prostu poczuł niemal namacalny dotyk śmierci. Intuicja szeptała mu: „Nie jedź tam. Zostaw to cholerstwo”.

Wyjątkowo paskudny był fakt, że chyba po raz pierwszy w swoim życiu szeryf Gerstaecker poczuł dreszcz irracjonalnej trwogi. Czarne dechy ogrodzenia wieściły jakąś ponurą niespodziankę. W swojej policyjnej karierze Clinton widział niejednokrotnie rzeczy niewyobrażalnie okrutne. Przywykł do nich i nie robiły na nim wrażenia. Jednak dzisiaj poczuł na skórze ten nieprzyjemny dreszcz.

Jadąc polną drogą, rozważał dwie możliwości. Albo nikt nie uprzedził Morganów i ten dupiek Dave mówił prawdę, albo wiedzieli o jego spodziewanej wizycie i zastawili jakąś pieprzoną pułapkę. Był ciekaw, czy rzeczywiście zastanie na tej samotnej farmie siostrę „czarującego” Franka. Tak czy siak, nie miał wielkiego wyboru. Tylko ona mogła mu wskazać miejsce pobytu swojego brata — mordercy, chociaż był pewien, że nie uczyni tego dobrowolnie. Ale to był najmniejszy problem.

Nie wiedział, skąd wziął się ten duszący lęk. Czuł poprzez skórę, że nie wszystko potoczy się tak, jakby sobie tego życzył. Clinton Gerstaecker nie lekceważył takich sygnałów. Przez kilka minut siedział rozparty w fotelu dodge’a. Chciał załatwić tę sprawę sam, bez niczyjej pomocy, ale chciał ją załatwić jak należy. Uświadomił sobie jednak, że może nie starczyć mu sił. Przed oczami ujrzął potrzaskaną kulami twarz Cynthii. Jęknął, nie zdając sobie z tego sprawy. Przebył tę wędrowkę dla niej i tylko to było ważne. Westchnął, otworzył drzwi i wysiadł. Sięgnął do kieszeni bluzy po komórkę. Trzymał ją w dłoni przez dłuższą chwilę, po czym włączył i niechętnie

spojrzał na krystaliczny wyświetlacz. Już miał wystukać numer Milтона, ale rozmyślił się w ostatniej chwili. To była wyłącznie jego sprawa. Rodney na pewno nie wzywałby niczyjej pomocy. Clinton westchnął na wspomnienie nieżyjącego brata. Wyłączył aparat i wpakował go do schowka w drzwiach samochodu. Odetchnął, ocierając pot z czoła. Był zły na siebie, a jednocześnie rad, że potrafił pokonać słabość. Tym bardziej że ta rozmowa i tak niczego by nie załatwiła. Nie zamierzał przecież tkwić pod tą pieprzoną bramą zbyt długo. Obawiał się, że poniosły go emocje, ale na szczęście wyszedł z tej walki zwycięsko. Teraz musiał zrobić to, co uważał za słuszne — to, co w głębi serca obiecał Cynthii.

Zatrzymał wóz na zwirowym podejździe, parę jardów od czarnej drewnianej bramy, zamkniętej na głucho. Ponad krawędzią wysokiego ogrodzenia widać było jedynie wierzchołek dachu domostwa. Pokryty szarym gontem, niemal tonął w lekko brązowiejącej zieleni rozłożystych dębów. Gdyby nie oślizgła czerń płotu, można by uznać to miejsce za całkiem atrakcyjny kawałek gruntu.

— Gównno! — mruknął Clinton, wysiadając z auta. Rzadko mówił do siebie na głos, jedynie w momentach szczególnego napięcia. Ta chwila różowego poranka była właśnie taka. Niemal słyszał mocne, nierówne uderzenia własnego serca.

Odrzucił na prawe siedzenie sfatygowaną paczkę papierosów, po czym wydobyl ze schowka nową. Otworzył drzwi dodge'a i wysiadł, nie spuszczać wzroku z ponurej bramy. Delikatnie przymknął drzwi, starając się nie robić hałasu. Przez moment pomyślał o arsenale ukrytym w bagażniku, ale w końcu machnął na to ręką. Ponownie poczuł ciśnienie w pęcherzu, ale postanowił załatwić sprawę, zanim sobie ulży. Czuł, że może być obserwowany.

— Będzie, co ma być — mruknął głośno. Obcasy kowbojskich butów zachręściły na żwirze przed bramą. Clinton Gerstaecker splunął strugą śnieżnobiałej flegmy. Zwinął dłoń w pięść i zastukał w śmierdzącą olejem deskę. Odpowiedziała mu cisza. Lubił ciszę, ale nie taką. Poczul na mokrych skroniach lekki powiew wiatru. Jeszcze raz uderzył kułakiem w bramę.

— Czego? — głos po drugiej stronie odezwał się niemal natychmiast. Clinton drgnął.

— Ja do pana Petrie!

Jego donośny głos utracił widocznie swą moc, bowiem spoza ogrodzenia

dobiegło pytanie:

— Do kogo?

— Do pana Petrie! — powtórzył Gerstaecker.

Brama uchylila się o trzy stopy. Gerstaecker ujrzał przed sobą wielką, pomarszczoną gębę, rząd żółtych, połamanych zębów i oczy, których wolałyby nigdy nie oglądać. W sinoczerwonej, napuchniętej twarzy można było dostrzec jedynie dwie zaropiałe szczeliny, mrugające nerwowo. W nozdrza Gerstaeckera uderzył odór gorzały.

— Jestem Jethro. Nie znasz mnie pan? Jesteś z Rebellstone? Tata zaraz przyjdzie. O co chodzi?

— O panią Morgan. Mogę wejść? — Gerstaecker oparł dłoń na uchylonym skrzydle bramy.

— Czemu nie? Właż pan. — Sine wargi odsłoniły pomarszczone dziąsła. — Tato z panem pogada. Zaraz go zawołam.

Domostwo było parterowe, do połowy wzniesione z kamieni, wyżej — z dawno niemalowanych desek. Nieco po prawej stronie wystawał z ziemi dach wiejskiej piwniczki. Tak ocenił to Clinton, zerkając jednocześnie na drągała, który natychmiast po jego wejściu zatrzasnął bramę.

Powiało mrokiem, mimo że dzień budził się właśnie do życia. Przez ciało Clintona przebiegł lekki dreszcz.

Cuchnący wódą rosły oberwaniec ponownie wyszczerzył osobliwe uzębienie. — Zaczekaj pan tutaj. Pójdę po ojca. On panu powie co i jak.

— Jasne. Dzięki. Chętnie chwilkę odpocznę. Można tutaj zapalić?

— Zapalić? Pal se pan do usranej śmierci. — Kudłaty dryblas zaniósł się suchym kaszlem. — Orz, do kurwy! — zaklął. — Pieprzona zgaga! Zaraz wracam.

Odwrócił się i ruszył w stronę domu. Jego brudna kraciasta koszula zajaśniała w promieniu słońca, które przedarło się ponad płotem. Gerstaecker obserwował typa, dopóki tamten nie zniknął w drzwiach budynku. Zapalił papierosa, czując, że pęcherz odmawia mu posłuszeństwa. Rozejrzał się wokół. Nie zobaczył żywej duszy, chociaż nie dałby głowy, że nie jest obserwowany. Splunął ze złością w niestrzyżoną trawę.

„Mus to mus”, pomyślał. Podszedł do niziutkiej ściany ziemnej budowli i trzymając papierosa w zaciśniętych wargach, rozpiął suwak rozporaka.

— Boże! Co za ulga! — mruknął głośno. Strumień moczu powędrował w gęstą trawę, tuż obok metalowej kratki. „Wentylacja”, pomyślał Clinton,

rozkoszując się prostą, fizjologiczną czynnością.

Obejrzał się w stronę domu. Najmniejszego śladu życia.

— Co za cholerne miejsce — zachrypiał, omal nie wypuszczając papierosa. — Jakaś pieprzona zagroda, na miarę durnego horroru.

Wyjął z ust papierosa i splunął gorzką śliną w stronę metalowej kratki.

Naraz zamarł, czując, jak jego kręgosłup zamienia się w gigantyczny sople lodu. W okratowanym otworze wentylacyjnym dostrzegł jakiś ruch.

Zaciągnął gwałtownie suwak, omal nie przycinając sobie „Jasia”. Ostrożnie pochylił się nad kratką.

Dwie stopy przed jego twarzą, spomiędzy zardzewiałych stalowych prętów wychynęły drobne, blade palce, zakończone szczątkami połamanych paznokci. Palce owinęły się wokół jednego z prętów, zaś do uszu Gerstaekera dobiegł niski, kobiecy jęk. — Kimkolwiek jesteś, ratuj nas! Błagam! Mordują nas po kolei. Pomocy! — Głos zamienił się w ochryply szept. Clinton pochylił się niżej.

W półmroku otworu wentylacyjnego zamajaczył blady owal twarzy. Szept zamienił się w rozpaczliwy skrzek:

— Ratuj!

Po raz pierwszy w życiu Gerstaecker poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie.

— Mordują nasze dzieci! Oni — ochryply skrzek odbił się głuchym echem od ścianek przewodu wentylacyjnego — oni jedzą ludzkie mięso.

Clinton szarpnął się niczym ukąszony przez żmiję. Z głębi komory dobiegł go płacz małego dziecka. Gerstaecker pochylił się i drżącymi palcami podniósł papierosa, który upadł w mokrą trawę z jego otwartych ust. Chciał zakląć, ale nie zdążył.

Cios owiniętego skórą łomu trafił go w prawą skroń tuż nad uchem. Padając na ziemię, nie słyszał już zbiorowego rechotu za swoimi plecami.

— Brawo, Nolan! — Luther splunął stróżką gorzkiej śliny. Od pewnego czasu żuł tytoń. — Brawo, synu! — powtórzył. — Jest żywy?

— Tak jak chciałeś, tato.

— Doskonale. Musi być żywy. Jeszcze przez tydzień. Bowl! — Luther skinął na młodszego syna. — Dbaj o niego, synu. — Petrie uśmiechnął się okrutnie. — Ubój dopiero za tydzień. Za dwa tygodnie świętujemy jubileusz powstania naszego Zgromadzenia. To czas odrodzenia prawdziwej wiary w naszym mieście. Przygotujesz mięso. Tydzień to chyba będzie w sam raz?

— Jasne, tato. — Bowl uśmiechnął się krzywo. Po śmierci matki na niego spadły wszystkie obowiązki związane z prowadzeniem kuchni. Cóż, widocznie tak musiało być.

Luther dłuższą chwilę przyglądał się leżącemu. — Kawał chłopca — mruknął. — Rasowy cap. Zapeklujesz szynki i schab. — Spojrzał na Bowla. — Obiecałem pieczone naszym dobrodziejom z Gminy. Będzie też sporo mięsa na gulasz. Wiesz, Bowl?

— Luther położył ciężkie łapsko na karku syna. Nolan i Jethro spojrzeli po sobie zdumieni. Taka poufałość nie była w stylu ojca. — Wiesz — powtórzył Luther. — Przypraw dobrze żebra. Najlepiej jak potrafisz. Widzę, że są niezłe przerośnięte. Zostaną dla nas. W dniu Odnowienia Wiary będą na naszym stole stanowić królewskie danie. Teraz zbyt wcześnie na ubój. Zadbaj o tego capa, synu.

— Zadbam, tato. — Bowl oblizał grube wargi swoim wielkim jęzorem. On również cieszył się z nadchodzącego święta. Poza tym to właśnie jemu ojciec powierzył przygotowanie na tę wyjątkową okazję „królewskiego dania”. Postanowił stanąć na głowie, aby ta wykwintna potrawa wszystkim smakowała. Żebra z rusztu, obłożone pieczonymi ziemniakami. Bowl doskonale wiedział, czym posypać rozżarzony węgiel drzewny, aby danie było prawdziwie królewskie.

— Nolan, Jethro! — Luther skinął na synów. — Przykujcie go do ściany. Nie, nie z nimi — machnął ręką w stronę ziemnego baraku. — Przykujcie go w ubojni. Rzućcie mu coś pod dupę, żeby nie zachorował. Dobierzcie odpowiedni łańcuch. Musi mieć trochę luzu, żeby móc siadać na wiadro, chyba że chcecie go przewijać! — Zarechotał i splunął kolejną porcją czarnej, śmierdzącej śliny. — Karmić go dobrze. Nie chcę, żeby stracił na wadze. Rozumiecie?

— Tak, ojcze.

— To bierzcie się do roboty. Łańcucha nam nie brakuje, a mocne kłódki są w warsztacie. No, już! Ruszajcie, zanim odzyska przytomność. Obejdzie się bez szarpaniny.

Petrie odwrócił się i ruszył w stronę domu. Po kilku krokach przystanął.

— Jethro! — jego głos zabrzmiał nieco ostrzej.

— Tak, tato? — Utnijcie tej kurwie, Cecily, jej durną łapę. W łokciu! — dodał.

— Aha! Powiedzcie Herbowi, żeby potem zerznął ją gruntownie.

— Chyba przedtem, tato? — Nolan, pochylony nad nieprzytomnym

Gerstaeckerem, podniósł się na chwilę.

— Nie, synu. Nie przedtem. Potem. Herb powinien przyzwyczajać się do naszego stylu życia. Nie jest już dzieciakiem. Pamiętajcie, że on także należy do mężczyzn rodziny Petrie.

Nie czekając na odpowiedź, Luther odwrócił się ostatecznie i wolnym krokiem oddalił się w stronę budynku.

Nolan i Jethro chwycili pod ramiona bezwładne ciało.

— Jasna cholera! Ależ to bydlę waży! — stęknął Jethro. Stojący obok Bowl zachichotał.

— Tym się martwisz? Będzie więcej żarcia.

— I picia — dodał Nolan, prostując się z wysiłkiem.

— Chwalmy krew Pana! — ryknęli chórem i wybuchnęli głupkowskim śmiechem.

PO BURZY

Elmer Sunside siedział w kuchni i przez okno patrzył na plac, po którym kręcili się jego ludzie. Dzięki ich zapobiegliwości i poświęceniu burza nie uczyniła większych strat i ranczer powinien być zadowolony, zwłaszcza że Aidan przeżył i miał się dobrze.

Sunside zmełł w ustach przekleństwo, a pionowa zmarszczka nad jego nosem jeszcze się pogłębiła. Właśnie ta sprawa nie dawała mu spokoju.

Clinton Johns — człowiek, który ocalił życie najpierw jemu, a teraz Aidanowi — wyjechał bez pożegnania. Zrobił to celowo i Elmer doskonale wiedział dlaczego. On sam był temu winien. Źle potraktował Clintona.

Kiedy nad ranem wrócił ze szpitala, natychmiast zapytał Monthy'ego Sverinna o Johnsa. W odpowiedzi usłyszał lakoniczne „wyjechał”. Zagadnięty Shepard wzruszył jedynie ramionami. Ani Monthy, ani Dugg nie spojrzeli mu prosto w oczy. Omal go krew nie zalała, ale udało mu się powstrzymać emocje. Zrozumiał.

Po raz kolejny zerknął w okno. Pomiędzy zabudowaniami dostrzegł szczupłą sylwetkę Sverinna. Sięgnął po telefon. — Monthy!

— Tak, Elmer?

— Zajdź do mnie na chwilę. Jestem w kuchni.

— Idę.

Elmer obserwował zarządcę, chowającego aparat do kieszeni dżinsowej bluzy. Odwrócił się od okna i sięgnął po papierosy. Tutaj, w kuchni, zawsze leżały pod ręką. Cygarami raczył się zwykle w zaciszu swojego gabinetu. Po chwili usłyszał stukot ciężkich butów na deskach werandy. Sverinn wszedł do kuchni.

— Siadaj. — Sunside wskazał zarządcy krzesło. — Pogadajmy chwilę.

— Czemu nie? — Monthy usiadł, kładąc na stole kapelusz. Czuł, że tematem rozmowy nie będą wczorajsze straty w bydle ani ten pieprzony stóg siana, który nie dość dokładnie zabezpieczyli.

— Wiele lat pracujemy razem, Monthy. Cholerny kawał czasu.

— Fakt. O co chodzi, Elmer?

— O Johnsa. Niedobrze się stało.

— Niedobrze — potwierdził ostrożnie zarządca.

— Naprawdę nie wiesz, dokąd pojechał?

— Nie wiem. Może Shepard wie. Byli ze sobą blisko. — Monthy

skrzywił się nieznacznie.

— Dobrze. — Sunside spojrział na zarządcę. — Przyślij go do mnie. Teraz — dorzucił, nie podnosząc głosu.

Nie minął kwadrans, kiedy kolejne kroki zadudniły na deskach werandy.

— Wejdz, Dugg. — Sunside skinął na wysoką postać stojącą w drzwiach. — Chcę pogadać. — Zapalił kolejnego papierosa, myśląc, że nie sprawiają tyle kłopotu co cygara.

Duggan Shepard, siedzący naprzeciw, bawił się szerokim rondem swojego czarnego kapelusza. Elmer westchnął. Postanowił nie owijać niczego w bawełnę. — Dugg — odezwał się cicho — chcę odnaleźć Johnsa. Wiesz, dokąd pojechał?

— Już mnie o to pytałeś, szefie. Nie wiem. — Shepard przesunął dłonią po gładkim blacie. — Szkoda — dodał.

— Wiem — uciął Sunside. — Dlatego pytam. Czy nikt na tym cholernym rancho nie wie niczego? Nie pomożesz mi, Dugg?

— Chciałbym, ale naprawdę nie wiem.

— A co wiesz?

— Niewiele więcej niż pan. Może pogada pan z szeryfem? Zajmował się Johnsem, o ile mi wiadomo.

— Aha! A nasi? Niczego nie wiedzą?

— Niech pan zapyta Beavera. On widział Johnsa ostatni. Podstawił mu auto.

— Jestem pewien, że już go o to pytałeś.

— Pytałem. — Shepard podniósł wzrok znad kapelusza. — Powiedział, że nic nie wie.

— To czemu radzisz mi z nim rozmawiać?

— Bo może nie powiedział prawdy. Diabli wiedzą. Warto spróbować.

— Dobrze. — Elmer zdusił niedopałek. — Przyślij go do mnie. Czekam.

— Beaver. — Sunside wyciągnął paczkę papierosów w stronę mechanika.

— Dzięki, panie Sunside. — Indianin potrząsnął głową. Siedział sztywno, trzymając dłonie na udach.

— Beaver — powtórzył Elmer, odkładając papierosy. — Potrzebuję twojej pomocy.

— Co mogę zrobić, szefie?

— Jesteś dobrym pracownikiem, Beaver — Sunside ostrożnie dobierał słowa. — Mam nadzieję, że znalazłeś swoje miejsce w naszej małej społeczności. Jak córka? — zagadnął nagle. — Dziękuję. — Oczy Indianina stały się czujne. — Co mogę dla pana zrobić, szefie? — powtórzył. Elmer przygryzł wargę. „Nie będzie łatwo”, pomyślał. Pochylił się nad stołem. — Lubieś Johnsa? — zapytał.

— Tak, panie Sunside.

— Przygotowałeś mu wóz do drogi?

— Tak — potwierdził Beaver. Niespokojnie poruszył się na krześle. Nie uszło to uwagi Elmera.

— Posłuchaj uważnie, Beaver. Chcę, żeby Johns wrócił. A ty?

— On nie wróci, szefie.

— Nie? Skąd wiesz? Powiedział ci dokąd się wybiera?

— Nie, szefie.

— Mówisz prawdę? Chcę mu pomóc. Ten człowiek ma jakiś problem. Czy coś ci o tym wiadomo?

— Nikt tego nie wie, szefie.

— Czyżby? Beaver, czy ja zasługuję na szczerłość?

— Tak, panie Sunside.

— To gadaj, chłopie! — Sunside zmierzył Indianina chłodnym wzrokiem. — Jeżeli myślisz, że będziesz mieszkał pod moim dachem, że zapewnisz byt córce, i niczego nie jesteś mi winien, to cholernie się mylisz.

— Wiem, szefie, tylko...

— Tylko co? — warknął Sunside.

— Boję się.

— Czego?

— Boję się Johnsa. Obiecałem, że będę milczał. Elmer poczerwieniał na twarzy. Zaczynał tracić cierpliwość.

— Johns wyjechał, mój drogi. Ja chcę mu pomóc. Wygląda na to, że coś wiesz. Powiesz mi w końcu czy nie? — głos Elmera zabrzmiał łagodnie, niemal pieszczotliwie. Indianin zadrżał. Wiedział, że od wyniku tej rozmowy może zależeć przyszłość jego dwuosobowej rodziny. — Dobrze. — Westchnął po dłuższym milczeniu. — Powiem panu, dokąd mógł pojechać. Tego się domyślam. Nic mi nie powiedział, ale wiem, że czekają na niego kłopoty.

Beaver wyszedł po kwadransie. Sunside siedział przy kuchennym stole,

przetrawiając wszystko, co usłyszał. Wreszcie sapnął ciężko, niechętnym ruchem sięgnął po komórkę i wybrał numer.

— Amos? Witaj, szeryfie! Tu Sunside. Mam prośbę. Mógłbyś mnie odwiedzić? Nadal mam kłopot z poruszaniem się o własnych siłach. Co? Tak. To ważne. Tak sędzę. Jasne. Dzięki, będę czekał.

Tara Sunside wprowadziła szeryfa do gabinetu męża. Poklepała gościa po plecach.

— Napijesz się kawy, mój drogi?

— Dzięki, Taro. — Dorff uśmiechnął się do gospodyni. — Wpadłem tylko na chwilę. Prawda, Elmer? — zwrócił się do siedzącego za biurkiem Sunside'a.

— Jasne! — Ranczer machnął ręką. — Zostaw nas, Taro. Musimy porozmawiać.

— A może chociaż kapkę wiśniowej nalewki? — Tara Sunside nie dawała za wygraną.

— Taro! — Elmer podniósł nieco głos. — Proszę.

— Jasne, jasne. Pogadajcie. — Jeszcze raz uśmiechnęła się do Dorffa i wyszła, zamykając starannie drzwi.

— Siadaj. — Elmer wskazał gościowi fotel. — Wybacz, że nie wstaję. — Wyciągnął rękę. Uścisnęli sobie dłonie. Szeryf usiadł, odkładając kapelusz na blat biurka.

— O co chodzi? — zapytał krótko.

— Amos — Elmer splótł dłonie, zaciskając palce — mam do ciebie prośbę. Nie przepadamy za sobą, ale zawsze cię szanowałem. Doskonale o tym wiesz.

— Wiem. — Dlatego pomyślałem, że w trudnej sytuacji mogę się do ciebie zwrócić. Musisz pamiętać, że Tara i twoja Suzanne nadal są przyjaciółkami. Jeżeli nie dla mnie, zrób coś dla Tary.

— Cholernie długi wstęp. — Amos Dorff sapnął. — Masz mnie za idiotę? Chcesz czegoś, to gadaj jak facet z facetem.

— OK. — Elmer lekko się zarumienił. — Chodzi mi o jednego z moich ludzi.

— Niech zgadnę — przerwał Dorff, uśmiechając się ironicznie.

— Chodzi ci o niejakiego Johnsa.

— Tak. Skąd wiedziałeś?

— Daruj sobie. Znam dobrze całą resztę twojej zgrai. Tylko ten gość

może stanowić dla kogoś poważny problem.

— On wyjechał, Dorff.

— Wiem.

— Wiesz?

— Wiem. Obiecał mi, że wyjedzie. Elmer Sunside poczuł żywsze uderzenie tętna. Mocniej zacisnął palce.

— Aha — mruknął. — Obiecał ci. Cóż? Niestety, nie pożegnał się ze mną. Uratował mojego syna, o tym także wiesz?

— Słyszałem. Chciałeś mu podziękować? To jest ten twój problem?

— Chciałem mu pomóc, Amos! — wypalił Sunside. — Wydaje mi się, że ma jakieś kłopoty.

— Dobrze ci się wydaje. Ma spore kłopoty. Z samym sobą.

— Nie mógłbyś go jakoś zatrzymać? Powiem ci, dokąd pojechał.

— Proszę, nie krępuj się. Dokąd?

— Do Bright w Wyomingu.

— Oszalałeś? Nic mi do Wyomingu ani do tego gościa. Ma prawo jeździć dokąd chce.

— Ta podróż może mu nie wyjść na zdrowie. Chciałbym uchronić go przed kłopotami. Jestem mu to winien. Chciałbym, żeby tutaj wrócił. Proszę cię w imieniu własnym i całej mojej rodziny. W gabinecie zapadła krępująca cisza. Siedzieli po przeciwnych stronach biurka i spoglądali na siebie w milczeniu. Wreszcie Amos Dorff poruszył się w fotelu.

— To żałosne, Elmer. W dodatku wcale nie takie proste, jak ci się wydaje. Ten człowiek sam szuka kłopotów. I wcale nie nazywa się Johns.

— Domyślałem się tego wcześniej. — Sunside westchnął smętnie. — Nie jestem pewien, czy nie ma czegoś na sumieniu. Wiesz — spojrzał w twarz Dorffa — kiedyś nawet go o to zapytałem. Zaprzeczył.

— Ależ ty jesteś bystry. — Szeryf obrzucił gospodarza złośliwym spojrzeniem. — Zapytałeś faceta, czy ma coś na sumieniu, a on zaprzeczył?

— Chcesz mnie obrazić?

— Dobra! Dajmy spokój. Zaspokoję twoją ciekawość. Nie, Elmer, ten facet nie ma niczego na sumieniu. Jak dotąd... — Dorff zawiesił na krótką chwilę głos. — Myślę, że to już wkrótce może się zmienić. Nawet ty wyczułeś coś niedobrego. — Przestał się uśmiechać. Zabębnił po blacie biurka grubymi palcami. — Co ci powiedział, Sunside? Na pewno zapytałeś, czym się zajmował. A może zatrudniasz ludzi z ulicy?

— Daruj sobie. Powiedział, że kierował brygadą oczyszczania miasta.

Dorff stłumił wybuch śmiechu. Łzy napłynęły mu do oczu. Opanował się, czując na sobie pytający wzrok Sunside'a.

— Wybacz, Elmer. To było niezłe. Bardzo oryginalne, naprawdę.

— Co masz na myśli? Okłamał mnie?

— I tak, i nie. — Szeryf wytarł nos bawełnianą chusteczką. Odchrząknął, spluwając w biel materiału. Elmer odwrócił wzrok. — Powiem ci... — Dorff doszedł już do siebie. — Ten gość nie nazywa się Johns. To Clinton Gerstaecker. Był szeryfem w Green Doll, w Kentucky. Znałem osobiście jego ojca, Eliaha Gerstaeckera, szeryfa Rastford. Należał do pierwszej dziesiątki w kraju. Zginął, pełniąc obowiązki. Rodney, starszy brat Clintona, też zginął w czasie jakiejś akcji. Był szeryfem Rastford po ojcu. Młodszy brat, Milton, także jest szeryfem. Zadekował się na pieprzonym Południu. Jest szefem policji w Eltonville, w Alabamie. Twój pan Johns miał zostać szeryfem okręgu, ale w przeddzień nominacji coś się zdarzyło. Skutkiem tego Gerstaecker wolał zrezygnować ze służby i ganiać krowy u ciebie. Niezłe, co?

— Coś podobnego! — Sunside niemal usłyszał klapnięcie własnej szczęki. — Ależ historia! Boże, co się stało?

— Rozwalili mu żonę — odparł krótko Dorff. — Strzelili jej pięć razy w głowę.

— Jezu! — jęknął Elmer. — Dobry Boże! Dlaczego?!

— Któż to wie? Mnie nie pytaj. Takie rzeczy czasami się zdarzają. Myślę, że nasz przyjaciel nie przyjechał tutaj bez powodu. Wiesz, Sunside? Nie lubię tego faceta. Rozumiem go, ale go nie lubię. Nie szanuję ludzi, którzy stawiają się ponad prawem, zwłaszcza tych, którzy powinni go chronić.

— Chcesz powiedzieć, że działa na własną rękę?

— Dokładnie. Ze stróża prawa stał się *desperado*. Nadal chcesz mu pomagać?

Świdrujące, ironiczne spojrzenie. Sunside poczuł, że policzki zaczynają go palić. A potem przemknął w jego wyobraźni obraz nawałnicy i sina twarz Aidana.

— Nadal — odpowiedział nieswoim głosem. — Domyślam się, że w tej sytuacji nie mogę liczyć na twoje wsparcie.

— Absolutnie. — Dorff podniósł się z fotela. — Jedyne i najlepsze, co mogę zrobić, to trzymać się od tej sprawy z daleka.

— Dorff, proszę.

— Nie. — Szeryf nałożył kapelusz. — Nie chcę więcej o tym słyszeć. Ale zrobię coś dla Tary, nie dla ciebie. — Pochylił się nad biurkiem. — Już ci mówiłem, że gość ma brata w Alabamie. Zadzwoń do Eltonville, do biura szeryfa i pogadaj z Miltonem Gerstaeckerem. Może zechce ruszyć dupę ze stołka i coś zrobić. Teraz wracam do roboty. Za kwadrans zadzwonię i podam ci bezpośredni numer do biura w Eltonville.

— Dzięki, Amos.

— Drobiazg. Pozdrów Tarę od mojej Suzanne. Trzasnęły zamknięte drzwi. Elmer sięgnął do kieszeni i jedwabną chustką otarł pot z czoła.

Telefon zadzwonił po dwudziestu minutach.

— Masz czym pisać? — chropawy głos Dorffa wyrwał Sunside'a z letargu.

— Jasne, dyktuj. — Ranczer sięgnął po długopis.

Za kwadrans jedenasta w biurze szeryfa w Eltonville rozdzwonił się telefon. George Silveri, pełniący właśnie dyżur, podniósł słuchawkę.

— Biuro szeryfa. Proszę mówić.

— Może mnie pan połączyć z szeryfem? — Sunside niemal wyskrzeczwał te słowa. Zaschło mu w gardle.

— W jakiej sprawie?

„Kurwa!”, jęknął w duchu Elmer. Ponownie otarł pot napływający mu do oczu. Odchrząknął z wysiłkiem.

— Dzwonię w sprawie rodzinnej. Połączy mnie pan czy nie?!

— niemal wykrzyczał ostatnie zdanie.

— Spokojnie — usłyszał monotony głos. — Proszę zaczekać. Elmer Sunside czekał ponad pięć minut. Wreszcie w słuchawce odezwał się niski głos:

— Milton Gerstaecker, szeryf Eltonville. Czym mogę służyć?

— Nazywam się Sunside. — Elmer splunął na dywan pianistą strugą flegmy. — Usiłuję się z panem połączyć w sprawie pańskiego brata Clintona, ale cholernie trudno do pana dotrzeć. Wysłucha mnie pan czy mam jeszcze poczekać?

— Spokojnie — głos po drugiej stronie linii nie zmienił tonu.

— Proszę podać mi swój numer. Oddzwonię za chwilę. — Ma pan czym pisać? — z satysfakcją zapytał Sunside.

— Numer — usłyszał krótką odpowiedź. Podyktował dane.

— OK. — Zabrzęczała odkładana słuchawka.

Elmer Sunside należał do ludzi opanowanych, jednak w tej chwili cierpiał ponad swoje możliwości.

— Kuurwa! — zawył, przygryzając kostki palców. Nie potrafił znieść dłużej takiego ciśnienia. Na szczęście telefon zadzwonił po trzech minutach.

— Gerstaecker — usłyszał znajomy głos. — O co chodzi?

— Clinton ma kłopoty. Nie wie pan o tym?

— Do rzeczy.

— Chce pan usłyszeć wszystko?

— Tak. Wszystko, co może pan powiedzieć przez telefon.

— To może zapłaci pan za rozmowę. Sporo tego jest.

— Zapłacę. Przecież to ja dzwonię do pana.

— Racja. Żartowałem. Sytuacja wygląda nieciekawie. Mam się streszczać czy chce pan znać całość?

— Wszystko, co może pan powiedzieć. Nie zrozumiał mnie pan?

— OK. Pogadajmy. Kiedy Elmer odkładał słuchawkę, czuł się niczym matka, której usunięto płód. Jakaś wewnętrzna pustka i niejasny smutek. Powiedział wszystko, co wiedział, ale nie sądził, że to dostatecznie dużo. Pokrzepiły go jedynie słowa Gerstaeckera.

— Dzięki, panie Sunside. Zajmę się tym. Jestem pańskim dłużnikiem.

Jeszcze przez chwilę przeżywał treść rozmowy. Pomyślał, że w końcu zrobił to, co do niego należało. Teraz mógł tylko czekać.

Jego entuzjizm tłumił jedynie fakt, że ten ospały głos po drugiej stronie linii nie wróżył specjalnego powodzenia. Widocznie Amos Dorff wiedział więcej o Miltonie Gerstaeckerze i zakpił sobie z nielubianego sąsiada. Cóż, zrobił, ile mógł. Zadzwonił na służbę. Poczuł lekki głód. Może jego apetyt wzrósłby wielokrotnie, gdyby mógł być świadkiem scen na posterunku w Eltonville?

Milton Gerstaecker wyszedł ze swojego gabinetu. Jego, zwykle ogorzała, twarz była niezwykle blada. Trzasnął drzwiami tak, że matowa szyba posypała się z trzaskiem na podłogę. Czterech pełniących służbę funkcjonariuszy podniosło na niego zaskoczony wzrok. Szef nigdy nie pozwalał sobie na niekontrolowane odruchy.

— Posprzątajcie to! — warknął. Kilkoma długimi krokami podszedł do biurka George'a Silveri.

— Silveri!

— Tak, szefie?

— Łączyłeś rozmowę ze mną? Ile czasu ci to zajęło?

— Nie chciałem panu przeszkadzać, szefie. Był pan w toalecie.

— Nie chciałeś mi przeszkadzać? Dobrze, chłopcze. — Milton poklepał młodego policjanta po plecach. Przez cały czas jego twarz pozostała blada. Wyglądał niczym chłopak cierpiący na lokomocyjną dolegliwość po zejściu z karuzeli. — Wiener! — Milton skinął na sierżanta, patrząc, jak Silveri grzebie bez sensu w papierach.

— Siadaj i pilnuj interesu. Muszę wyjść. Mam ważną sprawę. Aha!

— Zatrzymał się w progu. — Zadzwoń do Birmingham. Zawiadom Bradleya Goodmana, że biorę zaległy urlop. Dwa tygodnie.

— Jezu! — zmartwił się sierżant. — Na pewno odmówi.

Nikt, nie wyłączając Milтона, nie lubił rozmawiać z szeryfem hrabstwa. Brad Goodman był surowy i cholernie opryskliwy.

— Zawiadom go urzędowo. Reszta to już nie twój kłopot. Z małym wyjątkiem. — Gerstaecker skrzywił się nieznacznie. — Będiesz mnie przez ten czas zastępował.

Nie czekając na dalsze komentarze, odwrócił się na pięcie i wyszedł na dwór. Paul Wiener usiadł za biurkiem. Znał „starego” od kilku lat i wiedział, że lepiej jest nie zadawać zbędnych pytań. Słuchając brzęku zamiatanej w pośpiechu rozbitej szyby, zadzwonił do Alfreda Younga i zamówił usługi szklarskie. Dopiero wtedy wziął głęboki oddech i połączył się z Birmingham.

ROZMOWA

Po wyjściu z biura Milton Gerstaecker przystanął przed budynkiem. Musiał ochłonać po tym cholernym telefonie. Wiadomość spadła na niego niczym grom z jasnego nieba. Ani przez chwilę nie wątpił, że jego rozmówca powiedział prawdę. „Pieprzony Clinton!”

Szeryf zagryzł wargę.

Rozejrzał się po pustym parkingu i skierował kroki w stronę kępy dereni, przy których — na samym skraju placu — stała drewniana ławka. Usiadł na niej, wydobył z kieszeni komórkę i wybrał numer. Po kilku sygnałach usłyszał znajomy głos:

— Cześć, szeryfie. Co cię boli z samego rana?

„Nie takie znowu rano”, pomyślał Milton i skrzywił się, czując, że krople na żołądek niewiele pomogły.

— Pytasz, co mnie boli? Bebech — zażartował.

— Dlatego dzwonisz? Mam ci zrobić lewatywę? — głos po drugiej stronie nie zmienił tonu. Był jak zawsze cichy i spokojny.

— Mam problem — wykrztusił szeryf. — Jesteś w biurze?

— Jasne. Przyjeżdż. Czekam. — Telefon umilkł. Milton wstał z ławki, podszedł do swojego radiowozu, wsiadł i uruchomił silnik. Wyjeżdżał z parkingu powoli, zastanawiając się, co i ile powinien powiedzieć przyjacielowi.

Ted Fletcher, osobisty sekretarz właściciela firmy, podniósł głowę znad stosu papierów piętrzących się na biurku.

— Dzień dobry, szeryfie! — Uśmiechnął się na widok Milтона.

— Czekam na pana. — Poruszył głową w stronę niedomkniętych drzwi gabinetu prezesa. Pochylił się nad interkomem. — Szefie, przyszedł pan Gerstaecker. Proszę wejść — zwrócił się do szeryfa.

Milton pchnął drzwi, wszedł do dużego gabinetu i starannie zamknął je za sobą.

— Witaj, Milton. — Stojący przy oknie mężczyzna odwrócił się na jego powitanie. Jerry Noonan, szef firmy i właściciel niemal połowy miasta, dobiegał zaledwie czterdziestki, ale za każdym razem, kiedy Milton spotykał się z nim twarzą w twarz, przełykał ślinę, czując niezmiennie suchość w gardle. Tym razem nie było inaczej. Odchrząknął i ruszył w stronę

przyjaciela.

— Cześć, Jerry! — Wyciągnął rękę na powitanie. Nawet teraz, w obliczu nieszczęścia, w wyjątkowej sytuacji, szeryf drgnął, ściskając dłoń człowieka, który odmienił całe jego życie. Gerstaecker pamiętał każdy gest sympatii oraz wsparcia, jakim obdarzył go ten wysoki blondyn, ale nie potrafił zapomnieć okropnej nocy sprzed lat — nocy, kiedy niepozorny na pozór młokos sięgnął po władzę w mieście.

Była to upiorna noc krwawej rzezi — noc, podczas której ówczesny zwierzchnik Miliona, skorumpowany szeryf Bulger, zginął męczeńską śmiercią.

Trupy, krew i ogień — taki obraz Milton Gerstaecker zachował w pamięci. Zachował też coś więcej — wspomnienie paraliżującego strachu. Było to uczucie, jakiego nie zaznał nigdy wcześniej ani później.

Gerstaecker darzył tego młodego człowieka uczuciem wdzięczności i przyjaźni, lecz nieznośne wspomnienie chwil trwogi powracało z uporem w koszmarach sennych, a niekiedy na jawie. Jeszcze raz przełknął ślinę, spoglądając w niebieskie, nieodgadnione oczy. Przystojną twarz blondyna szpeciła lekko krótka sina szrama, biegnąca od lewego policzka ku skroni, ślad po wypadku rowerowym. Ciemnoblond włosów nie tknęła jeszcze siwizna, choć życiorys Jerry'ego Noonana był o wiele bogatszy od biografii zwyczajnych ludzi. Ale on nie był zwyczajny i niemal wszyscy w Eltonville doskonale o tym wiedzieli.

— Siadaj. — Noonan położył rękę na ramieniu Miliona, prowadząc go do niewielkiego stolika, przy którym stały cztery skórzane fotele.

— Co cię sprowadza? — zapytał cicho, kiedy zajęli miejsca. Wzrok niebieskich oczu spoczął na twarzy szeryfa.

— Mam kłopoty.

— Poważne?

— Myślę, że tak.

— Z bratem czy z żoną?

— Z bratem.

— To pół biedy.

— Niekoniecznie. Muszę wyjechać na jakiś czas. Potrzebuję urlopu. Mógłbyś pogadać z Goodmanem?

— Jasne. Żaden problem. Potrzebujesz jeszcze czegoś?

— Nie. Sam to załatwię.

— Na pewno?

— Na pewno. — Gerstaecker ponownie przełknął ślinę.

— Skoro tak twierdzisz... — Noonan wstał, podszedł do barku i nalał dwie małe porcje whisky.

— Kiedy chcesz wyjechać? — zapytał, stawiając przed Miltonem szklaneczkę.

— Jeszcze dzisiaj.

— Emily wie?

— Nie. Nie zdążyłem jej powiedzieć. Dowiedziałem się przed niespełną godziną.

— Aha. Rozumiem. Zechcesz mi powiedzieć, o co chodzi? „Psia mać!”, zaklął w duchu Milton. Obawiał się tego pytania i miał świadomość, że nie da się utrzymać w tajemnicy rodzinnych sekretów. Nie przed tym człowiekiem. Sięgnął po szklanę i opróżnił ją jednym haustem.

— Aż tak źle? — Niebieskie oczy, w których zniecka mignął stalowy błysk, i życzliwy — ledwo dostrzegalny — uśmiech. Krótkie drgnięcie warg.

Milton nabrał w płuca powietrza. Oddałby wszystko za papierosa, lecz wiedział, że w tym gabinecie się nie pali. Odstawił pustą szklanę.

— Powiem ci. Czemu nie? — Poczł ciepłó alkoholu. Odetchnął i zaczął relację z tego, co wydarzyło się w Kentucky, a także z tego, o czym dowiedział się dzisiaj. Kiedy skończył, zapadła krótka cisza. Pierwszy przerwał ją Noonan.

— Niezła historia. Jesteś pewien, że urlop to wszystko, czego potrzebujesz?

— Tak myślę. — Szeryf kiwnął głową.

— OK. Bierz wolne. Nie ma sprawy. Kto cię zastąpi?

— Paul.

— Doskonale. Da sobie radę. — Jerry Noonan uśmiechnął się, sięgając po swoją szklaneczkę. — Czym pojedziesz?

— Mam volvo.

— Nie. — Noonan się skrzywił. — Potrzebujesz solidnego, ale także szybkiego wozu. Nie wybierasz się na ryby. — Spojrzał na zegarek. — Wpadnij do warsztatu Sama po południu. Może o czwartej. Będzie na ciebie czekał wóz odpowiedni do twoich potrzeb. Weźmiesz mustanga. Auto ma papiery w porządku, a w ciągu kilku godzin chłopcy zrobią mu solidny przegląd, zgoda?

— Dzięki, Jerry. Porządny wóz na pewno się przyda.

— Ja myślę — w głosie Noonana nie było cienia wesołości. —

Spokojnie, Mill. Jedź do swojej Emily, spakuj się i pożegnaj. O czwartej bądź w garażu.

— Dzięki. — Milton wstał z fotela i wyciągnął rękę. — Jestem ci wdzięczny, Jerry. — Drobiazg. Powodzenia, stary.

Kiedy tylko drzwi zamknęły się za szeryfem, drugim wejściem, wkomponowanym dyskretnie w tło matowej ściany tuż za biurkiem prezesa, wszedł do gabinetu szczupły, lecz dobrze zbudowany mężczyzna.

John Sanders — szef ochrony i bliski przyjaciel Noonana — trzymał się dobrze, mimo że był ładnych parę lat starszy od swojego szefa. Jego ciemne włosy przyprószyła na skroniach lekka siwizna, ale nadal był cholernie sprawnym facetem. Poruszał się niemal bezszelestnie. Podszedł do stolika i usiadł w fotelu, zerkając na Noonana, który powrócił do okna.

Jerry stał przy szybie przez kilka minut, jak gdyby nic się nie stało, jak gdyby był sam w pustym gabinecie. Patrzył na ruchliwą ulicę, myśląc o człowieku, który przez ostatnie lata stał się dla niego kimś bliskim. O gościu noszącym nazwisko rdzennego Południowca, któremu swojego czasu dał szansę bycia kimś, a tamten nigdy tej szansy nie zmarnował. Aż do dzisiaj. Teraz wybierał się na spotkanie śmierci — Noonan był tego pewien. Nie zamierzał na to pozwolić.

— Słyszałeś? — odwrócił się do Sandersa. Jego błękitne oczy przybrały swój zwodniczo spokojny wyraz.

— Taa... Niezły klops. — Sanders mlasnął głośno językiem. — Możemy stracić szeryfa.

— Wiem. Pojedziesz za nim, John.

— Czemu nie? — Sanders nie spodziewał się niczego innego.

— Jakiego mustanga mu podstawisz? — zagadnął. — Mustang GT byłby w sam raz.

— Weźmie moją Cobrę V8. Sporo złe, ale ma przeszło trzysta koni. Sprawdź, czy GPS działa bez zarzutu. Nie będziesz miał żadnych kłopotów, żeby go namierzyć.

— Jasne. — Sanders podniósł się z fotela.

— Chwilę, John. — Noonan podniósł dłoń. — Nie tak prędko. Siadaj.

Sanders ponownie zajął miejsce w fotelu. — Co jeszcze, szefie? — zapytał z ledwo dostrzegalnym uśmiechem.

— Dwie sprawy. Dostałeś już tę nową pukawkę? Sanders roześmiał się głośno mimo woli.

— Dostałem. „Pukawka” jest zajebista. Wspominałem ci? To DSR 1,

doskonały niemiecki karabin wyborowy.

— Jest tak dobry jak mówią?

— Jest rewelacyjny, zwłaszcza przy strzałach na dużą odległość. Kupiłem wersję kalibru 300 Winchester Magnum. Magazynek łatwy w wymianie i solidna amunicja. Jest piekielnie celny i mocno bije. Z tysiąca jardów możesz rozwalić gościa stojącego za murem. Cholernie drogo kosztował, ale było warto.

— Cóż, na wszelki wypadek radzę zabrać ze sobą to cacko. — Noonan uśmiechnął się blado. — Może się przydać, kto wie? Reszta arsenału to już twoja sprawa. Zgłoś się do Betty Travis i weź zapas gotówki. Wolałbym, żebyś nie korzystał z bankomatów i nie płacił kartą.

— Jasne, rozumiem.

— Mam nadzieję, John, że twój podopieczny się nie połapie.

— Spoko. Nie zamierzam siedzieć mu na ogonie. GPS to doskonałe urządzenie.

— Też tak myślę. Zatem do dzieła! I jeszcze jedno. Zanim pojedziesz się spakować, wpadnij do mojego ojca. Niech razem z Samem przygotują mustanga i czekają na Milтона. Muszą się ostro uwijać. Niech nie wspominają mu o GPS. To chyba wszystko. Powodzenia, stary! Uważaj na siebie.

— Dzięki. — Sanders wstał i wyszedł tymi samymi drzwiami, którymi wszedł do gabinetu. Zamknęły się za nim bezszelestnie.

Jadąc do domu, Milton Gerstaecker układał sobie w głowie plan rozmowy z Emily. Nie miał w zwyczaju okłamywać żony, ale nie wszystkie rzeczy mógł jej powtarzać. Zwłaszcza nie takie jak ta. Cholernie dużo czasu zajęłoby mu tłumaczenie, że musi zrobić to, co robi — że nadal żywe jest dla niego braterskie hasło „krew z krwi”.

HAK

Clintona obudził potworny ból głowy. Ostrożnie uniósł ciężkie powieki. Powracająca świadomość napłynęła wraz z falą mdłości. Z trudem powstrzymał atak torsji. Poruszył głową i rozejrzał się dookoła.

Siedział pod ścianą, na kawałku cuchnącego gnojem pledu. Tuż przy nim, na wyłożonej glazurą posadzce, stało metalowe wiadro w jednej trzeciej napełnione wodą.

„Mój nowy kibel” — pomyślał, czując dreszcz przebiegający po plecach. Obolały mózg zaczynał powoli pracować. Gerstaecker odetchnął z ulgą. Żył, a to było najważniejsze. Mętny początkowo obraz z chwili na chwilę nabierał ostrości.

Prawą dłonią dotknął skroni. Syknął z bólu, trafiając na ogromny guz nad uchem. Poruszył lewą ręką. Poczuł na nadgarstku bolesne szarpnięcie. Spojrzał w górę. Dłoń zwisała kilka cali nad jego głową. Miejsce zegarka, który zniknął, zastąpiła stalowa obręcz zamknięta solidną kłódką. Od obręczy ciągnął się wwyż gruby stalowy łańcuch. Był dość krótki — mógł mieć nieco ponad stopę długości. Jego górny koniec przytwierdzono grubym spawem do wielkiego haka, wmurowanego w ścianę. „Solidna robota”, pomyślał cierpko. Dali mu tyle luzu, żeby mógł siadać na wiadrze. Spojrzał na nogi. Były również skute łańcuchem, nieco dłuższym niż ten łączący jego przegub z hakiem, tak aby mógł wstać i swobodnie się wypróżnić. Prawdopodobnie z tego samego powodu zostawili mu wolną prawą rękę. Niczym nie ryzykowali. Okowy były solidne — potrafił to ocenić. Wielkie kłódki nowego typu, z poprzecznymi bolcami. Nie do ukręcenia, nawet gdyby dysponował łomem.

Lewą dłonią ujął łańcuch łączący jego przegub z hakiem, napiął mięśnie i pociągnął.

„Nie jest dobrze”, pomyślał. Przymknął powieki, oparł się o ścianę i zaczął analizować sytuację. Jeżeli to, co usłyszał od uwięzionej kobiety, było prawdą (a coś mówiło mu, że tak), dał się pokonać w pierwszym podejściu bandzie zwyrodniałych kanibali. Morgan zastawił na niego pułapkę. Ktoś ostrzegł tego skurwysyna.

Gerstaecker ponownie otworzył oczy. Jeszcze raz omiół wzrokiem pomieszczenie. Kafelki na ścianach i posadzce, na środku kratka ściekowa, duży kran oraz zamocowany do niego gruby gumowy wąż.

Powiódł wzrokiem wzdłuż ścian. Zobaczył jeszcze kilka wmurowanych haków — największe dwa wystawały z sufitu. Przy otworze drzwiowym dość wysoko zawieszono drewnianą półkę. Bez trudu dostrzegł leżące na niej noże rzeźnicze, a nieco dalej — w kącie — kilka stalowych łomów opartych o ścianę, a także potężny topór osadzony na długim stylisku.

W powietrzu unosiła się dusząca woń amoniaku oraz zwierzęcych odchodów, zaś zza ściany dobiegały odgłosy chrząkania i pojedyncze kwiknięcia. „Chlewnia”, pomyślał. „Zamknęli mnie w chlewni. I do tego w ubojni”. Tym razem po plecach przebiegł mu lodowaty strumień strachu. Nigdy nie bał się śmierci, ale zginąć niczym świnia i do tego zostać zjedzonym — to nie mieściło mu się w głowie. Niestety wszystko na to wskazywało. Otrząsnął się niemal natychmiast. Nie mógł pozwolić sobie nawet na najmniejszy objaw paniki. Zastanawiało go, ilu członków liczy ta krwiożercza banda. Oprócz dryblasa, który wpuścił go do środka, nie zdążył zobaczyć nikogo. Pomimo tragicznej sytuacji udało mu się zachować zimną krew. Był to jedyny sposób, aby zyskać jakąkolwiek szansę na przeżycie. Najbardziej obawiał się, że przetrzymają go tak długo aż osłabnie. Osobliwy kibel sugerował, że nie czeka go rychła śmierć.

Rozsunął nogi. Nieźle. Łańcuch łączący okowy nad kostkami był dość długi. Miał niemal trzy stopy. „Mogło być gorzej”, pomyślał.

„Nie są chyba zbyt rozgarnięci”.

Prawą ręką obmacał kieszenie. Były puste. Trudno. Musiał coś wymyślić.

„Ilu ich jest?”, powtórzył w duchu dręczące pytanie. Na odpowiedź nie musiał długo czekać. Jakby na zawołanie usłyszał odgłos zbliżających się kroków. Błyskawicznie oparł głowę o ścianę i przymknął powieki.

Weszło ich trzech. Zatrzymali się w sporej odległości.

— Jesteś pewien, Nolan, żeś go nie zatłukł na amen? — Gerstaecker rozpoznał głos dryblasa, z którym rozmawiał przy bramie.

— Żyje, sprawdziłem — ten głos był nieco wyższy i donośniejszy. — Po jaką cholere mnie tutaj ciągniecie? Co cię opętało, Bowl? Wiesz, że mam inny kłopot na głowie. Ojciec kazał urznąć łapę naszej siostruni. O mało nie wpędziła nas w kłopoty.

— Wiem, co robię — odezwał się trzeci głos. Gerstaecker słyszał ich wyraźnie. Podeszli nieco bliżej.

— O czymże pieprzysz? — znowu ten, którego nazywali Nolanem.

— Chcę sprawdzić, do którego haka go przykuliście? On mi się widzi na

silnego byka.

— A tobie co do tego?

— Tata mi kazał wszystko sprawdzić. Masz coś na wątrobie, powiedz to jemu. — Zrobił się z ciebie dupowłaz, braciszku — zarechotał ten spod bramy.

— Robię, co mi każą, a wy? Macie odwagę postawić się tacie?

— Kurwa blada! Nie marudź, Bowl. Gerstaecker nieznacznie poruszył głową. Minimalnie uniósł powieki, przyglądając się im poprzez rzęsy.

Wszyscy trzej byli mocno zbudowani, brudni, zarośnięci i pijani. Odór alkoholu przedarł się do nozdrzy Clintona poprzez panujący w pomieszczeniu smród. Zbliżyli się jeszcze bardziej i zatrzymali dwa kroki przed nim.

— Tak żem myślał. — Tłuścioch, zwany Bowlem, zerknął na ciemnowłosego drağala, którego tak bardzo irytowała ta inspekcja.

„Nolan”, pomyślał Gerstaecker.

— O czym myślałeś, mądralo?

— Że przykujesz go do haka najbliżej kranu. Nie lubisz się przemęczać.

— Uważaj, Bowl. Uważaj! — głos niechlujnego bruneta stwardniał. — Co ten cholerny hak ma do rzeczy?

— Dużo. Pamiętasz, jak miesiąc temu zdzeliłeś tego tłustego wieprza?

— Bo co?

— Chybiłeś i pieprznałeś łomem w ten hak.

— Co z tego? Wyprostowałem go młotem.

— Ożeż! Jasne, wyprostowałeś, tylko kotwa w murze się obluzowała. Miałeś go od nowa zacementować. Zrobiłeś to?

— Nie, ty durny wieprzu! Nie miałem czasu. Takiś mądry? Dobra. Ja zaraz przykuję tę padlinę w innym miejscu i zabetonuję hak, a ty utniesz łapę Cecily. Tak jak kazał tato. Pasuje?

— Nie bardzo. Mam iść po Herba. Tata chce, żeby dosiadł tej suki, kiedy tylko ją pozszywacie.

— Na razie warto go przekuć, póki jest nieprzytomny. — Za późno — odezwał się poranny rozmówca Clintona. — On nie śpi. Jest przytomny. Widziałem, jak poruszył powiekami. Drań nas obserwuje. Widocznie na coś liczy. Popraw mu z drugiej strony, Nolan. Nie chcemy kłopotów.

— Racja, Jethro. — Ciemnowłosy podszedł do kąta, w którym stały łomy. Wybrał średni. — Przynies jakiś worek, Bowl! — warknął. — Nie będę walił gołym łomem, bo zatłukę capa.

Bowl wyszedł i wrócił po chwili z grubym workiem i kawałkiem sznurka. Nolan owinał i obwiązał łom. Zbliżył się do Gerstaekera.

— Ty, facet, siedź spokojnie, to nie będzie bolało. Jedna chwilka i znowu sobie pośpisz. — Obejrzał się w stronę braci. — Zobaczcie, kołki, jak to robi mistrz! Żaden z was nigdy nie dorówna mi w te klocki.

W chwili, gdy to mówił, powieki więźnia otwarły się na całą szerokość, a szare oczy załśniły dzikim blaskiem. Potężna pierś nabrała powietrza. Clinton Gerstaecker zrozumiał, że nie ma już niczego do stracenia.

Lewą dłoń przesunął wyżej, chwytając ogniwa łańcucha. Jedynie Bowl zdążył to zauważyć.

— Uważaj, Nolan! — ryknął, chwytając z kąta wielki topór. Zrobił to jedną chwilę za późno.

Spod ściany porwało się na nogi drapieżne zwierzę. Szarpnięty twardą dłonią łańcuch jęknął metalicznie. Prysnęły w górę kawałki tynku i pokruszonego betonu. Stalowy hak z poprzeczną kotwą gwizdnął, rozcinając powietrze w morderczym pędzie.

Czaszka Nolana rozprysła się pod zabójczym uderzeniem metalowego pocisku. Rozwalona galareta mózgu opryskała żółto-czerwonym deszczem twarze i piersi obecnych.

Bowl zawył nieludzko. Zanim jeszcze wielkie, bezgłowe ciało Nolana zważyło się na krwawą posadzkę, uniósł nad głowę topór i rzucił się do przodu. Przyłożył się do ciosu, wkładając weń wszystkie siły. Za jego plecami Jethro chwycił właśnie długi łom. Wszystko, co zdążył zobaczyć Bowl, to straszne, obłąkane oczy — ucieleśnienie furii. Uniesiony topór wypadł z jego ręki, nie kończąc drogi do celu. Koścista pięść trafiła go w prawą skroń. Ogłuszający trzask i jaskrawy błysk wewnątrz mózgu były ostatnimi sygnałami życia, które do tej chwili kojarzyło się Bowlowi z sielanką. Nie zdawał sobie sprawy, że stoi na progu śmierci — świadomość uleciała. Osunął się na kolana nienaturalnym, miękkim ruchem, ze wzniesioną ku sufitowi twarzą. Jego tułów opadł do przodu, a głowa uderzyła o posadzkę. W następnej sekundzie spadł na nią cios podkutego buta. Czaszka Bowla trzasnęła niczym skorupka jajka, zaś z lewego oczodołu, skutkiem siły uderzenia, wystrzeliła na zarośnięty policzek gałka oczna, torując drogę strumieniowi ciemnej krwi.

Gerstaecker uchylił się w ostatniej chwili przed błyskawicą nadlatującego łomu, którym Jethro machnął na odlew. Desperackim susem skoczył do przodu. Jego dłonie zamknęły się na grubej szyi przeciwnika. Z głośnym

łomotem runęli na posadzkę. Clinton zacisnął chwyt, wkładając w to całą siłę. Klęcząc okrakiem nad tułowiem Petrie, uniósł jego głowę i grzmotnął nią o żeliwne pręty kratki ściekowej. Niepotrzebnie. Poprzez zmiażdżoną tchawicę Jethro daremnie usiłował zaczerpnąć choćby haust powietrza. Wyprężył się jak struna. Jego wielka twarz poczerwieniała, oczy niemal wyszły z orbit, a nogi i ręce zaczęły wybijać głośny rytm śmierci na zalanej krwią posadzce.

Gerstaecker wstał. Potoczył dookoła błędnym wzrokiem, z trudem chwytając powietrze. Otarł okrwawioną twarz rękawem bluzy. Był niemal wolny.

Spojrzał na łańcuchy i krwawy hak, który zdecydował o jego losie. Przyklęknął i macając wśród łachmanów pokrytych krwią i fragmentami mózgu, zaczął przeszukiwać kieszenie ofiar. Zamiast kluczy do kłódek znalazł jedynie dwie paczki papierosów, zapalniczki oraz swój zegarek w kieszeni tego, który jeszcze rzeźił, oddając ostatnie tchnienie. — Kurwa! — zaklął dziko. Jeszcze raz rozejrzał się wokoło. Jego wzrok padł na półkę, na której leżały noże. Krótkimi krokami przysunął się bliżej.

Były tam! Leżały na samym skraju. Clinton sięgnął palcami. Jest! Pasuje! Obręcze zamknięte wokół kostek potoczyły się z brzękiem. A teraz ten drugi! Dzięki ci, Boże! Łańcuch z wielkim hakiem upadł na nieruchome ciało Bowla.

Clinton nie oglądał się za siebie. Wbiegł do korytarza i pędem ruszył w kierunku widniejących na wprost drzwi. Czekąco go jeszcze sporo roboty, ale to mu nie przeszkadzało. Przeciwnie, gorąco pragnął spotkać się osobiście z panem domu, z „tata” — przypomniał sobie słowa zabitych skurwysynów.

Pchnął ręką drzwi i wybiegł na dwór. Przed sobą, w odległości kilkudziesięciu jardów, zobaczył zaplecze budynku mieszkalnego. Ani w pozbawionych firan oknach, ani w przeszkłonych drzwiach tarasowych nie spostrzegł żywego ducha.

Ruszył biegiem szeroką, wydeptaną ścieżką. Dobiegł do tarasu, którego betonowa nawierzchnia tu i ówdzie zaczynała się kruszyć. Zatrzymał się przed drzwiami. Poprzez brudne szybki dostrzegł pusty, zaniedbany salon. Ostrożnie nacisnął mosiężną klamkę. Drzwi ustąpiły. Gerstaecker kocim ruchem wsunął się do środka. Przystanął, nasłuchując przez chwilę.

Z korytarza po przeciwnej stronie salonu dobiegał głos spikera miejscowej stacji radiowej, odczytującego monotonicznie jakieś lokalne wiadomości. Poprzez jego przytłumioną paplaninę do uszu Clintona dotarł

dźwięk przestawianych naczyń, brzęk szkła i niskie mruczenie mężczyzny.

„Tata”! Na twarzy Gerstaeckera pojawił się zimny, okrutny uśmiech. Bez namysłu ruszył przed siebie, starając się stąpać jak najciszej. Wiedział, że może mieć problem. Tego gościa potrzebował żywego — żywego i przytomnego. Na końcu korytarza przez otwarte drzwi po lewej stronie padały jasne promienie dziennego światła. To najwidoczniej tam znajdowała się kuchnia, z której dobiegały odgłosy krzątania.

Od kuchennych drzwi dzieliło go jeszcze tylko kilka kroków, kiedy radio nagle umilkło. Gospodarz musiał je wyłączyć.

— Herb! — rozległo się chrapliwe wołanie. — Chodź na drugie śniadanie, chłopcze! Masz do pogadania z siostrą!

„Kurwa!”, zaklął w duchu Clinton. Dopiero w tej chwili przypomniał sobie, że dranie wspominali o jeszcze jednym „braciszku”.

— Idę, tato! — młody głos odezwał się gdzieś za plecami Gerstaeckera.

Clinton odwrócił się na pięcie. Z głębi domu dobiegł tupot pośpiesznie zbliżających się kroków. Nie czekając ani chwili dłużej, Clinton wpadł do kuchni.

Rosły, barczysty mężczyzna stał przy gazowej kuchence, przewracając na patelni wielki omlet. Był wyższy od synów, a także bardziej porośnięty tłuszczem. Stał bokiem do drzwi i zaskoczenie, na które liczył Gerstaecker, wzięło w łeb.

Luther Petrie dostrzegł intruza kątem oka i zareagował natychmiast. Gorąca patelnia wraz z zawartością poszybowała w stronę twarzy Clintona. Uderzyła we framugę drzwi, rozpryskując swoją zawartość po podłodze kuchni i po korytarzu. Błyskawicznym ruchem Luther sięgnął po wielki kuchenny nóż i zrobił krok w stronę napastnika. Wyprężył ramię do ciosu, którym zamierzał wypatroszyć faceta. Nie zdążył, choć koledzy z pracy zwykle podziwiali jego szybkość.

Gerstaecker zaplanował swój cios. Uderzył w brzuch, tuż pod mostkiem. Odskoczył, robiąc miejsce padającemu olbrzymowi, i odwrócił się momentalnie, stając twarzą w stronę drzwi.

Młody Petrie wpadł do kuchni.

— Jestem, tato! Co to za hałas? Stało się coś? Były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział w życiu, choć umarł nieco później. Gerstaecker zdążył sięgnąć po kuchenny tasak, spoczywający na blacie. Zabójczy, wymierzony na odlew cios trafił młodego Petrie w lewą stronę twarzy, dewastując niemal wszystko poniżej nosa. Kiedy Herb walił się na bok, jasne ściany kuchni

ozdobił strumień krwawych szczątków, będących do niedawna jego szczęką. Dolna warga Herba poszybowała w powietrzu i niczym osobiwa, czerwona pijawka przylgnęła do drzwiczek kuchennej szafki, wiszącej na przeciwległej ścianie. Młody Petrie runął bezwładnie na podłogę korytarza. Leżał nieruchomo, wydając nieartykułowane, charczące odgłosy.

Gerstaecker odłożył tasak na stół. Odwrócił się w stronę Luthera. Pan domu leżał zwinięty w kłębek. Jego podkurczone nogi waliły o ścianki mebli, kiedy rozpaczliwie usiłował zaczerpnąć powietrza. Clinton nie miał zbyt wiele czasu. Szybko i zdecydowanie pochylił się nad leżącym.

Kiedy Luther doszedł wreszcie do siebie, jego nogi i ręce były solidnie skrępowane pasami. Poza nim oraz Herbem, rzęzącym na progu, w pomieszczeniu nie było nikogo.

— Herb! Chłopcze! — stęknął Luther. Uniósł wyżej głowę i spojrzał na syna. Zrozumiał, że może się nie trudzić. Herb stracił kontakt ze światem. W zaropiałych oczach starego Patrie zakręciły się łzy. To był jego ukochany syn. Nadal żył, ale Luther nie miał złudzeń. Jego chłopak potrzebował natychmiastowej pomocy. Napiął mięśnie. Bez skutku. Niedoszła ofiara znalazła się na swojej robocie. Luther rzucił okiem na listwę z wkręconymi haczykami. Wieszal na nich klucze od różnych pomieszczeń, także od ziemnej budowli.

Zadrżał. Haczyki były puste. Wiedział już, dokąd poszedł ten cały Johns. Usiłował nie myśleć o pozostałych synach. Skoro ten drań zaskoczył go w kuchni, nietrudno było zgadnąć, co ich spotkało. Prawdopodobnie nie żyli.

Luther Petrie mylił się — przynajmniej częściowo. Gerstaecker nie pośpieszył w stronę ponurego kopca. W każdym razie nie od razu. Wyszedł na dwór, spokojnym krokiem obszedł dom i spojrzał w stronę czarnej bramy. Przystanął, zaskoczony. Nie spostrzegł nawet śladu swojego dodge'a. „Co jest, do jasnej cholery?“, pomyślał. Powoli podszedł do drewnianych wrót. Podniósł ciężką antabę i uchylił jedno ze skrzydeł.

Oniemiał. Dodge stał dokładnie w tym miejscu, w którym go zostawił — na poboczu podjazdu. Byli jeszcze głupszy, niż mu się zdawało.

Podszedł do auta. Wyglądało na nietknięte. Otworzył bagażnik. Wszystko było na swoim miejscu. Małym palcem przesunął blokadę. Opadła szara wykładzina pokrywy.

Były w komplecie. Wszystkie egzemplarze, które zabrał ze sobą. Samopowtarzalny karabinek M16, niezawodny na duże odległości, a tuż za

nim jego ulubiony colt peacemaker z zapasem amunicji kaliber 45. A także shotgun z krótką lufą, walący śrutowymi nabojami wielkiego kalibru. Dysponował porażającą siłą i sporym polem rażenia przy strzałach z bliskiej odległości. Bez problemu można było przy jego użyciu zrujnować doszczętnie średniej wielkości pomieszczenie. Był idealną bronią w obecnej sytuacji. Właśnie po niego sięgnął w pierwszej kolejności. Wydobył także z uchwytu nabitą czterdziestkę piątkę i wsunął ją do kabury. Zapiął pas na biodrach, po czym z bocznej przegrody schowka wyciągnął wypróbowany nóż sprężynowy.

Włożył go do kieszeni, zatrzasnął klapę kufra i ponownie przekroczył bramę, kierując się w stronę ziemnej piwnicy.

Zszedł po trzech, niezdarnie wylanych, betonowych stopniach. Trzeci klucz otworzył sporą kłódkę — identyczną jak te, którymi spięto jego kajdany. Lufą shotguna pchnął drzwi. Otworzyły się do środka, ukazując dalszą część schodów. U ich podnóża widniały kolejne drzwi — drewniane i masywne. Nie miały zamka. Zabezpieczała je od wewnątrz stalowa zasuwa. Na betonowej ścianie, dziesięć cali od framugi, znajdował się hermetyczny włącznik. Clinton przystanął. Wydało mu się, że spoza grubych drzwi dobiega przytłumiony gwar. Szybkim ruchem odsunął zasuwę. Metalowy szczęk zabrzmiał głośno w małym korytarzyku. Szmery za drzwiami ucichły w jednej chwili. Zacisnął dłoń na metalowym uchwycie zastępującym kłamkę i powoli uchylił dębowe skrzydło.

W jego nozdrza uderzył odór odchodów i ludzkiego potu. Poczuł też inną, trudną do określenia, woń. Zetknął się z nią kilkakrotnie w swojej policyjnej karierze. Rozpoznał osobliwą mieszankę bólu i strachu.

W pomieszczeniu panował półmrok. Jedyne źródłem bladego światła było kilka kratek wentylacyjnych umieszczonych na ścianach, tuż przy niskim stropie. Cofnął lewą rękę, namacał i nacisnął włącznik. Zaświeciły dwie matowe lampy na suficie. Spojrzał i omal nie jęknął.

Pomieszczenie nie było wielkie ani wysokie. Zarówno podłoga, jak i ściany wyłożone były impregnowanym drewnem. Jasne deski boazerii powinny w blasku lamp roztaczać ciepłą atmosferę, ale tak nie było.

Wnętrze podziemnej izby emanowało drżącą poświatą chłodnej zieleni. Dopiero po chwili Gerstaecker zorientował się, skąd bierze się to nienaturalne wrażenie.

Ludzie. Kilkanaście postaci — odzianych w szare łachmany, a częściowo nagich. Niemal same kobiety — blade, zaniedbane, cuchnące. Nagie ramiona pokryte starymi i świeżymi sińcami. Kredowe twarze, powleczone wyrazem zastygłej rozpacz, i podkrążone oczy, jarzące się iskrami lęku.

Skupiły się pod przeciwległą ścianą, mając u swych stóp piątkę niemal nagich dzieci. Cała kilkunastoosobowa gromadka przyglądała się przybyszowi. Psychiczne napięcie było wprost namacalne.

Oprócz leżących pod ścianami sienników w pomieszczeniu nie było żadnych mebli. Na posłaniach walały się brudne, poplamione koce. W kilku miejscach stały wiadra, w których pływały fekalia. Dusząca woń nie pozostawiała cienia wątpliwości. Po lewej stronie, przy ścianie stał na podłodze rząd emaliowanych misek. Na samym końcu Gerstaecker dostrzegł wysoką bańkę z zawieszonym czerpakiem. Domyślił się, że zawiera pitną wodę.

— Jezu! — szepnął pobladłymi wargami. — To jakiś koszmar! Jezu! Kurwa! Jezu!

Widok przekraczał jego najgorsze przewidywania. Przekraczał wszystko, co kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć. Poczuł, że żyły nabrzmiewają mu na skroniach. Powrócił tępy ból pod czaszką.

Jeżeli przerażona kobieta, którą usłyszał rankiem poprzez kratkę, mówiła prawdę, patrzył w tej chwili na zapas świeżego mięsa, jakie zgromadzili sobie w tym podziemnym chlewie psychopatyczni mordercy. Poczuł, że gardło wyschło mu na wiór. Krew w skroniach waliła z głuchym dudnieniem. Postąpił krok naprzód i podniósł rękę.

— Spokojnie — odezwał się najłagodniejszym tonem, na jaki stać go było w tej chwili. — Nic złego nikogo już nie spotka. Jesteście wolne, wy i wasze dzieci. Tych drani już nie ma. — Kiwnął głową w stronę drzwi. — Odeszli — powiedział głośniejszym. — Możecie wyjść na dwór, pójść do domu, umyć się i przebrać.

Oczy więźniarek patrzyły z niedowierzaniem i trwożną rezerwą. Nikt w gromadce się nie poruszył. Spojrzał bezradnie, po czym podjął jeszcze jedną próbę.

— Dziś rano jedna z was prosiła mnie o pomoc. Która? Spomiędzy kobiet (Gerstaecker naliczył ich siedem) wystąpiła wysoka, półnaga postać. Clinton spojrzął na jej ramiona, pokryte sińcami i zaschniętymi strupami, przeniósł wzrok na opuszczone ręce, na dłonie, zakończone połamanymi, brudnymi paznokciami, spojrzął w nabiegłe krwią oczy.

To była ona. Nie miał wątpliwości. Nie starała się okryć nagich piersi. Jej oczy patrzyły dziko, ale dostrzegł w nich błysk inteligencji. „To ona”, powtórzył w duchu. Przełknął ślinę, która nagle wypełniła mu usta. — Niech pani podejdzie. — Skinął ręką. — Porozmawiamy. Posuwała się sztywnymi krokami. Trwało to dłuższą chwilę, ale wreszcie stanęli naprzeciw siebie. Uśmiechnął się do niej sztucznie.

— Jestem Clinton Johns. To ze mną rozmawiała pani rano. Już po wszystkim, proszę pani. Dranie Petrie nie żyją. Proszę zabrać pozostałych na górę.

— Petrie żyją, panie Johns. Ja jestem córką Luthera Petrie. Mam na imię Cecily. Jest ze mną dwójka moich dzieci. Tamte dwie, po prawej — wskazała za siebie — to żony Nolana i Jethro. Musiałeś pan poznać ich mężów, bo twierdzisz, że nie żyją. Pozostałe cztery dołączyły do rodziny jakiś czas temu. Najpierw była Lilly Bedford, ta z czarnymi włosami. Niedawno ojciec przywiózł tamte trzy smarkate. — Wykrzywiła twarz w swoistym uśmiechu. Clinton drgnął z mimowolną odrazą. Nie zwróciła na to uwagi. — Jedna chodzi już z brzuchem — ciągnęła monotonnym głosem. — Bett, ta mała blondyna...

— Dosyć! — Clinton zagryzł wargę do bólu. — Ile czasu was tu trzymali?

— A który mamy rok?

— Dwa tysiące siódmy.

— To by było... zaraz, niech policzę. Tak, będzie już chyba jedenaście lat.

— Ile?!

— No, od dziewięćdziesiątego szóstego. Chyba dobrze liczę?

— Po co, Cecily? Sądziłem, że trzymają was na mięso. Tak pani mówiła.

— Och! — Potoczyła dookoła dzikim wzrokiem. — Trzymali tutaj sporo dziewczyn, które poszły na ruszt. My robimy co innego. Rodzimy dzieci. Oni lubią młode mięso. To znaczy, lubili — poprawiła się, krzywiąc ponownie twarz w trupim uśmiechu. Gerstaecker poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie.

— Tak — mruknął. — To już koniec. Powiedz mi, Cecily, skąd wziął się ten szatański pomysł? Mówiłaś, że zaczęło się w dziewięćdziesiątym szóstym. Dlaczego nie próbowałyście uciekać? Zaskoczyli was?

— Aha. Tak. To ojciec zmienił wszystko w tym domu. Chyba oszalał przez tego zafajdanego pastora Ironsa z Kościoła Ciała i Krwi Pańskiej.

Takich jak ojciec jest w Bright więcej. Często to powtarzał. Dokąd mogłyśmy uciec? Mamę zamordowali i zjedli latem. Czułam, że teraz kolej na mnie. Bowl ciągle mi o tym przypominał. To mój młodszy brat. Wie pan który?

— Nieważne, Cecily. Jego już nie ma.

— I co nam z tego? W tym piekielnym mieście każdy może być jednym z nich. Dokąd mamy pójść, panie Johns?

— Coś wymyślimy. — Uśmiechnął się z trudem. Przez chwilę milczał, zamyślony. — Jeszcze jedno, Cecily. Ten cały kościół. Byłaś tam kiedyś?

— Dwa, może trzy razy. Ładny kościół, dużo kwiatów. Pastor pięknie mówił. Nie miałam pojęcia...

— Czekaj! — przerwał jej w pół zdania. — Dużo wiernych?

— Co?

— Dużo wiernych było na mszy?

— Kilkanaście rodzin. Po drugiej stronie Bright jest kościół prezbiteriański. Nigdy w nim nie byłam.

— A szeryf? — Oczy Gerstaeckera spojrzały dziwnie ciepło i słodko. — Chodzi do waszego kościoła? Widziałas go?

— Nie pamiętam dobrze. To było dawno. Może... Chyba tak, ale głowy bym nie dała.

— OK. Zaprowadź wszystkich do domu. Nie, zaczekaj! Muszę tam najpierw posprzątać. Wrócę niedługo i dam ci znać. Zostawiam drzwi otwarte. Zaczekajcie.

— Dobrze, panie Johns. Zaczekamy. Niech pana Bóg błogosławi. Odwrócił się w pół kroku.

— Już mnie pobłogosławił, Cecily. Gdyby nie Jego dobroć, nigdy nie przyjechałbym w te strony. Zaczekajcie — powtórzył, wbiegając po schodach. Minęło dobre pół godziny, zanim pojawił się ponownie.

Stała u podnóża schodów. Pomyślał, że gdyby nie piekło, przez które przeszła, mogła być ładną kobietą. Patrzył, jak wyprowadza nieszczęsne ofiary, spoglądał w oczy dzieci, mrużące się na widok słońca, które widziały po raz pierwszy.

Wyszła ostatnia. Położył jej dłoń na ramieniu. Odskokczyła z przestraszeniem.

— Spokojnie. Umyjcie się, przebierzcie w cokolwiek i zjedzcie porządnie. W kuchni jest dość jedzenia. Posprzątałem po twoim ojcu. Macie ładną, dużą kuchnię — dodał zamyślonym głosem.

Patrzył, jak wkraczają na taras i po kolei znikają w drzwiach salonu, po czym zapalił papierosa, ujął kolbę shotguna i ruszył w stronę chlewni. Już na wstępie, w śmierdzącym korytarzu, dobiegło go zawodzenie dochodzące z ubojni.

Luther Petrie stał po prawej stronie pomieszczenia. Skrępowane nadgarstki jego podniesionych rąk były przykute łańcuchem do haka wmurowanego w betonowy strop. U jego stóp leżał Herb, który jakimś cudem nadal żył. Świadczyło o tym monotonne rżenie. Trzy ciała jego martwych braci spoczywały tam, gdzie pozostawił je Gerstaecker. Błędny wzrok Luthera wędrował nieustannie po zmasakrowanych zwłokach.

Z ust Petrie spływała ślina zmieszana z krwią z przygryzionej wargi. Zawodził niczym indiańska wdowa przy zwłokach męża, ale na widok wchodzącego Clintona zamilkł. Jego zaczerwienione oczy rozbłysły szaloną, żrącą nienawiścią.

— Mnie także miło cię widzieć, Petrie. — Gerstaecker zapalił kolejnego papierosa. — Jeszcze zipie? — Kopnął bezwładne ciało Herberta.

— Zostaw! — ryknął Luther.

— A niby dlaczego? — Zimny, beznamiętny wzrok Gerstaeckera spoczął na twarzy jeńca. — Chcesz, żeby przeżył? Kto wie? — Uśmiechnął się, podchodząc do Luthera. — Może, jeżeli odpowiesz na kilka pytań, pozwolę mu żyć.

— Jakich pytań? Nie rozumiem, człowieku.

— Już mówię. Kto uprzedził cię o mojej wizycie?

— Nie wiem. Ktoś z miasta. Nie przedstawił się.

— Doskonale. Jakże bystra odpowiedź. — Clinton pochylił się nad Herbem. Szczęknęła sprężyna — krótki błysk noża. Gerstaecker wyprostował się, trzymając w dłoni odcięty palec młodego Petrie. Zbliżył się do Luthera, rozchylił kieszeń jego flanelowej koszuli i włożył palec do środka. — Zostało mu jeszcze dziewiętnaście. — Uśmiechnął się, spoglądając jeńcowi w oczy. — Kto cię powiadomił? — powtórzył pytanie i nie czekając na odpowiedź, ponownie pochylił się nad leżącym.

— Nieee! — zawył Luther. — Zaczekaj! Szeryf! Szeryf Morgan!

— Jest członkiem waszego Kościoła? — Gerstaecker pochwycił dłoń Herba.

— Że co? — wyjąkał Petrie.

— Pytałem, czy zre ludzkie mięso, draniu. — Kolejny krwawy palec

powędrował w ślad za pierwszym.

— Tak, on także! Zostaw chłopaka, skurwysynu! — ryknął Luther.

— Kto jeszcze? — Zakrwawione ostrze zawisło nad okaleczoną dłonią Herba.

— Wszyscy wierni! To nasz sakrament!

— Ach tak? A ty jesteś gorliwym wyznawcą, co Luther?

— Jestem.

— Dobrze. Znasz może Franka Kelly'ego?

— Kogo?

— Masz problem ze słuchem? Franka, szwagra szeryfa. Pomieszkuje w Lonstone od czasu do czasu.

— Ten z wąsem? Widziałem go parę razy.

— Był w kościele?

— Nie. On przyjeżdża do Teresy Martinez. Nie chodzą do żadnego kościoła. Do cholery! Pomóż mojemu synowi. Obiecałeś! — Jasne. Nie ma sprawy. Lewy łokieć Gerstaeckera zgiał się szybkim ruchem, podrzucając w górę shotguna. Suchy odgłos repetowania. Powietrze zadygotało od ogłuszającego huku. Herb Petrie przestał cierpieć. Po jego okaleczonej głowie nie zostało śladu. Postrzępione fragmenty naczyń krwionośnych i urwana tchawica sterczały z szyi niczym upiorny krwawy kalafior. Szaleńczy krzyk Luthera zagłuszył wszystkie inne odgłosy. Wzniósł twarz ku pułapowi i wył aż do zupełnego ochrypnięcia.

Kiedy opuścił głowę, ujrzał tuż przed sobą parę bezlitosnych oczu.

— Gdzie mieszka ta cała Martinez?

— Pierdol się!

— A co, chciałbyś sobie popatrzeć? — Nienawistny, szydrczy głos. — W porządku. Ale będzie inaczej, niż to sobie wyobrażasz, stary skurwysynu. Wiesz, co zrobimy? Przeniosę cię do chlewni. Twoje świnie są głodne. Słyszysz, jak kwiczą? Dorzucimy im do paszy kilka smakołyków. Będę obcinał ci to i owo, nic ważnego, musisz jeszcze pożyć. Jak sądzisz, twoje świnie także zostaną zbawione? Gdzie ona mieszka, durniu? Nie dotarło do ciebie, że mam ci jeszcze wiele do zaoferowania?

Oczy Petrie niemal wyszły z orbit. Zachłysnął się śliną. Jego wielka, zwierzęca twarz poczerwieniała gwałtownie.

— Dom z zielonym dachem — wykrztusił. — Jedna przecznica przed kościołem prezbiteriańskim.

— Grzeczny chłopiec. Kropnąłbym cię, ale szkoda naboju. Poza tym nie

zasługujesz na szybką śmierć. Zresztą powinieneś wiedzieć, że droga do zbawienia prowadzi przez mękę. Wnosząc z zachowania twoich synalków, głuszyliście wasze ofiary niczym świnie. — Gerstaecker sięgnął po łom, leżący obok zwłok Jethro.

Luther Petrie przymknął oczy. Po raz pierwszy doznał uczucia, jakim hojnie obdarzał nieszczęsne ofiary. Poczuł, że moczy spodnie. Gerstaecker wziął szeroki zamach. Gwizdnęło gęste powietrze. Kręgosłup Luthera strzelił niczym suchy konar. Kolejny cios zgruchotał mu miednicę. Bezwładne ciało zwisło na haku.

Tracąc świadomość, poprzez mgłę zaciągającą mu oczy, Petrie dostrzegł w drzwiach do korytarza kołyszące się plecy wychodzącego mężczyzny.

UROCZE MIASTECZKO BRIGHT

Zaraz po śniadaniu Dave Morgan założył wyprany mundur, wyprowadził z garażu samochód i pojechał do swojego biura. Był w doskonałym nastroju. Ashley Grant czekał już na niego ze świeżo parzoną kawą. Przywitali się po przyjacielsku. Sierżant lubił Ashleya. Grant nigdy nie wsadzał nosa w nie swoje sprawy. Przydzielono go do służby w Bright dobre dwa lata temu.

Kiedy zimą dziewięćdziesiątego czwartego Morgan zastąpił, zmarłego na wylew, Toma Toda, zastępcą szeryfa w Bright był stary Red Clanton. Z nim także nie było problemów. Każdą wolną chwilę poświęcał głędzeniu o tym, dokąd to nie wybierze się ze swoją Thelmą, kiedy przejdzie na emeryturę. Poza tym dało się z nim żyć. Przepracowali razem dziesięć lat. Red był flegmatykiem, ale odwalał papierkową robotę i pilnował małego aresztu, kiedy trafiał im się naćpany hippis lub zapity rozrabiacz. Większych kłopotów nigdy w Bright nie mieli. Gdyby nie jego prywatna pasja, Dave zanudziłby się tutaj na śmierć. Jesienią dwa tysiące czwartego Red musiał odejść. Okazało się, że jego beztraskie podejście do zagrożenia nikotynowego (palił jak smok) było nieuzasadnione. Umarł dwa miesiące później w szpitalu w Rebellstone. Przez kilka miesięcy Dave nie mógł się doprosić nowego zastępcy. Ci z Rebellstone sami mieli kłopoty kadrowe. Dopiero w czerwcu następnego roku powiały przyjazne wiatry. Przydzielono mu Ashleya Granta, a nawet obiecano drugi radiowóz.

Radiowozu nie otrzymał do tej pory, za to Grant okazał się gościem na medal. Dave nie dawał sobie rady z papierkową robotą. Nie miał do tego cierpliwości. Nowy zastępca miał te sprawy w małym palcu. Był naprawdę w porządku. Znał swoje miejsce w szeregu i sumiennie przestrzegał zasad. Dave uważał go za wzorowego podwładnego. Ashley nie należał do Kościoła pastora Ironsa, ale był nieocenionym pomocnikiem. Skrupulatny i sumienny, sprawiał wrażenie faceta, który nie wie o niczym, co od pewnego czasu zaczęło dziać się w Bright. Zapewne udawał jak wielu innych, ale taki stan rzeczy absolutnie nie przeszkadzał szeryfowi. Był spokojny o swoją pozycję. Do Kościoła Ciała i Krwi Pańskiej należało kilku ważnych członków ich małej społeczności.

— Co nowego, Ashley? — Morgan łyknął gorącej kawy. — Dzwonił

ktoś do mnie?

— Nie, szefie. Zupełny spokój.

— Dobrze. Niebawem spodziewam się telefonu. — Szeryf zerknął na zegarek. — Połączysz mnie natychmiast. Będę u siebie.

— Jasne, szefie.

Swobodnym krokiem Dave przeszedł do oszklonego boksu, który stanowił jego dumę. Zdążył postawić kawę na biurku, kiedy zadzwonił telefon. Zerknął przez szybę. Grant trzymał w górze podniesioną słuchawkę. Szeryf kiwnął głową i szybko sięgnął po aparat.

— Szeryf Morgan? — zabrzmiał znajomy, ochryply głos po drugiej stronie.

— We własnej osobie. Odebraliście dostawę?

— A-ha! — Krótki rechot w słuchawce. — Jest troszkę uszkodzona, ale nic wielkiego. Jużemy to zabezpieczyli.

— OK. Wiecie, co robić. Spotkamy się w piątek. — W piątek. A jakże. Wszystko będzie na czas.

Telefon zamilkł. Morgan sięgnął po niedopitą kawę. Stanął w drzwiach „gabinetu”.

— Wczesna jesień, Ashley. Na szczęście przestało padać. Wpadnijcie do nas z Hariett. Może jutro wieczorem. Sophia upiecze wiśniowy placek. Pogramy w pokera. Na dziesiątaki, jak zwykle.

— Czemu nie? Nic się nie dzieje, spokój i cisza. Godzinka czy dwie nie zaszkodzą. Wpadniemy.

Pół godziny później szeryf wsiadł do radiowozu i wybrał się na przejażdżkę. On i Grant nazywali to patrolowaniem miasta, chociaż jedyną rzeczą, którą zdarzało im się zrobić, było ukaranie przejezdnego turysty mandatem za złe parkowanie czy zwinięcie jakiegoś nawalonego pyskacza. Nawet zwykłe bójki zdarzały się rzadko. Bright było uroczym miasteczkiem.

Sierżant lubił „jeździć na patrol”. Była to czysta przyjemność — zwłaszcza latem, kiedy pośród wszechobecnej zieleni w wielu miejscach cieszyły wzrok kępy kolorowych kwiatów, zasadzone przed domami otoczonymi schludnymi trawnikami. Przedmieścia były bardziej zarośnięte, ale śródmieście (jak nazywali miniaturowy rynek z samotną bryłą ceglano-ratusza) zawsze było zadbane.

Szeryf Bright zatrzymywał się często, żeby pogawędzić z niektórymi obywatelami napotkanymi po drodze. Niemal zawsze odwiedzał też pastora

Ironsa, mieszkającego w niewielkim drewnianym domku na tyłach posesji należącej do Kościoła Ciała i Krwi Pańskiej. Biała budowla świątyni wznosiła się na łagodnym wzniesieniu po północnej stronie miasteczka. Tym razem Dave także zamierzał tam zajechać. Prawdę mówiąc, nie miał nic lepszego do roboty.

Wszystkie sprawy, zarówno służbowe, jak i prywatne, układały się po jego myśli.

Przejechał kilkoma ulicami, wjechał w krótką przecznicę, dotarł nią do śródmieścia, skąd można było dostrzec murowaną wieżę kościoła prezbiteriańskiego. Splunął za szybę. Okrążył brukowany plac i ruszył szeroką aleją w stronę kościoła wielebnego Beniamina Ironsa. Zamierzał posiedzieć i pogawędzić z przyjacielem przy kawie. Poza tym miał mu do zakomunikowania dobrą wiadomość. Spojrzał na zegarek. Przed chwilą minęła dziesiąta. Dave Morgan uśmiechnął się do swoich myśli. Miał naprawdę sporo wolnego czasu. Zastanawiał się nawet, czy nie warto by pomóc Ironsowi w warsztacie, przylegającym do mieszkania pastora. Hobby wielebnego wzbudzało szacunek i podziw szeryfa. Było wyjątkowo oryginalne, a jednocześnie pożyteczne.

Przez uchyloną szybę wyrzucił niedopałek, skręcając radiowozem w asfaltową ulicę prowadzącą szerokim zakolem na wzniesienie.

Minęła pierwsza po południu. Ashley Grant zdjął nogi z biurka. Leniwym ruchem sięgnął do stojącej za nim szafki i z górnej szuflady wydobył kanapki z serem, które przygotowała mu Hariett. Uwielbiał ser. Rozwijając zatłuszczony papier, z czułością pomyślał o żonie.

Właśnie wtedy zadzwonił telefon. Grant skrzywił się i niechętnie sięgnął po słuchawkę.

— Biuro szeryfa. Grant przy telefonie. W czym mogę pomóc?

— To ty, Ashley?! — głos po drugiej stronie należał do Jamesa Barclaya, właściciela sklepu spożywczo-przemysłowego. Grant znał go doskonale, a jednak poderwał się na krześle. Barclay nie mówił, lecz krzyczał. Musiało zdarzyć się coś naprawdę nieprzyjemnego.

— Jasne, James. Mów, co się stało.

— Nie uwierzysz! — Po drugiej stronie rozległ się szloch. — To straszne, Ashley! Potworne! Boże!

— Opanuj się, James, i mów po ludzku. Skąd dzwonicz? — Grant zapomniał o kanapkach i żonie. Poczuł, że robi mu się duszno.

— Z domu Petrie! Przyjechałem zamówić wieprzowinę... Wiesz, mają mięso pierwsza klasa...

— Do rzeczy, James! — No tak, jasne, do rzeczy. — Przez chwilę było słychać głośne wycieranie nosa.

Grant sięgnął po papierosa i zapalił.

— Jesteś tam? — zapytał, czując nieprzyjemny dreszcz na plecach.

— Co? Tak. No więc pojechałem do nich. Wziąłem wóz i pojechałem. Brama była uchylona, więc wszedłem. Oni nie trzymają psów. Na podwórzu nie było nikogo. Zacząłem nawoływać, ale nikt nie odpowiadał, więc poszedłem do ich chałupy. Zapukałem i nic. Pomyślałem, że sobie popili. Wiesz, że lubią ten sport.

— Nie wiem. Streszczaj się, James!

— Nie uwierzysz, co zobaczyłem w salonie. Jezu! Nikt w to nie uwierzy!

— Wydusisz to z siebie? — Papieros Granta rozjarzył się jaskrawym żarem.

— Słuchaj...

Przez kilka minut Grant słuchał relacji, przerywanej napadami płaczu. Twarz policjanta pobladła. Kiedy Barclay skończył, zastępca szeryfa czuł, że głowa zamieniła mu się w jedno wielkie ognisko bólu.

— Zaczekaj tam, James! Przyjedziemy jak najszybciej. Zaczekasz?

— Spróbuję, ale nie wiem, czy to dobry pomysł.

— Tylko kwadrans, najwyżej dwa. Zaczekaj, James! — Ashley odłożył słuchawkę i natychmiast sięgnął po komórkę. Wybrał numer.

— Co jest, Ashley? Coś niedobrego? — usłyszał znajomy głos.

— Mamy problem, szefie!

— Duży?

— Jak cholera! Potrzebuję wsparcia!

— Kurwa! A jednak! — Usłyszał przytłumione przekleństwo po drugiej stronie. Prawdę mówiąc, niczego innego się nie spodziewał.

Szary dodge minął granicę miasta. Gerstaecker jechał powoli, bez pośpiechu. Miał mnóstwo czasu. Jego prosta — prowadząca do celu — droga, załamała się w tej cholernej dziurze. Przybył tutaj w nadziei, że zastanie mordercę Cynthii, ale nie miał szczęścia. Wyglądało na to, że czeka go uciążliwa droga na południe. Był na to przygotowany, ale przed wyjazdem chciał załatwić kilka spraw. Przepelniała go wściekłość, iż tak niespodzianie znalazł się w samym środku tego koszmaru — potworności, z jaką nie

spotkał się nigdy dotychczas. W każdej chwili mógł machnąć ręką na ten cały burdel, ale nie potrafił i nie chciał. Rodziło to szansę na kolejne kłopoty, lecz mimo to nie zamierzał rezygnować.

Przeciagnał zmęczone ramiona, puszczając na chwilę kierownicę. Wykopanie dołu dla pięciu tęgich mężczyzn zajęło mu trochę czasu i kosztowało sporo sił.

Był głodny. Nie jadł od wczoraj, ale wzdragał się przed zjedzeniem czegokolwiek w ponurym zakątku śmierci, który pozostawił za sobą.

Miał nadzieję, że zje w mieście jakiegoś zafajdanego burgera czy cokolwiek innego. Później czekały go jeszcze kolejne, niemiłe wizyty. Nie zamierzał odwiedzać tej całej Martinez. Nie miał po co. Był pewien, że niczego mu nie powie. Podobnie jak ta suka, Sophia Morgan. Na szczęście znał drugie miejsce, gdzie być może przebywali teraz mordercy Cynthii, choć pewności nie było. West Apache. Na wschód od Tucson w Arizonie.

Zatrzymał się przy niewielkiej stacji paliw, zatankował do pełna i kupił cztery sandwicze z indykiem i musztardą. Rzucił papierowy pakunek na przednie siedzenie i ruszył w stronę śródmieścia. Jadąc powoli, przyglądał się mieścinie.

Bright nie było dużym miastem, ale zachwycało piękną zielenią — bujną nawet o tej porze roku — i zgrabną, niską zabudową. Potrafił to zauważyć, mimo cholernego bagażu natrętnych myśli.

Bez problemu trafił na rynek, stanowiący miejscowe centrum. Zaparkował auto w niewielkiej zatoczce, wysiadł i usiadł na ławeczce, przy kępie trzech młodych jodeł. Rozwinął torbę i zabrał się do śniadania. Na stacji benzynowej nie mieli kawy, ale kupił butelkę coli i kilka paczek marlboro. W obecnej chwili niczego więcej nie potrzebował.

Kiedy skończył, wyrzucił zatłuszczoną torbę do kosza stojącego przy ławce. Wypił colę i zapalił papierosa.

Na dworze było dość ciepło. Ruch na ulicach wzrastał, to jednak nie miało dla niego żadnego znaczenia. Spojrzał na zegarek. Wskazywał kwadrans po drugiej. Nadeszła pora działania. Już wcześniej zlokalizował wieże dwóch kościołów. Interesował go tylko jeden — ten w północnej części miasta. Kościół wielbnego Ironsa.

Podniósł się z ławki i podszedł do samochodu. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Pas z bronią zakrywały długie poły zamszowej marynarki, którą założył, opuszczając domostwo Petrie.

— Do roboty — mruknął, siadając za kierownicą. Był niezmiernie ciekaw spotkania z pastorem. Po tej wizycie zamierzał odwiedzić jeszcze kogoś. Sympatycznego szeryfa Morgana. Jemu także miał to i owo do powiedzenia. Nie miał pojęcia, że los oszczędzi mu fatygi. Nie miał pojęcia o kilku innych sprawach.

Gdyby przyjechał do miasta nieco wcześniej, być może napotkałby po drodze dwa policyjne radiowozy, które z przeraźliwym piskiem opon zajechały pod biuro szeryfa, położone po prawej stronie alei, którą przyjechał do śródmieścia. Zobaczyłby funkcjonariusza wybiegającego z budynku z winchesterem w rękach i wsiadającego do pierwszego radiowozu, na którego drzwiach widniała wielka, złocista gwiazda oraz wyraźny napis: Sheriff Dep. Rebellstone.

Auta ruszyły natychmiast, skręcając w zawrotnym pędzie w przecznice prowadzącą na zachód. Wiodła tamtędy droga do farmy Petrie, znacznie krótsza od tej, którą przebył Clinton.

Gerstaecker skierował dodge'a w ulicę wspinającą się szerokim zakrętem na wzniesienie, gdzie znajdował się teren Kościoła Ciała i Krwi Pańskiej. Po kilku chwilach był na miejscu. Zatrzymał wóz przed ogrodzeniem z białych desek, choć brama wjazdowa była szeroko otwarta. Sprawdził czterdziestkę piątkę i wysiadł, zamykając auto.

Do drzwi ładnego, drewnianego kościoła prowadziła szeroka brukowana aleja. Ruszył naprzód spokojnie i bez pośpiechu. Nieco za kościołem dostrzegł fragment drewnianego budynekczku.

„Plebania”, pomyślał. Postanowił zajrzeć najpierw do kościoła. Podobnie jak brama, białe drzwi świątyni były szeroko otwarte.

Gerstaecker rozejrzał się dookoła. Z zadowoleniem stwierdził, że w zasięgu wzroku nie było żywego ducha. Po dwóch niskich stopniach wszedł na drewniany taras. Zbliżył się do drzwi. Z wnętrza powiało znajomym, kojącym chłodem. Wkroczył do środka.

Kościół był nieduży. Miał jedynie środkową nawę, prowadzącą w stronę ołtarza pomiędzy dwoma rzędami białych ławek. Ambonę pastora, ołtarz oraz poprzedzającą go balustradę pokrywała również wszechobecna biel — podobnie jak wszystkie ściany. Widocznie pastor gustował w tej barwie. Surowa, szpitalna biel nie raziła w tym wnętrzu. Łagodziła ją ogromna ilość kwiatów, posadzonych w ładnych, owalnych doniczkach, pomalowanych

seledynową farbą. Tkwiły na wklęsłych podstawkach, umożliwiającym częste podlewanie. Były wszędzie. Stały na parapetach, zdobiły ołtarz, nawet w ścianach zamontowano wklęsłe podstawki, na których umieszczono doniczki. Dawało to uczucie ciepła i zarazem świeżości.

„Niezły pomysł”, pomyślał Clinton. „Drań ma gust. Skąd się tacy biorą?”

W kościele nie było nikogo. Paliły się dwie grube świece ustawione na ołtarzu. W głębi, na frontowej ścianie za ołtarzem wisiał jeden jedyny obraz, przedstawiający Ostatnią Wieczerzę. Po obydwu jego stronach, na srebrzystych łańcuszkach umocowanych do kutych, wmurowanych haków, wisiały również seledynowe, owalne donice, z których — zielonymi warkoczami — zwieszały się pędy ciemnozielonych roślin. Clinton nie potrafił ich nazwać. Kwiaty nie były jego specjalnością. Musiał przyznać, że wszystko jest doskonale zgrane. Irons naprawdę miał dobry gust.

Powoli, rozkoszując się upojną wonią kwiatów, Gerstaecker wyszedł na dwór. Po krótkim namyśle postanowił zajrzeć na plebanię.

Obszedł kościół wzdłuż północnej ściany. Kiedy wyszedł zza narożnika, zobaczył plebanię w całej okazałości: niski, zadbane domek ze lśniąco szklanymi szybami okien oraz przylegającą z prawej strony niewielką przybudówkę. Drzwi „szopy”, jak określił ją w myślach Clinton, były zamknięte, ale spoza nich dobiegał odgłos pracy jakiegoś elektronarzędzia. Dźwięk nie był głośny, lecz wyraźny. Przypominał do złudzenia znienawidzony powszechnie odgłos wysokoobrotowej, dentystycznej wiertarki. Clinton nie zwrócił nań większej uwagi. Od chwili, gdy wysunął twarz zza krawędzi ściany, nie odrywał wzroku od stojącego przed szopą radiowozu.

— O, jasna dupa! — szepnął. — Są obaj!

Serce zabiło mu żywiej. Miał przed sobą wymarzoną sytuację, choć jednocześnie wzrósł poziom ryzyka.

Szybkimi, kocimi susami przebył odległość dzielącą go od lewego narożnika plebani. Wiedział, jak bardzo ryzykuje. Zatrzymał się na chwilę, nasłuchując. Nic się nie zdarzyło. Cisza, zmacona jedynie brzęczeniem dochodzącym z przybudówki. Odetchnął z ulgą. Przeszedł swobodnie wzdłuż pozbawionej okien północnej ściany plebani i ostrożnie wyjrzał zza kolejnego narożnika.

Zobaczył niewielki, starannie utrzymany ogród. Z tej strony również nie dostrzegł żywej duszy. Być może pastor mieszkał sam, ale Gerstaecker nie miał żadnej pewności.

Pochylił się nisko i przemknął wzdłuż kolejnej ściany budynku. Starał się

trzymać poniżej linii okien, których z tej strony nie brakowało. Po chwili dotarł do ściany przybudówki. Po tej stronie miała dwa poziome okna, zamontowane dość wysoko. Niemal pełznąco, osiągnął kolejny narożnik. Wyjrzał zza węgła. Również na południowej ścianie było okno. Jedno, ale spore. Zerknął na podniesioną do połowy okiennicę. Poczł w żyłach żywsze krążenie krwi. Adrenalina dawała znać o sobie.

Na czworakach przebył dwie trzecie dystansu. Minął już półotwarte okno, kiedy nagle jazgot maszyny ucichł. Usłyszał głośny, brzęący znajomo, śmiech.

— Masz złote ręce, Ben! — głos Morgana brzmiał swobodnie.

— Potrafisz dobierać kolory. Twoja robota wszystkim się podoba.

— Cieszę się. Sam wiesz, jak bardzo się staram. Ale wróćmy do tematu — drugi głos brzmiał wysoko i czysto.

„Wielebny Irons”, pomyślał Clinton.

— Przejdźmy do domu — melodyjnemu głosowi pastora towarzyszył stuk odkładanego narzędzia. — Dokończę później.

— Jasne. Nie ma pośpiechu. — Niski śmiech szeryfa. — Napijmy się czegoś mocniejszego.

— Jest po temu okazja, Dave?

— Domyśliłeś się, ty stary mule! Jest, i to nie byle jaka.

— Mówisz może o tym typku?

— Yhm! Petrie go trzyma. Wiesz, jaki los czeka tych, którzy wpadną mu w łapy?

— Na Boga, wiem! Oczywiście. Chwała niech będzie Panu! Więc uczymy nasze święto jak należy. — Uszu Clintona dobiegł śmiech Ironsa, wysoki, podobnie jak jego głos, ale nieprzyjemny. Przypominał rzenie osła.

Gerstaecker przytulił się do ściany. Czuł lekkie drżenie mięśni. Nie wiedział czemu, ale spowodowała je jakaś nieludzka intonacja słowa „typpek”. Irons wypowiedział je w dziwnie obleśny sposób. Clinton nie potrafiłby tego bliżej określić, czuł jednak wewnątrz nutę wyuzdania i okrucieństwa zarazem. Okrucieństwa zimnego niczym bryła lodu.

Za rogiem skrzypnęły zawiasy. Usłyszał oddalające się kroki mężczyzny, następnie cichy odgłos zatraskiwanych drzwi plebani. Wypadł zza rogu i prześlizgnął się przez niedomknięte drzwi szopy. Znalazł się w zadymionym, cuchnącym pomieszczeniu. Splunął na drewnianą, nieheblowaną podłogę i rozejrzał się dookoła. Był niezmiernie ciekaw, jakiemu hobby poświęca swój czas wielebny Irons. Odpowiedź miał tuż przed oczami.

Popołudniowe promienie słońca wpadały poprzez szerokie okno wprost na blat długiego stołu. Na jego skraju leżało narzędzie, którego brzęk słyszał wcześniej. Był to trepan, służący chirurgom i patologom do wywiercania otworów. Tuż za nim leżały dwie ludzkie czaszki pozbawione wierzchołków. Odcięte pokrywy czaszek leżały tuż przy nich.

Gerstaecker nabrał głęboko powietrza. Najgorsze, co zobaczył, stało nieco dalej — w pobliżu parapetu. Trzy kolejne mózgowiczaszki, pomalowane kolorem świeżego seledynu, którego puszka stała obok. Wyglądały niczym jasne, zgrabne doniczki. Jak te...

Przełknął ślinę.

— Dobry Boże! — jęknął. Tonący w kwiatkach kościół i te wszystkie śliczne donice! Nie próbował nawet ocenić, ile ich widział. Miejsce podniecenia zastąpiła zimna zaciekłość. Wsunął między wargi papieros. Szczęknęła zapalniczka. Spokojnym ruchem wydobył z kabury czterdziestkę piątkę. Wyszedł na dwór, pochylił się i przebiegł do wejścia plebani. Lewą dłonią przekręcił gałkę i pchnął drzwi. Otworzyły się cicho. Clinton Gerstaecker wszedł do środka, trzymając w opuszczonej ręce peacemakera.

Eugene Tromp po raz kolejny nabrał w dłonie zimnej wody z wiadra i opłukał twarz. Ashley Grant i dwaj zastępcy Trompa wrócili właśnie do mieszkania. Wszyscy — nie wyłączając szeryfa — byli bladzi jak płótno. Cuchnęli wymiocinami i mieli zaczerwienione oczy.

Nie miał im za złe. Sam z trudem powstrzymywał torsje po obejrzeniu ziemnego „pensjonatu” Petrie oraz ubojni. W salonie czekały uwolnione ofiary, a Eugene dałby wiele, żeby nie słyszeć ich wyznań. Skinął na Granta. — Pojedziemy do tego ich kościoła, Ashley. — Odwrócił się do zastępców. — Bob! Ściągnij migiem karetki. Wezwij Bradleya z Morrisem. Dołącz do nich i jedźcie do domu tego skurwysyna, Morgana. Aresztujcie jego i jego sukę. Uważajcie, jest niebezpieczny! Ashley twierdzi, że o tej porze ten drań je zwykle obiad. Gdyby stawiał opór, nie róbcie sobie ceregieli. Rozumiecie? Ty, Swann — szeryf zerknął na drugiego zastępcę — zostań tutaj i dopilnuj wszystkiego. Niech ktoś zajmie się sklepikarzem. Jest w paskudnym stanie. No, do roboty!

— Powiadomić FBI, szefie? — Swann Hestridge podniósł na szeryfa błędny wzrok.

— Nie. Sam się tym zajmę.

Po kilku minutach dwa radiowozy opuściły teren farmy i pomknęły w

stronę miasta.

W zupełnej ciszy policyjne wozy wjechały na wzgórze. Szeryf Tromp zaparkował auto obok szarego dodge'a z rejestracją Kentucky, stojącego na poboczu. Na widok tablicy pod zderzakiem poczuł zupełnie nieoczekiwany przypływ melancholii. On sam pochodził z Kentucky, choć od wielu lat mieszkał i pełnił służbę w Wyomingu. Wysiadając z wozu, jeszcze raz przyjrzał się numerom dodge'a.

— Jasny gwint! Co za traf! — mruknął. Przywołał Ashleya. Grant wysiadł ze swojego radiowozu, trzymając w ręku winchester.

— Chodź no tu, Ash! Widziałeś wcześniej to auto? — Krótkim ruchem luf dubeltówki szeryf wskazał na samochód.

— Nie, szefie. Ktoś zamiejskowy. Pewnie turysta.

— Jasne. Zafajdany turysta. — Tromp przymknął powieki. — Chodźmy! — Wskazał widniejący za kościołem fragment plebani. — Ten „wielebny” skurwysyn jest zapewne u siebie.

Ruszyli granitową aleją w kierunku wyniosłej konstrukcji kościoła. Dopiero teraz szeryf zauważył, że przed nimi, na stopniach podcienia, siedzi facet. Dostrzegli go z dala, ale żadnemu z nich nie kojarzył się z pastorem Ironsem. W miarę jak zbliżali się do drzwi świątyni, Tromp coraz wyżej unosił lufy dubeltówki. Siedzący na stopniach człowiek nie wydawał się ani kobietą, ani dzieckiem. Nie był starcem, ani kaleką. Brązowy stetson, nasunięty na czoło, zakrywał jego twarz, ale Tromp w jakiś intuicyjny sposób czuł, że poznaje tę rozrośniętą sylwetkę — że już gdzieś, kiedyś ją widział.

Kolejne kilka kroków. W zaroślach za ogrodzeniem śpiewnie zagwizdał kos. Popołudniowa cisza. Opuszczone ramiona siedzącego, w prawej dłoni „armata” kalibru 45 z ośmiocalową lufą.

— Jasna dupa, szefie! — Tromp usłyszał metaliczny dźwięk odbezpieczanej broni Granta. — To jakiś podejrzany typek — głos policjanta dobiegał jak gdyby zza ściany. — Widzi pan jego broń?

— Nie jestem ślepy. Uspokój się.

Od stopni kościoła dzieliło ich zaledwie kilkanaście kroków, kiedy nieznajomy podniósł głowę.

— Jezu! — Eugene Tromp westchnął. — A ten skąd się tu wziął? Nie był pewien, jak powita pastora, nie był pewien, czym skończy się spotkanie z Morganem, ale miał pewność, że zna gościa, którego mieli przed sobą. Facet

podsunął kciukiem w górę rondo kapelusza. Na twarzy szeryfa spoczął zmęczony wzrok szarych oczu.

— Jezu! — powtórzył Tromp. — Clinton! Cholerny Clinton Gerstaecker!

Zatrzymali się parę kroków przed schodami.

— Spokojnie, Ashley! — szeryf ponowił ostrzeżenie. — Nie rób niczego. Zostań na miejscu i czekaj.

Tromp podszedł do krawędzi schodów.

— Szukam pastora Ironsa — odezwał się cicho, starając się, by zabrzmiało to obojętnie. — Jestem szeryfem Rebellstone.

— Nieźle. — Siedzący facet splunął w bok. — Jego już nie ma, szeryfie.

Tromp poczuł mimowolny dreszcz na skroniach. — Nie żyje? — zapytał, znając odpowiedź.

— Na to wygląda. Nie żyje także szeryf Morgan. Jego także pan szuka?

— Nic ci do tego, Clinton. Szare oczy rozbłysły. Dłoń z czterdziestką piątką lekko drgnęła.

— Znamy się?

— Owszem. — Tromp zdjął kapelusz. — Widzisz tę łatę na mojej skroni?

— O, cholera! Eugene! Co za pieprzony traf! Jesteś szeryfem w tym okręgu? Pogratulować! Ile to już lat, stary?

— Blisko dwadzieścia. Słyszałem, że Rodney nie żyje.

— Owszem. Zostaliśmy tylko ja i Milton. Kiedy zginął ojciec, Rodney zajął twoje miejsce. Pospieszyles się. Od małego ciągnęło cię na północ, Dziki Billu.

Mimowolnie, jak na komendę, obaj wybuchnęli śmiechem.

— Pamiętam, jak to się stało. — Clinton wskazał palcem łysy placek na skroni szeryfa. — Musiałeś ściągnąć z drzewa tego grubasnego kocura Emily Warstworth. Konar był spróchniały i zleciał ci prosto na łeb. Leżałeś na jej trawniku w kałuży krwi, a ja i Rodney byliśmy tak przejęci, jakbyś uratował Biały Dom przed inwazją z kosmosu. Boże, gdzie tamte czasy?!

— Minęły, stary. — Tromp uśmiechnął się krzywo. — Widziałeś pastora?

— Tak. Odstrzeliłem mu jaja.

— A co z szeryfem? — Tromp skrzywił się jeszcze bardziej.

— O kim mówisz? Mieliście tutaj szeryfa? Myślisz o tym skurwysynie, który żarł ludzkie mięso?

— Clinton!

— Nie przerywaj! Nie wiedziałaś o niczym?

— Nie. Przysięgam na Boga. Mieliśmy serię zaginięć w tym rejonie. Przesłałem tutaj człowieka, żeby obserwował sytuację. Za kogo, do cholery, mnie bierzesz? — Wybacz, Eugene. Mam nerwy w strzępach.

— Nie ma sprawy. Możesz mi powiedzieć, co tutaj robisz? Myślałem, że jesteś szeryfem Green Doll. Dziwna sprawa, nie? Czy to czasem nie ty jesteś tym całym Johnsem?

— Jestem. I co zrobisz? Aresztujesz mnie?

— Co z pastorem i szeryfem? — głos Trompa nabrał ostrego tonu.

— Już ci mówiłem. Masz krótką pamięć. Chcesz ich sobie obejrzyć? Są na plebani. Nikogo więcej nie zamordują.

Szeryf milczał dłuższą chwilę. Starał się uporządkować rozbiegane myśli. W końcu wzruszył ramionami.

— Przejdziesz się ze mną? — zapytał.

— Czemu nie?

— Zostań tutaj, Ashley. — Tromp skinął na policjanta. — Nie wpuszczaj nikogo na teren.

— Jasne. — Grant zabezpieczył karabin. Zamyślonym wzrokiem patrzył na dwóch mężczyzn kroczących wzdłuż ściany kościoła w kierunku plebani.

ZA GŁOSEM SERCA

Milton opuścił granice Eltonville kilka minut po piątej. Na dworze było jeszcze widno. Czarny sportowy mustang prowadziło się znakomicie. Szeryf zabrał z sobą tylko podręczny bagaż i broń. Przed wyjazdem zamknął się w pokoju, żeby nie słyszeć utyskiwania żony. W ciągu kilkunastu minut opracował możliwie najkrótszą trasę wiodącą do Montany. Gerstaecker nie używał nawigacji. Na przednie siedzenie wozu rzucił listę miejscowości, przez które zamierzał jechać. To mu w zupełności wystarczyło. Na wszelki wypadek zabrał także prywatny laptop i umieścił go za oparciem siedzenia. Większość drogi zamierzał przebyć, korzystając z autostrad. Nie miał czasu do stracenia.

Międzystanową numer 65 wyruszył w stronę Nashville. Minąwszy stolicę country, odbił w lewo. Minął Clarksville, a stamtąd skręcił na północ pięćdziesiątką siódemką. Dotarł do Mt. Vernon w Illinois, skąd już tylko jeden skok dzielił go od St. Louis.

Zatrzymał się na stacji paliw. Zatankował i zjadł dwa zimne sandwicze. Musiał także skorzystać z toalety. Pół godziny później mknął już międzystanową siedemdziesiątką w stronę Kansas City. W Kansas zjechał na autostradę prowadzącą do Sioux Falls w Dakocie Północnej. Stamtąd, niemal do samego celu, biegła — wiodąca prosto na zachód — międzystanowa dziewięćdziesiątka. Musiał opuścić ją dopiero w Gillette, w Wyomingu, i lokalną drogą skierować się na północ, do Broadus, przebyć krótki etap do Ashland i jeszcze krótszy do Restburga.

„Kaszka z mleczkiem”, pomyślał, wsłuchując się w odgłos potężnego silnika cobry. Mknął poprzez noc, modląc się, żeby nie spotkać chłopaków z Highway Patrol. Nie odczuwał zmęczenia. Wysoka dawka adrenaliny pobudzała krew do szybkiego krążenia.

Kilka mil za nim tą samą trasą podążało sportowe bmw. Milton byłby z siebie dumny, gdyby dane mu było poznać myśli swojego „anioła stróża”, o którym nie miał zielonego pojęcia. „Ten sukinkot nie jedzie. On zapierdala!”, myślał Sanders, zerkając od czasu do czasu na wyświetlacz GPS.

Świtało, kiedy Gerstaecker zatrzymał się pod kolejną stacją paliw. Było to w okolicy Murdo, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Sioux Falls a Rapid City. Uzupełnił paliwo, skorzystał z toalety i wypił kubek gorącej, czarnej kawy. Wsiadł do samochodu, wydobyl z kieszeni komórkę i wykonał

krótki telefon. W chwilę potem cobra wyjechała na pas autostrady. Dziesięć minut później pod tę samą stację zajeżdżał srebrzysty wóz Sandersa.

Niebo na wschodzie nabrało barw. Spoza sianej linii horyzontu wyłoniła się bladnoróżowa tarcza słońca. Powoli, lecz nieustannie wspinała się coraz wyżej. Budził się dzień.

Gerstaecker minął Ashland. Nie jechał już z takim pośpiechem jak dotychczas. Nie zamierzał ryzykować wypadku na lokalnej drodze. Niebawem — zgodnie ze wskazówkami Sunside'a — miał skręcić na północ. Był niemal na miejscu. Było już zupełnie widno, kiedy w promieniach słońca dostrzegł tablicę kierunkową, informującą o skręcie na Miles City oraz na Restburg.

Zakręcił kierownicą. Wóz lekko wszedł w zakręt. Milton przejechał jeszcze trzy mile i zjechał na szerokie pobocze. Dwie mile za nim srebrne bmw również zatrzymało się na poboczu. Minęła dziesiąta, kiedy czarna cobra zajeżdżała na główny plac rancho Seven Pines. Wóz zatrzymał się na wprost wejścia do domu, kilkanaście jardów przed budynkiem warsztatu. Przez chwilę słychać było pomrukiwanie silnika. Wreszcie Milton wyłączył zapłon.

Zerknął na okazały dom, otoczony potężnymi sosnami, i rzucił okiem na boki. Na rozległym placu kręciło się kilkanaście osób. Tuż obok prawej szyby mustanga przemknął pędem jeździec. Tętent kopyt wierzchowca sprawił, że szyby w samochodzie zdrząły.

— Ja cię! — westchnął Milton. — Ile musi ważyć takie bydlę? Otworzył szeroko drzwi auta. Do środka wtargnęło rześkie, chłodne powietrze. Zupełnie inne niż to, do którego przywykł w Alabamie.

„Więc to tutaj zatrzymał się Clinton”, pomyślał. „I pewnie jeździł na czymś takim. Ja pieprzę!”

Kilkanaście kroków przed nim, z długiego, ceglanego budynku wyszedł niski facet ubrany w kombinezon mechanika, o wyglądzie Indianina.

Mechanik przeciągnął ramiona i dopiero teraz spojrzał na czarną maszynę stojącą nieopodal. Tymczasem Milton wygramolił się z wozu i z ulgą rozprostował zeszywniałe ciało. Spojrzeli sobie w oczy.

Indiański mechanik odwrócił się na pięcie i pospiesznie ruszył ku szerokim wrotom garażu. Podniósł skobel, uchylił stalowe skrzydło i zniknął we wnętrzu.

„Co, do cholery? Wyglądam tak źle?”, pomyślał rozbawiony Milton. Ten

niski gość zachował się tak, jakby przestraszył go widok obcego, a przecież znajdowali się w samym sercu rancha.

Milton wzruszył ramionami. Miał wielką ochotę na papierosa, ale uznał, że mogło by to zostać poczytane za nietakt. Zatrzasnął drzwi cobry i ruszył w stronę mieszkalnego budynku. Zbliżył się do szerokich schodów prowadzących na wielką werandę, kiedy w wejściowych drzwiach pokazała się kobieta. Podeszła bliżej i mógł się jej lepiej przyjrzeć. Była starsza od niego, choć pewności nie miał. Z odległości paru kroków zauważył kurze łapki w kącikach jej oczu, ale dbała o siebie, co również rzucało się w oczy. Tuż za nią wyszedł na werandę młody, może trzydziestoletni mężczyzna. Nosił na głowie słomkowy kapelusz, spod którego wystawał skrawek bandaża. „Syn”, domyślił się Milton.

— Pan Gerstaecker? — jasny, czysty głos kobiety przerwał krótką ciszę. — Jestem Tara Sunside, a to mój syn, Aidan. — Delikatnym ruchem ręki wskazała na młodego człowieka. — Żyje tylko dlatego, że gościł u nas pański brat, najlepszy człowiek pod słońcem.

— Miło to słyszeć, droga pani. — Milton ukrył zaskoczenie. Zdjął kapelusz, myśląc jak mało wie o Clintonie. On sam uchodził za najbardziej skrytego z trójki braci, ale żaden z nich nie był gadułą. Zresztą w tym przypadku sprawa dotyczyła nieobecności Clintona i w istocie nie wiedział niemal nic poza tym, co przekazał mu ranczer. — Milton Gerstaecker — przedstawił się oficjalnie. — Miło państwa poznać.

— To dla nas zaszczyt, panie Gerstaecker — odezwał się młody Sunside. — Pewnie pan tego nie wie, ale nie zdążyłem podziękować Clintonowi za to, co dla mnie zrobił. Pański brat na zawsze pozostanie w mojej pamięci jako osoba wyjątkowa. Także teraz, kiedy ojciec opowiedział nam o wszystkim. Oboje z mamą modlimy się o jego bezpieczeństwo, a ja każdego dnia proszę Boga, żeby Clinton do nas powrócił. Tutaj jest jego dom.

— Dzięki, młody przyjacielu. — Milton uśmiechnął się smutno.

— Mój brat nie ma domu.

— Już wiemy, szeryfie — głos zabrała Tara Sunside. — Ale myli się pan. On ma dom. Dom i wielu przyjaciół. Nawet pan nie podejrzewa, jak wielu. Prosimy do środka. Mąż nie może się pana doczekać. Aidan! Zaprowadź naszego gościa do gabinetu ojca.

— Dziękuję, szanowna pani. — Milton uśmiechnął się melancholijnie. — Prowadź, chłopcze. Mówię tak z racji wieku. Chyba cię nie dotknąłem? — dodał pospiesznie. — Skądże. — Szeroki uśmiech młodzieńca. — Clinton

również tak do mnie mówił. Macie nawet podobne brzmienie głosu. Gdybym zamknął oczy...

— Jasne, rozumiem.

— Jest pan zapewne głodny. — Tara Sunside położyła mu dłoń na ramieniu. — Zaraz przygotuję śniadanie.

— Dzięki. — Kiwnął głową, wchodząc za Aidanem do wnętrza budynku.

Przeszli przez wielki hol i stanęli przed pięknie zdobionymi drzwiami. Aidan zapukał.

— Proszę! — dobiegł głos z wnętrza. Młody Sunside uchylił drzwi.

— Przyjechał szeryf Gerstaecker, tato. — Usunął się na bok. — Proszę, niech pan wejdzie. Nie będę wam przeszkadzał.

Milton wszedł do gabinetu. Elmer Sunside siedział za swoim biurkiem, spoza którego wystawała wyciągnięta noga w gipsowym opatrunku. Wyciągnął na powitanie rękę.

— Proszę wybaczyć, że nie wstaję.

— Oczywiście. — Milton uściśnął dłoń ranczera i nie pytając, usiadł w wygodnym fotelu przed biurkiem, odkładając kapelusz na podłogę. Jeszcze raz spojrzął na nogę gospodarza. Znał już tę historię. Sunside streścił mu ją przez telefon.

— Może odrobinę starej whisky? — zaproponował Elmer.

— Dziękuję. Wkrótce wyjeżdżam. Można tutaj zapalić?

— Bez ograniczeń. — Elmer się zaśmiał. — Po to właśnie mam ten gabinet.

— Świetnie. — Milton wyciągnął marlboro i zapalił. Niemal natychmiast przeszedł do rzeczy. — Chętnie poznałbym więcej szczegółów dotyczących mojego brata, panie Sunside.

— Wystarczy: Elmer.

— OK, Elmer. Z twojej relacji wynikało, że Clinton odnalazł tutaj trop. Wiesz, co mam na myśli? — Wiem, choć niestety nie wiedziałem wtedy. — Sunside sięgnął po telefon. — Monthy? Przyślij do gabinetu Beavera. Natychmiast. Weź także Dugga i zaczekajcie w holu. Co? Tak. Na wszelki wypadek. — Spojrzął na gościa. — Lecisz pewnie z nóg. Możesz się u nas przespać.

— Dzięki! Skorzystam. Wystarczy mi kilka godzin.

— Rozumiem. Liczy się czas. Nie będziemy cię zatrzymywać. Nie w takiej sytuacji. Może kiedyś nas odwiedzisz?

— Wątpię. Zresztą któż to wie?

Shepard przemierzał plac, kierując się w stronę stołówki, kiedy jak spod ziemi wyrósł przed nim Joe Beaver.

— Dugg! Przyjechał drugi Johns! — Wskazał ręką na cobrę stojącą przed warsztatem. Duggan podniósł wzrok.

— Napiliśmy się, Beaver? Czuję od ciebie whiskacza.

— Musiałem. Ten drugi też jest duży. Nie taki jak Grizzly, ale ja się nie mylę. To musi być jego brat. Są w podobnym wieku. Co się dzieje, Dugg?

— A skąd ja mam wiedzieć, do cholery?

W tej chwili podjechał Monthy Sverinn. Zeskoczył z kulbaki, owinął wodze wokół belki koniowiązu i podszedł do gestykulującego mechanika.

— Fajnie, że jesteś, Beaver. I ty też, Dugg. Nie muszę was szukać. Idziecie ze mną do Elmera. Obaj. Zwłaszcza ty, Joe. — Zarządca uśmiechnął się, kładąc dłoń na ramieniu Beavera, który próbował wycofać się w stronę garażu.

— Nie mówiłem? — mruknął ponuro Indianin, kiedy wchodzili po stopniach werandy.

Przeszli przez hol. Sverinn zatrzymał się przy ratanowym stoliku po prawej stronie drzwi gabinetu szefa.

— Siadaj, Dugg. Mamy tutaj zaczekać. A ty — skinął na Indianina — wal do środka. Elmer chce widzieć cię jak najszybciej. Beaver westchnął ciężko. Zapukał i wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

— Podejdz, Beaver. — Sunside uśmiechnął się do mechanika. — To jest brat Clintona. — Wskazał na wysokiego mężczyznę siedzącego w fotelu.

— Wiem, szefie. — Beaver podszedł do biurka.

— Tak? A skąd?

— Mam oczy. Wiem.

— OK. Te twoje „słynne” oczy. Jak mogłem zapomnieć. Milton, przedstawiam ci człowieka, który udzielił informacji Clintonowi.

Szare oczy siedzącego nie zmieniły wyrazu. Były identyczne jak oczy Grizzly’ego. Nie podnosząc się z fotela, Gerstaecker podał rękę Indianinowi.

— Ładnie pan postąpił, panie Beaver. Odpowie pan na kilka pytań? Mechanik skinął głową w milczeniu.

— Cieszę się. — Wąskie wargi przybysza lekko drgnęły. — Powiedział pan bratu wszystko?

— Wszystko, o co pytał. — Joe bezwiednie głośno przełknął ślinę.

— Co to ma znaczyć, Beaver? — Sunside poruszył się gwałtownie w swoim fotelu. Joe skurczył się mimo woli.

— Pan przecież wie, szefie.

— O czym, do diabła?!

— No... że czasami widzę coś w środku. Tutaj. — Indianin dotknął palcem głowy.

— Ach, tak! Wszyscy o tym wiemy! — roześmiał się ranczer.

— Ale nie wierzycie, szefie.

— Cóż, trochę trudno w to uwierzyć.

— Ja panu wierzę. — Senny wzrok szarych oczu spoczął na twarzy Indianina. — Zapytam wprost. Widział pan więcej, niż powiedział bratu?

Beaver ponownie skinął głową. — To gadaj, stary! — Sunside grzmotnął ręką w gruby blat biurka.

— Nie trzeba. — Milton zgasił niedopałek. — On niczego nie powie. Za bardzo się boi. Prawda, panie Beaver?

Joe milczał.

— Oż, do kurwy! — szepnął Elmer.

— Czy podał pan bratu autentyczne nazwy miejscowości? — Gerstaecker nie spuszczał wzroku z twarzy mechanika.

— Tak — Beaver odzyskał mowę. — Wszystko, co wiedziałem. Bright w Wyomingu i West Apache w Arizonie, ale...

— Co ale?

— Ale tam może być trudno.

— To właśnie widział pan w swojej głowie? Jeszcze jedno milczące kiwnięcie. Beaver czuł wewnętrzne dygotanie, jak gdyby dopadła go gorączka. Z trudem otworzył usta.

— Pański brat i tak by tam pojechał. Dobrze pan wie. Jeżeli nie zginie po drodze, czekają go złe chwile w krainie saguaro.

— Gdzie?

— No, tam. W Arizonie.

— Tyle już wiemy — wtrącił Elmer. — Chcesz jeszcze coś dodać?

— Nie, panie Sunside.

— OK. Wracaj do pracy. Beaver odwrócił się z ulgą.

— Chwileczkę! — zimny głos zatrzymał go na miejscu. Spojrzał na brata Grizzly'ego.

— Tak, proszę pana?

— Nie powiedział pan wszystkiego, panie Beaver. Wspomniał pan, że

brat może zginąć po drodze, ale na Południu czekają go trudne chwile. Dziwne sformułowanie. Co za różnica, tu czy tam?

Oczy. Szare, nieprzeniknione — jak oczy tamtego. Beaver zrozumiał, że nie wykręci się łatwo. W gabinecie zapadła cisza. Przerwał ją rytmiczny stukot, kiedy palec gościa zaczął uderzać o skórzaną kaburę broni. Ponury, denerwujący rytm zadziałał. — Dobrze — odezwał się Beaver. — Powiem. Jest różnica. Pański brat to bardzo czujny człowiek. Trudno go podejść. Potrafi dać sobie radę. Ale...

— Ale co? Beaver przełknął ślinę.

— Ale może popełnić błąd.

— Oświecisz mnie, panie Beaver?

— On, pański brat, szuka dwóch ludzi, ale chodzi mu głównie o Franco... znaczy o Franka Kelly'ego. Lekceważy tego drugiego.

— Masz na myśli Briana Sullivana?

— Aha. Pan Clinton bierze go za zwykłego kierowcę. Prawie o niego nie pytał. Może ze względu na Shannon. Trochę się przy niej kręcił. To siostra Briana. — Beaver zerknął na Milтона. — Nie bardzo znam te wszystkie sprawy. Lepiej niech pan zapyta Dugga. On i pański brat byli ze sobą najbliżej. Przyjaźnili się.

— Dziękuję, panie Beaver. Bardzo mi pan pomógł. Indianin z ulgą uściskał żylastą dłoń i natychmiast wyszedł.

— Pozwolisz mi pogadać z tym całym Duggiem? — Milton uśmiechnął się do Elmera. — Mam nadzieję, że będzie to ostatnia rozmowa tego typu. Padam z nóg.

— Oczywiście. Może wolisz najpierw zjeść?

— Wybacz, chcę to mieć już za sobą, więc jeśli pani domu okaże mi cierpliwość...

— Bez problemu. Dugg czeka w holu. Chcesz porozmawiać z nim tutaj?

— Mówiąc szczerze, wolałbym w cztery oczy. To nie ma nic wspólnego z tobą, Elmer. Po prostu ludzie łatwiej otwierają się, gadając sam na sam.

— Rozumiem. Pogadajcie, gdzie chcecie. Kiedy skończysz, przyjdź do kuchni. Na prawo od wejścia. Zaczekamy na ciebie. Jestem pewien, że Tara przygotowała ci już pokój gościnny.

— Dzięki, Elmer. Dziękuję wam obojgu. — Gerstaecker podniósł kapelusz, wstał i wyszedł z gabinetu.

Stali przy ogrodzeniu corralu, opierając się o pomalowaną na biało belkę.

Milton zerkał od czasu do czasu kątem oka na swojego rozmówcę. Wysoki, żyłasty kowboj, którego przedstawił mu zarządca, zrobił na nim wrażenie od pierwszej chwili. Może dlatego, że Beaver uprzedził Gerstaeckera, iż Clinton trzymał się z tym gościem, a może dlatego, że Shepard wyglądał na porządnego faceta. Milton — podobnie jak bracia — odziedziczył po ojcu dar intuicji. Może to dzięki temu w dalekiej przeszłości podporządkował się bez zastrzeżeń dziwnemu młodzieńcowi z Alabamy, który później odmienił całe jego życie. Teraz także wyczuwał, że ubrany na czarno człowiek posiada niezwykle cechy charakteru. Można by ująć to jednym krótkim zdaniem — wzbudzał zaufanie. Rozmawiali tak, jak gdyby znali się od dawna. Gość nie był spięty. Nic z tych rzeczy. Był tak naturalny, jak wszystko dookoła.

— Piękne stado. — Milton kiwnął głową w stronę przebiegającego w pobliżu tabunu. — Elmer robi na tym interes?

— Taki sobie. — Shepard się uśmiechnął. — Sprzedajemy mustangi na pokazy rodeo, ale myślę, że on po prostu lubi te szkapy. Często zachodzi tutaj wieczorami... oczywiście, nie teraz... i każe sobie osiodłać swojego ulubionego wałacha. Objeżdża na nim teren wzdłuż i wszerz. Czasami wraca przed północą lub jeszcze później. Jakby w tych wieczornych przejażdżkach szukał jakiejś pieprzonej ucieczki, choć nie mam pojęcia przed czym. Ma świetną rodzinę.

— Cóż... — Gerstaecker ściszył głos. — Może nie do końca. Może tylko tak się wam wydaje.

— Może. — Duggan kiwnął głową.

— Wiesz? — ciągnął Gerstaecker. — Najlepszą rodzinę miał Clinton. Nasz brat, Rodney, nie miał szczęścia w miłości, ale Cynthia, żona Clintona... — Milton westchnął. — To było chodzące dobro. Kochał ją jak nikogo na tym świecie. Kochali ją wszyscy w Green Doll. A teraz...

— To prawdziwa tragedia, Mill. Doceniam, że opowiedziałeś mi o tym. Dopiero teraz zrozumiałem w pełni, co go tak trapiło. — On ci nie powiedział?

— Nie. Uznał, że jeszcze nie czas na zwierzenia. Clinton był małomówny.

— Tak? — Milton roześmiał się mimo woli. — Nie uwierzysz, ale to ja uchodziłem w rodzinie za największego milczka. Cóż, czasami...

— Rozumiem. Czasami człowiek musi coś z siebie wyrzucić, wygadać się przed kimś.

— Dokładnie. W moim przypadku trafiło na ciebie. Byłeś kumplem

Clintoną.

— Niezupełnie. Byłem jego przyjacielem i nadal nim jestem.

— To nie za wielkie słowo? Wybacz, ale znaliście się tak krótko.

— Czasem tyle wystarczy.

— Wiem, chociaż zdarza się to niezmiernie rzadko. A co z tą kobietą, z Shannon Sullivan?

— Nie wiem. Wyglądało na to, że coś do niej poczuł, choć teraz, po tym, o czym mi opowiedziałeś, nie jestem pewien. Ale ona bez wątpienia czuła coś do niego. Widziałem jej oczy, kiedy na niego patrzyła. Wyglądało to tak, jakby nagle coś między nimi zaiskrzyło. Był u niej raz czy dwa. Także tamtej nocy przed burzą i swoim nagłym wyjazdem. Skoro twierdzisz, że następnego ranka odwiedził Beavera...

— Tak mi powiedział Elmer. Chyba nie zmyślał.

— Też tak sędzę. Wynika z tego, że poszedł do Joego zaraz po powrocie z miasta. Po powrocie od niej. Trochę to nielogiczne, ale wygląda na to, iż to ona mogła skierować go do Beavera.

— Siostra mordercy?

— Nie wiem. Nic z tego nie rozumiem. Wiesz, Mill, wydaje mi się, że zakochane kobiety są nieprzewidywalne.

— Trudny temat. — Gerstaecker pokręcił głową. — Muszę to jeszcze przemyśleć. Dzięki za jej adres. Cóż... — Odwrócił się w stronę Sheparda. — Czas na śniadanie i trochę snu. Dzięki za rozmowę i za wsparcie, którego udzieliłeś bratu. Dugg skinął w milczeniu głową. Uścisnęli sobie dłonie, po czym Milton ruszył w stronę domu.

— Mam nadzieję, że mu pomożesz! — usłyszał wołanie.

— Bądź spokojny! — odkrzyknął, nie odwracając głowy.

Po obfitym posiłku wziął prysznic i zamknął się w gościnnym pokoju, do którego zaprowadził go Aidan. Wyciągnął się na wygodnym łóżku i niemal natychmiast zapadł w sen.

Pięćdziesiąt jardów od wjazdu prowadzącego z szosy do rancha w leśnej przesiece stało srebrne bmw. Sanders odsunął siedzenie, odchylił oparcie i próbował się trochę przespać, przeklinając spartańskie warunki swojej misji. Nie był już młodzieńcem i mimo świetnej kondycji potrzebował trochę wygody. Niestety, co pewien czas budził go odgłos pojazdów zmierzających do Restburga lub do Ashland. Wreszcie upragniony sen skleił jego zmęczone powieki.

Kiedy się obudził, na dworze było ciemno. Spojrzał na GPS. Milton opuścił rancho i dojeżdżał właśnie do miasta. Sanders zaklął. Błyskawicznie ustawił fotel i uruchomił silnik. Ruszył ostro, skręcając w prawo. Po kilku minutach minął tablicę Restburga. Punkt na wyświetlaczu zlewał się niemal z jego własną pozycją. Gerstaecker musiał być tuż przed nim.

Skręcił śladem Milтона w jednokierunkową cichą przecznicę po lewej.

W oddali dostrzegł czerwone światła stopu zatrzymującej się cobry. Natychmiast zjechał pod krawężnik i wyłączył zapłon. W świetle ulicznych lamp widział wysoką sylwetkę szeryfa. Gerstaecker wszedł na teren jednej z niewielkich posesji. Najwidoczniej zamierzał złożyć wizytę jeszcze komuś. Sanders jęknął.

Wysiadł z samochodu. Ulica była pusta. Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta. Zamknął drzwi i przeszedł dwa kroki wąskim chodnikiem.

Raptem przystanął. — Szlag by to! — syknął, wracając do auta. Zapomniał o papierosach. Jeżeli Mill wpadł do kogoś na kolejne pogaduchy, fajki mogły się przydać. Otworzył drzwi bmw i sięgnął do schowka.

W tej chwili minęła go idąca pośpiesznie kobieta. Pozostał pochylony, wspierając się dłonią o siedzenie i obserwując przez szybę oddalającą się postać.

Drgnął. Kobieta weszła w tę samą furtkę, z której skorzystał Milton.

„Na nią czekasz, Mill?”, pomyślał Sanders. Nadstawił uszu. Kompletna cisza. Nic się nie działo. Odczekał jeszcze chwilę, zabrał papierosy, zamknął wóz i schował kluczyki do kieszeni. Zapalił i wydmuchując dym, ruszył spacerkiem wzdłuż ogrodowych parkanów w kierunku uspiionej posesji. Obserwował ulicę.

W wielu domach światła były już pogaszone. W niektórych szybach odbijała się sina poświata włączonych telewizorów. „Ale zadupie!”, pomyślał, podchodząc powoli do furtki. W oknach po prawej stronie drzwi paliło się przytłumione światło nocnej lampy. Sanders zerknął szybko w prawo i w lewo, po czym bezszelestnie wsunął się przez uchyloną furtkę.

Shannon weszła po stopniach werandy, szukając w torebce klucza. Wreszcie trafiła na znajomy, metalowy breloczek. Włożyła klucz w zamek, przekręciła i dopiero teraz kątem oka dostrzegła nagły ruch z lewej strony. Wysoki cień męskiej postaci podniósł się z ławeczki pod oknem.

Zanim zdążyła krzyknąć, wielka dłoń zakryła jej usta. Pchnięte kolanem drzwi otworzyły się na oścież. Silne ramię uniosło ją w górę. Sekunda, dwie i

byli już w środku. Trzasnęły drzwi.

— Spokojnie, moja droga. Chcę tylko porozmawiać. Nie próbuj krzyczeć, bo pożałujesz. Zrozumiałaś?

W poświacie ulicznych latarni, wpadającej przez okno, dostrzegła tuż przed oczami błyszczącą lufę rewolweru. Poczowała surową, specyficzną woń stali. Kiwnęła głową, czując, jak wiotczeją jej nogi. Nagle nadeszła ciemność — zupełna i głucha. Shannon zemdląła.

Odzyskała przytomność w fotelu, czując na twarzy, skroniach oraz szyi dotyk mokrej tkaniny. Otworzyła oczy. Napastnik odsunął się, siadając w fotelu naprzeciwko. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o ciemnych włosach i szarych oczach.

Sięgnęła po szklankę z wodą, stojącą przed nią na stoliku. Łyknęła kilka razy. Poczowała się nieco lepiej. Nocny gość nie wyglądał na rabusia ani gwałciciela. Siedział spokojnie, przypatrując się w milczeniu jej twarzy tymi szarymi... Boże! Widziała już te oczy. Widziała je zupełnie niedawno!

Poruszyła się nerwowo. Poczowała, że krew zaczyna pulsować w jej skroniach. Pierwsze słowa, które padły z jego ust, jeszcze bardziej podniosły jej ciśnienie.

— Jestem bratem Clintona, Shannon.

— Czego pan chce? — zdobyła się na odwagę zapytać.

— Odpowiedzi. — Szare, przenikliwe oczy nawet nie mrugnęły.

— Nie rozumiem.

— Owszem. Rozumiesz. Widzę to wyraźnie. Tylko kilka pytań i już mnie nie ma, zgoda? — Krzywy uśmieszek wąskich warg.

Kiwnęła głową, sięgając po szklankę. Ponownie zaschło jej w gardle.

— Czy to ty skierowałaś Clintona do tego całego Beavera?

— Ja — z trudem rozpoznała własny głos.

— Dlaczego? Wiesz, jak sędzę, kogo szuka mój brat?

— Wiem.

— I mimo wszystko?

— Źle zrobiłam. Nie powinnam się do tego mieszać.

— Mówisz: źle? Może tak, a może nie, droga Shannon. — Przybysz pochylił się nad stołem. — Interesuje mnie jedno. Czy po rozstaniu z Clintonem, jakie by ono nie było, powiedziałaś komukolwiek o tej rozmowie? Poczowała żar na policzkach. Pochyliła głowę. Chyba czytał w jej myślach, bowiem zadał już tylko jedno pytanie.

— Ostrzegłaś ich?

Nie odpowiedziała. Zabrakło jej sił. Spazmatycznie poruszyła ramionami.

— Dzięki, Shannon — usłyszała jego głos, tak bardzo przypominający głos tamtego. — Nie będę cię więcej niepokoił.

Cicho szcęknięły zamykane drzwi. Siedziała w bezruchu, wpatrując się tępych wzrokiem w szklankę z wodą. Była pewna, że poznał odpowiedź, która nie chciała jej przejść przez gardło. Poczowała się jeszcze gorzej niż zwykle.

Nagle uniosła głowę. Poprzez natłok natrętnych myśli dotarł do jej mózgu jakiś nieokreślony odgłos dochodzący z sypialni. Poderwała się na nogi. Poczowała kłujący ból w piersiach. Podchodząc do drzwi, z trudem wciągnęła powietrze. „Będzie, co ma być”, pomyślała, przekręcając gałkę.

Sypialnia była pusta. W otwartym oknie falowała firana. Shannon nie pamiętała, czy zamykała okno, wychodząc do pracy. W tej chwili nie była już pewna, czy cokolwiek słyszała. Może to nerwy dawały o sobie znać.

Sennym krokiem podeszła do łóżka, rzuciła się na posłanie, wtuliła twarz w poduszkę i rozpaczliwie załkała.

Ten pusty dom i samotna noc były czymś gorszym niż nagła śmierć. Tak jej się zdawało.

ŚNIADANIE W BRIGHT

Wijącą się wstęgą asfaltowej drogi, pośród ciemności bezksiężycowej nocy cobra Gerstaeckera i trzymające się kilka mil za nią bmw Sandersa podążały na południe, w stronę granicy z Wyomingiem.

„Znowu zapierdala, sukinkot!” Sanders gwizdnął, spoglądając na szybkościomierz. Nie miał nic przeciwko temu. Nadal lubił szybką jazdę i znał się na tym niemal tak dobrze jak na posługiwaniu się bronią.

Do Bright Milton wjechał krętym parowem — tą samą trasą, którą wybrał Clinton. Gerstaecker zamierzał zatrzymać się w śródmieściu i rozpoznać sytuację. Ktoś miejscowy na pewno mógł go pokierować do tego całego, pieprzonego Lonstone.

„Ciekawe, czy ta dziura ma w ogóle jakieś śródmieście?”, pomyślał, obserwując kolejne posesje, gęsto obsadzone owocowymi drzewami. Po kilku minutach jazdy przekonał się, że śródmieście istnieje.

Wjechał na niewielki brukowany plac, otaczający niski budynek ratusza. Zaparkował w jednej z zatoczek. Wysiadł z wozu i rozejrzał się dookoła.

Zwyczajny, codzienny ruch na ulicach. Spojrzał na zegarek. Minęła dziewiąta rano — najwyższa pora na śniadanie. Bez trudu znalazł niewielki bar, tuż przy rynku. Namalowany niezdarnie szyld informował że mają tutaj „najlepsze steki w okolicy”. Uśmiechnął się z politowaniem.

Kilka jardów od niego przejechał policyjny radiowóz. W chwilę po nim kolejny. Kiedy wchodził po sfatygowanych stopniach do przybytku „najlepszych steków”, jeszcze jeden policyjny wóz przejechał przez rynek.

„Trzy radiowozy w tym grajdole?”, zastanawiał się, otwierając przeszkłone drzwi. Czyżby cały budżet to niepozorne miasto przeznaczało na policję? Wątpliwe. Raczej wydarzyło się coś niezwykłego. Wołał nie myśleć co.

Rzucił okiem za oddalającym się radiowozem. Zdążył jeszcze zobaczyć emblemat policji z Rebellstone.

„A jednak!”, skrzywił się nieznacznie. „To nietutejsi. Coś więc musiało się stać”.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi i skierował się do wolnego stolika przy oknie. Stracił nagle apetyt na stek. Na cokolwiek. W tej chwili najchętniej napiłby się whisky. Nie musiał wysilać wyobraźni, by skojarzyć obecność sporej grupy policji z pobytem Clintona w tej dziurze. Milton nie wierzył w

przypadki.

Do stolika podeszła dziewczyna w firmowym fartuszk, niosąca kubek i dzbanek z gorącą kawą.

— Dzień dobry — usłyszał miły głos. — Zje pan coś? — Nie pytając, nalała kawę do kubka.

— Tak. — Położył kapelusz obok siebie. — Może kilka plastrów bekonu i dwa jajka.

— Oczywiście. Coś jeszcze?

— Owszem. Podwójną szkocką. Zerknęła na niego spod oka.

— Naturalnie. Bekon, jajka i podwójna szkocka. Już się robi. Odetchnął, kiedy odeszła od stolika. Dopiero teraz zauważył, że oprócz niego w małej salce nie było nikogo. Tak jak przypuszczał, przyniosła najpierw szklanę whisky. Uśmiechnął się do niej smętnie. — Dziękuję. Miałem ciężką noc.

— Oczywiście, proszę pana. Wszyscy mieliśmy ciężką noc. — Postawiła na stole talerzyk ze sztućcami. — Strażacy odjechali przed godziną.

— Strażacy?

— Yhm. W nocy spalono kościół na północnym wzgórzu. Nie widział pan? Pan chyba nietutejszy.

— Jestem przejazdem. Robota wandali? — rzucił od niechcienia. Zatrzymała się w pół kroku.

— Nie wiemy. Podobno zginął pastor. Najlepiej o tym nie mówić. Daleko pan jedzie?

— Och, tak. Nie jestem nawet na półmetku. Zatrzymałem się tylko na śniadanie.

— Życzę szerokiej drogi. Zaraz podam bekon. — Ani słowem nie skwitowała whiskacza, zamówionego przez podróżnego. To nie była jej sprawa.

Podeszła po kilku minutach, niosąc jajka i bekon. Postawiła przed nim talerz, zabrała pustą szklanę i życząc smacznego, wróciła na zaplecze. Zapach smażonego bekonu przypomniał Miltonowi o głodzie. Sięgnął po sztućce, po raz ostatni zerkając poprzez szerokie okno.

„Psia mać!”, zaklął w duchu. W polu widzenia ponownie pojawił się policyjny radiowóz. Popularny w tych stronach ford Crown Victoria. Tym razem nadjechał z północnej dzielnicy miasteczka. Zatrzymał się obok zaparkowanej cobry. Z radiowozu wysiadł policjant, podszedł do czarnego mustanga i zaczął go oglądać.

Milton rzucił na stół banknot, nałożył kapelusz i szybkim krokiem opuścił

lokal, odprowadzany zdziwionym wzrokiem kelnerki.

Przemierzył kilkanaście jardów placu i podszedł do auta, przy którym nadal tkwił policjant. Podchodząc, rzucił okiem na radiowóz.

„Niech to szlag!” Zacisnął wargi. Miał przed sobą wóz szeryfa Rebellstone. Obszedł cobrę i zatrzymał się przed stróżem prawa.

— Dzień dobry, szeryfie. Podoba się panu mój wóz? — Pański? — Szeryf obrzucił go uważnym wzrokiem.

— Mój. Coś nie gra? Źle zaparkowałem?

— Wszystko w porządku. Zastanawiałem się tylko, skąd nagle na tym zadupiu w ciągu dwóch dni pojawia się kolejne auto z rejestracją z Południa. Pan z Alabamy?

— Owszem. Mogę w czymś pomóc?

— Pomóc? Mnie? Dziękuję. Bardzo pan uprzejmy. — Na twarzy szeryfa pojawił się kpiący uśmiech. — Mógłbym obejrzeć pańskie dokumenty? — spoważniał.

— Na jakiej podstawie? Jestem o coś podejrzany? Popełniłem wykroczenie?

Szeryf poprawił kapelusz. Uśmiech znikł z jego twarzy.

— Miły panie. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin w tej spokojnej mieścinie spłonął kościół i zginęło kilka osób. To bardzo źle wpłynęło na moje samopoczucie. Pokaże mi pan dokumenty czy nie?

Milton rozluźnił napięte mięśnie. Postąpił krok w stronę szeryfa, uśmiechając się pod nosem.

— Długo zamierzasz rznąć twardego gliniarza, stary capie?

— Długo zamierzasz się stawiać, chudzielcu? Uścisnęli sobie dłonie.

— Jezu! Eugene, tyle lat!

— Fakt. Kawał czasu. Nie sądziłem, że mnie poznasz.

— Nie byłem pewien. Dopiero, kiedy zaczęłeś głądzić o swoim samopoczuciu. Clinton cię nie poznał? Tylko mi nie mów, że go nie spotkałeś. Nie stanąłeś przy moim wozie przypadkiem. Był tutaj, prawda?

— Był, a jakże. Niby skąd to całe zamieszanie? Zginął miejscowy szeryf, pastor i kilka innych osób. Mamy tutaj prawdziwe gównno. Nie uwierzysz, ale w tej cichej pipidówie egzystowała sekta zwyrodniałych skurwysynów. Przez cały czas dokonujemy aresztowań. Dranie żarli ludzi.

— Co takiego?! Żartujesz. — A wyglądam na żartownisia?

— To sprawa dla FBI.

— Jaka sprawa? Już po sprawie! Załatwiliśmy to na miejscu.

— A Clinton? Co z nim?

— Nic. Wdepnął w sam środek tego gówna. Rozwalił szeryfa i pastora. Żałuj chudzielcu, że ich nie widziałeś. Rozpieprzył jeszcze kilku wyznawców tego pierdolonego Kościoła, którego świątynia się zjarała. Nawet nie pytaj, kto podłożył ogień. Szczerze mówiąc, gdybym mógł, sam rozpiepdoliłbym tych sukinsynów, ale twój braciszek nie dał mi szans. Zostawił mi jedynie papierkową robotę.

— Chyba go nie aresztowałeś?

— Powinienem. Nikt nie ma prawa bawić się w Boga, ale uznałem to za szczególną okoliczność. Zwłaszcza że w większości przypadków działał w obronie własnej i innych. Mam zeznania na piśmie kilku ofiar przeznaczonych na rzeź.

— Niezła historia. Nie zazdroszczę ci.

— Fakt. Nie ma czego. Choć w sumie stało się dobrze. Mamy to prawie poza sobą. Wiesz, co jest najpaskudniejsze w tym wszystkim?

— Powiedz.

— Aresztowanie kobiet. Tych kurew, które smażyły i gotowały potrawy z ludzkiego mięsa. Bo „tak nauczał wielebny pastor”. Mill! Banda pieprzonych bestii! W moim rejonie! Kurwa! Za co mnie Bóg pokarał? — Po chwili szeryf się uspokoił. — Wiesz, co? Kiedy zobaczyłem Clintona, poznałem go niemal od razu. Może dlatego, że mijalem jego wóz z rejestracją Kentucky. On mnie nie poznał. Musiałem pokazać mu moją łysinkę. Kiedy podchodziliśmy, ja i mój człowiek, Clint siedział sobie na stopniach kościoła niczym znudzony chłopak. W dłoni trzymał czterdziestkę piątkę i kiwał sobie tą cholerną, długą lufą. To była broń waszego ojca. Wtedy miałem już pewność, kogo widzę przed sobą, i zrozumiałem, że jest już po wszystkim. Miałem rację. Zaprowadził mnie na plebanię. Powiem ci, że nie wiedziałem, czy cieszyć się, czy... sam nie wiem co. Pamiętam kapelusz tego skurwysyna, szeryfa Morgana, wbity w okienną szybę i górę krwawych flaków wypływających spomiędzy ostatnich guzików sutanny „wielebnego pastora”. Niektóre jeszcze pulsowały. Twój brat nie oszczędzał amunicji. Potem pokazał mi kościół. Była tam cała masa doniczek z kwiatami. Wiesz, z czego robili doniczki? Z czaszek ofiar. Fajne, nie? Hej! Zrobiłeś się blady. Źle się czujesz? W porządku. Dam ci spokój. — Tromp uśmiechnął się niewyraźnie. — Za dużo by gadać, Mill. Wolałbym wspominać stare, dobre czasy. Może innym razem. Pytałeś o Clinta? Wyjechał. Wspomniał, że szuka kogoś, ale źle trafił. Pojechał na południe, do Cheyenne. Stamtąd miał jechać dalej.

Nie pytałem dokąd. Nie moja sprawa.

— Rozumiem. Dzięki, Eugene! Wiesz, że Clinton zrezygnował ze służby?

— Powiedział mi. Powiedział, jak do tego doszło. Współczuję mu, Mill. Współczuję waszej rodzinie. Obawiam się, że to nie koniec jego kłopotów, choć niczego nie powiedział mi wprost. Może to i lepiej. Jedziesz za nim?

Gerstaecker pokiwał głową w milczeniu.

— A ty, Mill? — Tromp spojrział Miltonowi w oczy — Nadal jesteś szeryfem?

— Nadal.

— To dobrze. Może coś zrobisz w jego sprawie?

— Postaram się. Dlatego tu jestem.

— Tak myślałem. Powodzenia, stary! Ma nad tobą kilka godzin przewagi. Mam nadzieję, że wszystko wam się jakoś ułoży. I nie chlej w czasie jazdy. Na milę jedzie od ciebie szkocką. Wiem, wiem, jeden mały drink. Bywaj, Mill! Mam od cholery roboty.

Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie. Kiedy Gerstaecker ruszał z parkingu, radiowozu szeryfa nie było już w zasięgu wzroku.

W KRAINIE SAGUARO

Milton Gerstaecker minął Douglas. Nareszcie znalazł się na głównej trasie. Międzystanowa numer 25 prowadziła z Buffalo w Wyomingu aż do Las Cruces, leżącego niecałe pięćdziesiąt mil od granicy z Meksykiem. Odetchnął z ulgą i przyspieszył. Minął Cheyenne, a niedługo potem granicę Kolorado. Wiedział, że nie dojedzie dzisiaj daleko. Coraz silniej dawały o sobie znać zmęczenie i głód.

Wczesnym popołudniem zajechał na parking motelu stojącego przy autostradzie. Po drodze minął Denver i zaledwie około dziesięciu mil dzieliło go od Colorado Springs. Do tej pory nie zatrzymał się ani razu. Do postoju skłoniła go widoczna obok motelu stacja paliw. Poza tym ciągnął już resztką sił. Potrzebował solidnego posiłku, a nade wszystko długiego, spokojnego snu.

Wysiadając z wozu, zabrał ze sobą laptop. Musiał ustalić dalszą trasę. Zamierzał to zrobić zaraz po obiedzie. W bazie danych miał szczegółowe, policyjne mapy. Potrzebował chwili wolnego czasu, żeby wyznaczyć najkrótszą drogę do West Apache. Pocieszała go myśl, że Clinton także potrzebuje odpoczynku.

Wiedział jedno. Odnalezienie brata gdzieś na autostradzie graniczyło z cudem. Mógł oczywiście próbować się dodzwonić, ale miał pewność, że to niczego nie zmieni. Nie był w stanie zatrzymać Clintona. Wiedział, że nie ma szans. Jedyną logiczną rzeczą, której mógł spróbować, było dotarcie do celu przed bratem. Tak właśnie zamierzał uczynić, toteż zaraz po przyzwoitym obiedzie zamknął się w pokoju i zaczął analizować trasę.

Wybrał najprostsza. Nie opuszczając dwudziestki piątki, musiał minąć Pueblo, Santa Fe i Albuquerque w Nowym Meksyku. W Las Cruces należało odbić w prawo na międzystanową dziesiątkę, prowadzącą z nadgranicznego El Paso do Tucson w Arizonie. Po minięciu Dragoon, tuż przed mostem nad St. Pedro River, trzeba było jeszcze raz skrócić w prawo, drogą na Pomerene i Rednington. West Apache leżało mniej więcej w połowie tego nadrzecznego szlaku.

Trasa, którą nakreślił Milton, nie była najkrótsza, ale — bez wątpienia — najprostsza. Tylko dwie autostrady. Można było porządnie „pociągnąć”.

Do Colorado Springs miał dwa kroki. Stamtąd do Las Cruces było pięćset dziewięćdziesiąt dziewięć mil. Jadąc z dozwoloną prędkością, mógł przebyć

ten dystans w dziewięć godzin z kawałkiem. Pozostawał jeszcze odcinek międzystanowej dziesiątki. Oceniał ten etap na jakieś trzy godziny. Chcąc stanąć na miejscu przed wieczorem, musiał wyjechać wcześniej rano.

Zadowolony z siebie, wziął prysznic i nastawił budzik ręcznego zegarka na piątą. Chciał wyruszyć jak najwcześniej.

Z przyjemnością położył się na czystej, chłodnej pościeli. Dwie minuty później spał głębokim snem, podobnie jak jego „anioł stróż”, który zatrzymał się nieco dalej, w zajeździe na przedmieściach Colorado Springs.

Clinton Gerstaecker wstał wczesnym rankiem. Przespał blisko dwanaście godzin, ale nie było to zbyt wiele, zważywszy wszystko, przez co ostatnio przeszedł. Przeciągnął się leniwie i usiadł na łóżku. Spojrzał w okno. Niebo przypominało fantazyjną akwarelę. Zapowiadał się pogodny dzień. „Dzisiaj jest dobry dzień, by umrzeć” — przypomniał sobie powiedzenie Indian Dakota. Wywołało nieznaczny uśmiech na jego twarzy. Może i był to odpowiedni dzień, ale on nie wybierał się w ostatnią drogę. Nie mógł wykluczyć tej ewentualności, ale miał nadzieję, że w najgorszym przypadku zabierze ze sobą towarzystwo. Bliskość śmierci towarzyszyła mu przez większość życia. Stała się czymś niemal naturalnym.

Wziął gorący prysznic, ubrał się i zszedł na śniadanie. Zjadł spokojnie i wypił dwa kubki gorącej kawy. Nie musiał się spieszyć. Zaledwie kilkanaście mil dzieliło go od Santa Fe. Całą trasę miał starannie opracowaną. Po śniadaniu spakował torbę, zapłacił rachunek i wsiadł do wozu. Ruszył z miejsca, skręcając na wyjątkowo długą dojazdówkę.

Zatrzymał się pięć mil dalej, na stacji paliw. Zatankował do pełna.

— To bydle nie spała, tylko chleje — mruknął, płacąc przy okienku.

— Może pora na przegląd? — Szpakowaty mężczyzna uśmiechnął się pod nosem.

— Już to zrobiłem.

„Może dlatego tyle żre”, chciał powiedzieć pompierz, ale spojrzał na klienta i zrezygnował. Podsunął resztę na skraj parapetu.

— Szerokiej drogi! — powiedział głośno.

— Dzięki. — Clinton zgarnął garść dziesiątaków. — Daleko do Santa Fe?

— Cztery mile z kawałkiem.

— Dzięki — powtórzył Clinton. Wrócił do wozu, usiadł za kierownicą, zapiał pas i wyjechał na autostradę. Słońce wznosiło się coraz wyżej. Sięgnął

do schowka i wydobyl ciemne okulary.

Sześćdziesiąt parę mil pomiędzy Santa Fe a Albuquerque przebył w niecałą godzinę. Dochodziła dziewiąta. Zjechał z autostrady i zatrzymał się na przedmieściach, przy jednym z meksykańskich barów. Doszedł do wniosku, że pora na drugie śniadanie. Nie miał pojęcia, kiedy zje cokolwiek następnym razem. Poza tym lubił meksykańską kuchnię. Zamówił wieprzowe żeberka w ostrym sosie chili, z domieszką oregano. Do tego świeży chleb kukurydziany. W jego sytuacji „napychanie” żołądka nie było wskazane, ale miał to wszystko gdzieś. „Będzie, co ma być”, pomyślał, ogryzając spore żeberko. Poczul w nosie wilgoć, spowodowaną ostrym jak piekło sosem.

Postanowił sobie jedno. Jeżeli w tym pieprzonym West Apache nie znajdzie bladego Franca, nie ruszy się stamtąd, dopóki nie otrzyma pewnej, stuprocentowej informacji — gdzie i kiedy może znaleźć mordercę Cynthii. Nie zamierzał dłużej uganiać się po kraju w pogoni za iluzorycznym celem.

Skończył posiłek, zapłacił i wyszedł na parking. Sięgnął do kieszeni po papierosy i zapalił. Oparł się o maskę dodge'a i skierował zamyślony wzrok na południowy zachód. Gdzieś w oddali czekała na niego arizońska wiocha, z której pochodził Frank — „miły” Franco o bladej cerze, z czarnymi, ulizanymi włosami i meksykańskim wąsikiem. Cyniczny, pierdolony makaroniarz udający macho! Twarz Clintona skurczyła się niczym pysk wściekłego psa. Intuicja podpowiadała mu, że tym razem będzie miał więcej szczęścia niż w Wyomingu. Taką żywił nadzieję.

Wciągnął nozdrzami suche, pustynne powietrze. Miejsce, ku któremu zmierzał, leżało na skraju olbrzymiej pustyni Sonora — wielkiego jałowego obszaru, o powierzchni przeszło dwunastu tysięcy mil kwadratowych. Clinton nie był znawcą geografii, ale nawet tutaj, w Albuquerque, czulo się zmianę klimatu — swoistą aurę pustynnych terenów, magmowych skał i skąpej roślinności. Przed samotnym wędrowcem otwierał się przedziwny świat — kraj, poprzecinany wstęgami wzniesień i dolin, ciągnących się z północy na południe, kraj rwących potoków i karłowatej roślinności, kraj jaszczurek i grzechotników oraz roślin stanowiących rekwizyt niezliczonej ilości westernów. Kraina monumentalnych, długowiecznych kaktusów saguaro. Po wschodniej i zachodniej stronie Tucson rozciągały się, liczące blisko sto czterdzieści trzy mile kwadratowe, tereny jedyne w swoim rodzaju Saguaro National Park. Na jego wschodnich obrzeżach toczyła swój nurt St. Pedro River, a właśnie tam — na jej wschodnim brzegu — leżało

zapomniane przez Boga West Apache.

Podmuch pustynnego wiatru podniósł z parkingu tuman ostrego piasku.

Gerstaecker przymknął powieki, chroniąc oczy przed kłującym uderzeniem drobinek piaszczystego pyłu. Ostatni raz zaciągnął się papierosem. Przydeptał obcasem niedopałek i otworzył drzwi dodge'a.

„Pora”, pomyślał, siadając za kierownicę. Sięgnął po przeciwsłoneczne okulary, zaciągnął pas i zatrzasnął drzwiczki. Potężny silnik zamruczał basem. Wóz ruszył powoli, kierując się na dojazdówkę autostrady.

Clinton nie zamierzał jechać przez Las Cruces. Namierzył spory skrót, wiodący siecią lokalnych szos z Socorro do Lordsburga. Kilka mil za Lordsburgiem należało wjechać na międzystanową numer 10. Zjazd na Pomerene i pieprzone West Apache znajdował się niecałe dziewięćdziesiąt mil na zachód.

Po mniej więcej godzinie jazdy Clinton spostrzegł tablicę informującą o zjeździe. Westchnął z ulgą. Nie wiedzieć czemu, nie lubił autostrad. Nużyły go swoim komfortem, niekończącymi się liniami pasów i monotonią szarej nawierzchni. Cieszył się, że ma to już za sobą. Z przyjemnością zerknął w prawo, w kierunku majaczących na widnokręgu niewysokich krawędzi górskiego pasma.

Dochodziło południe. Jechał spokojnie, zatopiony w myślach. Daleko poza sobą pozostawił Socorro, którego nawet nie zobaczył. Widok przesłaniały spore wzniesienia. Było ich coraz więcej. Odległe pasmo karłowatych szczytów zbliżyło się na odległość kilku mil, tworząc coś w rodzaju płytkiej przełęczy — szerokich wrót do krainy saguaro. Gerstaecker poprawił na nosie okulary. Dziękował Bogu za klimatyzację. Pomimo jesieni na dworze panowała spiekota. Tylko raz uchylił szybę i zamknął ją natychmiast, czując na twarzy nieprzyjemny, suchy podmuch.

Minął leżący za wzniesieniami kanion Gila River. Przebył już połowę krętej trasy pomiędzy Socorro a Lordsburgiem. Przez ten czas napotkał jedynie dwie miejscowości. Niewielkie wioski w meksykańskim stylu, z białymi, wapiennymi ścianami niskich budynków i nieodzownymi wieżyczkami kościołów. Wyglądały niczym wymarłe.

„Pora sjeść”, pomyślał. Jedynymi żywymi istotami, które udało mu się dostrzec, była para osłów, zaprzęgnięta do małej dwukółki stojącej przy drewnianym ogrodzeniu jednego z zabudowań.

Chwilami zastanawiał się, czy nie zabłądził. Krajobraz stanowiło zupełnie pustkowie, absolutnie niepasujące do w miarę dobrej nawierzchni drogi.

Dochodziła pierwsza po południu, kiedy dostrzegł przed sobą tablicę. Do Lordsburga pozostało dziesięć mil. Jak gdyby na zawołanie z przeciwnej strony nadjechała stara furgonetka, a tuż za nią — srebrzysty, nowoczesny autokar linii Greyhound. Clinton uśmiechnął się do siebie. Od razu poczuł się lepiej. Przez ostatni kwadrans trapiły go wątpliwości, czy wybrał właściwą trasę.

Dwadzieścia minut później wjechał na obwodnicę Lordsburga, kierując się w stronę pobliskiej autostrady. Na widok tablic informacyjnych poczuł przyspieszone bicie serca. Był coraz bliżej celu.

Odcinek pomiędzy Lordsburgiem a zjazdem na Pomerene przejechał jak w transie, choć ruch był spory. Myśli Clintona wybiegły naprzód. Jadąc pośród mknących aut i wielkich ciężarówek, zastanawiał się, jak powinien rozegrać ewentualne spotkanie. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że tym razem znalazł się we właściwym czasie na właściwym miejscu, ale że być może nie będzie lekko. Podobne przecucia nękały Milтона, który trzy mile przed Las Cruces zjechał z autostrady, kierując się w stronę miasta. Był to najkrótszy dojazd do międzystanowej numer 10. W tym samym czasie, jadąc tą samą trasą, dwaj bracia Gerstaecker zmierzali w stronę zapadłej dziury, która jeszcze przed wieczorem miała stać się teatrem dramatycznych wydarzeń, jakich żaden z nich nie mógł przewidzieć.

Dochodziła trzecia po południu, kiedy Clinton zatrzymał samochód. Stał przy ruinach jakiejś katolickiej misji z czasów hiszpańskich lub meksykańskich. Wapienne mury, częściowo zasypane piachem, porastały dzikie kłaczka o brunatnych, poskręcanych liściach. Ponad zwaliskiem gruzu górowały szczątki łukowej bramy, zwieńczone zmurszałym krzyżem. Niespełna milę dalej, po lewej stronie, pomiędzy jednopasmową drogą a rzeką, widniały zabudowania West Apache. Ku własnemu zdziwieniu Gerstaecker stwierdził, że miejscowość jest większa niż przypuszczał, w każdym razie — dość rozległa. Zajmowała całą przestrzeń pomiędzy drogą a brzegiem St. Pedro River.

W kilku miejscach, na obrzeżach miasteczka, a także pomiędzy domami, rosły spore kępy sosny żółtej — jednej z nielicznych odmian drzew porastających południowe terytorium Arizony. Clinton uśmiechnął się na ich

widok. Wcale nie były żółte, przeciwnie — ciemnozielone. Poznał je jedynie po wyjątkowo długich igłach, widocznych nawet ze sporej odległości. Mówiąc szczerze, miał nadzieję, że znajdzie się tu trochę drzew. Nie przepadał za walką na otwartym polu.

Zerknął w lewo. Na przeciwległym brzegu rzeki ujrzał symbol tych stron — olbrzymie, kandelabrowe sylwetki kaktusów.

— Saguaro — szepnął, oczarowany ich widokiem nawet w takiej chwili jak ta. Odwrócił urzeczony wzrok i spojrzął przed siebie.

W pomarańczowej poświacie popołudniowego słońca można było zauważyć ruch pomiędzy domami. Nie pasowało to do obrazu, jaki zbudował w wyobraźni, ale było mu bardzo na rękę. W dużym stopniu ułatwiało zadanie. Wysiadł z wozu, obejrzał się za siebie i otworzył bagażnik. Bez pośpiechu przeniósł cały arsenał do kabiny. Musiał mieć broń oraz amunicję pod ręką. Czterdziestkę piątkę i pas z nabojami zapiął na biodrach, shotgun wsunął pod prawe przednie siedzenie, a M16 ułożył na podłodze za oparciami przednich foteli. Torbę z magazynkami upchnął obok karabinu. Kiedy uporął się z rynsztunkiem, zatrzasnął tylne drzwi oraz klapę bagażnika. Obszedł wóz i ulżył swojemu pęcherzowi. Zaciągnął suwak džinsów, oparł się plecami o dach dodge'a, po czym wyjął papierosy. Zapalił, obserwując zabudowania i rozkoszując się wonnym dymem. Wreszcie spojrzął na niebo. Słoneczna tarcza nabierała krwistych rumieńców. Gerstaecker zerknął na zegarek. Minęło w pół do czwartej. Zdjął okulary i umieścił je w schowku. Jeszcze raz spojrzął w kierunku miasteczka. Szare oczy zalśniły zimnym blaskiem. Krótkim ruchem odrzucił niedopałek na ziemię i wsiadł do wozu. Włączył zapłon i nie zapinając pasa, powoli zjechał z szosy na krótki odcinek gruntowej drogi prowadzącej w kierunku miasteczka.

— Będzie, co ma być — wymruczał swoje ulubione powiedzonko. Poczul w ciele ciepły prąd — przyływ adrenaliny. Auto minęło pierwsze domy.

„Ta pieprzona droga to chyba główna ulica do centrum, jeżeli to coś ma jakiegokolwiek centrum”, pomyślał. Uważnie rozglądał się dookoła, wypatrując celu, ku któremu zmierzał.

— Jest! — odetchnął z ulgą na widok skromnego kościółka z drewnianą wieżą. Tego właśnie szukał. Jadąc w stronę rynku, minął sporą liczbę mieszkańców, ale nie zamierzał nikogo pytać o drogę, zwłaszcza że większość przechodniów stanowili Meksykanie. Nie ufał Meksom. Miał nadzieję, że miejscowy proboszcz okaże się osobą bardziej cywilizowaną niż

poprzedni „duchowny”, z którym miał do czynienia. Zgodnie z oczekiwaniami w bezpośrednim sąsiedztwie kościoła dostrzegł mały budynek, na którego frontonie widniał czarny krzyż, kontrastujący z białą ścianą. Zatoczył wozem szerokie półkole, podjeżdżając pod drzwi plebani. Pomiedzy domem proboszcza a świątynią rosło kilka sporych sosen. Reszta niewielkiego placu otaczającego kościół była pozbawiona jakiegokolwiek roślinności.

Gerstaecker wyłączył zapłon. Siedział jeszcze przez chwilę za kierownicą, obserwując otoczenie. Widział już w życiu podobne dziury.

Niemal wszystkie, jednolub dwukondygnacyjne, budynki pomalowano na biało bądź wzniesiono z szarego kamienia. W kilku miejscach dostrzegł prymitywne werandy. Po drugiej stronie placu, na wprost kościoła, tkwiła niewielka tawerna, z której dobiegały dźwięki gitary i akordeonu.

Kilku ulicznych przechodniów przystało na chwilę, żeby przyjrzeć się jakiemuś gringo, który zajechał do ich proboszcza. Prawą stroną placu przejechał pick-up wiozący grupę hałaśliwej młodzieży. W chwilę po nim przemknął kolejny. W pobliżu tawerny stał zaparkowany niebieski, dość dobrze utrzymany ford. Kilka jardów za nim jakiś miejscowy macho grzebał pod maską zniszczonej impali. Więcej aut nie było w polu widzenia.

Clinton wysiadł i zamknął wóz. Obszedł maskę i ruszył do drzwi plebani. Właśnie w tej chwili ukazał się w nich miejscowy *padre*. Gerstaecker odetchnął na jego widok. Proboszcz był biały. Czarna, przyciasna sutanna opinała jego wydatny brzusek. Czerwonawa cera twarzy kontrastowała z mleczną siwizną długich włosów i koloratką pod szyją. Był znacznie starszy od Clintona — przynajmniej na takiego wyglądał. Uśmiechnął się szeroko na widok przybysza.

— Witam zacnego gościa! — Miał miękki, przyjemny głos. — Skąd Bóg prowadzi?

— Z daleka, ojcie, z bardzo daleka. — Gerstaecker odwzajemnił uśmiech, zdejmując kapelusz.

— Pan do mnie?

— Poniekąd, ojcie. Mógłbym prosić o chwilę rozmowy? — Ależ naturalnie! Proszę do środka. Słoneczko trochę dzisiaj przypieka. Napije się pan czegoś chłodnego? — Proboszcz zapraszającym ruchem wskazał drzwi.

— Bardzo chętnie, skoro ksiądz tak uprzejmy, ale uprzedzam: nie jestem katolikiem.

— A cóż to ma za znaczenie? Każdy gość jest posłańcem Pana, bowiem

przybywa z Jego woli.

„Strasznie ksiądz wygadany” — omal nie wypalił Clinton, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Potrzebował pomocy tego duchownego. Bardziej niż czegokolwiek w tej chwili.

Sień plebani była przestronna i chłodna. Gerstaecker podążył za kapłanem, prowadzącym go w głąb domu. Minęli jedne drzwi, po nich kolejne.

— Tutaj, proszę. — Proboszcz wprowadził Clintona do pokoju po prawej stronie holu. Najwidoczniej był to salon — wskazywały na to wypoczynkowe meble, których istnienia w tym grajdole Gerstaecker nigdy by się nie domyślił. Spojrzał na skórzaną tapicerkę, na gustowną biblioteczkę z orzechowego drewna i na ogromne okno, za którym kołysały się włochate cienie żółtych sosen. Na błyszczących deskach mahoniowej podłogi leżał wielki, kosmaty dywan, utkany z wełny alpaki. Zachwycał żywymi kolorami — niewątpliwie dzieło Indianek z plemienia Nawaho, słynących ze swojej sztuki.

— Siadaj, drogi gościu. — Ksiądz podszedł do sporego barku. Zabrzęczało szkło stawiane na marmurowym blacie. — Poczęstuję pana miejscową nalewką. Jest doskonała na upały i na chłód. — Z kryształowej karafki ksiądz napełnił dwie wysokie szklanki. Podszedł do stołu. Jedną ze szklanek postawił przed Gerstaeckerem, który usadowił się na wygodnej kanapie. Proboszcz zajął miejsce naprzeciwko. — Nie dosłyszałem pańskiego nazwiska. — Po raz kolejny uśmiechnął się życzliwie. — Bardzo przepraszam. Nie przedstawiłem się. To z tego wrażenia. — Clinton uniósł się nieco. — Jestem Harvey Morgan. Dla przyjaciół po prostu Harvey.

— Bardzo mi miło. Mogę mówić do ciebie Harvey?

— Jasne. Bardzo proszę.

— Świetnie. Napij się, Harvey. Zobaczysz, jak ta nalewka gasi pragnienie.

Clinton skinął głową i pociągnął głęboki łyk napoju. Zaszumiało mu w uszach. „Jasna dupa! Co to za draństwo?” Załzawionymi oczami spojrzał na proboszcza. Duchowny zdążył już opróżnić połowę swojej szklanki.

— Czy to czasem nie pulque, ojczy? — zapytał ostrożnie Clinton.

— Skąd ci to przyszło do głowy, Harvey? Prowadzisz auto. Nie podałbym ci czegoś takiego. To lekkie wino, które miejscowi pędzą z kaktusa saguaro. Prawda, że niezłe?

— Ekstra! — Clinton robił wszystko, by zachować przyjazne stosunki z księdzem. Doskonale wiedział, o co toczy się gra. Umoczył usta w napoju z kaktusa. — Naprawdę doskonale — pochwalił.

— Ja też tak uważam. — Rumiana twarz proboszcza poczerwieniała. — Co cię do nas sprowadza, Harvey? Szukasz pracy, domu czy rodziny? Wiesz, wędrowcy tacy jak ty zazwyczaj czegoś szukają. Myślę, że te ich tak zwane poszukiwania są rodzajem ucieczki przed niepowodzeniami przeszłości. A jak jest z tobą?

— Nieco inaczej, choć podobnie. Szukam przyjaciół. Zna ojciec rodzinę Kelly?

— Masz na myśli Marię Kelly i jej syna Franco?

— Właśnie o nich mówię. Dostałem od Franka wiadomość, że siedzi teraz na koszt matki w West Apache. Pewnie uważał to za żart, ojczcie, ale postanowiłem sprawdzić. Jestem mu winien ogromną wdzięczność za to, co zrobił dla mnie i dla mojej żony. Jeszcze wtedy, gdy pracował w Montanie.

— Franco w Montanie? Nigdy mi nie wspomniał. — To stare dzieje, ojczcie. Może zapomniał.

— Ty, Harvey, nie zapomniałeś. To wielka cnota. — Proboszcz uraczył się kolejną porcją kaktusowego wina. Odstawił na stół pustą szklanę. — Moja skromna parafia składa się z wielu grup etnicznych. Włosi, Meksykanie, Irlandczycy, sam wiesz. Łączy ich wspólna wiara. Czyż to nie piękne?

— Bez wątplenia, ojczcie.

— Jakiego jesteś wyznania, Harvey?

— Jestem baptystą. Nie przeszkadza to ojcu?

— Skądże! Wszyscy jesteśmy dziećmi Boga. Napijesz się jeszcze?

— Dziękuję. Ugasiłem pragnienie. Świetny napój.

— Prawda? Cóż, niewiele mogę powiedzieć ci o Francu. Ten młody człowiek często wyjeżdża. To mała miejscina, Harvey. Większość mężczyzn każdego dnia dojeżdża do Pomerene, żeby zarobić na chleb. Niektórzy pracują nawet w Tucson.

— To daleko, ojczcie.

— Nie dla wszystkich. Bywałeś w życiu głodny?

— Zdarzało się — skłamał Clinton.

— Zatem rozumiesz, co mam na myśli. Wiesz, wzdłuż rzeki, na północ, znajdują się uprawne pola. Niemal każda rodzina ma tam kawałek gruntu. Uprawiają kukurydzę, trochę cytrusów, a niektórzy bawełnę. Przy

ograniczonej wielkości areału trudno się z tego utrzymać. Hodują także świnie, ale tylko na własny użytek. Włosi, zaledwie dwanaście rodzin, pracują w Redington i w Pomerene. Tworzą małą, ale zwartą społeczność. Są wiernymi parafianami. Maria Kelly także się do nich zalicza. Po śmierci jej męża odsunęła się od Irlandczyków. Ojciec Franca nadmiernie popijał. Wiesz, co mam na myśli?

— Wiem. Rozumiem panią Kelly. Frank trochę mi opowiadał. Jak ona się miewa?

— Daje sobie radę. To energiczna kobieta. Dwa lata temu kupiła gospodarstwo Bena Stillmana. Tuż za miastem. Ma kilkadziesiąt akrów słabej ziemi, ale nie narzeka. Franco pomaga jej oraz trzem młodszym braciom.

— Ciekawe. Nigdy nie wspomniał mi o braciach.

— Może nie chciał. Są znacznie młodsi od niego. Rene ma coś około trzydziestki, a Stan i Peter są młodsi o rok. To bliźniacy — wyjaśnił ksiądz, podnosząc się z fotela. Podszedł do barku i ponownie napełnił swoją szklankę. Clinton spojrzał w okno. Słońce robiło się coraz bardziej czerwone. Zaczynał odczuwać zniecierpliwienie. Proboszcz powrócił na swoje miejsce, wypijając po drodze połowę zawartości szklanki. — Wiesz, Harvey? Podziwiam Marię. Zapłaciła za farmę gotówką. Przez całe życie musiała ciuć cent do centa, mimo nałogu męża. Trochę pomógł jej Franco. Tam, na Północy musi nieźle zarabiać. Zaskoczyłeś mnie, synu, wieścią, że przebywa na garnuszku matki. To mi do niego nie pasuje. Nie przeczę, rzadko bywa w kościele, ale trochę go znam. To ambitny mężczyzna. Może chciał sobie z ciebie zakpić? Sam go zapytasz. Jest teraz w mieście. Widziałem go nie dalej niż wczoraj. Pomieszkuje z matką, ale stać go na drugie, własne mieszkanie. Na północ od kościoła, w Little Town. Miejscowi nazywają tak dzielnicę Meksykanów i Metysów. Pewnie wiesz, że Franco ma słabość do Meksykanów. Nosi się jak oni i lubi ich towarzystwo. Jest najważniejszą osobą w dzielnicy. Może dlatego, że ma pieniądze i pomaga sąsiadom. To wielka cnota. Łatwo go znajdziesz. Jedyne budynki z werandą. Franco może być w swoim mieszkaniu albo u matki. Co prawda Maria od dwóch dni siedzi u swojego brata w Redington, ale jej chłopcy są w domu. To trzy mile na północ, może trochę więcej, naprzeciw kukurydzianych pól. Wystarczy minąć ruiny puebla Hopi. Tuż za nimi jest droga w prawo. Jakaś milę za Wzgórzem Mamuciej Skały... miejscowi nazywają je po prostu mamucim wzgórzem... mieszka rodzina Kellych. Wzgórze objedziesz prawą stroną. Nie

sposób zabłądzić. Może jednak szklaneczkę?

— Dziękuję księdzu. — Clinton podniósł się z kanapy. — Robi się późno. — Prawda. Minęła sjesta. Zaraz zaczną zjeżdżać z Pomerene i Rednington. Powodzenia, Harvey. Miły z ciebie człowiek. Wspomnę o tobie w modlitwie.

— Będę wdzięczny. Przepraszam za zajęty czas. — Clinton skierował się do wyjścia, odprowadzany przez miejscowego duszpasterza, trzymającego w dłoni szklankę z resztką „chłodzącego napoju”.

Wsiadając za kierownicę dodge’a, Clinton jeszcze raz zerknął na słońce. Wielka, czerwona tarcza opuszczała się coraz niżej. Spojrzał na zegarek. Była za kwadrans piąta.

— Jasna cholera! — zaklął. Zatrzasnął drzwi i włączył zapłon. Ruszył powoli, kierując się w ponury zaułek za kościołem, odprowadzany mętным wzrokiem proboszcza. Wjechał w wąską brukowaną uliczkę, zanurzając się w cień panujący pomiędzy miejscowymi ruderami.

Czuł mocne uderzenia tętna. Udało się! Frank był w mieście. Przez moment przed szybą samochodu zamajaczyły kochane oczy Cynthii.

— Jezu! — Potrząsnął głową. Wysiłkiem woli opanował emocje. Mijał kolejne przecznice. Nigdy by nie przypuszczał, że West Apache jest tak rozległe.

Wreszcie w oddali zobaczył sporą drewnianą werandę. Znajdowała się kilkadziesiąt jardów za kolejnym skrzyżowaniem. Bez namysłu skręcił w prawo. Przejechał jeszcze kilka jardów i zatrzymał wóz. Otworzył drzwi i wysunął nogę na zewnątrz. Oparł się wygodnie, sięgając po papierosa. Cicho trzasnęła zapalniczka. Błękitny dym marlboro wypełnił kabinę.

Boże! Więc to już! Wybiła godzina! Nadchodził czas zachodzącego słońca. Czas mroku i śmierci. Godzina prawdy.

Papieros rozjarzył się jaskrawą czerwienią. Wszystko, ku czemu zmierzał Clinton Gerstaecker, czekało za rogiem.

— Godzina prawdy — powtórzył szeptem. — Jestem, mój drogi Franco. Jestem. Pchnął łydką drzwi dodge’a. Otworzyły się na całą szerokość. Rzucił na omszały bruk niedopałek i wyciągnął z paczki kolejnego papierosa. Zapalił, rozkoszując się dymem.

„Nikt nie mówił, że będzie lekko”, uparta myśl powróciła po raz kolejny.

— I dobrze — odpowiedział na głos. Leniwym ruchem wyciągnął kluczyki ze stacyjki. Powoli odzyskiwał równowagę, zachwianą w jakiś

sposób przez niecodzienną scenerię i aurę tego miejsca. Rozejrzał się dookoła. Poza twarzą starej kobiety wyglądającej przez jedno z okien oraz spieszącym dokądś przechodniem, który mignął mu przez moment w lusterku, nie dostrzegł żywego ducha.

„Dobrze”, pomyślał, spluwając na bruk. Rzucił okiem na lufę shotguna wystającą spod siedzenia i potrząsnął głową. Powoli wysiadł z wozu. Twarz w oknie zniknęła. Uśmiechnął się mimo woli. Spoza załomu krętego zaułka dobiegały krzyki i śmiech bawiących się dzieci. Gdzieś za domami zatrąbił klakson samochodu. W powietrzu zawirował skowyt jakiegoś kundla. Wysoki, kobiecy głos sypnął wiązką hiszpańskich przekleństw. W sąsiedniej uliczce z brzękiem posypało się szkło. West Apache żyło własnym życiem. Ulicą za plecami Gerstaeckera przejechał klekoczący samochód, w chwilę po nim następny. Clinton zauważył ciemny, niemal czarny obłok spalin. Miejscowi mężczyźni wracali z pracy do domów. Niewiele go to obchodziło. Zatrzasnął drzwi auta, zamknął wóz, wyprostował się i zawrócił do skrzyżowania.

Minął narożnik budynku, spojrzął w kierunku werandy i ruszył naprzód, poprawiając na głowie kapelusz. Był gotów.

Przechodzień, którego wcześniej Clinton zauważył w lusterku, także spostrzegł zaparkowany samochód. Ze względu na nieznaczną odległość zdążył nawet zidentyfikować rejestrację. Nie zatrzymując się, podążył przed siebie. Tym niepozornym przechodniem był brat Shannon — Brian Sullivan we własnej osobie. Szybkim krokiem minął dom, w którym mieszkał dzięki gościnności Franka, przeszedł przez wjazd na małe podwórko i wskoczył do sieni następnego budynku. Zatrzymał się w drzwiach i wyszarpnął z kieszeni telefon. Dygocącymi palcami wybrał numer.

— O co chodzi, stary? — usłyszał po drugiej stronie znajomy, senny głos.

— On tutaj jest, Frank! Znalazł nas, pierdolony sukinsyn! Słuchawka milczała przez chwilę. Wreszcie Sullivan usłyszał ten sam, rozwlekły głos:

— Uspokój się. Nikogo nie znalazł. Inaczej nie gadałbyś ze mną.

— Ale znajdzie. Siedzi w wozie, za rogiem chałupy starego Sebastiana.

— A ty? Gdzie jesteś, Brian? Schowałeś się za firaną i trzęsiesz dupą? Jeśli dobrze pamiętam, masz już na koncie jednego szeryfa. Co ci szkodzi mieć dwóch?

— Kpisz sobie? Jestem w sieni Sancheza. Gadam z tobą tylko dlatego, że zobaczyłem faceta pierwszy. Nie mam przy sobie broni.

— Sanchez ma. Pod dostatkiem. Jego chłopaki również — głos z drugiej strony nabrał ostrości. — Dobra. Dość żartów. On i tak przyjedzie do nas. Poproś Sancheza o pomoc. W moim imieniu. Mają sprawny pick-up z dobrym silnikiem. Niech weźmie swoich chłopaków i przyjedzie nas wzmocnić. Zabierzesz się z nimi. Jest nas tutaj kilku. Oprócz moich braci są dwaj Rogersowie i bracia Lopez. Razem to chyba dziesięć niezłych karabinów, ale nie zaszkodzi kilka więcej. Ten skurwiel to farciarz.

— Święte słowa, Frank! Po telefonie twojej siostry cieszę się, że nie było nas wtedy w Bright. A co z nią?

— Siedzi. Nie mówiłem ci? Załatwiłem jej adwokata. Czy ty nie masz teraz innych zmartwień? Wzięło cię na pogaduchy?

— Boisz się, Frank, co? Już nie jest ci wesoło?

— Ty skurwielu! Ruszaj się, do cholery! — Jasne, Frank, jasne. Uspokój się. — Sullivan zamknął telefon. Uśmiechnął się z satysfakcją. Pokazał temu gogusiowi, kto ma prawdziwe jaja. Ruszył w głąb zimnej sieni, wołając: — Pablo! Hej, Pablo!

Milton spojrział na zegarek. Dochodziła szósta. Przeżuł w ustach przekleństwo. Na szczęście minął właśnie Pomerene i zaledwie dziesięć mil dzieliło go od celu. Docisnął pedał. Z pobocza wzbily się chmury czerwonego pyłu, poderwane impetem mknącej cobry.

Clinton wszedł na werandę i zbliżył się do drzwi. Nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Położył dłoń na kolbie czterdziestki piątki i szybkim ruchem wsunął się do środka.

Znalazł się w małym, ciemnym korytarzyku. W czerwonym świetle słońca, padającym z ulicy, zobaczył kolejne drzwi. Były w znacznie lepszym stanie niż wejściowe, a zamiast klamki miały srebrną, kunsztownie zdobioną gałkę. Lśniła jaskrawym punktem w półmroku przedsionka. Głęboko cięte wzory rzucały się w oczy z daleka.

„Dogadzasz sobie, Franco”. Gerstaecker skrzywił się nieznacznie. „Masz forszę. Ile dostałeś ulizany kundlu za moją Cynthię? Kto ci zapłacił?”

Ostatnie pytanie wracało do niego niczym bumerang. Coraz częściej.

Podszedł do dębowych, zdobionych drzwi. Mógł zapukać, ale nie chciał. Długa lufa czterdziestki piątki tworzyła ponure przedłużenie cienia opuszczonej ręki.

Energiczne kopnięcie podkutego buta wywaliło całą płytę skrzydła.

Dookoła posypały się fragmenty sklejki i okleiny. Huk wybijanych drzwi zatrzęsł powietrzem.

Clinton wskoczył do środka. Tuż przed jego nogami runęła na lakierowaną podłogę wybita ościeżnica, wlokąc za sobą ogon wapiennych odłamków. Pokój był duży. Duży i pusty. Dwoma susami Gerstaecker dopadł otwartych drzwi do kuchni. O mały włos nie wywinął salta, trafiając obcasem na gładką powierzchnię ceramicznej posadzki. Lewą ręką zdołał pochwycić futrynę. Zatrzymał się krok przed zlewozmywakiem. Obie komory były po brzegi wypełnione szklankami i brudnymi talerzami. Paskudna woń uderzyła go w nozdrza. Skrzywił się z niesmakiem.

W mieszkaniu nie było nikogo. Ponad wszelką wątpliwość. Starannie spenetrował dwie sypialnie oraz łazienkę.

„Nie tutaj”, pomyślał, sięgając po papierosa. „Jesteś u mamy, Franco, prawda?”

Wyszedł na dwór, nie oglądając się za siebie. Wąska uliczka tonęła w półmroku wieczoru. Słoneczna tarcza znikwała za linią zabudowań, a jej czerwone promienie zaledwie muskały zaułek. Robiło się szaro i ponuro. Jak gdyby na przekór naturze, spoza kościoła dobiegł odgłos żwawej, meksykańskiej muzyki. Clinton przystanął na chwilę. Perliste brzmienie gitar, głęboki ton kontrabasu i dźwięczny głos trąbki sprawiły, że poczuł się przez moment jak gdyby w innym, może lepszym świecie. Romantyczna, meksykańska rumba niosła obietnicę miłości i zapomnienia.

Rozterka trwała krótko. Wyrzucił niedopałek, splunął na wytarte deski werandy i zbiegł po schodach.

Po kilku chwilach dotarł do samochodu. Otworzył drzwi, wskoczył za kierownicę, uruchomił silnik i wycofał dodge'a z przecznicy, kierując go w stronę, z której przybył. Zerknął na zegarek. Było pięć po szóstej.

W tej samej chwili, kiedy dodge wjeżdżał na kościelny plac, z podwórka za domem Franka wyjechał biały pick-up. Na jego skrzyni siedziało trzech meksykańskich *muchachos*, wywijających winchesterami i wykrzykujących jakąś fantazyjną piosenkę o starych mułach. W szoferce obok Pablo Sancheza siedział rudy Brian, sprawdzający pożyczony karabin. Pick-up skręcił w prawo, zmierzając najkrótszą drogą do szosy. Biała półciężarówka wskoczyła z hukiem na asfalt, omal nie wyrzucając młodocianych pasażerów na pobocze.

— Y-cha! — rozległ się chóralny okrzyk z paki. Bracia Sanchez byli w

siódmym niebie. Szykowało się to, co lubili najbardziej — ostra rozróba.

Kilkaset jardów za nimi dodge Gerstaekera wytoczył się z podjazdu na szosę. Clinton zakręcił kierownicą w lewo i gwałtownie przyspieszył.

O mały włos nie spowodował wypadku. Pędząca od strony Pomerene czarna cobra zahamowała, drąc z przeraźliwym piskiem powierzchnię szerokich opon.

Milton wdusił do oporu pedał hamulca. Mustang sunął jeszcze przez chwilę siłą rozpędu. Wreszcie znieruchomiał. Gerstaecker otarł czoło ramieniem.

— Ożeż, kurwa! — zaklął. Niemal w tym samym momencie zidentyfikował wóz, który wpieprzył mu się przed maskę, skręcając ostro na północ.

— Jezu! — szepnął. — Clinton! Niech to szlag! Zaczęło się!

— Zapierdalaj, Pablo! Zostało ci jeszcze parę kresek! — Sullivan zerknął na szybkościomierz.

— Się robi! — Meksykanin wyszczerzył resztkę pożółkłych zębów, dociskając pedał. Pick-upem szarpnęło. Wóz wyrwał do przodu, a gwałtowny poryw wiatru zerwał sombrero z głowy jednego z braci. Na pace zabrzmiał śmiech i oklaski.

— Brawo, tato! — Radosne wołanie dotarło poprzez uchyloną szybę do szoferki.

— Szajbusy — mruknął Brian. W tej chwili zza okna doleciał ryk silnika. Gwałtowny podmuch wstrząsnął pick-upem, kiedy szary dodge wyprzedził ich z zawrotną prędkością.

— *Santa Madonna!* — westchnął Sanchez, spluwając na podłogę. — O w mordę! — jęknął Brian. — To ten drań! Wyprzedził nas.

— Gwałtownym ruchem sięgnął po telefon.

— Frank?

— *Si*, Brian. Co nowego?

— Jesteśmy w drodze. Właśnie nas wyprzedził. Zapierdala jak diabeł! Przygotujcie się!

— OK. — Telefon zamilkł. Sullivan mocniej ujął karabin.

— Co za cholera? — usłyszał stęknienie Sancheza. Spoza furgonetki wychynęła para jasnych reflektorów. Nagle kabinę zalał potok jaskrawego światła. Kierowca nadjeżdżającego pojazdu włączył światła drogowe. Omal nie zjechali do rowu.

— Kurwa! — dosadną angielszczyzną zaklął Pablo. — Co jest? To jakaś pieprzona autostrada?!

Czarny sportowy mustang wyprzedził ich, włączając do kabiny chmurę kurzu.

— Zasuń szybę, do jasnej cholery! — wrzasnął Sullivan. — Udusimy się w tym piachu!

Sanchez wykonał polecenie. Krzyki na pace umilkły. Wszyscy patrzyli na jarzące się, czerwone światła, będące już w połowie dystansu pomiędzy nimi a szarym dodge'em.

Natychmiast po wyprzedzeniu pick-upa Milton wyłączył długie światła. Manewr trwał krótko, ale zdążył przyjrzeć się półciężarówce. To, co zobaczył, sprawiło, że serce szeryfa забиło żywszym rytmem.

— Jestem tu, Clinton. Jestem z tobą, bracie — szepnął. — Krew z krwi. Z sekundy na sekundę był coraz bliżej dodge'a. Zamrugał reflektorami. Wóz Clintona zwolnił. Jeszcze chwila i pojazdy zrównały się, zajmując cały pas jezdni. Milton zerknął w prawo.

Dwa jardy od siebie zobaczył twarz brata. Spojrzeli sobie przez krótką chwilę w oczy. Clinton dotknął ręką runda kapelusza. Milton przyhamował, zjeżdżając na prawy pas. Zwolnił ponownie, zachowując pomiędzy pędzącymi autami dystans około stu jardów. W promieniach zachodzącego słońca po prawej stronie drogi pojawiły się wielkie kamienne bryły — szczątki starych indiańskich budowli, wzniesionych przed wiekami.

Clinton zwolnił. Zbliżali się do celu. W oddali dostrzegł skrzyżowanie, a dalej, bardziej na prawo — wznoszące się w sporej odległości od szosy, wyniosłe wzgórze, ukoronowane czerwoną, kamienną czapą.

Wzgórze Mamuciej Skały. Przypomniał sobie wskazówki proboszcza. Spróbował otrząsnąć się z szoku, w jaki wprowadził go widok Milтона. Gerstaecker był twardym człowiekiem, ale w tej chwili czuł, jak gdyby czyjaś dłoń ścisnęła jego serce aż do bólu.

„Krew z krwi” — zaszumiało mu w mózgu i wbrew własnej woli poczuł piekącą wilgoć w kącikach oczu. Otrząsnął się ze wzruszenia największym wysiłkiem woli. To nie był właściwy czas na sentymynty. Do bólu zagryzł wargę. Serce powoli wracało do swojego rytmu.

Samochody Gerstaeckerów wjechały na polną, ale na szczęście dość równą drogę. Biała furgonetka zbliżała się do ruin puebla.

— On nie jest sam, Frank! Jedzie za nim jakiś ochroniarz. Uważajcie! —

darł się do słuchawki Brian.

— Spoko. Jesteśmy gotowi. Weźmiemy ich w dwa ognie. Walcie do nich zza sosen. My ulokujemy się po obu stronach wjazdu. Powiedz Sanchezom, żeby dobrze mierzyli. Nie chcemy własnych strat.

— Rozumiem. Bądź spokojny. Może wytłuc ich ze szczytu mamuciego wzgórza?

— Niby jak? Rozum ci odjęło? Za duży dystans.

— Fakt. Poniosło mnie. Niech będzie, jak chcesz. Pieprzone sosny rosną kilkaset jardów przed farmą. Będzie w sam raz. Dobrze, że jeszcze nie zaszło słońce.

— Jasne, ale musimy się spieszyć.

— Bez problemu. O to już zadbała ta dwójka skurwysynów. Powodzenia, Frank! — *Gracias, amigo! Adiosito!* — Kelly przerwał połączenie. Sullivan odzyskał równowagę. Nie było powodu do większych obaw. Dysponowali druzgocącą przewagą. Większość ich grupy stanowili naprawdę doświadczeni strzelcy. Uśmiechnął się pod nosem.

— Staniemy przy sosnach, Pablo. Stamtąd będziemy walić. Frank i reszta podejdą ich z boków. Powiedz swoim chłopakom, żeby nie strzelali w boki. Tam są nasi ludzie. To dosyć proste. Mamy tylko dwa cele. Zanim zajdzie słońce, wykopimy im dwa ładne groby.

— Nie ma sprawy, *amigo*. Będzie, jak chce Franco. Obaj *gringos* pójdą do piachu szybciej, niż myślisz.

— OK. Pamiętaj: kiedy dotrzemy między sosny, natychmiast przekaz wszystko chłopcom.

Droga do farmy Marii Kelly rzeczywiście omijała mamucie wzgórze szerokim łukiem od południowej strony. Kiedy okrążyli wzniesienie, oczom braci Gerstaecker ukazały się, odległe o milę, rozległe zabudowania sporej farmy. Pomiedzy wzgórzem a farmą rozciągała się niezbyt urodzajna łąka, porośnięta gdzieniegdzie krzewami kreozytu. Na trawiastej równinie, jakieś czterysta jardów od najbliższej linii zabudowań, rosło kilkadziesiąt żółtych sosen — niektóre pojedynczo, inne w kępach. Wokół samego gospodarstwa, od południa i północy rosły większe, bardziej zwarte skupiska tych drzew.

Clinton nawet nie zwolnił. Pędził wprost w kierunku bramy wjazdowej, której lewy bok przylegał do wielkiej drewnianej stodoły.

„Będą chcieli nas otoczyć”, pomyślał. Nie musiał łączyć się z Miltonem. Wiedział, że brat potrafi myśleć równie szybko. Jedyłą rzeczą, której nie

znali, była liczba ewentualnych przeciwników, ale sądząc po liczebności ich „asysty”, która zapewne docierała już do wzgórza, nie mogli raczej liczyć na to, że on i Frank staną naprzeciw sobie sam na sam o zachodzie słońca na tutejszej *main street* i stoczą pojedynek, niczym bohaterowie Old Westu. Śmierć mogła nadejść z każdej strony. Frank Kelly i obaj Rogersowie zajęli pozycje pomiędzy sosnami północnego zagajnika — kilkanaście jardów w lewo od drewnianej stodoły. Jego trzech bracia i paczka Lopezów ukryła się w lesie, na południe od bramy.

Wszyscy dysponowali sprawdzonymi winchesterami, większość miała też rewolwery. Zanosilo się na prawdziwą masakrę.

Z ironicznym uśmiechem Kelly obserwował dwa zbliżające się auta. Nie musiał martwić się o braci Rogersów. Przeżyli razem niejedną strzelaninę i doskonale znał ich umiejętności.

Pomyślał o młodszych braciach. Też byli niezli, choć nie tak zaprawieni jak Rogersowie. Rodzina Lopezów również cieszyła się pewną sławą, podobnie jak Sanchez i jego chłopcy. Do tego jeszcze Brian — zajebisty *pistolero*.

Ten durny *desperado* i jego nieszczęsny ochroniarz jechali na własny pogrzeb.

Odrzucił niedopalonego papierosa. Akcja zaczęła nabierać tempa. Ze zdziwieniem stwierdził, że kilkadziesiąt jardów przed bramą obydwie wozy gwałtownie przyspieszyły. Powietrzem targnął ryk silników, wchodzących na najwyższe obroty.

Frank bezwiednie otworzył usta. W pierwszej chwili nie potrafił zrozumieć tego, co się dzieje. Bracia Rogersowie także opuścili lufy karabinów.

Masywny dodge zjechał z drogi na łąkę. Nie zwolnił nawet na chwilę, wałąc prosto na wielką ścianę stodoły. Kilkanaście jardów za nim mknął jego śladem sportowy mustang.

— Kurwa! — krzyknął Frank. — Walić, chłopcy! Zrozumiał odrobinę za późno. Podrzucił broń do ramienia. Trzask pękających desek, zgrzyt metalu i huk, od którego zadrżała ziemia. Całym impetem szary dodge wjechał w sam środek drewnianej ściany, wywalając w niej olbrzymi, najeżony odłamkami desek otwór. Tuż za nim poprzez tę ziejącą dziurę przemknęła cobra. Z obydwu stron posypały się strzały, ale tylko jedna kula trafiła w tylny zderzak mustanga.

— Ja pierdołę! — zaklął Kelly. Przez chwilę liczył, że samochody wypadną po drugiej stronie, ale stodoła była naprawdę ogromna, a kierowcy pojazdów najwidoczniej znali sztukę kontrolowanego poślizgu. Na domiar złego przed kilkoma dniami Maria odstawiła do mieszalni w Rednington niemal cały zbiór kukurydzy. Stodoła była prawie pusta.

Z ust Franka popłynął kwiecisty potok hiszpańskich przekleństw. Zerknął w prawo. Sanchezowie i Brian zajmowali właśnie stanowiska pomiędzy sosnami. Kelly odwrócił się do Rogersów.

— Jim! Leć do drewni. Przynieś kilka desek. Po drodze weź trochę siana. Jest w szopie za kurnikiem. Podpalimy tę budę. Tony! Przebiegnij za domem na drugą stronę. Niech chłopaki zrobią to samo. Zostaniesz z nimi. Jazda, ruszajcie się! — Sięgnął po komórkę.

— Brian? Weź jednego z chłopców Sancheza i spróbuj dołączyć do mnie. Jestem na skraju drzew, po twojej lewej. Tylko biegiem, zanim ci dranie dojdą do siebie.

— OK, chociaż to ryzykowne. Ale niech będzie, spróbuję. Dwie sylwetki wybiegły zza kępy sosen i szerokim łukiem ruszyły w kierunku zagajnika. Pierwszy biegł Brian, tuż za nim młody meksykański macho. Frank obserwował ich z napięciem.

Przemierzyli już ponad połowę dystansu, kiedy z otworu wywalonego w ścianie stodoły padł pojedynczy strzał. Meksykanin fiknął kozła i potoczył się w suchą trawę. Znieruchomiał. Spomiędzy sosen odezwały się liczne strzały.

— Rychło w czas! — Frank zagryzł wargę do krwi. — Idioci! — warknął, wybierając gorączkowo kolejny numer.

— Pedro?

— Kto pyta?

— Kurwa! Nie poznajesz mnie po głosie? Franco Kelly.

— O co chodzi, *amigo*? — O pierdoloną rozróbę! Pomożesz?

— *Si*. Tobie zawsze pomogę, sam wiesz. Gdzie to ma być?

— U nas. Daj tutaj paru chłopaków. Pomogą Sanchezowi.

— Komu?

— Głuchy jesteś, sukinsynu? Niech wzmocnią Pablo przy sosnach za wzgórzem. Wiesz, gdzie to jest, czy mam ci tłumaczyć?

— Wiem. Podesłać ci Shorta? Siedzi akurat u mnie.

— Jasne! Jest najlepszy! Pospiesz się, do cholery!

— Za dziesięć minut, OK?

— Dzięki. Po kilku minutach granatowy ford wyjechał z zaułka Little Town iz piskiem opon wziął ostry zakręt, zmierzając w kierunku szosy.

Brian Sullivan pochylił się niżej i przyspieszył. Po paru chwilach dotarł do stanowiska Franka. Był tak zdyszany, że w pierwszym momencie nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Odłożył karabin i klęknął na ziemi, łapiąc oddech. Trwało to cholernie długo.

— Niezły początek — wykrztusił wreszcie z trudem.

— Nie narzekaj. — Frank zdążył się już opanować. — Mogło być gorzej. Nie rozumiem, jakim cudem tobie się udało. Może któryś z nich jest ranny albo nie żyje?

— Oby! — stęknął Sullivan, podnosząc się z klęczek.

Kiedy Brian powracał do formy, nowiutki, lśniący ford wyłonił się zza wzgórza, przejechał przez łąkę i zatrzymał się obok pickupa Sancheza. Wyskoczyło z niego pięciu mężczyzn z karabinami. Pędem dotarli do sosen, okupowanych przez Pabla i jego dwóch, pozostałych synów.

— Co z tobą, Clinton? Mogłem sprzątnąć tego rudzielca jednym strzałem.

— Wiem. Ale ten rudzielec jest mi potrzebny żywy.

— Skoro tak, nie ma sprawy. Widzisz? Ściągają posiłki. — Widzę. Posłuchaj, Milton. Ten rudy drań był...

— Jednym z tych dwóch?

— Właśnie. Mieli zlecenie. Mówiłem ci: muszę wiedzieć... — Clinton przysunął się do brata, szorując brzuchem glinianą polepę.

— Muszę wiedzieć, kto dał im zlecenie.

— I co? — Milton nagle poderwał się na łokciach. — Jasna dupa! Znowu wałą w południową ścianę! Pieprzone skurwysyny!

— Dosyć! Bez emocji, stary. Musimy to rozegrać na swój sposób. Dookoła jest chmara bandziorów. Mam ich w dupie. Obchodzą mnie tylko dwaj. Ta ryża mała i jego szef. Sukinsyn, który odebrał mi Cynthię. Muszę dostać obydwóch. Tego rudzielca chcę mieć żywego.

— A drugiego?

— Co za pytanie? Wiesz, że go rozwałę. To on strzelał do Cynthii.

— Wiesz, gdzie jest?

— Dokładnie. Jak sądzisz, czemu ta jebana wiewióra pognęła na północ? Czemu on i ten meksykański gówniarz ruszyli dupy zza tamtych drzew?

— Mieli łączność.

— Tak. Ten pierdolony Franco zadekował się po północnej stronie. Reszta jest mniej ważna.

— Co dalej? Co zrobimy?

— Jeszcze nie wiem, ale wiem, co zrobią oni.

— Mianowicie?

— Spróbują nas podpalić.

— Niezłe.

— Wiem. Słyszałem, że macie w Alabamie spore doświadczenie w tych sprawach.

— Kurwa! Clinton!

— Wybacz! Poniosło mnie. Ta banda od południowej strony nie ma przywódcy. Marnują amunicję. Wszystko, co mnie interesuje, jest tam, za północną ścianą.

— Co mam robić? — Ubezpieczać mnie. Zająć się południową stroną. Widzę, że masz także M16. Moglibyśmy rozpieprzyć większość tej bandyckiej kompanii w niespełna minutę, ale ryzyko jest ryzykiem. Nie przyjechałem tutaj, żeby ryzykować. Pamiętaj, muszę mieć nie tylko ich głowy, ale przede wszystkim nazwisko zleceniodawcy.

— To będzie cholernie trudne. Zwłaszcza gdy, jak sugerujesz, puszczą nas z dymem.

— W jakim stanie masz wóz?

— W doskonałym. A twój dodge?

— Trochę ucierpiała maska. Gorzej z przednim pasem i atrapą oraz reflektorami, ale to chyba wszystko. W sumie nic poważnego. Ta pieprzona stodoła ma chyba ze sto lat albo niewiele mniej. Samo próchno. Do tego te cienkie dechy, najwyżej trzy czwarte cala.

— Mimo wszystko, masz fart. Sporo ryzykowałeś.

— Bałem się tylko o zawieszenie, ale jest w porządku. Tak sądzę.

— Więc?

— Pilnuj południowej ściany. Gdybyś cokolwiek usłyszał, wal! Ja zajmę się stroną północną.

Przeczołgali się w przeciwnych kierunkach. Od południowej strony padały pojedyncze strzały, ale niezbyt częste. Ostrzał prowadzony spoza sosen na łące zamiast przybrać na sile — wyraźnie osłabł. Powód był prosty, choć żaden z Gerstaeckerów nie zwrócił na to uwagi.

Pablo Sanchez leżał w poźółkłej trawie z rozwaloną głową. Nie żył, podobnie jak jego dwaj synowie. Z grupy pięciu strzelców, którzy dołączyli do nagonki, zostało tylko dwóch. Joachim Cortina — meksykańsko-indiański mieszaniec i Alec Short — najlepszy *pistolero* w West Apache.

— Co, do kurwy?! — zaklął Short, kiedy przedostatni z ich paczki — Johny Simply — wywinął śmiertelne salto, rozpryskując dookoła fontannę jasnoczerwonej krwi, walącej strumieniem z rozłupanej czaszki. Short był wytrawnym strzelcem. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że nikt z oblężonego budynku nie strzela w ich kierunku.

— Na ziemię, Cortina! — krzyknął, rzucając się w wysoką trawę. Spóźnił się z ostrzeżeniem o ułamek sekundy. Szeroko rozwartymi oczami patrzył, jak indiański snajper gwałtownie podrzuca w górę ramiona. Widział wirujący w powietrzu karabin i fontannę ciemnej krwi tryskającą z podbrzusza Cortiny. Przeciągły ryk bólu i wszystko ucichło.

Short rozpląszczył się na ziemi. Nadal nie wiedział, co się dzieje. Ostrożnie zmienił pozycję i obejrzał się za siebie. Na całej równinie nie dostrzegł śladu człowieka. Czerwone promienie słońca chowały się powoli za dalekim Wzgórzem Mamuciej Skały. Potrzęsnał głową. To nie mogło być to. Zbyt wielki dystans, żeby oddać precyzyjny strzał. A może jednak? Słyszał o snajperach potrafiących trafiać z wielkiej odległości. Po raz ostatni spojrział na odległy szczyt. Po raz ostatni w życiu spojrział na cokolwiek.

Nie usłyszał huku. Nie zobaczył nikogo i niczego. Pocisk. 300 Win Mag trafił go w prawe oko, dewastując wszystko powyżej szyi. Zachodnia linia oblawy przestała istnieć.

Clinton położył się na brzuchu tuż przy północnej ścianie, mniej więcej w połowie jej długości. Oparł łokcie na gruntowej polepie, zaciskając dłonie na kolbie shotguna. W tej chwili nie myślał o niczym. Zamienił się w słuch. Wiedział, że zanim podłożą ogień, zaczną zagłuszającą strzelaninę.

Po kilku chwilach rozległy się pierwsze strzały. Na prawo i lewo sypały się odłupane z desek drzazgi. Uśmiechnął się z politowaniem. Strzelali wysoko, żeby nie narażać tego, który podkładał ogień. Większość tej zgrai uważał za głupców, ale tam — po drugiej stronie — byli dwaj zawodowi mordercy. Najwidoczniej brakowało im wyobraźni.

Nie przyszło mu do głowy, że nawet najbystrzejszy umysł popełnia błędy w stanie stresu lub — co gorsza — paniki. On sam nigdy sobie na to nie pozwolił, ale w końcu miał w żyłach krew Eliaha Gerstaekera. Tę samą

krwem miał też nieżyjący Rodney oraz Milton.

Dobrze ocenił sytuację. Jakieś trzy, cztery stopy przed nim, tuż za ścianą, usłyszał cichy szelest i postukiwanie.

Podniósł się na kolana, zarepetował broń i mierząc trzy stopy powyżej gruntu, nacisnął spust.

Frank Kelly wstrzymał oddech. Od kilku chwil przyglądał się Jimowi Rogersowi, który delikatnie układał pod ścianą stodoły suche nieokorowane listwy i upychał pomiędzy nie kłęby siana z wielkiego płóciennego worka. Uzbierał się całkiem przyzwoity stos. Przez cały czas Kelly i Sullivan walili w tę cholerną ścianę. Odgłosy wystrzałów zlały się w jeden, przeciągły grzmot. O to chodziło.

Jim Rogers zakończył swoją robotę. Odwrócił twarz w stronę drzew. Frank skinął głową. Zobaczył rękę Jima, uzbrojoną w złocistą zapalniczkę. Zobaczył czerwone iskry słonecznej tarczy, odbijające się w kawałku metalu. Jeszcze jedna, dwie sekundy.

Huk dwóch, oddanych jeden po drugim, strzałów przypominał grzmot pioruna. Pierwszy ładunek rozerwał ścianę stodoły, tworząc spory otwór. Kolejny pocisk rozrucił przygotowany stos, kładąc trupem skulonego za nim człowieka. Prosto w pierś Franka trafił wielki, ociekający krwią przedmiot — odłamek potylicy Rogersa, zakończony fragmentami urwanej szyi.

Frank wrzasnął, strącając do swych stóp upiorny „pocisk”. Brian Sullivan cofnął się gwałtownie. Przez chwilę zrobiło mu się ciemno przed oczami. Poczł zupełną pustkę. Nie usłyszał trzasku desek pękających pod uderzeniami buta. Nie zdążył dostrzec sylwetki wyłaniającej się pędem z wywalonego w ścianie otworu.

Kelly przyszedł do siebie odrobinę szybciej, jednak nie dość szybko. Zanim zdążył ponownie podnieść broń, ujrzał tuż przed sobą wielki wylot lufy, skierowany wprost w jego czoło. — Jezu! — jęknął, opuszczając broń. — Nie zabijaj! — Odrzucił winchester na ziemię.

— Niby dlaczego? — Szare, bezlitosne oczy, zimne jak śmierć. Kamienna maska z zakrzepłym wyrazem nienawiści.

Wielka, koścista dłoń podsunęła lufę shotguna pod same oczy Franka. Poczł na skroniach lekki powiew wiatru. Chciwie wciągnął w płuca powietrze. Wiedział, że za chwilę umrze. Przez wiele lat hojnie obdarzał śmiercią innych. Opłacało się. Teraz miał zapłacić rachunek. Stęzał w oczekiwaniu końca.

Trzask gałązek po prawej stronie. Kątem oka dostrzegł swojego współnika, który porzucił karabin, opadł na kolana i — raczkując — usiłował odpełznąć na bok.

— Lubisz pełzać, gadzie? Daleko nie uciekniesz. — Zimny śmiech Gerstaeckera został zagłuszony gwałtowną strzelaniną po przeciwnej stronie stodoły. Miltonowi musiały „puścić nerwy”. Trzask drewna i świst pocisków było wyraźnie słychać aż tutaj. — Zabawa się skończyła. Na ziemię, draniu!

Twarz Franka stała się jeszcze bledsza niż zazwyczaj. Powolnym ruchem osunął się na kolana.

— Nie zabijaj — powtórzył z trudem. Czuł, że lada chwila narobi w spodnie, ale to nie miało już znaczenia. Ogarnął go paraliżujący strach.

— Wolisz zgnić w pudle? — Wylot lufy zatańczył przed jego twarzą.

— Wolę. — Obłądny strach, mącający myśli, uczucie nieznane mu dotychczas, opanował duszę „Błego Franco”.

— Więc gadaj! Kto wam zapłacił? Jeżeli spróbujesz się zastanawiać, rozwalę ci łeb. Nie mam nic do stracenia.

— Nasz dawny burmistrz.

— Jaśniej! Wyczerpałeś limit mojej cierpliwości. Macie w tej brudnej dziurze burmistrza? — Mam na myśli poprzedniego burmistrza Restburga, Samuela Holmesa. Jest teraz członkiem zarządu u was, w Green Doll.

— Sam Holmes? To mój przyjaciel. Nigdy nie było między nami kwasów. Kpisz sobie? — Palec Gerstaeckera poruszył się na spuście.

Nagle w głowie Clintona zaszumiał zapomniany głos. „Restburg ma kształt ośmioboku. To pomysł poprzedniego burmistrza”. Dugg Shepard mówił przecież o tym. Green Doll przez ostatnie kilka lat rozbudowywano na tych samych zasadach, a szefem komisji do spraw budownictwa był Sam Holmes. Dobry Boże!

Lufa shotguna zadrżała.

— Nie! Zaczekaj! Kurwa! Zaczekaj, mówię! On ma siostrę. Podobno zabiłeś jej męża.

— Zabiłem w życiu kilku drani. Nazwisko tej damy!

— Vanessa Durring. Jej mąż był jakimś lekarzem. To wszystko, o czym wiem.

— I wystarczy, Franco. W zupełności.

— Kurwa! Ty chcesz mnie rozwalić! Odbiło ci? Nie mam broni!

— Moja żona także jej nie miała. Nagle, przez ułamek sekundy, wzrok mordercy przemknął za plecy Clintona. Gerstaecker jęknął w duchu. Chciał

się odwrócić, ale było za późno.

— Rzuć spluwę, kolego! — Lufa rewolweru Briana dotknęła potylicy Clintona.

— Ochujaleś?! — Frank wrzasnął do współnika. — Wal, do kurwy nędzy! Wal!!!

„Koniec”, pomyślał Clinton. „Ale ty pójdziesz ze mną, draniu”. Nacisnął spust w tej samej chwili, kiedy na jego głowę, kark i plecy spadł krwawy grad odłamków czaszki i fragmenty mózgu Briana. Gdyby ktokolwiek obserwował w tej chwili mamucie wzgórze, być może dostrzegłby krótki błysk stali odbijającej gasnące promienie słońca. Bezgłowe ciało Sullivana runęło w trawę dwa jardy od drgającej, zalanej krwią sylwetki, która przed sekundą była Frankiem Kellym — płatnym mordercą i prawdziwym macho.

Przez nieskończenie długą chwilę Clinton Gerstaecker dochodził do siebie. Nieprzytomnym wzrokiem spoglądał na martwe ciała. Do rzeczywistości przywołała go cisza. Umilkły strzały zza drzew na łące, umilkła zacięta strzelanina po przeciwnej stronie stodoły.

W przedwieczornym, chłodnym powietrzu odezwał się drozd, siedzący na gałęzi jednej z sosen.

Zza narożnika stodoły wyszedł Milton. Zatrzymał się na widok brata i trzech nieruchomych sylwetek spoczywających w krwawej trawie.

— Nieźle — mruknął. — To chyba koniec.

— A tamci? — Clinton machnął lufą w południowym kierunku.

— Koniec, stary. Nie ma już nikogo.

— Jak to możliwe?

— Nie wiem. Czy to ważne? — Milton zerknął ukradkiem w stronę samotnego wzniesienia na zachodzie. Clinton podążył za jego wzrokiem. Przez chwilę stali w zupełnej ciszy, którą nagle przerwał daleki odgłos silnika samochodu.

Clinton podszedł do brata i położył mu rękę na ramieniu.

— Ktokolwiek to był, stary, dzięki mu za wszystko. I tobie także wielkie dzięki, Milton. Byłoby już po mnie. Naprawdę.

— Tego uczył nas ojciec! — Milton Gerstaecker uśmiechnął się do brata.

— „Krew z krwi”. Nie pamiętasz?

— Racja. Może zanim się stąd zabierzemy, powiesz mi z łaski swojej, jakim cudem znalazłeś się za moimi plecami? Nie miałem dotąd okazji zapytać.

— To długa historia. Darujmy sobie. Powiem ci tylko, że zostawiłeś w Seven Pines prawdziwych przyjaciół.

— W Seven Pines... Boże! Nie do wiary! Kto cię powiadomił? Duggan?
— Dugg kazał cię pozdrowić, ale to Elmer do mnie zadzwonił. Gdyby nie on...

— Coraz lepiej. Sądziłem, że ucieszył go mój wyjazd. Nie przypuszczałem...

— A jednak. Masz szczęście do ludzi, stary.

— Myślę, że ty również, bracie. — Clinton jeszcze raz zerknął w stronę zachodu, gdzie, ukryte przed ich wzrokiem, srebrzyste bmw wtaczało się na szosę, skręcając ostro w stronę Pomerene.

— Co teraz zrobisz? Dowiedziałeś się najważniejszego? — Szeryf zabezpieczył karabin.

— Tak. Zdążyłem w ostatniej chwili. Pamiętasz Metcalfa Durringa?

— Yhm.

— To jego żona, a właściwie jej brat.

— Wiesz, jak do niego trafić?

— Naturalnie. Wiem doskonale. Mieszka w pięknym, zielonym miasteczku.

— Daleko?

— Zależy skąd.

— Myślę o Green Doll.

— Niedaleko. Niemal pod moimi oknami.

— Nieźle. Zamierzasz tam wrócić?

— Tak, Milton, zamierzam.

— Pojedziemy kawalek razem. Trzeba będzie tylko najpierw połączyć twojego dodge'a. Myślisz, że w Pomerene mają jakiś warsztat?

— Mam nadzieję. Przyda się też miejsce na nocleg.

— Będziesz mógł zasnąć?

— A od czego jest tequila? Myślę, że napijesz się ze mną.

— Czemu nie? A masz czym płacić? Podobno wyjechałeś z Montany bez odprawy.

— Dam radę, spokojnie. A po odprawę może się jeszcze zgłoszę, kto wie? — Zostawiłeś na Północy kilka niezalatwionych spraw.

— Wiem. Pamiętam.

— To w porządku. Wynośmy się z tego pieprzonego miejsca. Czujesz to?

— Co?

- Woń śmierci.
- Bardziej, niż myślisz.

Siedzieli w obskurnym pokoju małego hoteliku w Pomerene. Dochodziła północ, na stole stała niemal opróżniona butelka tequili, a oni ciągle rozmawiali. Mieli sporo czasu. Wóz Clintona miał być gotowy przed południem.

Tej nocy, czując jeszcze na plecach oddech śmierci, a w głowach błogosławiony szum wywołany złocistym trunkiem z agawy, bracia Gerstaecker — dwaj małomówni mężczyźni — powiedzieli sobie więcej niż przez ubiegłe dziesięć lat. Może właśnie tego potrzebowali najbardziej.

PORANEK W GREEN DOLL

Clinton Gerstaecker wjechał do miasta dokładnie tydzień po dramatycznych wypadkach w Arizonie. Zatrzymał wóz przy chodniku, w uliczce nieopodal placu przed ratuszem, w pobliżu baru, gdzie zazwyczaj kupował sandwicze.

Było jeszcze zbyt wcześnie na wizytę u burmistrza Cronkida, więc postanowił zjeść najpierw śniadanie. Nie miał w tej chwili ochoty jechać do pustego domu.

Zamykał właśnie auto, kiedy kilka jardów przed nim, pod krawężnik zajechał policyjny radiowóz. Wysiadło z niego dwóch policjantów. Na twarzy Gerstaeckera pojawił się uśmiech. Barney Simes doskonale prezentował się w mundurze szeryfa. Towarzyszył mu Mick Folger — „specjalista od silników”. Stanęli na chodniku, tocząc przyciszoną rozmowę. Podszedł do nich powoli, nasunawszy kapelusz na czoło.

— Dzień dobry, szeryfie. Jak leci?

Obydwaj policjanci odwrócili się, zaskoczeni. Przez krótką chwilę przyglądali się sobie nawzajem.

— Boże drogi! Clint! — Barney Simes rzucił mu się na szyję. Clinton poczuł na barkach mocny, serdeczny uścisk, który odwzajemnił. — Clint! Boże, jak bardzo się cieszę! Wróciłeś!

— Na to wygląda. — Gerstaecker się uśmiechnął. — Jak się masz, Mick? Co u ciebie? Nadal przerabiasz silniki? — Równie mocno uściśnął Folgera.

— Witaj w domu, szefie — wymamrotał Folger, zerkając na Simesa. Nie bardzo wiedział, jak powinien się zachować w takiej sytuacji. Z kłopotu wybawił go Clinton.

— Chwilowo jestem bezrobotny, Mick. Mów mi po imieniu. Barney jest szefem. Nikt więcej.

— Co się z tobą działo, stary? — Barney położył Clintonowi rękę na ramieniu. — Nie dawałeś znaku życia.

— Pracowałem na Północy.

— Przy czym?

— Przy koniach. Pracowałem na rancho.

— Ale numer! A „reszta” w porządku? — Simes ściszył głos.

— Chyba tak. Pogadamy o tym kiedy indziej.

— Jasne. Kiedy przyjechałeś?

— Przed kwadransem. Chciałem zajść do Lesa Cronkida, ale najpierw zamierzałem coś zjeść.

— To tak jak my. Wiesz, Clint? W ratuszu mają żałobę.

— Ktoś umarł?

— Radny Holmes.

— Jezu! Sam Holmes? Kiedy wyjeżdżałem, wyglądał zdrowo. Wypadek?

— Morderstwo, Clint. Zginął we własnym mieszkaniu pięć dni temu. Wczoraj go pochowaliśmy. Dostał kulkę między oczy. Z trzydziestki ósemki.

— Nie macie lekkiego życia, Barney. Paskudna sprawa.

— Nie do końca. Zidentyfikowaliśmy broń. Nie uwierzysz do kogo należała.

— Nie każ mi zgadywać. Jechałem przez całą noc.

— Do Vanessy Durring, wdowy po tym całym, sam wiesz... — Przyznała się?

— Z tym jest gorzej. Zniknęła bez śladu, jakby zapadła się pod ziemię. Rozesłaliśmy listy gończe, puściliśmy jej zdjęcie w telewizji. Może to coś da?

— Myślisz?

— Nie. Nie sądzę. — Szeryf Simes zwrócił się do Folgera. — Skocz do baru, Mick, i zamów coś na gorąco. Puszczę jeszcze małego dymka.

— Jasne, szefie. — Folger ruszył w stronę baru. Simes odprowadzał go zamyślonym wzrokiem. Nawet nie sięgnął po papierosy. Spojrzał na Gerstaekera i napotkał zwykły, beznamiętny wzrok, który znał na pamięć.

— Czy to koniec, Clint? — zapytał.

— Mam nadzieję, Barney.

— Obyś się nie mylił.

— Wiesz, że ja rzadko się mylę.

— Wiem. Chodźmy coś przegryźć. Napijemy się wieczorem. Może u ciebie?

— Mój dom nadal jest wolny?

— Nadal. Nie uwierzysz, ale do tej pory nie znalazł się nikt chętny. Może agent za słabo się stara. Zabrałem mu klucze.

— Po co?

— Wpadam tam czasem. Ostatnio rozstawiłem trochę pułapek na myszy. Jest ich w tym roku od cholery.

— Barney...

— Wiem, nie moja sprawa. Chodźmy już, bo padnę z głodu. Ruszyli

spacerkiem w ślad za Mickiem w stronę baru.

NA WERANDZIE

Siedział na werandzie, przy starym stole, sącząc powoli szkocką. Na dworze robiło się ciemno i chłodno, ale nie chciało mu się wchodzić do pustego domu. Nie zapalał świateł. W gęstniejącej szarówce jedynym jasnym punkcikiem był żarzący się koniec papierosa. W jego ulubionej, szklanej popielnicy zgromadziło się już sporo niedopałków. Szary dodge stał tam, gdzie zwykle — na trawniku, kilkanaście jardów od domu.

Sięgnął po opróżnioną częściowo butelkę i napełnił kolejną szklaneczkę. Patrząc niewidzącym wzrokiem w mrok za bramą, jeszcze raz przeżywał wypadki ostatnich dni.

Jego dzisiejszy przyjazd do Green Doll można by nazwać przyjazdem oficjalnym. W rzeczywistości przybył do miasta pięć dni wcześniej. Późną nocą, kiedy ruch na ulicach zamarł. Natychmiast po przekroczeniu granic miasta, skręcił w prawo, w ciemny zaułek. Zostawił samochód na placu za wielorodzinnymi budynkami, pośród kilku zaparkowanych aut, których właściciele nie należeli do miejskich elit. Wiedział dokładnie, po co przybył, toteż resztę drogi do celu wołał odbyć pieszo, żeby nie rzucać się w oczy. Była druga po północy, kiedy dotarł do mieszkania Vanessy Durring. Pamiętał, że po śmierci męża wynajęła jeden z małych domków we wschodniej dzielnicy. Może chciała mieszkać bliżej brata? Sam Holmes zajmował jeden z ładnych domów na nowym osiedlu, niecałą milę dalej. Był kawalerem i Gerstaecker nieraz zastanawiał się, po co samotnemu człowiekowi taki duży dom. Tej bezksiężycowej nocy było mu to bardzo na rękę.

Po drodze nie spotkał nikogo. Zobaczył wprawdzie z daleka sunący wolno radiowóz, ale auto skręciło w lewo dwie przecznice wcześniej. Clinton pamiętał, że wdowa po lekarzu zajmuje trzeci domek w rzędzie piętnastu małych bungalówów wybudowanych przez Alfreda Ramseya — miejscowego przedsiębiorcę.

Trafił bez trudu. Wszystkie budynki oddzielone były od jezdni zadbanymi trawnikami, na których tu i ówdzie rosły rozłożyste jawory. Tylko w jednym z domków świeciło się ciepłe, nastrojowe światło.

Clinton obszedł budynek Vanessy. Stał przed drzwiami wychodzącymi na niewielki ogródek. Odetchnął z ulgą. Wołał nie wywazać okien. Brzęk

tłuczonego szkła słycać zazwyczaj z daleka. Pochylił się nad zamkiem. Los najwidoczniej mu sprzyjał. Zwykła, tradycyjna gałka. Żadnych patentowych nowości. Od środka zapewne łańcuch lub zasuwa — może to i to. Dla Clintona nie miało to większego znaczenia. Sięgnął do kieszeni bluzy i założył zamszowe rękawice, które zabrał z samochodu. Rozejrzał się dookoła. Otaczała go ciemność i cisza. Wziął głęboki wdech i sprężył się w sobie.

Kopnął drzwi na wysokości zamka. Krótki huk uderzenia i trzask pękającej futryny. Metaliczny stuk skobla upadającego na podłogę. W następnej chwili Gerstaecker był już w środku. Niewielki korytarz prowadził na przestrzał do drzwi frontowych. Po jego obydwu stronach znajdowały się drzwi do pomieszczeń. W pierwszych po lewej zapaliło się światło.

— Kto tam? — usłyszał przestraszony kobiecy głos. Dwoma susami dopadł drzwi. Spieszył się nie bez powodu. Kiedy wsunął się do sypialni, Vanessa Durring sięgała właśnie do szuflady nocnej szafki przy łóżku. Zobaczył w jej ręku pistolet. Nie patrzyła w jego stronę. Drżącymi palcami próbowała odbezpieczyć broń. Nie zdążyła. Wielka dłoń w czarnej rękawicy zacisnęła się na jej krtani, podrywając ją w górę z taką siłą, że oczy niemal wyszły jej z orbit, a powietrze umknęło z płuc. Trzydziestka ósemka upadła na dywan. Vanessa bezwładnie trzepnęła zwiotczającymi ramionami. Czowała, że jeszcze kilka chwil i będzie po niej. Zaciśnięta niczym stalowe imadło dłoń uniosła ją nieco wyżej. Jej umęczony wzrok spoczął na twarzy, która wielokrotnie nawiedzała ją w sennych koszmarach. Znała te nienawistne, bezlitosne oczy. „Śmierć”, pomyślała.

— Jeżeli otworzysz japę, pieprzona kurwo, będziesz umierać do rana — usłyszała zimny głos. W chwilę później Gerstaecker cisnął nią o podłogę, niczym szmacianą kukłą. Upadła, uderzając boleśnie głową o kant łóżka. Nie straciła przytomności. Szeroko otwartymi ustami chwyciła powietrze, wpatrując się przerażonym wzrokiem w potężną, ponurą postać.

Stanął nad nią w rozkroku. Pochylił głowę. Patrzyli sobie w oczy w ciszy, przerywanej jedynie jej zdyszonym oddechem. Nie mogła oderwać wzroku od tych źrenic, w których czaiła się zapowiedź najgorszego.

— Kazałaś zabić Cynthię. — Zimny, beznamiętny głos sprawił, że zadygotała gwałtownie. Otworzyła usta. Pochylił się błyskawicznie, zakrywając je dłonią. Poczowała zapach skóry zmieszany z wonią benzyny.

— Powiedziałem, żebyś nie otwierała japy. Lewą ręką chwycił jej prawą dłoń. Rozległ się krótki trzask pękającego palca. Mocniej przycisnął jej usta.

Przez chwilę wpatrywał się w łzy spływające po jej policzkach.

— Nie waż się, pamiętaj. Za drugim razem może być gorzej. Podniósł się z klęczek i ponownie stanął nad nią, patrząc, jak usiłuje stłumić łkanie. Uśmiechnął się zimno. — Nie zamierzam cię pytać, suko, dlaczego. Doskonale wiem. Teraz posłuchaj mnie uważnie. Mordercy, których na twoje życzenie wynajął twój braciszek, nie żyją. Przemierzyłem prawie cały kraj. Teraz są zwykłą padliną. Kolej na zleceniodawców. — Pochylił się i sięgnął po leżącą trzydziestkę ósemkę. Podniósł pistolet delikatnie, sprawdzając, czy jest zabezpieczony, po czym zapytał od niechcienia: — Twój?

Kiwnęła głową, nie otwierając ust. Schował broń do kieszeni bluzy. Odwrócił się w stronę leżącą. Ponownie poczuła na sobie siłę nienawistnego spojrzenia.

— Kazałaś zabić moją kobietę, kurwo. Sama zapewne pragniesz żyć? Z wyraźnym trudem skinęła ponownie głową. Czowała, że zdrętwiał jej kark.

— Dużo zapłaciłaś za śmierć Cynthii? Możesz odpowiedzieć, tylko nie podnoś głosu.

— Dużo — zachrypięła.

— Zostały ci jakieś pieniądze?

— Tak. Chcesz pieniędzy?

— O w mordę! Jesteś nie tylko potworem, ale do tego durna jak stołowa noga. Wiesz, powinienem cię rozwalić. Tu i teraz. Ale nie mam zwyczaju zabijać kobiet. Nawet takich jak ty. Wystarczy mi, że wyjedziesz. Dlatego pytałem o pieniądze. Wyjedziesz i nigdy, powtarzam: nigdy nawet nie pomyślisz o powrocie. Przysięgam ci na śmierć mojej żony, że to będzie twój koniec.

— Wyjadę — szepnęła. Nie miała cienia wątpliwości, że Gerstaecker nie żartuje. — Wyjadę na Wschód i nigdy nie skontaktuję się nawet z bratem.

— Tylko częściowo się z tobą zgadzam. Nie wyjedziesz na Wschód. Wyjedziesz na Południe. Wybrałem ci ładne miasto w Alabamie. Nazywa się Eltonville. Tam zamieszkaś. Zrozumiałaś?

— Tak. Zgadzam się.

— Nie masz nic do gadania. To ultimatum. Masz samochód? — Mam.

— Pakuj manele. Wyjeżdżasz za kwadrans. Weźmiesz tyle, ile zdążysz. Zostaw telefon. — Zerknął na leżącą na szafce aparat. — Gotówkę trzymasz w banku?

— Niewiele. Mam w domu sejf.

— Świetnie. Weźmiesz tylko zawartość sejfu. To, co trzymasz na koncie,

przepadło. Pamiętaj, żadnych kontaktów. Po prostu cię nie ma. Złamiesz umowę i rzeczywiście cię nie będzie. Ruszaj się. Palec opatrzysz po przybyciu na miejsce. Należy ci się trochę bólu, suko.

Dwadzieścia minut później stał pod ścianą budynku, spoglądając na znikające w dali czerwone światła odjeżdżającego samochodu. Chwilę potem on także ruszył w drogę, szybkim krokiem kierując się w stronę domu Sama Holmesa. Po dziesięciu minutach był na miejscu. Osiedle wyglądało na uśpione. Po raz kolejny podziękował opatrznosci. Tym razem miał ułatwione zadanie. Dawniej odwiedzał Sama i wiedział, że ogrodowe drzwi Holmes zabezpiecza na noc jedynie zasuwką. Ustąpiły, kiedy podparł się mocno i pchnął barkiem. Nie spiesząc się, skierował kroki do sypialni dawnego przyjaciela. Wiedział, że wkrótce czeka go morderczy bieg, toteż poruszał się spokojnie.

Sam Holmes spał mocnym snem. Od pewnego czasu popijał ostro przed pójściem do łóżka. Nie obudziło go nawet światło zapalanej lampy. Dopiero lekkie uderzenie zadane wierzchem dłoni sprawiło, że otworzył oczy. Ciężkie powieki uniosły się z wysiłkiem, by w następnym momencie rozewrzeć się na całą szerokość. Krok od łóżka stał Clinton Gerstaecker, trzymający w prawej dłoni pistolet kalibru 38.

— Jezu! Clint! — wyszeptał Holmes.

— Gnida. — Jedno krótkie słowo. Zimne spojrzenie szarych oczu. W następnej chwili padł strzał. Pocisk trafił Holmesa w środek czoła.

Gerstaecker rzucił broń na podłogę. Odwrócił się na pięcie i wybiegł z domu. Biegł niemal przez całą drogę do samochodu. Tym razem także nikogo nie spotkał. Otworzył drzwi dodge'a, zdjął rękawice i rzucił je na siedzenie. Uruchomił silnik i spokojnie, nie robiąc niepotrzebnego hałasu, ruszył drogą, którą przybył do Green Doll. Dopiero za miastem docisnął gaz. Wielki silnik poderwał wóz do przodu, niczym wierzchowiec spięty stalową ostrogą. Sto mil na południe czekał wygodny motel, w którym Clinton zatrzymał się na kilka dni.

Teraz gdy ostatnie smugi zachodniej zorzy przesłonił zmierzch, Clinton Gerstaecker raczył się kolejną porcją whisky. Z przyjemnością zaciągnął się dymem. Zrobił to, co przysiągł pamięci Cynthii.

Sięgnął po kolejnego papierosa. Mimo spełnienia misji nadal nie widział

dla siebie miejsca w Green Doll. Podniósł głowę, spoglądając w rozgwieżdżone niebo.

Przestał rozmyślać o walce. Przypomnił sobie niebo równie gwiazdziste. Nieboskłon kończący się poza linią iglastych lasów, porastających górskie zbocza. Falujące trawy prerii, ryk stada i podniecający grzmot końskich kopyt. Przypomnił sobie bliskie, ciepłe twarze ludzi, którzy w krótkim czasie stali się jego przyjaciółmi. Najdłużej zatrzymał wspomnienie wysokiej sylwetki Duggana Shepada na wielkim, półdzikim czarnym ogierze. A pośród tych silnych, męskich twarzy, wbrew wszystkiemu, wbrew logice pojawiło się wyraźne i bliskie oblicze rudowłosej kobiety, o oczach koloru czystej zieleni.

Spojrzał na uśpiony samochód. Pociągnął głębszy łyk szkockiej. Poczł zawrót głowy. Wyciągnął rękę w stronę auta i niezbyt pewnym głosem wycedził:

— Jutro oddaję cię do lekarza, stary. Będziesz mi potrzebny. Coś mi mówi, że nie zabawimy tu długo. Znamy miejsca o zdrowszym klimacie, prawda?

Z zarośli przy bramie odpowiedziało mu nocne nawoływanie lelka.

9 listopada 2009 roku

Copyright © Oficynka & Adam Zalewski, Gdańsk 2010
Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani jej część nie może być
przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana
w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze, 2011

Opracowanie edytorskie książki: kaziki.pl

Projekt okładki: Anna M. Damasiewicz

www.damasiewicz.idesigner.pl

Fotografia na okładce © John S. Nasche | Shutterstock.com

ISBN: 978-83-62465-29-3



Oficynka

www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Plik opracowany na podstawie *Grizzly*, wydanie pierwsze, Gdańsk 2011 r.

Plik opracowany przez Woblink

woblink

woblink.com

Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[Green Doll, Kentucky](#)

[Restburg, Montana](#)

[„Nie pozwól mi upaść”](#)

[Królewskie danie](#)

[Po burzy](#)

[Rozmowa](#)

[Hak](#)

[Urocze miasteczko Bright](#)

[Za głosem serca](#)

[Śniadanie w Bright](#)

[W krainie Saguaro](#)

[Poranek w Green Doll](#)

[Na werandzie](#)

[Karta redakcyjna](#)